

Wilczyński Albert

DZIECIĘ NIEDOLI I PRÓŻNOŚCI

O wiosko, wiosko, jedyna pieszczoszko natury, jakże piękną jesteś w swojej prostocie, uroczą w wspomnieniach, czarowną w poetycznych uniesieniach wieszczów!? Ileż-to westchnień płynie za tobą z piersi Uwięzionych, pośród kamiennych lepianek miasta; ileż Niezliczonych a różnorodnych żądz, rodzisz w łaknących sercach ludzkich; ile milionów wierszy nie spisano na twoje pochwały, ile nie napsuto płócien na wykradzenie twych wdzięków prostaczych, dla zawieszenia ich w przepychem jaśniejących salonach!? A jednakże nikt cię nie opisał dokładnie, nikt tobą się nie nasycił; bo zawsze jesteś i będziesz piękną, będziesz pożądaną!!!

Człowiek, jako istota bezdennych pragnień, coraz wyżej stawiając swe chęci, coraz więcej łaknie i myślą i zmysłem. Docieczone, poznane, zdobyte, staje mu się powszedniem; on sięga dalej i dalej bez końca i granic, których nie zna umysł jego na tej ziemi. Prawdziwe piękno tylko, jako niezbadane zmysłem, nieobjęte w dotykalne formy, zawsze pięknem mu będzie; albowiem duch czując odbicie bóstwa i siebie w różnorodnych utworach natury i sztuki, wiąże się z niem ogniwami serdecznej sympatii, nie pytając dlaczego, nie opierając się tej sile nieodgadnionych a koniecznych związków, tylko miłuje, aby miłować!

Tak też i wioska, wieczną pozostanie kochanką wszystkich tych, których serca biją jeszcze uczuciem żywej rozkoszy na widok prawdziwego piękna; których myśli nie skował materializm, przymuszając istotę zbó- stwioną czołgać się marnie po ziemi, i z pochylonem czołem szukać dla siebie szczęścia, wspólnego bezdusznym istotom. Bo wioska zna tylko jedną matkę naturę, a naturze dał życie Bóg, który sam jest pięknem nad piękno. A potężne to życie Boskie! W jednej i tej samej szacie od wieków, jednakże wcale różne;—z każdego listka drzewiny, z każdej kropelki wody, z każdego skoku ptaszka, i z każdego wreszcie serca ludzkiego, wytryska ono milionem promienistych tęcz, tyle różnoli- tych, tyle nowych, tyle niepojętych!

A jednakże w tych rozkosznych siedzibach natury, nie zawsze okwitają samego szczęścia kwiaty! Tam-to, z łez wiernych jej synów wyciśniętych ręką niedoli, utworzyłbyś rzekę; z łkań i jęków, huragan zdolny zatrzeć miliony szczęśliwców tej ziemi. Tam, znajdziesz jeszcze tyle zakamieniałe serca, dla których wszystkie te wdzięki, są prostym i przynoszącym niezliczone korzyści towarem; dla których ta matka ziemia krwią i potem naddziadów ich złana, stanowi spekulacyjny przedmiot, wydający tylko złoto i złoto. Witają ją bez uniesienia, żegnają bez łzy — bez westchnień. Żadne uczucie, żadna miłość swojskiego zagona, na którym się urodzili, wzrosli, z którego karmili się lat tyle, nie obudzą się w ich duszach, nie rodzi żalu i tęsknoty; bawią się nią jak dzieci piłką, zamieniając na lepsze, na korzystniejsze! Biedni są tacy ludzie, o stokroć biedniejsi od najlichszej ptaszyny szanującej strzechę, pod którą usłała sobie gniazdeczko! bo pewno i dla nich nie zabije ni

gdy serce współbrata, łza żalu i wdzięczności nie zaświeci w oku, a cała pamięć ich życia, skupi się w nienawiści i przekleństwach bliźnich, gniecionych żelazną dłońią zysku i egoizmu.

I oto spojrzymy na tę miluchną osadę, tak malowniczo odkrywającą się przed wzrokiem podróżnego, zdążającego od Żarnowca ku Wolbromowi. To istny raj ziemski, to perła Olkuskiej okolicy; to Stara Dębica! – Przed tobą, stary omszały wiatrak macha jeszcze dość zwawo drzącymi i pokrzywionymi rękoma, za nim dolina i znowu wzgórze, na którym osiadły ciemnozielony smug sosnowego lasu, zniżając się i wznosząc, otacza cię dokoła, i ginie daleko siniejąc we mgle oddalenia.

Wioska rozłożona w podkowę po obu pochyłościach przeryniającego ją wąwozu, ma na czele stary przygarbiony dworek, otoczony gromadą różnorodnej drzewiny, rysującej się nieprzejrzystą masą na tle lazurowego polskiego nieba. Gdziekolwiek tylko wysmukła włoszka, wystrzeliwszy ponad głowy nadwiślańskich siostrzyczek, kłania się dumnie na wszystkie strony, poruszana silniejszym podmuchem wiatru.

Za dworem, jakby za swoim dowódcą, idą rzędem chaty wieśniacze, wszystkie starością przysiadłe ku ziemi, wszystkie bez kominów, prócz wybielonej i dużej karczmy ustawionej pośrodku owego półkola. Ta, wyznawszy szczerze, najpowabniejszą ma postać, i gdyby jej nie brakowało ganku, którym się dwór zaszczyca, śmiało wzięby ją można za rezydencję dziedziców.– Na drugim końcu półkola, jakby walcząc o pierwszeństwo dowództwa z dworkiem, wznosi się mały poczerniały kościółek, z nachylonym krzyżem i wałącą się dzwonnica. Dach jego łątany to blachą, to słomą, to gontą

mi; ściany gdzieniegdzie sklezione żelazną spójnią, lub jaśniej świecąca deską, dowodzą, że dogorywając, wyęża ostatnie siły na usługi biednych parafian. Cmentarzyk mały, trawą zarośnięty, ogrodzony sztachetką prostej wieśniaczej siekiery, miał kilka odwiecznych lip i klonów, pod cieniem których spoczywało już niemało pokoleń pracowitej wioskowej rzeszy.

"Wszystko to ujęte w ślicznej zieloności ramki pokrajanych pól i łąk, zamknięte smugą drzemiących lasów, miało bardzo ujmującą postawę, i pieszcząc oko wędrowca swą różnorodnością i prostotą, napawało jego duszę jakimś niewysłowionym uroku składem.

Droga od wiatraka schodząc po pochyłości góry, skręca się koło zabudowań gospodarskich, i wiedzie wprost do dworu, oddzielając z lewej strony nie wielki stawek trzcina zarosły, krzakami bujnej leszczyny okolony, i cudnie odbijający w swych przejrzystych wodach z jednej strony ów wiatrak, a z drugiej sam dworek, z całą gromadą stojącej przy nim drzewiny.

Dziedziniec kwadratowy, zielskiem pokryty[^] prócz jednej ścieżki wyjeżdżonej powozami, bryczkami lub wózkami odwiedzających dziedziców, zamykały poczerniałe sztachety z połamaną bramą na czele. — Wprost drogi mieszkalny dom właścicieli z gankiem, nowym gontem pokrytym, i ścianami obitemi od wiatrów i deszczu, stał sobie poważnie ciśniony ogromnym popaczonym dachem. Przed nim dwie topole do połowy uschnięte, i mały kwadratowy ogródek na siew rozsady przeznaczony, dawały poznać przedsiębiorcze usposobienie właścicielki. Po lewej stronie oficyna, snadź w lepszych czasach murowana, mieści w sobie prócz kuchni, i mieszkanie ekonoma; a po prawej, przez całą szerokość po-

dworka, ida fornalskie stajnie, wozownie i tak nazwana piekarnia, będąca zimą schronieniem licznej gromady cieląt, a latem mniej licznej czeladzi dworskiej. Między dworkiem a oficyną kuchenną, wałęsało się kilkadziesiąt nieogrodzonych drzewin owocowych, pośrodku których brzeziniowa altanka objęta wysmukłym powojem, świeciła między gałęziami dalekich jabłoni, jak próchno zbutwiałej wierzby wśród ciemnej jesiennej nocy.—Ot i całe ozdoby wiejskiego mieszkania tych ludzi, którym Bóg dał na własność tyle obfitych darów swej ręki, a oni tarzając się w błocie chytryści i zysków, zaniedbali uczynić je dla siebie drugim rajem na ziemi!

Było to w pierwszych dniach czerwca; słońce już spuszczało się majestatycznie w głębinę ciemnych sosnowych lasów, ruch coraz większy objawiał się w wioszczce, tu i tam z zarzuconą na plecach kosą lub grabiami, wracali ku domowi spracowani robotnicy, wyśpiewując tęskne piosenki, których echa stokrotnie powtarzały się i bliżej i dalej, ginąc gdzieś pomiędzy wzgórzami. Dziedziniec przed dworkiem coraz bardziej się zaludniał: szereg opalonych kosiarzy w białych świtach, i drugi hożych dziewoi, uszykował się przed gankiem mając na czele groźnego ekonoma; karbowi, włodarze, liczyli nowo przybywających, popychali uwijających się niezgrabnie chłopaków, bo za chwilę miał się pokazać dziedzic, dla rozdania kwitków zastępujących tymczasowo dzienną zapłatę. Nareszcie kiedy już wszystko się uciszyło i ekonom dał znać do dworu, wysoki i dobrej tuszy mężczyzna, w długiej z przodu rozwartej płócien- kowej bluzie, z potężną dozą drewnianych tabliczek w ręce, wybiegł szybko do stojącej z odkrytą głową gromady, i nic nie mówiąc zaczął kolejno rozdawać kwitki.

– Proszę jaśnie pana—odezwał się stary ehłopek stojący z brzegu—moje siano na nic przegnije, trzy dni leży na-pokosach, a niema go kto skopie; żeby to jaśnie pan uwolnił mię na jutro...

– A co mi tam, panie, do tego! bierz kwitek a jutro z kosą, panie.

– Matusia podzieli, że ten dzień za pańszczyznę[^] —odezwała się mała dziewczyna, nie biorąc tabliczki.

– Gzy tu matusia rządzi, panie, czyja, panie?

– A juścić jw. pan—odrzekła, sięgając ręką do kolan dziedzica.

– No, to bierz, panie, a pańszczyzna do żniwa, panie!

Dziewczyna umilkła biorąc niechętnie tabliczkę,^s a dziedzic tymczasem rozdawszy reszcie i nie rzekłszy słowa, wrócił do sieni. "Włodarze i ekonom za nim;, chłopstwo też postawszy jeszcze trochę, nakrywszy głowy i chowając kwitki, sunęło powoli ku wiosce, gwarząc o swoim sianie i o swej niedoli.

Podążmy więc i my za dziedzicem do jego kance- laryi, mieszczącej się zaraz po lewej stronie od ganku.

Zapalono świecę, ekonom siadł zaraz do regestrów pańszczyznianych, i zaciąwszy indyckie pióro, przewracał karta za kartą, wyliczając półrolników, zagrodników, komornice, a stojący przy drzwiach włodarze, peryody- cznie odzywali się o każdym: "kosił, nie był, grabił, z siekierą" i t. p.

Dziedzic tymczasem zapaliwszy fajkę, chodził wzdłuż pokoju, przysłuchując się z uwagą dyktowaniu włodarzy: czasem przystanął, podrapał się w głowę, popatrzył w rejestra, i znowu kontynuował kołową przechadzkę.

Był to mężczyzna może trzydziesto-ośmio-letni, jak powiedziałem, wysoki, dobrze zbudowany, z twarzą, tłuściutką, okrągłą, opaloną po oczy, bo czoło chronione rondem słomianego kapelusza, daleko jaśniejszą miało barwę. Włosy blond, rozczochrane, pokrywały dość sporą głowę; wąsy żółte prawie, i takiż zarost, od kilku zapewne tygodni brzytwą nietknięty, zachodziły po same uszy; piersi obnażone i spalone, wyglądały ciekawie przez roztworzoną koszulę, a oczy blade, niebieskie, daleko schowane, nie wyrażały nic tak szczególnego, aby o nich można tu coś więcej napisać. Takim był pan Mikołaj Ziembicki, od trzech lat właściciel Starej Dębicy, małżonek Salomei z Krzykalskich Ziembickiej 1 ojciec dwóch małych chłopczków, w tej chwili płaczących nieznośnie w sąsiednim pokoju.

Skończono rejestra, ekonom obtarłszy pióro podszewką surduta, stanął przy drzwiach wyprężony, i spoglądając na włodarzy uniżenie zapytał:

- Proszę jw. pana, cóż na jutro?
- Siana dużo, panie, zostało?
- O, jeszcze kawał, jaśnie panie; od Brodów do Zatrzaska, będzie ze dwa dni roboty.
- A to wy tam, panie, dyable, panie, kosicie!– Czterdziestu ludzi, dwadzieścia grabi, i połowy, panie, niema; musiałeś się wasan spisać znowu, panie, i chłopstwo spało ze trzy godziny w południe.
- O! jak Boga kocham, jw. panie, ani kropelki w gębie dziś nie miałem – odrzekł kłaniając się czapką do stóp ekonom.
- Wiem ja, wiem, panie, jakto wasan nie pijesz, ale chwała Bogu, że to, panie, niedługo się skończy! A jutro ze trzydziestu do kosy, z grabiami ile można,

panie, bo to deszcz za pasem; fornale, panie, niech wożą, do brogów...

– Dobrze, jaśnie panie, ale ja też tu mam jaśnie wielmożnemu panu powiedzieć, że dalibóg to chłopstwo tyle sherniało, że rady sobie z niemi dać nie mogę.

– A bat od czego, panie, hę! – przerwał dziedzic–zepsułeś mi wasan ludzi żałując ręki...

– Ale gdzie ja tam, JW. panie, żałuję, ino to takie harde. Otóż i dzisiaj, ten Zarwaś młodszy z Prze- łazka, kiedym do dnia wyganiał do kosy, o mało że mię nie zabił. x

– Waspana to zawsze, panie, zabijają, a żyjesz i pijesz dotąd.

– Wolno jw. panu żartować, ale jak mnie ściągnął drągiem od wideł...

– A to łajdak, panie, huncwot, panie, dam ja jemu widły! Jutro do dnia sprowadzić go tu, i piętnaście, panie...

Wtem zatętniało coś przed oknami, pan Mikołaj przerwał dalsze wybuchy gniewu, i wyjąwszy z ust fajkę przysłuchiwał się czas niejaki, a w końcu rzekł do stojącego przy drzwiach włodarza:

– Gabryś, a zobaczno co tam, panie! bo może te łajdaki, panie, nie uwiązali siwej i lata po dworze.

Jeszcze Gabryś nie wziął za klamkę, gdy otworzyły się drzwi z sieni i wszedł jakiś człowiek średniego wzrostu, opalony, chuderlawy, z czarnym kędzierzawym włosiem i czarnymi błyszczącymi oczyma, a stanąwszy przy drzwiach, kilka razy skłonił się pokornie czapką do stóp dziedzica.

– A czego to, panie?

– Za służbą—odrzekł pochylając się jeszcze niżej przybyły, miętosząc w rękach trzymaną czapkę.

Ekonom, wódarze i dziedzic spojrzeli na niego ciekawiej, chcąc w tem spojrzeniu przeniknąć do dna charakter proszącego, a on spuściwszy oczy, skulony, stał milcząco, wydobywając z czapki pęk pobrudzonych papierów.

– Gdzie wasan służyłeś, panie?

– Proszę jw. pana, w Nagłowicach przez cztery lata, a że słyszałem że jw. pan potrzebuje...

– Potrzebuję, panie, ale nie takiego jak wasan; w Nagłowicach, panie, oficjaliści panowie, a ja, panie, tu sam pan, panie.

•— Ja też, proszę jw. pana, da Bóg będę się starał.,.

– Stara to śpiewka, panie, wyście wszyscy, panie tacy. A przedtem gdzie wasan służyłeś?

– W Nagorzanach u pana Kobyłeckiego.

– Gdzie to te Nagorzany, panie?

– Dziesięć mil ztąd, koło Proszowic.

– Dajno wasan świadectwa! – a obracając się do stojących przy drzwiach dodał: – idźcie do pani, niech wam da wódki po kieliszku, panie! A rano mi wstać, kosić, fornalki dwie do mchu, Latusz z siekierą do gumien, ze trzy komornice, panie, do powróseł, Zarwasia rano sprowadzić. A wasan zajrz do karczmy, bo to już panie, z tydzień jak wzięła baryłkę, to panie, oszukani- ca, a teraz przy koście ludzie piją...

– Dobrze jw. panie—odrzekli prawie razem wódarze i ekonom, a skłoniwszy się nisko i oglądając się jeszcze na przybyłego za służbą ekonoma, wysunęli się

z pokoju, postali czas niejaki przy drzwiach, a nie mogąc nic dosłyszeć, zakręcili na lewo do pani na wódkę.

Dziedzic tymczasem siadłszy przy stole, rozłożył szeleszczące papiery i zaczął czytać głośno: "Zaświadczam jako pan Jan Żarski..."

– A słuchajno wasan, panie, ja gdzieś znam to nazwisko, panie—odezwał się patrząc uważniej na przybyłego.

– Może jw. pan ze szkół pamięta – odrzekł kłaniając się pokornie Żarski.

– A gdzie to wasan chodziłeś?

– W Pińczowie, jw. panie. ■

– W którym roku?

– W 1826 jw. panie, wtedy kiedy i jw. pan chodził.

– A, a, a—zawołał, uderzywszy się w czoło dziedzic—coś, coś przypominam, panie; prawda, był jakiś Żarski, nawet ze mną w drugiej klasie, aha, to, to wasan ten czarny Żarski, co to śpiewał cieniutko Ave Maria...

– Tak, to ja, jw. panie.

– Więceśmy kolegami tedy, panie, hę?

– Podobno, jw. panie.

– No, to siadajże, panie, mój ty Żarski; aha, to w Pińczowie, w Pińczowie. Aleś ty mi się, panie, dya- belnie podstarzał?

Zapytany westchnąwszy głęboko, usiadł niezgrabnie na brzeżku krzeselka, i poprawiając się nieustannie mówił:

– Bo też, jw. panie, już biedy wiele przebyłem na świecie; z kąta w kąt, z kąta w kąt, włócz się, prze

rzucaj; pracuj jak ten wół w jarzmie od rana do nocy, od nocy do świtu, to się podwójnie żyje!

– Albo to i ja, panie, nie pracuję, hę? wszystko na mojej głowie; czego niedopatrzysz okiem, to dołożysz workiem, nieprawda, panie?

– A tak, prawda, jw. panie.

– A żonę masz, panie? – pytał dalej czytając świadectwa.

– Mam i dwoje dzieci.

– To źle, panie, źle! Zona to kłopot w gospodarstwie; ja mam ludzi na stole...

– A i cóż teraz robić, proszę jw. pana; co się stało nie odstanie, samemu jakoś przykro było...

– I to prawda; ale co ja z tobą, panie, zrobię? żona moja nie będzie chciała żonatego, panie, a świadectwa dobre: "trzeźwy, pilny, pracowity, zdatny" hę, panie, co tu zrobić?

– Jak jw. pan zechce, to wszystko się zrobi. Żona moja, poczciwe kobiecisko, nikomu tam w drogę nie wlezie, siedzi w domu; dzieci niewiele, byle jaka taka ordynarya, to jak-bądź tak-bądź, będzie się żyło.

– Ale widzisz, panie—mówił pan Ziembicki drapiąc się w głowę i krzywiąc niesmacznie—myśmy to sobie ułożyli z panią, kawalera...

– Zmiłuj się jw. panie – odezwał się błagając Żarski powstawszy z krzesła i ściskając za kolana szkolnego kolegę—tu św. Jan za pasem, ja chorowałem ciężko przez cztery tygodnie, nie mogłem wyjechać za służbą, więc na byle czym poprzestanę. Aby tylko znaleźć jaki kącik dla żony i dzieci, to pracować będę z całego serca, z całych sił moich; nie rób mi więc tej krzywdy,

jw. panie odrzucając, a pewno nie pożałujesz dobrego uczynku.

– Eh, wiesz, panie, to sęk, Salusia nie zechce; ale powiedzno mi mój Żarski, coś ty tam zbroił w Nagłowicach?

– A cóżbym miał zbroić jw. panie.

– No, czemużeś się odprawił, panie?

– Toć to nie z mojej winy poszło, jw. panie: Nagłowice sprzedane, nowy dziedzic ma swoich ludzi.

– Sprzedane, panie, mówisz, a kto kupił?

– Nie wiem nawet jak się nazywa ten nowy dziedzic, to tylko mogę powiedzieć, iż ksiądz proboszcz dostał list, w którym pisze aby oficyalistom miejsce wypowiedzieć, bo on swoich nadeśle.

– A szkoda, że nie wiesz, panie; zawsze to rzecz ciekawa zmiana dziedziców. Ale mój kochany Żarski– wyrzekł po chwili wytrząsając resztki niedopalonego tytoniu – gadasz że chodziłeś ze mną razem w Pińczowie, panie, a tak zbiedniałeś?

Uśmiechnął się gorzko na takie pytanie ekonom, oko jakoś mu się zamgliło, widno bolesne wspomnienia wypchnęły łzę z serca; milczał trochę, obracając w rękę podniszczoną czapkę, wahając się z odpowiedzią, lecz naglony oczekującym wzrokiem dziedzica przemówił:

– Zbiednieć nie zbiedniałem, jw. panie, bo nigdy bogatym nie byłem. Długa-to byłaby historia opowiadać moje życie, a pewno i niezabawna, więc pozwól jw. panie że o niej zamilczę.

– Eh, panie Żarski–odezwał się trochę rozczulony dziedzic – coś mi to się nie podoba, panie; kto przyjmuje do siebie człowieka, panie, radby wszystko wiedzieć o jego przeszłym sprawowaniu.

- Toż są świadectwa, jw. panie, one wierniej za mną, powiedzą.
- Już ció prawda, panie, bo wy to tam zawsze się chwalicie, ale widzisz co to szkodzi, panie, bo to ja okropnie lubię cudze historię.
- Kiedy tak, proszę jw. pana—rzekł przymuszony takim życzeniem Żarski—to i powiem: Ojciec mój, a i dziad podobno, byli to sobie dobra karmazynowa jak mówią szlachta, ale biedna i wysługiwali po dworach na Litwie, w Koronie i Rusi, zarządzali podobno i wię- kszemi majątkami; lecz kiedym ja się urodził, nieboszczyk ojciec już dobrze stary, służył w Sandomierskiem u pani Milińskiej, i biedniejszym był niż którykolwiek z jego przodków. Z całego serca życzył sobie, aby choć jedno dziecko wyśliznęło się z ekonomicznego chleba, za- prawnego ciężkim potem i łzą niedoli; jam zdawał się najsprytniejszym do nauki, więc wysiliwszy się do ostatka, oddał mię do szkół Pińczowskich. Sześcioro młodszej dziatwy siedziało sobie doma, rosnąc bez żadnej edukacyi, jak te polne kwiatki na pustej niwie, a ja miałem być ich podporą w przyszłości, opiekunem, przewodnikiem, ojcem. – Lecz Bóg widaó inaczej rozrządził: bo w drugim roku mojej nauki, umiera pocziwe moje ojczyisko, zostawiwszy starą schorzałą wdowę z sześciorgiem piskląt bez żadnych zasobów, bez żadnej poręki. Pani hrabina, kobieta uczciwości, zrazu jak mogła opędzała pierwsze potrzeby sierot, lecz dla mnie zawarła się droga dalszego kształcenia. Za radą więc matki poszedłem do dworu, skłoniłem się dziedziczce, prosząc o jakie miejsce dla syna zasłużonego oficjalisty. Zgodziła się chętnie ta zacna niewiasta, i ośmnastoletniemu chłopcu oddała posadę ekonoma. Odtąd życie szło ja

ko-tako: pracowałem dniem i nocą na wyżywienie fa- milji, pokierowałem nią jak było można; matka umarła wkrótce, hrabina poszła za nią, nastali nowi dziedzice, mnie odprawili, a nie mając wtedy innego sposobu do życia, i oswoiwszy się z nienowym dla mnie zawodem, szedłem w świat dalej i dalej, zawsze w biedzie, zawsze w niedostatku. Spotkałem na tej drodze uczciwą a biedną dziewczynę, połączyłem los jej z moim, Bóg dał dwoje dzieci, więc żyję dla nich, pracuję dla nich, tułam się dla nich, i nie wiem jaki ich tam los czeka w przyszłości.

– A toś ty biedaku, straszne przechodził, panie, koleje?!

– Jak komu jw. panie; dawniej były mi straszne, dziś są zwyczajne. Człek tak już się spoił z tą dolą, tak jakoś przywykł do biedy, tak utracił wszelkie nadzieje, że gdyby nie żona pocziwa co mię tam reflektuje, jużbym i gadać zapomniał.

– A jakżebyś na pańszczyznę, panie, wyganiał?

– Batem jw. panie, batem; bo póki krew nie zastygnie w ciele, on podobno nie wyleci wcześniej z mej ręki.

– Tak panie, tak, bat to grunt! Z chłopem, panie, ani rusz inaczej: widzisz mój Żarski, tu-by cię za nic nie mieli, panie, we wsi, jakbyś ich nie łwpił.

– O, znam to dobrze, proszę jw. pana, –odrzekł ironicznie ekonom–ich skóra tak samo przywykła do bicia, jak moja ręka do bata.

Po tym dobitnym pewniku, pan Mikołaj jakoś się zadumał trochę, oparłszy głowę na łokciu milczał jakie parę minut, nareszcie ziewając przeciągle z przeraźliwym odgłosem, przemówił od niechcienia:

- I cóż gadali, panie?
- Kto taki, proszę jw. pana, – odrzekł zdziwiony i posmutniały Żarski.
- A ci, w Nagłowicach?
- Czy ksiądz proboszcz?
- Nie; ale, panie, dużo tam pobierałeś? – zapytał prędko jakby wracając do przytomności, gdyż w czasie tego milczenia, myślał o czym innym, i zdawało mu się iż widzi przed sobą Jankła, ulubionego faktora, którego zwykle takim pytaniem obdarzał.
 - Czterysta złotych i 20 korcy ordynaryi, proszę jw. pana.
 - Oho, panie mój, szukaj sobie służby! ja sam nie mam, panie, tyle na rok.
 - Wolne żarty jw. pana, – odrzekł z przymuszonym uśmiechem na ustach Żarski, – ale ja też powiedziałem tylko o tem co brałem.
 - Nie mogę, panie, nie mogę mój Żarsiu. Żal mi cię, jak Boga Kocham, panie, ale ja tu płacę tylko trzysta złotych i stół.
 - Dwieście pięćdziesiąt, Mikołaju – odezwała się stojąca za nimi od kilku chwil kobieta.
 - A, to ty Salusiu, panie? – zapytał niedbale pan Mikołaj – wchodzisz tak cicho, panie, że się aż wzdrygnąłem.
 - No i cóż wielkiego że się wzdrygnąłeś, ale pomimo tego głupstwa gadasz! – odrzekła dziedziczka.
 - Oto moja Salusiu, poczciwy Żarsio, kolega mój szkolny, panie, szuka służby – wyrzekł pokazując palcem drżącego i pokornie kłaniającego się ekonomę.

- No i cóż wielkiego, wszak ich tu jak plew mnóstwo się uwija.
- Ale to kolega, panie!
- Temci gorzej, po znajomości będzie nas lepiej okradał.

Żarski aż cały podskoczył na te słowa, upuszczając trzymaną w ręku czapkę. Krew oblała purpurą już i tak czerwone policzki, oczy znów się zamgliły, lecz kłaniając się jeszcze niżej do stóp pani Mikołajowej, drżąc, nieśmiało wyjąkał:

– Oh! niech mię Pan Bóg broni i zachowa, proszę jw. pani, aby kiedy moje ręce splamić się miały kradzieżą! Czterdzieści kilka lat żyję na świecie, a bodaj- jem nie wymówił tego słowa, jeżeli jedno ziarnko zboża, jeden grosz cudzych pieniędzy weszły nieprawnie do mej kieszeni.

– Ale bo to wy wszyscy tak gadacie przy przyjmowaniu, a potem tu chap, tu cap, tylko się strzeż na każdym kroku.

– Ale, Salusiu, panie, dajno pokój – to biedota, panie, nieszczęśliwy, ojciec mu, ten tego umarł – mówił nie myśląc co mówi pan Mikołaj nakładając fajkę.

– Tem-ci gorzej, tem-ci gorzej – wtrąciła Salusia – bieda najwięcej kradnie. A obracając się do Żarskiego z miną imponująco niegrzeczną, rzekła:

– Masz wasan żonę?

<– Mam, proszę jw. pani i dwoje dzieci.

– To idź sobie z Panem Bogiem, ja kawalera potrzebuję koniecznie! – zawołała machnąwszy ręką, aż pęk kluczy uczepionych za pasem zabrzączał przeraźli

wym dźwiękiem, i pięć rzemyków zatkniętej obok nich dyscypliny poruszyły się gwałtownie.

Przygnębiony Żarski nie śmiał nawet i oczu podnieść na żonę swego kolegi, stał pochylony przy oknie, gdy oboje państwo szeptali coś do siebie w drugim kącie pokoju.

Ta pani Salomea z Krzykalskich Ziembicka, żona szanownego dziedzica Starej Dębicy, była to sobie kobieta może trzydziestoletnia, dość wysoka, szczupła, koścista, z twarzą, podłużną bladą, jakby napuchniętą, szczególnie po obu stronach brody. Oczy małe, czarne, latające, złośliwe, jak dwie błyskawice migwały na wszystkie strony, nie mogąc sobie wynaleźć przedmiotu na którymby spocząć mogły. Włos rzadki, ciemny, niezbyt gładko ułożony, przykrywał brudny czepek, na dwa fontazie pod brodą zapięty; suknia a raczej szlafrok kiedyś zielony, a teraz brunatno kasztanowaty, z przodu pod szyją głęboko wycięty, nie miał co osłaniać, bo natura, jak powiedział któryś z dowcipnych pisarzy, uczyniła ją podwójną amazonką. W pasie przywiązany w kra- teczkę płócienny fartuszek, mieścił na swojej obręczy z jednej strony pęk różnorodnych kluczy, z drugiej pię- ciopromienną, na sarniej nóżce oprawną dyscyplinę, niżej zaś dwie potężnie odstające kieszenie, w tej chwili zapchane różnorodną mozaikową rupiecią, między którą sterczał duży krakowski nożyk powalany słoniną, i połowa niedojedzonej kromki gospodarskiego chleba. Przy- tem wyobraźcie sobie jeszcze parę rąk czerwonych, po- pryszczonych, zatłuszczonych, i dwie nóżki, jak żelazka do prasowania umieszczone w stosownej formy męzkich sandałach, a będziecie mieli najwierniejszy obraz dziedziczki Starej Dębicy. Co do głosu, to miała go sukce-

A. Wilczyński.—Tom YIL

syjnie donośnym; bo jak ludzie mówili, ś. p. jej ojciec, bogaty spekulant z Miechowa, gdy ryknął, cały dom drżał z przestachu, i sufit pękał ciśniony tubowym dźwiękiem szanownego negocjanta.

– Chyba, – odezwała się szanowna gospodyni, skończywszy tajną konferencję, – przystaniesz waspan na 250 złotych, 10 korcy ordynaryi i cztery zagony ziemniaków...

– I dwie krowy na stajnię, – dodał wspaniałomyślnie pan Mikołaj.

– Ale z bójcie się Boga jaśnie wielmożni państwo! – wyrzekł z rozpaczą Żarski, rzucając się do nóg dziedziczki. Zlitujcie się nad nieszczęśliwym człowiekiem! a toć ja umrę z głodu z biedną moją familją?! Przyjąć muszę, bo już nierychło się starać o inną kondy- cyę, ale przysięgam na jedynego Boga w niebie, na wszystko co mam najdroższego w tem życiu, – mówił z coraz większym zapalem, składając ręce jak do modlitwy, – że pracować będę jak ten wół w jarzmie, choćbym miał skonać na polu...

– No, dać mu 15 korcy, panie – odezwał się litością tknięty pan Mikołaj, zwracając pytający a zarazem błagalny wzrok ku żonie.

– Jw. pani! choć trzysta złotych, mam dziecko które już i nauki potrzebuje: zmiłuj się, zmiłuj!

– A daj mu, daj, kiedy tak chcesz Mikołaju – wyrzekła po chwili namysłu, – ale pamiętaj sobie wasan, jak się najmniejsza skaza na nim pokaże, fora ze dwora: my tu złodziei trzymać nie będziemy.

Żarskiemu zaświeciła łza w oku, łza upokorzenia, którą pani Mikołajowa wzięła za skutek wdzięczności, bo spuściwszy niby przez skromność latające oczy, i po

leci wszy mężowi spisać stosowny kontrakt, na odcho- dnem rzekła:

– A przyjdź waspan do kuchni na kolację, pe- wnoś zdrożony.

Żarski znowu się pokłonił dziękując, a dziedzic wyjąwszy arkusz sinego papieru, nakreślił istny cyrograf, przeczytał dość gładko, i kazał podpisać nowemu oficjaliście.

Nieszczęśliwy żegnając się, z rezygnacją położył swoje nazwisko, ujął za kolana dawnego kolegę, który zadowolony tyle szczęśliwym obrotem interesu, kazał mu usiąść, zaczynając rozmowę zwyczajnem pytaniem: "i cóż gadali; he, panie?" Ale po kwadransie tej nowin- kowej dysputy, wezwano Żarskiego na kolację, pana też głośne i trzeszczące ziewania coraz natarczywiej przyzywały do łóżka, więc skłoniwszy mu się od niechcenia, pożegnał przyszłego sługę, przypominając termin objęcia obowiązków.

W kuchni tymczasem, przy oddzielnym stole nakrytym brudną serwetą, podano mizerną kolację Żarskiemu; sama pani poczęstowała go kieliszkiem szumów- ki, a osmolona czeladź, licząc prawie każdą łyżkę, cieka- wem okiem mierzyła nowego, jak go nazwała batożnika.

Co się działo w sercu biednego ekonomy, gdy na swojej szkapie zdązał napowrót do domu, trudno odgadnąć. W nieszczęściu maleńka iskierka jakiejś nadziei, już jest ogniskiem, w którym musi się stopić najtwardsza rozpacz.

Lecz jakże krótkie jej trwanie, jakże prędko zaga- śnie ciśniona ręką wspomnień, które nie tak łatwo wydrzeć pamięci naszej! Zresztą oswojony z niedolą, całe życie stąpając po ostrej i ciernistej drodze boleści, już

zobojętniał na ciosy, stracił dotkliwsze poczucie nieszczęścia, zdrętwiał moralnie, bo heroizm młodzieńczego wieku, tłumiony każdodziennym zawodem, nie znajdował już tyle sił w sobie samym, aby wyrodził prawdziwie chrześcijańską rezygnację, będącą udziałem niewielkiej liczby dusz ludzkich.

Na drugi dzień po świętym Janie, deszcz lał jak z cebra, niebo zdawało się wyrzucać cały zasób wodnistych elementów na tę biedną ziemię; gospodarze patrząc na swoje zielone pokosy pływające na łąkach, tarli niesmacznie¹ czupryny, a wiatr z przeraźliwym świstem, jakby urągając ich niedoli, wygwizdywał dyabelskie trele przez każdą szczelinę chaty, którą tylko mógł się przecisnąć.

Nad wieczorem gdy już szarzeć poczynało, dwie drabiniaste furmanki, zaprężone po parze jasnokości- stych wiejskich pegazów, z wielką biedą, po kilkakrotnych wytężeniach przy przejechaniu bramy wjazdowej, wtoczyły się na dziedziniec Starej Dębicy. Od góry do dołu założone różnymi przeróżnymi gratami, z sterczą- cemi do góry w różnych fantastycznych kierunkach nogami stołów i krzesel, zawierały całe bogactwo naszego ekonoma. Na wierzchu drugiej fury, między zawiniątkami przemokłej pościeli, tuliło się dwoje płaczących dzieci, przyglądając się z zajęciem nowej siedzibie rodziców.- Za tym wozem, jak za pogrzebowym karawanem, szedł poczciwy Źarski z swą żoną; oboje niosąc drobne przedmioty w rękach, które spadały z wozów w czasie podróży, zbłoceni, przemokli i zmordowani jak nieboskie stworzenia, grzęźli po błocie dziedzińca, z ciężkością

wyciągając nogi przed siebie. Nareszcie zatrzymały się, wozy przed drzwiami oficyny po lewej stronie będącej, gromada ciekawej czeladzi wybiegłszy z kuchni poratować nowego ekonoma, jęła się żwawo do zdejmowania rzeczy, a oboje państwo kryjąc się za słupy gankowe, patrzyli dość interesująco na te przeprowadziny, wnioskując zarazem o zamożności swego oficyalisty.

Na dworze zupełnie się już zciemniło, fornale i dziewczki znosząc ekonomiczne graty, co chwila to ułamali nogę stołu, to urwali bok kanapki lub krzesła, tłukli bez miłosierdzia szkła i garnki, walali błotem pościel, krzycząc, popychając i przeklinając się nawzajem. Mieszkanie owo do którego wprowadzono Żarskiego, składało się z dość obszernej zabrudzonej izby, o dwóch oknach do połowy papierem zaklejonych i na dziedzińcu wychodzących. Za nią, ciemna, wilgotna komórka, a w niej dołek na kartofle, przytem sień cienkimi de- szczyłkami od sieni kuchennej oddzielona, ot, i cały apartament ekonomiczny. Ściany obite z tynku, połatane naprędce świeżą brunatną gliną, komin ogromny zakopcony, piec krzywy i przysiadły, podłoga składająca się z jednej porąbanej deski; powała wałaca się na środku i podparta dwoma nieociosanymi nawet drągami, wreszcie drzwi przetakowe z przeraźliwie skrzeczącymi zawiasami, stanowiły znowu kompletny obraz wewnętrznego urządzenia.

Nareszcie bez ładu, składu, tak jedno na drugim, złożono przecie wszystkie graty na środku izby, przyniesiono drzewa, zapalono na kominie, i w dwie godziny, cichość znów zaległa podwórzec, jakby nigdy nic nie było, jakby nasz ekonom od wieków zajmował to mieszkanie.

Przypatrzmy się teraz biednej zonie Żarskiego, osuszającej przemokłe dzieci na trzonie komina, z którego jasno buchający płomień, oświecał fantastycznie całą izbę z nagromadzonemi w niej sprzętami. Była to może czterdziestokilkoletnia kobieta, średniego wzrostu, kiedyś blondynka, a teraz już dobrze siwa, szczupła i zbiedowana. Na długiej, prawie kwadratowej twarzy, nędza i praca wyryły w dość wyrazistych bruzdach ślady swojego przejścia; oczy kiedyś niebieskie, dziś płowe, bez blasku, okolone sinawą pręgą, miały pośrodku nos długi, kształtny, nieco ku wargom zwieszony. Ręce małe, kościste, pokrzywione od ciężkiej pracy, szyja cienka, czoło wysokie pomarszczone, i cała postawa nachylona, taką na pierwszy rzut oka przedstawiały Maryannę Żarską.

Z dwojga grzejących się dzieci, starszy, chłopak może dziesięcioletni, rumiany, puciołowaty, z czarnym kędzierzawym włosiem, i takimże dużym okiem, podobny zupełnie do ojca, żywo spoglądał na wszystkie strony nowego mieszkania; widocznie cieszył się odmianą, gdy młodsza wążła dziewczeczka, blondynka z niebieskimi oczami, wierne odbicie młodej kiedyś matki, płakała w najlepsze, dopominając się natarczywie zwyczajnej kolacyjnej porcy.

Żarski oczyściwszy się nieco, poszedł natychmiast sprezentować się dziedzicowi, który wydał mu zaraz stosowne na jutro dyspozycje, a czując potrzebę gawędy, zwłaszcza, że od kilku dni nie widział się z ulubionym Jankielkiem faktorem, kazał mu usiąść, pytając: "cóż •tam gadali, panie?"

Biedny ekonom zdrożony, głodny, niespokojny o to ♦co się tam dzieje w jego mieszkaniu, musiał opowiadać

różne przeróżne nowinki jw. dziedzicowi, który paląc fajkę za fajką, nie słuchał ich wcale myśląc o czym innym, i tylko przy zamilknięciu ekonoma, przedłużał dalszą rozmowę tem samem pytaniem: „jakże mówili, panie, hę?”

Tymczasem w ubogiej oficynie, znękana ekonomo- wa nie mogła sobie dać rady. Tu dziewczyna płacze, wołając: „jeść, mamuniu, jeść!” tam wiatr odrywając źle przyklejony papier u okien, z szatańską wściekłością wpadał do izby, wyrzucając kłębam dym z komina; tu znowu woda ciurczkiem prawie lała się z powały maczając już i tak przemokłą pościel; łóżka potłuczone trzeba było jakkolwiek pozostawiać, słomy ani źdźbła na posłanie, kufry z bielizną przywalone innemi rzeczami, a tu męża nie widać i nie widać ze dwora.—Nareszcie któraś z dziewczek słysząc płaczliwe wołania dziewczyny, i tknięta litością, wynalazła jakieś resztki z ubogiej ko- lacyi, przyniosła je w ryneczce, a rozbudzony przez nią pastucha od bydła, sapiąc i mrużąc przyniósł przecie z obór dwa snopki słomy. — Przy wspólnej pomocy wydobyto kufry, i usłano jako tako w najsuchszym kącie posłanie, zaklejono szyby i popodstawiano konewki, cebrzyki, garnki pod lejącą się nieustannie z powały wodę.. Około jedenastej wrócił i Żarski od dziedzica, spojrział tylko na biedną i znękaną żonę, pogłaskał tulące się do niego dziatki, łza boleści zaświeciła mu w zapadniętych oczach; nie mógł nawet i westchnąć i przemówić z pociechą do żony, gdyż zmordowany kilkomilową prze- chadzką, głodny, przygnębiony, usiadł na ławie ustawionej przy piecu, a sen dobrodziej wkrótce zamknął mu powieki, przygotowując prawie takie same jutro. Wkrótce i żona odmówiwszy wieczorne modlitwy, położyła się

w ubraniu przy dzieciach, ogień zgasł na kominie, wichur jeszcze mocniej potrząsał starymi ścianami domostwa, i bębniąc po szybach zdawał się przedrzeźniać rozpaczliwym łkaniem, wyrrywającym się z głębi piersi przewracającej się niespokojnie ekonomowej.

Nazajutrz ledwo świtać zaczęło na niebie, Żarski zerwał się czempredzej z ławy, odszukał między rozrzuconymi gratami godło ekonomskiej służby, bat duży, mocno oprawny na czarnej z rzemykiem u dołu rękojeści, przetarł oczy, przeżegnał się, i połączywszy się z oczekującymi nań karbowymi, popędził do wsi wyganiać na pańszczyznę.

Pocziwe kobiecisko nasza ekonomowa, snać przywykła do podobnego rodzaju przeprowadzin, jakoś prędko dała sobie radę: przyjęła służącą ze wsi, poustawiała sprzęty, wyrównała podłogę, polepiła okna, założyła białe kartonowe firanki, ustawiła kilka doniczek geranii, rozwiesiła liczne świętych pańskich obrazki; dość, że w kilka dni zabrudzona i opustoszała kordegarda, przybrała wcale inną postawę.

Dziś właśnie niedziela, więc chwilka spoczynku dla ekonomy i innych pracowników wiejskich.—Słońko wynagradzając długą swą nieobecność i gojąc rany płacziwego deszczu, weselej przecie zajaśniało na niebie; dzwony miejscowego kościołka uroczystym dźwiękiem przyzywały na modlitwę, serca wszystkich ożywiła jakaś radość niezwykła, malująca się tak żywo na opalonych twarzach bożego ludu.

"Wytłumaczcie mi, proszę, dlaczego po wsiach lub małych miasteczkach, dzień świąteczny ma w sobie coś tak uroczego, weselnego i wcale różnego od innych dni w tygodniu? Zdaje nam się, że niebo daleko świetniej-

szą przyodziewa się wtedy barwą, że drzewa, wody, powietrze innem na nas spoglądają okiem, ptastwo radośniej kwili, a serca ludzi żywiej biją, namiętniej czują!

Wprawdzie świąteczny strój ich mieszkańc ów, ci- sza i spokój po ulicach, dodają nieco uroku tej zmianie, lecz to zamało, czytelnicy, zamało, aby przemówić tak silnie do duszy! Tam wiara gorąca, szczerą, wiara chry- styanizmu namaszcza wszystkie umysły, wlewa do serc przepelnionych miłością Stwórcy, razem z dziękczynną modlitwą, uczucie Jego niezmiernego Majestatu, Jego wszechwładnej potęgi!—Tam każde niemowlę nawet, zdaje się uczuwać dzień Boży, zdaje się pojmować, że on przeznaczony li tylko na chwałę Jego, a nie odpoczynek ciała.

Wszystko co żyje we wsi, śpieszy do kościoła: dziedzic nawet z małżonką i dwoma synami przyzwoiciej ubrany, ogolony, pałac wszakże ulubioną fajeczkę, jedzie czworokonną landarą, choć sucho na dworze, pogoda prześliczna i czterdzieści kroków do świątyni. Stangret wąsaty pali z bicza nad głowami przechodzących, konie parskają, szyby u powozu przeraźliwie brzęczą, a osmolony drągal ściskając z całej siły oba końce taśmy, stoi wyprężony za kareta, trzymając w rękach w czerwony aksamit oprawną książkę do nabożeństwa.

Za nimi familia ekonoma, również pośpiesza do kościoła. Żarski w długim granatowym surducie, w białej chustce na szyi i nowym kaszkieciku z błyszczącym daszkiem, prowadzi starszego chłopca; gdzie zwęza się wydeptana wśród błota ścieżka, przenosi go ostrożnie aby nie zawałał nowych bucików; upomina, przestrzega, bo chłopiec żywy jak ogień, coraz to podleci na bok, oglądając z niezwykłą ciekawością wszystkie przed

mioty, jakie mu się tylko przed oczy nawiną. Ekono- mowa również świętalnie przybrana, w brunatnym per- kalikowym szlafroku, w bielutkim czepku na głowie z żółtymi wstążkami, okryta kraciatą wełnianą chustką, w jednej ręce niesie starą zatłuszczoną książkę od nabożeństwa z przewieszoną koronką, a drugą przytrzymuje sześćioletnią dziewczynkę w białej sukieneczce, w słomianym kapelusiku z maleńką parasolką w dłoni. Cały ubiór tej rodziny skromny, lecz schludny i czystutki, jest prawie wyrobem pracowitych rąk samej Żarskiej i dowodzi zarazem wielkiego w niej zamiłowania porządku i oszczędności.

Kobiety wiejskie, zwłaszcza poważniejsze gospodynie, co tak trafnie z powierzchowności umieją wyrokować o charakterze innych, i niezbyt przychylnie wnioskuje o swoich ekonomach, tym razem jednak mile spoglądają na tę familijną grupę, kłaniają się do nóg imo- ści, dziewczynce pakuje do rąk bukiety z róż i piwonii, a uszczęśliwiona Żarska dziękuje, Żarski się uśmiecha, a mały Józio pyta zaraz o nazwiska tych dobrodziejów.

Po skończonem nabożeństwie, znów powracają do domu tą samą drogą: kareta jwielmożnych dziedziców mija pobożne gromadki wieśniaków, nadjeżdża przed ekonomą, pani każe stanąć i z wielkiem zajęciem, a zarazem szyderczą miną przypatruje się całej rodzinie.

– A po co to stroić dziecko w kapelusze?—odzywa się do stojącej nieśmiało kobiety.

– Proszę jw. pani—odpowiada podnosząc na nią wzrok swój ekonomowa i kłaniając się pokornie—dostałam stary, wyreperowałam jak można, to przecie jako tako ochroni głowinę dziecka.

– To mi się niepodoba; strasznie coś po pańsku!– a zwracając się do męża, dodaje głośno:–powiadam ci, będą kraść, zobaczysz!

– Ale, panie, objeźno Żarski pszenicę, bo te szkodniki, panie, będą paść po zbożu.

– Dobrze, jw. panie, zaraz pojedę!

– Ruszaj!–krzyknęła dziedziczka.

Kareta pomknęła żwawo, ekonomowa obtarła łzę błyszczącą w oku, i tuląc serdecznie do piersi milutką dziecinę, mówiła do niej, zdejmując kapelusik z głowy:

– Pójdź, pójdź, Anusiu, im już ten gałganek zawadza; biedna istoto, w pieluchach prawie zaczynają się twoje męczarnie, które grobem ledwo się zakończą!

Tego samego dnia po obiedzie, gdy Żarski objechawszy pola i zdawszy raport dziedzicowi, wrócił do domu, zdjął świętalny surdut, usiadł przy piecu na ławie i zawoławszy chłopca, kazał mu czytać żywot Je- zusa Chrystusa.

Józio posłuszny rozkazowi ojca, porwał z ochotą za książkę, pobiegł do matki z zapytaniem: “z kąd zacząć?” i odchrząknawszy, zaczął cieniutkim śpiewającym głosem dość płynnie, zastanawiając się przy każdym dla niego mniej zrozumiałym wyrażeniu, a siedząca obok niego na małej kanapce Żarska, bardzo trafnie zaspakajała ciekawość chłopczyka. Rodzice słuchali z uwagą, dziwiąc się i rozkoszując pojętnością dziecka, ekonom kiedy niekiedy westchnął żałośnie zapuszczając rękę w siwiejącej czuprynie, ekonomowa zdawała się pochłaniać każdy wyraz Boskiego nauczyciela, a mała dziewczynka oparłszy śliczną swą główkę na jej kolanach, zasypiała smacznie odpędzając machinalnie cisnące się do oczu roje natrętnych muszek. Zmrok już zapadał

na dworze, chłopiec na rozkaz ojca przerwał czytanie, matka usiadła przy mężu i zaczęli następującą rozmowę:

– Mój Janie—odezwała się smutnie kobieta, patrząc w zamyśloną twarz męża—powiedz mi, co my z tym chłopcem zrobimy. Dwunasty rok kończy, pojętność wielka, ja go już nie mam co uczyć.

– A czy ja wiem, moja matko, co zrobimy – odparł westchnąwszy Żarski. – Tu szkoły nie ma żadnej, do Wolbroma daleko chodzić, zresztą onby już tam niewiele skorzystał.

– To prawda, mój Janie, ale potrzeba coś postanowić; bo to lata idą, a chłopak się próżniaczy w domu, ja coraz to słabsza, i na przypadek mej śmierci, mój Janie, nie dałbyś sobie z nim rady.

– Ale co ty tam zawsze gadasz o tej śmierci – odrzekł niechętnie Żarski.

– Co prawda to prawda, po co tu zakrywać, a w tedy pójdzie to w poniewierkę.

•– Dajno pokój tym przypuszczeniom, jużcić trzeba coś postanowić. Ja tylko ci powiem, że wolę go widzieć czembądz, rzemieślnikiem, żołnierzem, chłopem, a nawet żebrakiem, niżeli ekonomem! Myślę—wyrzekł po małym przestanku—że najlepiej oddać go do wojska, głowa będzie spokojna...

– Bójże się Boga, mój Janie – co też ty gadasz znowu; jednego mamy syna i tego się samochcąc pozbywać! To wątłe dziecko, nie zniesie trudów żołnierskiego życia i umrze tam w nędzy, gdzie mu nawet dłoń życzliwa nie zawrze powiek, gdzie grobu jego nie zwilży łza matczynego żalu.

– Tatuniu mój kochany!–zawołał chłopiec przenikliwym głosem, padając do nóg ojca–nie chcę iść na żołnierza. Ja się chcę uczyć, tatuniu, ja się chcę uczyć!

– No, widzisz, coś zrobił – przemówiła z wyrzutem matka, podnosząc rozrzewnionego chłopczyka – gdzie to jemu do wojska!

– Ależ na miłość Boską, cóż ja tu poradzę? to może do rzemiosła jakiego, np. do zegarmistrza, jubilera, albo wreszcie do organisty; nie jest to ciężkie, a jakoś polityczniejsze.

– Józiu! masz ochotę do zegarmistrza?–zapytała ekonomowa chłopczyka, ocierając mu fartuchem oczy i odgarniając czarne kędziorki włosów spadających na czoło.

– Nie, mamuniu; ja nie chcę iść na złotnika, ani do organisty, ja się chcę jeszcze uczyć na książkach.

Żarski i żona po takiej odpowiedzi milczeli przez chwilę, dumając, co tu poradzić w tak krytycznym położeniu. Żał im było dziecka, które okazywało tyle uporczywą niechęć do rzemiosł, a z całą natarczywością wołało nauki; lecz z drugiej strony, tak nędzny stan ich zamożności, ani pozwalał myśleć o tem. Poczciwy Żarski, wlepiwszy wzrok swój w jedno miejsce, tarł czoło, przebierał ręką we włosach, a nie mógł na żaden sposób wybrnąć z tak rozpaczliwej ostateczności. Matka znowu trzymając w objęciach płaczącego Józia, zwiesiła smutnie głowę, przemyśliwając już nad ofiarami, jakieby ponieść mogła, żeby tylko widzieć swoje dziecko u celu jego i swoich najgorętszych życzeń.

– Wiesz ty co, mój Janie, myślę, że możnaby oddać go do szkół–rzekła bojaźliwie ekonomowa.

- I ja nie byłbym od tego, moja matko, ale ta nie sposób! Zkądże mnie z 300 złotych wystarczyć na wszystkich?
- Przecież mamy nieco w zapasie.
- A co to znaczy te 150 złotych; do szkół to i na pół roku nie wystarczy, a potem bieda i bieda: jemu nie dopomożemy, sobie ujmemy i skończy się to na niczem.
- Bo ja tu sobie myślałam, że możnaby i krowę jedną sprzedać, wszak jałówka niedługo ją zastąpi; mam jeszcze i korale po matce, mnie tam już nie potrzebne, możeby kto kupił.
- Korale przecież dla dziewczyny niech zostaną.
- Co jej po koralach, mój drogi—mówiła z coraz większym zapalem rozbudzonym miłością rodzicielską— Bóg wie co się tam jeszcze z nią stanie; zresztą Józio jej kiedyś daleko piękniejsze kupi, bo teraz nawet korale i nie w modzie...
- O, kupię, kupię, i mamuni i tatuniowi – krzyknął wesoło chłopiec składając ręce – jak się wyuczę w szkołach i zarobię dużo pieniędzy, to wszystko co da grosza oddam mamuni!
- Koniec końcem, moja matko—odezwał się Żarski—wszystko to wyniesie ze 300 złotych.
- Ależ więcej, mój kochany: za krowę weźmiemy ze 6 dukatów, za korale, choćby w najgorszym stanie dziesięć, to...
- To będzie 288 złotych—przerwał Józio.
- Tak, 288, a mamy gotowemi 150, więc wszystkiego...
- Moja mamuniu, ja zrachuję.
- No, ile?—zrachuj!
- Zaraz, zaraz... 438 złotych! co, dobrze?

– Dobrze, dobrze, kochanie, tylko nie przerywaj; otóż ja myślę, że to więcej jak na rok wystarczy. Tymczasem przychowam sobie ze dwóch wieprzy, mam trzy polcie duże słoniny; – no, weźmie się też i ordynarya i zasługi, których sami nie spotrzebujemy, bo dla nas Co to potrzeba? Ja, co mam tych gałganów, to będę chodzić w nich jeszcze ze 4 lata, ty choćbyś sprawił jaki surdut...

– "Wszystko to ładnie, pięknie—przerwał powstając z siedzenia Źarski—ale na długo to wystarczy?

– Eh! da Bóg, jakoś to się połata; przecie też może i nam się polepszy kiedyś, niepodobna abyśmy znowu tak ciągle mieli być biednemi. Na przyszły rok, jeżeli Bóg da nam szczęśliwie doczekać, postarasz się o jaką lepszą kondycję, ja sobie u chłopów przysięję zawczasu; nie trzeba znowu, mój Jasiu, tak źle na wszystko spoglądać, a dawszy mu edukację, jeżeli nie dla nas, to dla tej oto dziewczyny będzie kiedyś pomocą: przecież i to nasze dziecko.

– No, moja matko, ja to wszystko dobrze pojmuję, kocham tak samo nasze dzieci i dobrze im życzę, ale mnie się zdaje, porywamy się nie na swoje rzeczy: ze dwa lata z ciężką biedą może się to powlecze, a potem, będzie tak jak ze mną: straci dwa lata na próżno, nic się nie nauczy—pójdzie znów na oficjalistę, i gotów jeszcze żałować do nas obojga, żeśmy mu pokazali lepsze życie na świecie, a nie potrafili doprowadzić do niego.

– Nie marudź-no, stary, nie marudź! Będzie dobrze, zobaczysz. Czas nadchodzi, mamy jeszcze coś trzy tygodnie przed sobą, więc jutro mów panu o furmankę...

– A daj mi ty święty pokój, kobieto, wolałbym najbiedniejszemu chłopu upaść do nóg i prosić o konie, niżeli słówko do niego przemówić!

– No, to najmiemy; wszak teraz niema na polach roboty, za 8 złotych sołtys pojedzie ze mną.–Wstąpię sobie zaraz do Saganowskiej z Grórniska, ona także myśli oddać swojego, pojedziemy razem do Pińczowa, przepatrzymy wszystko; zaraz się i sukna na mundur kupi i guzików i książek, teraz i o stancję będzie łatwiej.

– Aha! to wyście sobie widać już to ułożyły.

– A choćby i tak było, mój Jasiu, cóż w tem złego? Tak razem, to jakoś lepiej dzieciom pójdzie: oba biedni, oba na jednym roku, będą się wspomagać jak będą mogli.–No, i cóż ty na to?

– Ha, dobrze, dobrze, jedźcie sobie; nie mam nic do zarzucenia, tylko się boję o przyszłość. Zresztą – mówił już zdeterminowany przesuając ręką po czole – czy siak, czy tak, zawsze lepiej że się trochę poduczy. A może też Pan Bóg zlituje się nad nami biednymi, może też jemu pójdzie szczęśliwiej, kto to odgadnie Boskie przeznaczenie!?

– A teraz, Józiu – rzekła rozczulona matka do chłopca – podziękujże ojcu za to, i pamiętaj uczyć się dobrze i zawsze postępować tak, żeby nigdy przenigdy z twej przyczyny nie miał najmniejszego zmartwienia.– Widzisz, my tu jak woły będziemy dniem i nocą pracować, ujmować sobie wszystkiego, abyś ty miał co zjeść, w czym chodzić i na czym się uczyć; niechże cię więc Pan Bóg zachowa i broni od wszelkich zbytków i rozrzutności. Przy każdym pacierzu powinienes się mo-

A. Wilczyński. -Tom VII.

S

dlić za takiego ojca, który ponosi tyle poświęceń dla twego dobra.

Chłopiec z wielkiej radości jak rzucił się do nóg ojca, jak zaczął ściskać i całować czarne jego spracowane ręce, to biedny ekonom topniał prawie z rozrzewnienia. I jemu przypomniła się podobna scena przed czterdziestu laty w domu rodziców odbyta, i jemu więc łza wdzięczności, łza prawdziwego szczęścia zaświeciła w oku.

– A teraz – odezwał się podnosząc go z ziemi i biorąc za rękę – masz jeszcze komuś innemu za to dziękować.

– Komu?–zapytał żywo Józio.

– A temu od którego wszystko mamy, który nam dał życie, który nas żywi i opatruje–co? nie wiesz jeszcze komu?

– O, wiem, wiem–odrzekł zawstydzony chłopiec, ukląkł przy łóżku, przeżegnał się głośno i zaczął mówić pacierz z całą serdecznością, z całym zapalem gorącej wiary i wdzięczności dwunastoletniego dziecka. Matka i ojciec pomimo woli prawie uklękli obok niego, i trzy te bogobojne serca, złąły się w jedną prośbę wielką, dziękczynną, godną zaiste być wzorem wszystkich prośb, jakie kiedykolwiek zanosili ludzie do stóp Przedwiecznego.

"W tydzień po owej naradzie stanowiącej epokę w życiu małego Józia, Żarska powróciła już z Pińczowa, załatwiwszy z najpomyślniejszym skutkiem wiadome nam interesa, i na drugi dzień zaraz sprowadzono z "Wolbroma krawca żydka, dla uszycia ubioru. Józio po całych godzinach przesiadywał obok niego, przypatrywał się prawie każdemu ściegowi, ciął niepotrzebne strzępki, przymierzał kolejno wszystkie części odszytego mundurka, ciesząc się niewymownie jak on to pięknie będzie wyglądał w studenckim, z niebieskim kołnierzem surduciku i świecącymi się jasno guzikami. Matka tymczasem, rewidowała szczupły zapasik bielizny, odkładała dla niego najlepsze prześcieradła, poszewki, ręczniki, prała, łątała, cerowała, żeby przecie kochanemu jej dziecku na niczem nie zbywało. Miejscowy szewc wiejski przyrządzał nowe buciki kształtu prostokąta, według niego najmodniejsze, a stolarz zarazem utrzymujący karczmę, budował dużą sosnową skrzynię, mającą służyć za spiżarnię dla Józia na nowem jego gospodarstwie.

Około dwudziestego lipca już wszystko było gotowe: mundurek z krótkim stanikiem, a długiemi na wyrośnięcie obliczonemi połami, leżał gładziutko; artysta krawiec obracając chłopczyka i klepiąc z zadowoleniem

uszytą suknię, dogadywał tylko cmokając ustami: fajni! jak ulał!

Wprawdzie kołnierzyk niezbyt swobodnie otaczając szyję, wyciskał mocne rumieńce na tłuszczyk twarzyczki chłopaka, lecz on twierdził, że mu w nim bardzo dobrze i jak się przyzwyczai, jeszcze zaprzestronny będzie. Poczciwa Żarska nie mogła spędzić ze stołu uszczęśliwionego Józia, który po całych dniach prawie przeglądając się w zwierciadle, wkładał i zdejmował nowy surducik, zapinał się i odpinał nieustannie, a na wszystkie łajania odpowiadał całując jej rękę, że musi się przyzwyczaić do zapinania, żeby mu potem łatwiej poszła robota.

Lecz nie na tem się skończyły te jego uciechy; bo wyrwawszy się z domu pobiegł do gumien sprezentować się karbowym, wieczorem wpadł do kuchni pochwalić się przed czeladzią, zwiedził całą wioskę od końca do końca, a spotkawszy na dziedzińcu bawiącego się starszego synka dziedziców, przystąpił do niego z miną nieśmiałą zaczepiając:

- Paniczyku, a ja pojedę do szkół do Pińczowa.
- A i ja też pojedę i będę stał u profesora na stancyi.
- Ja bo u Jasińskiej, mamunia już zgodziła dla mnie stancyę; bieliznę przygotowała, nawet książki niektóre kupiła, gramatykę łacińską Bartoszewicza...
- Cóż ty masz takie grube sukno na tym mundurku i na czapce? – przerwał paniczyk oglądając go na wszystkie strony.
- Gdzieżtam, paniczu, grube, ojciec powiedział, że nigdy takiego nie miał na sobie, przecież to po sześć złotych łokieć.

– A mnie co w Pilicy robią, to po dwanaście. I buty masz niezgrabne: zobaczysz jakie to moje będą.

– Eh, mnie w tych bardzo dobrze!—odpowiedział Józio, spoglądając radośnie na całą swoją postawę.

– Ale do którejże klasy, paniczyk, pójdzie?

– Do pierwszej, albo do drugiej.

– Ja to do pierwszej, i może będziemy razem chodzić.

– Obejdzie się bez tego, obejdzie; tam dla chłopaków ekonomskich są inne szkoły.

– Ale jedno, proszę paniczyka, i my w jednej izbie będziemy siedzieć.

– Nie prawda!—krzyknął rozgniewany panicz— widzisz go, ja ci tu dam, tylko pójdę do mamy i powiem o tem, to ci jeszcze skórę każe wybić.

– A spróbuj! — odparł junacko Józio — cóżto, twoja matka jest moją matką?

– No, zobaczysz ty gałganie!—zawołał paniczyk Julek, uderzywszy bacikiem po oczach przyszłego kolegę, i pobiegł do matki wołając:—Mamo, mammo, ten Jó- ziek ekonomski, powiada, że razem ze mną będzie chodził do szkoły!

– Ale co ma chodzić, kochanie — odrzekła dziedziczka ruchając z żywością tłokiem masielniczki.

– Kiedy, proszę mamy, on już ubrał się w studencki mundurek; niechno mama patrzy przez okno.

– Nie może być, co znowu?!—krzyknęła rozindyczona dziedziczka zrywając się od masielniczki, aż wierzchniczek powalany śmietaną odskoczył o kilka kroków.—A prawda, no, patrzajcieno państwo!—Maryna!— wołała zwracając się do zabrudzonej dziewczki kręcącej

się w drugim pokoju – idź mi do ekonomowej, żeby tu natychmiast przyszła!

. I wydawszy to polecenie, zaczęła z całą oszczędnością, zawołanej gospodyni zbierać rozlaną, po podłodze śmietaną, a zobaczywszy wchodzącą, nieśmiało i zatrwożoną ekonomową, wybuchła na nią całym gniewem.

– Co to, wasani, już zaczynasz tu mi bonować?

– Jakim sposobem, proszę pani – odrzekła kłaniając się nisko przestraszona Żarska.

– Jakim sposobem, co? – A tego chłopaka dlaczego ubrałaś po studencku?

– Bo go do szkół oddajemy od wakacji.

– Do jakich szkół znowu?

– Do Pińczowa, proszę jw. pani.

– A to z kąd taka pańskość? powiedziała wyraźnie mężowi asani, że ja tu fochów ekonomskich znosić nie będę.

– Przecież to nie są żadne fochy, proszę jw. pani, chłopiec bardzo pojętny...

– Niech sobie będzie tak mądry jak Salamon, ale żeby miał się uczyć razem z moim dzieckiem, tego nie zniosę; jeszcze go wyuczy różnych szacherek i grubiąskich wyrazów.

– Proszę jw. pani, moje dziecko tego wszystkiego nie zna.

– Zna czy nie zna/–dość, że ja sobie tego nie życzę; raz dla towarzystwa mego syna, powtóre, że musicie nas okradać, aby mieć czem od niego płacić.

– Ale niech się jw. pani nie boi – mówiła uśmiechając się lekko Żarska – mamy maleńki zapasik.

– Ciekawam z kąd się może wziąć zapasik u eko-

nomostwa? – My co mamy dwie wsie i trzy folwarki, ledwo wyżyć możemy, a oni zapasiki sobie robią.

– Proszę jw. pani, sprzedałam korale, które miałam od matki i trzy półcie dawniejszej słońiny, to się zebrało kilkaset złotych.

– No, to dobrze na pół roku, a potem co będzie, hę? – zapytała, naigrawając się, dziedziczka – skończy się na pierwszej klasie, co?

– Da Bóg, że tam się jako połata; będziemy się oszczędzać...

– I kraść nas dobrze! oho, mojawasani, nie dam, zobaczysz, nie dam; – więc albo fora ze dwora, albo chłopaka do szewca, do krawca, a nie do szkół.–Patrzcie państwo, co im się zachciewa, fummy, państwa, szkoły...

– Przecież, proszę pani–odezwała się ciszej ekonomowa – są inne szkoły w Kielcach, to państwo tam mogą oddać panicza.

– To sobie, wasani, oddaj do Kielc, ja chcę do Pińczowa! Co mi tu wasani będziesz rządzić; poszła precz!–krzyknęła machnąwszy ręką–tylko mąż przyjedzie, powiem ja mu o wszystkim, a zobaczysz jak natrze wasani uszów!

v • – O, Boże litościwy! dodaj mi też mocy do zniesienia tych tortur na świecie!–zawołała wyszedłszy na podwórze, ekonomowa. – Oj dostaliśmy się też, dostali, w takie piekło; wszystko im szkodzi, wszystko im zawadza, z każdego grosza krwawo zapracowanego trzeba się wyrachować, z każdej łzy nawet wytłomaczyć, i jeszcze zelżą najohydniej, naurągają się najniewinniej. Ostatnie psie z ich dworu więcej nie ucierpi, niżeli ci biedni ludzie, którzy na nich pracują. Jezu Chryste Panie,

Najświętsza Matko patronko moja, zlitujcie się nad naszą niedolą!!!

I otarłszy fartuchem łzę świecącą w oku, jakby pokrzepiona modlitwą, podniosła głowę do góry wchodząc do swego mieszkania.

– Co to, mam upaść pod ciężarem tych prześlą- I dowan – szeptała sobie gotując obiad przy kominie, I wszakżem matka mojego dziecka! Choćby mi przyszło] ostatnią sprzedać suknię, choćbym z torbami iść miała, j pracować będę i zabiegać aby on tylko mógł się uczyć. Jeżeli już tak Bóg postanowił, że ma wyjść na człowie- j ka, to wyjdzie; a jeśli nie, ha, trudna to sprawa walczyć z przeznaczeniem. – Jednakże nie będę miała sobie nic do wyrzucenia, żem zaniedbała dopomagać mu, o ile siły biednej matki na to wystarczą. Mężowi nic nie powiem, bo on-by gotów jeszcze rzec się wszystkiego: dobry to człowiek, uczciwy, pracowity, ale jakoś od niejakiego czasu upadł na duchu; dla miłej spokojności wszystkoby poświęcił, ale jam jeszcze niezmordowana!

W trzy dni potem, o świcie, zajechał sołtys przed oficynę, wyładowano maleńką fureczkę rzeczami dla Jó- . zia przeznaczonymi, ekonomowa zalecając służącej pa- mięć o córce, i żegnając się święconą wodą, wsiadła wraz z synem, ruszając drogą ku Żarnowcowi. Minąwszy wiatrak skręcili nieco na prawo, dla pożegnania się z ojcem pilnującym na polu żniwiarzy.

Bzewneż i czułe było to pierwsze pożegnanie: Żarski podnosząc w swych dłoniach zapłakanego chłopczy- nę, ucałował pokilkakroć rumianą jego twarzyczkę, a przyciskając do opalonej skroni świeżutką jego głowi- nę, z żalu i radości słowa nie mógł przemówić. Ociera

jąc rękawem surduta łzy padające jak groch na twarz chłopczyka, błogosławił i błogosławił odprowadzając oboje z matką do stojącej na drodze furmanki.

– Mój Józiu drogi, moje dziecko – odezwał się do siedzących już na wózku, – bój się Boga, ucz się też a ucz kochanku; słuchaj profesorów i starszych, nie trwoń marnie krwawo zapracowanego grosza, sukni oszczędzaj, bo widzisz z jaką-to biedą przychodzi nam sprawiać ci inne. A pisuj też do nas jaknajczęściej; panicza naszego dziedzica ile możności unikaj, bo każdą taką sprawkę my tu za ciebie musielibyśmy odpokutować. Ty zaś, matko, ulokujże go tam jak najlepiej; koło południa popaście sobie kilka godzin, bo to dzień będzie gorący; a lepiej nocą dojechać. – Mateuszu, a przywiąż- no lepiej ten tłumok, i poglądaj często za siebie, bo to o wypadek w drodze nie trudno. – No, bywajcie już zdrowi moi kochani! niech was tam jak najpomyślniej Bóg prowadzi, a matko, wracaj prędko, bo dziewczyna się zatęskni.

I ucałowawszy poraż drugi oboje, skłonił się czapką, pokiwał ręką, gdy sołtys sadowiąc się i poprawiając na furze, śmignął batem, a koniki ruszyły z miejsca dość żwawo, zostawiając za sobą gęsty tuman kurzawy.

Czas niejaki jeszcze, póki łza nieobeschła na twarzy chłopczyka, póki czuł ją szczerze wraz z ojcowskim serdecznym pocałunkiem, siedzieli oboje z matką milcząco, oglądali się co chwila na stojącego zdała Żarskiego, zasyłającego im jeszcze pożegnalne ukłony; lecz kiedy zniknął wiatrak, zniknęła smuga ciemnego lasu, a roz- tworzył się nowy krajobraz przed ich oczami, wesołość

rozpromieniła zasepione oko chłopczyka, i dziecięca szczebiotliwość zajęła miejsce poprzedniego milczenia.

Dopytywał się matki o nazwiska każdej wioski przez którą przejeżdżali, lub którą z daleka spostrzegli, czytał wszystkie napisy po figurach stojących przy drodze, szyldom karczemnym nawet nie przepuszczał, a pocziwe matczysko patrząc na tę niezmyśloną radość dziecka i niepowściągniętą ciekawość, chcąc nie chcąc musiała zapomnieć o przeszłych i przyszłych utrapieniach, tłoczących dotkliwie jej pierś macierzyńską.

Nareszcie przed wieczorem, kiedy wjechali w piaszczyste okolice, ciągnące się prawie na milę z tej strony Pińczowa, konie zmęczone całodzienną jazdą zwolniły biegu i stąpając noga za nogą, wlokły jak mogły naładowaną furkę. Sołtys dla ulżenia zsiadł z wozu, a matka i Józio za nim. Niezmordowany chłopczyzna, w cywilnym surduciku i w studenckiej czapce na głowie, biegał tu i tam, zbierając kamuszki rozrzucone po piasku; zrywał polne kwiatki jakie mu się pod rękę nawinęły, układał z nich bukiety, przypinał sobie do boku, lub zanosił postępującej wolno obok wózka mamuni.

– Mamuniu, mamuniu, co to tam za kościółek widać na górze? – zawołał przybiegając do matki i wskazując wprost siebie bielejące w odległości mury kaplicy.

– To kapliczka S-tej Anny w Pińczowie, mój Józiu.

– A gdzież ten Pińczów?

– Poczekaj, zaraz się pokaże z za tego pagórka.

Ale gdzież tam jemu było mówić o czekaniu: jak postrzelony popędził naprzód, wyrzucając lekkimi stopy

tumany piasku, czasem przystanął, popatrzył przed siebie zasłaniając oczy od słonecznego blasku, i znów dobierał sił nowych, aby się tylko dostać do owego pagórka. Nareszcie stanął, ledwo oddychając ze zmęczenia. Z największym zachwytem i niezwykłym biciem serca, zapuścił wzrok swój na miasto szeroko rozłożone pod górą, nad którą panowała spostrzeżona już dawniej kapliczka Ś-ej Anny.

A miał się czemu przypatrywać, bo z tej właśnie strony Pińczów prawdziwie jest pięknym, przedstawiając, jak na dłoni, cały zasób swych wdzięków. U stóp jego srebrzysta Nida wijąc się około miasta, przerzyna obszerną zieloną płachtę łąk po obu brzegach jej leżących, a gromada mostów i bliżej i dalej krępująca niesforne wody, jeszcze bardziej ją urozmaica. Za rzeką, prawie w amfiteatr zbudowane miasto, wydaje się na oko daleko większym i majestatyczniejszym niżeli jest rzeczywiście. Dwa kościoły w dość znacznej odległości, pokryte czerwoną dachówką, dzwonnica z błyszczącą tarczą zegaru, gmach szkolny większy od innych domów, drugi nazywany pałacem dziedziców, cały rynek z fontanną na środku i nad tem wszystkim bielejąca kaplica na górze, jakby pośrodku miasta stojąca, kolejno tu przedstawiają się ciekawym oczom patrzącego.

Na lewo i prawo zielone grupy drzew i różnokolorowe łany pól, ramkami prawie otaczają całe miasto rysujące się wspaniale na szarem tle nagich i dość wysokich gór, stanowiących nieprzebytą granicę ciekawych spojrzeń ludzkich.

Chłopczyna z nieudanym zdumieniem spoglądał na to starożytne siedlisko Aryanów, mające być miejscem kilkoletniego dlań pobytu i skarbnicą nauki, z któ

rej pełną zapału i łaknącą duszą, miał nadzieję zaczerpnąć tyle, aby na całe życie wystarczyć mogło. Słońce miało się już ku zachodowi, i swym purpurowym blaskiem oblewając wierzchołki świątyń razem z gęstymi obłokami dymu unoszącymi się ponad miastem, dodawało jego dziecięcej fantastycznej wyobraźni, jeszcze więcej uroku i świetności. A wtem dał się słyszeć daleki i huczący odgłos dzwonu, przyzywający wiernych na modlitwę za poległych pod Warną rodaków, w obronie wiary i kraju; Józiovi prawie machinalnie studencka czapka upadła z głowy, nogi się zgięły i klękawszy na piasku, z twarzą obróconą ku miastu, odmówił paciorek prosząc za wszystkich, za rodziców i za siebie.

Tymczasem nadeszła i matka wraz z furą, ucałowała synka za tak pobożne usposobienie modlitwy, wyjaśniła znaczenie dziewięciokrotnego uderzenia we dzwon miejscowego kościoła, a ponieważ minęli piaski i droga stawała się coraz twardszą, wsiedli do wózka i o zmroku już wjechali do Pińczowa.

Na drugi dzień o godzinie 10-ej z rana, ustroiwszy się Żarska w to wszystko co tylko miała najlepszego, zapiąwszy pod szyję trzy sznurki ogromnych koralików, których dotąd jeszcze nie sprzedała, i odziawszy się jedwabną niebieską chustką, tylko w ważnych okolicznościach lub w czasie świąt wielkich używaną, więcej może niż z macierzyńską dumą, prowadziła za rękę ku gmachowi szkolnemu upiętego w nowy mundurek Józia.

Gromadki matek i ojców różnego stanu i wieku, przybrane w świąteczne ubiory, kilka mieszczanek w chustkach na głowie zawiązanych i przyjaciółkach z białym futrzanym kołnierzem, jedwabną świecą materyą po

krytych, stało przed szkołą, czyli tak nazwaną akademią, radząc, witając lub prezentując wzajemnie swych malców; ci zaś nie tracąc czasu, z dziwną łatwością już zabierali znajomości, dopytywali się o książki, papier, ołówki lub stancyę.

O godzinie 11-ej otwarto zapis uczniów na rok bieżący: poczciwy starowina, ówczesny ksiądz rektor Kowalski, najuprzejmiej witał rodziców, ośmielał drżących chłopaków, pytał o zdrowie znajomych, radził stancyę, korepetycyę i to z taką względnością na stan, usposobienia, charaktery rodziców i dzieci, że prawie zawsze słuchano go jak ojca, i całując w rękę wypełniano naskwapliwiej jego polecenia.

Egzamen Józiovi nadspodziewanie poszedł dobrze: profesorowie jednomyślnie oddali mu pierwszeństwo, a uszczęśliwiona nieskończenie Źarska, polecając go rektorowi i nauczycielom, prosiła ich o opiekę, o pamięć, jako nad biednym ekonomicznym dzieckiem, które chce się uczyć koniecznie, a łzy radości i wdzięczności tej dobrej kobiety, były najlepszym dowodem, że prośby jej trafiły do serc tych zacnych przewodników młodzieży.

Niezbyt to odległa epoka od naszych czasów, bo zaledwie kilkanaście lat ubiegło, a jakaż to rażąca zmiana nastąpiła w wyobrażeniach i pojmowaniu o edukacji te-
raźniejszych ludzi! Dziś, rodzice oddając syna do szkoły, zaopatrzają go najobficiej we wszystkie potrzeby, nadają pieniądze, których wartości nie czując, pieszczoszek, marnuje najswobodniej, jakby je czerpał z nieprzebranego wiekami skarbcza.

Dziwna to zaiste zagadka to serce ludzkie, a szczególnie serce rodziców! Z nieograniczonej miłości dla swoich dzieci, chcąc je widzieć kiedyś wielkimi i szczę-

śliwami, własną dłonią kopią im grób nieszczęścia, w którym zagrzebują wszystkie warunki ich przyszłej pomyślności, obwinęte li tylko około wielkiego słupa pracy! Nie jeden taki ojciec, który z niezmiernym trudem, niesłychaną wytrwałością i pracą, zwalczając tysiące zawad i przeciwności, zdołał się przecie dochrapać jakiego takiego stanowiska w świecie, obsypuje już dzieci swe dostatkami, każe im zapomnieć, że jest jakabądź praca lub mozół w życiu ludzkim; a nawet cieszy się tą myślą, że one lepszego doczekają się losu, nie potrzebując przechodzić takich prób, na jakie on był kiedyś narażony. Biedny, w swem ojcowskim zaślepieniu nic pamięta o tem, że tylko praca jedna, praca i czyste sumienie, mogą zapewnić prawdziwe szczęście człowiekowi, że on sam, nie cierpiąc tyle co wycierpiał, nie pojmowałby tak błogich chwil odpoczynku, jakich dziś używa.

– Żebyście, moi czuli, na niewygody waszych dzieci, panowie, w owym czasie zajrzeli do Pińczowa, ileż-byście tam naliczyli tych biedaków, co to w jednej surducinie, podartych butach i to wśród najtęższych mrozów kłusowali do klasy; co ślęcząc po całych nocach przy małej groszowej świeczce, w zimnej i wilgotnej komórce, po której ścianach • sanki-by przeszły, uczyli się i uczyli, aby wyjść kiedyś na ludzi pożytecznych społeczeństwu. Iluż-to znałeś takich, co byli dla siebie wszystkiem: krawcem i szewcem i introligatorem, a często gęsto i kucharzem: usługiwali innym, pisali, rysowali za drugich, chociaż pokryjomu, aby tylko zarobić kilka złotych na książki i papier, aby mieć jutro włożyć co do ust na obiad, i pchać biedę aby dalej, aby dalej!

Najczęściej mieszczańskie dzieci, sposobiące się na księży, lub też oficjalistów prywatnych, do których i nasz Józio należał, zostawali na swoim stole, płacąc po kilka złych gospodyniom za stancję i gotowanie. – Zwykle rodzice dawali im wielkie spiżarnie z przegrodami, zaopatrzone w mąkę, kaszę, słoninę, masło i inne do pożywienia służące materiały; chłopcy wyuczeni przez matki, wydawali sobie na obiad oznaczone porcje, a gospodyni dodając do tego soli, wody, a czasem jeżeli miała na to fundusze i mięsa – gotowała obiad składający się powiększej części z jednej tylko potrawy. Nieraz się zdarzało, iż taki młody szafarz, nie mogąc powściągnąć natarczywości młodego apetytu, wydawał za wiele, albo nie zamknąwszy spiżarni ułatwił służącym wspólność użytku, lub też wreszcie nie mając okazji z domu, wyczerpnął zapasy; wtedy zaciągał pożyczkę u kolegów, albo własnym przemysłem zdobywał sobie obiad, klejąc pudełka, zwijając piłki, lub rysując ozdobne napisy na kajetach współuczni.

Już-to najcięższe były dwa pierwsze lata; bo przez ten czas owi chudeusze, sami jeszcze musieli się tego pocić nad książką, nie mogąc nic a nic udzielić drugim. Rektor też, profesorowie i uczniowie zamożniejsi, jak mogli tak wspomagali biedaków: – niejedną starą sutannę pińczowskie żydki przerabiali na mundurek, nie jedne profesorskie szarawary dostały się na nogi którego z pilniejszych uczniów, a często gęsto i podwieczorek i obiad się zjadło, i parę złotych pieniędzmi' wpadły pokryj omu do rąk malców, z wyraźnem zastrzeżeniem zdania z ich obrotu szczegółowego rachunku.

Gdy taki studyzus doszedł trzeciej klasy, to już kpił sobie z biedy i całego świata: dostał na korepetycję

z sześciu malców, zgromadził ich razem, odbywał wprawdzie lekcję po kilka godzin dziennie, ale gdy mu wszyscy płacili ze 30 złotych miesięcznie lub dali stół, stancję, a czasem jaki taki od rodziców podarek, to zdawało się takiemu biedakowi, iż jest drugim Krezusem na ziemi, że mu i w raju lepiej nie będzie.

Czapkę wtedy nosił na bakier, udawał poważnego między młodszymi od siebie, mówiono mu panie, z profesorem rozmawiał nie trzymając w ręce czapki, chodził do niższej klasy na zastępstwo, a w ważnych uroczystościach kościelnych, sam jeden w białych glansowanych rękawiczkach, z dumą czwartoklasisty, wiódł całe szkoły dzierżąc pompatycznie czerwone drzewce szkolnej chorągwi.

A gdy przyszła sobota, i czterystu uczni z palantami w rękach i radością malującą się żywo na świeżych twarzyczkach, pod przewodnictwem księdza prefekta i innych profesorów sunęło się w góry na spacer, wtedy to dopiero było życie! Tu i korepetytorska powaga zniknęła przy piłce, bo rozrzucając się na kilka gromadek, gdy zaczęli w palestrę okrzyknąć metrami profesorów, to i sam ksiądz prefekt podbiwszy ogniście piłkę i zadartszy rewerendę, zmykał co tchu starczyło na drugą stronę mety, a chłopaki klaskając w ręce, cieszyli się serdecznie, iż prędzej od niego biedź potrafią.

Tam gdzie wszystko szło jak z płatka, gdzie na każdym kroku uczeń widział uczących się i naukę, gdzie żadne zdarzenie, żaden odrębny powód nie zakłóciły swobodnego umysłu dziecka, gdzie wreszcie pilność, pracowitość i dobre sprawowanie zyskiwały prawdziwą zasługę, nadając niezaprzeczoną wyższość, każdy chcąc nie chcąc musiał się uczyć dobrze. Ksiądz rektor co ty

dzień, a profesorowie co kilka dni prawie, zaglądali po stancjach, rewidowali kufarki, przeglądali książki, chwalili porządnych a czasem dla przykładu i skarcili nieposłusznym swawolnikom. Wieczorem o szarej godzinie, zimą czy latem, odbywały się zawsze pamięciowe rachunki i powtarzania łacińskich koniugacji. Starszy uczeń na stancyi zadawał pytania, malcy na wyścigi rozwiązywali bijąc sobie nawzajem łapy, jeżeli jeden drugiego zdołał w czym poprawić.

Takim więc sposobem, i przy podobnych zajęciach, upłynął naszemu Józiowi rok jeden w szkole pińczowskiej.—Nadzwyczaj pojętny, pracowity, choć żywy, lecz bardzo posłuszny, zyskał sobie przychylność starszych, a miłość koleżeńską współuczni; — wszyscy wiedzieli że jest biedny, lecz żaden, nawet z bogatszych nie ośmielił się ani jednem słowem dać mu poznać tę jego biedotę;— owszem, uważali go lepiej jak innych paniczów, dogadzali we wszystkim, raz że uczył się najlepiej z całej klasy, powtóre, że swą serdeczną życzliwością i koleżeńskiem poświęceniem, umiał sobie zjednać najbardziej mu niechętnych. Rodzice pisywali dość często do niego, przesyłając po parę złotych na drobniejsze wydatki; a kochająca matka, co tam mogła wynaleźć najulubieńszych jego przysmaczków, pakowała w woreczki i posyłała nawet pokryjomu przed ojcem, bo prawie zawsze gderał na takie dogadzanie.

Nieszczęście mieć chciało, że w domu tej samej właścicielki, u której stał na stancyi nasz Józio, mieszkał stary profesor matematyki i pomiędzy uczniami których utrzymywał, znajdował się Julek Ziembicki, syn pryncypała Żarskiego i właściciela Starej Dębicy. Z początku pomny zaleceń ojca, młody Żarski unikał A. Wilczyńskiego.—Tom VII.

ile możliwości panicza; w klasie z nim nie rozmawiał, do* wspólnych zabaw się nie mieszał, a gdy wypadła konieczna potrzeba przemówić do niego, odzywał się nieśmiało, z całym uszanowaniem przynależnym nie faspółkole- dze, lecz synowi zwierzchnika ojca.

Gniewało to kapryśnego Julka, zwłaszcza, że cała pierwsza klasa dostrzegając ich. oziębłe stosunki, i mszcząc się po swojemu, dokuczała porządnie nie lubianemu powszechnie paniczowi. To też pewnego razu, jakoś na początku czerwca, gdy zgromadzeni na podwórku uczniowie bawili się wzajemnie w jakieś gry studenckie, przybiegł zaczerwieniony Julek i chciał się przyłączyć do nich. Ale jeden ze śmielszych odsunął go na bok mówiąc: "że kto się z Żarskim nie wdaje, to i oni się z nim nie wdają." – Inni słysząc tę odmowę, zaczęli śmiać się serdecznie, dogadując Julkowi, a stojący opodal Żarski, przybiegł do owego przewodcy i prosząc o przypuszczenie panicza do zabawy, uspakajał drugich. Lecz rozindyczny Julek, z całej siły uderza go ręką po twarzy, aż biedny chłopczyna przechylił się na bok. – "Masz ty, podmawiaczu, chamie jakiś!" – woła uciekając ku domowi; lecz jeden z kolegów zastępuje mu odedrzwi, inni nadbiegają, kładą panicza na ziemi i skreconemi chustkami od nosa, biją ile się zmieści. Krzyk, harmider powstał na podwórku: profesor wypada przelekniony, za nim żona, służące gospodyni; chłopcy jakby za dotknięciem czarodziejskiej laseczki znikli gdzieś skacząc po płotach i czmychając koło okien; tylko rozciągnięty na ziemi Julek krzyczał w niebogłoso, iż go tak okropnie zbili, że podnieść się nie może. – Na% stąpiły dopytywania się, rozprawy, śledztwa, dość, że przekonano się, iż mieli rację, a gburowaty paniczyk za

znieważenie swego kolegi, dostał się jeszcze na parę godzin do aresztu. – Jednak odziedziczywszy widać po matce porządną dozę złośliwości, potrafił on się zemścić na biednym ekonomczyku: napisał do domu list pełen żalów jak go tu zbili, poranili okropnie, jak go wszyscy prześladują, nawet sam rektor, a to z przyczyny i namowy Jóźka ekonomczyka.

Późno już było w wieczór, gdy posłaniec wraz z dziennikiem wojewódzkim przywiózł ów nieszczęsny list z miasta. Pani Mikołajowa przeczytawszy owe szeroko opisane żale i cierpienia syna, wpadła w taki gniew i prawie wściekłość, że wyskoczywszy z łóżka i porwawszy nieodstępującą ją nigdy dyscyplinę, chciała biedź do oficyny i wygrzmocić obojga ekonomów. Przerażony pan Mikołaj tak niezwykłym stanem małżonki, ledwo że potrafił ją trochę uspokoić, strasząc deszczem, zamoczeniem nóg, zaziębieniem, a ztąd i chorobą, dość, że tego dnia skończyło się na wybiciu tylko trzech dziewczek, jednego lokaja i chłopca, a nazajutrz polecono zaraz do dnia sprowadzić ekonoma i ekonomowę do dworu.

Przed kilku dniami właśnie, Żarski odebrał list własną ręką rektora pisany, w którym winszując mu takiego syna jakim jest Józio, przyobiecał dopomagać całymi siłami, bo jak mówił, przez to wyrządzi usługę krajowi, sposobiąc mu takiego w przyszłości obywatela.

Cieszyli się więc niewymownie rodzice taką pochwałą dla syna, pocziwie matczysko już ze trzydzieści razy czytała słowa listu czcigodnego starca, po całych nocach marzyła o świetnej przyszłości syna, widziała go już wielkim, sławnym człowiekiem i dziękowała Bogu za tak szczęśliwą myśl, jaką natchnął ją przy oddawaniu do szkół ukochanego jedynaka. Wielkość ofiar i po

święceń, jakie dla niego poniosła i jeszcze ponieść mogła, zniknęła w jej umyśle przed tą pomyślnością, jaka go kiedyś spotkać miała. Więc można wyobrazić sobie jej podziwienie i przestach, gdy do dnia jeszcze, wpadła przerażona dziewczka, przyzywając na rozkaz pani obojga do dworu.

– A cóż tam od nas takiego potrzebować mogą?– zapytała niespokojnie dziewczkę.

– A bo ja wiem, proszę imości–odrzekła zapłakana sługa–pani nasza taka zła czegoś, że ją nigdy taką nie widziałam, wszystkich bije we dworze, krzyczy, pomstuje...

– I nie wiesz z czego to poszło? – mówił drżący z przestachu Żarski kładąc pośpiesznie surdut.

– A Bóg ją tam wie, proszę jegomości! Wczoraj odebrała jakieś pisanie od panica z Pińcowa i Kazimierz powiedzieli, że to z tego.

– Pewnie tam coś Józio zbroił – myślała sobie ekonomowa – Panie Jezu Chryste miej nas w swojej opiece! . W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego–przemówiła głośniej, przestępując próg pokoju.

– Co to się, wasani, żegnasz!–krzyknęła na całe gardło dziedziczka, przyskakując do przelęknionej kobiety.–Czy ja dyablica jaka czy co? Precz mi ze dwora zaraz! precz!

– Ale niechże się, jw. pani nie gniewa, ja nie wiem co się stało–przebąknęła, kłaniając się pokornie Żarska.

– Nie wiesz, nie wiesz, a ten twój urwis, kana- czek, zbił mojego syna–co, nie wiesz? *

– Jak mi Boga trzeba przy śmierci–odezwał się drżący ekonom–pierwszy raz o tem słyszę.

– A łajdaki jakieś, a tacy "owacy! – wołała z ca-

lą furyą pani Mikołajowa, grożąc pięścią i potrząsając dyscypliną pod nosem biednych małżonków.—On śmiał podwodzić na moje dziecko, on śmiał go dotknąć; — poczekaj, mości Józku, niechno ja cię dostanę w moje ręce, zerznę tak, że ani się ruszy z miejsca.

— Ależ, proszę jw. pani — odezwała się nieco śmieiej Żarska — to musi być jakaś myłka, bo ja odebrałam niedawno list od księdza rektora, który pisze...

— Co mi tam wasani wyjeżdżasz z rektorem; — ja mojemu dziecku więcej wierzę aniżeli stu rektorom! Masz, czytaj, wasani: "zbił mię, skatował i innych namówił jeszcze"— no i cóż, nieprawda, hę, nieprawda, ty piękna i cnotliwa mamuniu!

— To nie może być, proszę jw. pani...

— Co, nie może być, intrygantko jakaś! i jeszcze śmiesz kłamstwo zadawać paniczowi, co? — krzyknęła zajadle, aż ślina z zapienionych ust przyskała na twarz zniekanej kobiety.

— Skoro, jw. pani, nieda nic powiedzieć!

— Milcz mi, ty obrzydła sekutnico, bo jak lunę!— i podniosła do góry pięcio-promienną nahajkę.

— Za pozwoleniem, jw. pani — wtrącił już zniecierpliwiony Żarski, zasłaniając sobą przygnębioną małżonkę ■— ja tu jestem, ja, mąż! i nie pozwolę jej żadnej krzywdy tu robić!

— Co, i ty śmiesz; precz mi zaraz! do ekskuzy i kradzieży to są gotowi, a...

— Śmiem!—przerwał zapalając się ekonom i ściskając pięści z tak groźnym spojrzeniem, że pani dziedziczka cofnęła się o kilka kroków. — Złodziejem żadnym nie jestem — mówił dalej z całym wysileniem powstrzymania gniewu Żarski — na łebek szpilki nikt mi

tu nie dowiedzie kradzieży; nie będę tu, będę gdziein- dzi ej; dotąd przeżyłem bez łaski państwa lat 46, to da Bóg nie umrę jeszcze z głodu.

– Mikołaju, słyszysz ty!–wołała odchodząc prawie od przytomności dziedziczka, przybiegając do pijącego najspokojniej kawę małżonka.

– No, a i cóż, panie?–odrzekł podnosząc na nią blade swe oczy i pakując do ust potężny kawał zmaczanej bułki–tylko, panie, zatrzymujesz człowieka, a tam ludzie nie wiedzą co robić!–Słuchajno Żarski, panie, trze- baby posłać po rymarza do Wolbroma.

– Ależ człowieku, Mikołaju!–krzyknęła mu nad uchem małżonka, szarpnąwszy mocno za ramię–czy ty nie słyszałeś co oni tu gadają.

– Daj mi też święty pokój, panie, moja Salusiu, co mi do tego...

– Jakto, nic ci do tego? tobie, mężowi; tobie, dziedzicowi, kiedy znieważają najohydniej twą żonę.

– No i cóż ty chcesz, panie, Salusiu, odemnie?– zapytał powstawszy najspokojniej z siedzenia, szukając wzrokiem swej fajki.

– O! ja nieszczęśliwa kobieta z takim bałwanem!–zawołała z całą gwałtownością łapiąc się za głowę.–To mi pan, to mi mąż dopiero! A to ja tu godziny więcej nie przeżyję z tobą. Mój Boże, mój Boże kochany, pracuj tu, zabiegaj dla niego, a doczekasz się takiej wdzięczności!–i rzucając się po pokoju zaczęła płakać najokropniej.

– Ruszaj wasan! do roboty! – odezwał się* pan Mikołaj rozczulony taką desperacką miną Salusi.

– Wypędzić zaraz! wyrzucić natychmiast! tych, tych... Albo ja, albo oni precz; rozumiesz, co? – krzy-

-czała rozindyczona kobieta czepiając się mężowskiego szlafroka.

– Ależ, Salusiu, panie, to nie S-ty Jan.

– Wybieraj, wybieraj, zaraz! albo oni, albo ja!

– Będą nas procesować, panie; to nie można.

– Niech ostatnią koszulę sprzedam na proces, niech pójdę o żebrany chleb, a wyrzucę, wyrzucę!!! – odrzekła tupiąc nogami i bijąc pięścią jednej ręki o drugą.

– Ależ niech się jw. pani nie gniewa – bąknął nieśmiało kłaniając się dziedzicowi Żarski.

■ – No, cóż, Mikołaju, gadaj zaraz, albo...

■ – Poszli precz, kłótniki, panie! Wasan na łąki, panie, wasani do roboty, do dzieci – i wypchnął oboje za drzwi z taką siłą, że biedna ekonomowa upadła na ręce zataczając się po sieni.

– Wypędzisz czy nie? pytam raz ostatni, gadaj, bo natychmiast pakuję rzeczy i do matki.

– Kiedy ty, panie, Salusiu, strasznie gwałtowna jesteś. S-ty Jan pod nosem, skądże ja, panie, wezmę drugiego ekonomę?

– Ja ci sześćdziesięciu na jego miejsce dostarczę.

– Ależ to człowiek poczciwy, pracowity; o takiego nie łatwo.

; – Kopy, sta, znajdę tysiąc tysięcy razy lepszych, Mikołaju, a wypędź!

i – No – mówił drapiąc się w głowę pan dziedzic widocznie ulegając jej uporowi, to go odprawię od S-go Jana.

– Ja chcę zaraz, natychmiast! Co ty człowieku sobie myślisz, że taka sobie jak pierwsza lepsza, co?

że pozwolę aby mi ekonomstwo brzdąkali pod nosem, katowali dziecko i jeszcze odgrażali?! Oho, bratku, poczekaj, ja to rozumiem dobrze, mój dziedzicu, nie bój się, rozumiem: pani ekonomowa spodobała się jw. panu i dlatego ją się ochrania!—mówiła ze źmijowato szyderczą miną, podnosząc suknię za boki i dygając uniżenie przed zakłopotanym małżonkiem.

— A rób sobie z niemi co chcesz, panie, i nie zawracaj mi głowy, panie! — zawołał skrępowany pan Mikołaj, i chwyciwszy się oburącz za głowę, zatkał uszy wybiegając z pokoju.

— Janie! Franciszku! Michale!—krzyknęła radośnie złośliwa kobieta otwierając drzwi sąsiedniego pokoju.—Ruszać mi zaraz po ludzi do gumna, czterech, pięciu, ilu ich tam jest, niech natychmiast przychodzą wyrzucać ekonoma!

I wydawszy takie rozkazy, biegła niespokojnie po wszystkich pokojach, wyszukała jakąś starą ogromną kłódkę, spróbowała czy się dobrze zamyka, stanęła w oknie, groziła pięścią ekonomskiej siedzibie, wygadując co jej tylko ślina do ust przyniosła.

Nieszczęśliwa Żarska, tak grubiańsko i niesłusznie sponiewierana przez dziedzica, przywłókłszy się do swego mieszkania, padła prawie bezprzytomnie na ławę stojącą przy piecu, i zaczęła płakać tak rzewnie, tak boleśnie i rozdzierająco, iż zdawało się, nietylko najbardziej zakamieniałe serce, nietylko najdrapieżniejsze zwierzę, ale i sprzęty nędznej izdebki zdołałyby się poruszyć i płakać wspólnie nad jej niedolą.

Zdumiona sługa z głupowato-przełkniętą miną stanęła przy drzwiach, podparła brodę ręką patrząc na szlochającą panią, mała zaś dziewczynka wyskoczyw

szy zaspana z łóżeczka, przybiegła do matki i nie pojmując tak rozpaczliwego jej stanu, tuliła się do piersi, całowała ją po rękach, po nogach, po twarzy, nie mogąc i słowa wydobyć z łkającej coraz głośniejsz kobiecie, płakała z nią razem.

Wtem zaskrzypiały zawiasy drzwi wchodowych i z pokorą a zarazem litościwą miną, wsuwa się stary włodarz, Gabryś, i skłoniwszy się do nóg płaczącej ekonomowej, stanął przy drzwiach zafrasowany. Żarska z początku nie dostrzegła jego nawet obecności, zakrywając twarz rękoma, tuliła drżącą od zimna córeczkę; lecz gdy posłannik dziedziczki chcąc się uwolnić z kłopotliwego położenia zaczął pokrzakiwać nieśmiało, coraz głośniejsz przestępować z nogi na nogę, musiała się wreszcie ocucić, i podnosząc na niego załzawione oczy spytała:

– Cóż powiecie, mój Gabrysiu?

– A to, proszę pani ekonomowej—przebąknął kłaniając się znów włodarz i obracając fraszobliwie w rękach swój kapelusz—pani nasza rozkazała, żeby się oto, imość wyprowadzała.

– JAKTO? gdzie? kiedy? mój Gabrysiu!—krzyknęła zrywając się gwałtownie Żarska.

– A juści, pono zaraz!

– Ależ to niepodobna, przecież do S-go Jana jeszcze trzy tygodnie, miejsce nie wymówione: gdzież ja się wyprowadzę?!

v – No i cóż ta z nią robić, moja imość? zawołała ludzi i pedziała żeby wyrzucić het za bramę.

– To niemoże być, mój Gabrysiu, poczekajcie-no trochę, ja pójdę do niej. To niepodobna! – zawołała wybiegając *do dworu. Lecz pani dziedziczka, ujrzą-

wszy ją oknem zdążającą ku gankowi, zamknęła drzwi na zasuwkę wołając:

– Poszła precz ty jędzo, ani mi się pokazuj!

– Na miłość Boską, jw. pani – krzyczała ekonomowa już ochryplym, z głębi duszy wydobywającym się głosem, wybijając rękami we drzwi – choć trzy dni pofolguj, zaklinam panią na wszystko co masz najdroższego w świecie, na męża, na dzieci, nie rób nam tej krzywdy! – Choć na dzisiaj jeszcze zostaw! – wołała dalej nie słysząc żadnej odpowiedzi.¹ – A cóż ja pocznę nieszczęśliwa kobieta, co pocznę w tej chwili.

– Wyrzucić! – krzyknęła rozkazująco zaczerwieniona dziedziczka, otwierając okno bocznego pokoju i zamykając go natychmiast.

– Więc – rzekła z pewną energią Żarska, zwracając się ku oknu – więcej gorsza od najjadowitszej gadziny, któraby zapłakała nad moim nieszczęściem, więcej ty nie kobieta, nie matka, nie żona? O! bywaj mi zdrowa, ty jw. pani, ja ci już nic więcej nie powiem; ale pamiętaj że jest Bóg sprawiedliwy na niebie, że pomści się mej krzywdy; pamiętaj, że cię skarże jeszcze na twoich dzieciach!!! f

I wróciwszy do siebie, z jakąś gorączkową i rozpaczliwą żywością, kazała wynosić graty za bramę dziedzińca, sama pomagała, ustawiała na trawie, wołała o pośpiech; ręce drżały jak w febrze, oczy świeciły dziwnym jakimś blaskiem, na schorzałe lica wystąpiły czerwone odznaczające się plamy, – usta się ścięły konwulsyjnie, że, zdawało się, ta kobieta skupiła w owej chwili cały zapas sił żywotnych tlejących jeszcze w skołatanem

ciele, i tylko patrzeć jak wyczerpnąwszy się do ostatka, padnie żeby już więcej nie powstać!

Nareszcie po półgodzinnej takiej rumacyi, kiedy już wyniesiono resztki zboża, kartofli i beczułkę z kapustą, kiedy nic a nic nie pozostało ekonomicznego w oficynie, sama pani Mikołajowa zamknęła na ogromną kłódkę drzwi mieszkania, i schowawszy klucz do kieszeni, zadowolniona tą więcej niż zwierzęcą zemstą, zacierając ręce pobiegła do dworu.

Tymczasem wycieńczona podobnie gwałtowną energią Żarska, jak usiadła zrana przy swoich gratach na ziemi, tak ani się ruszywszy przesiedziała do wieczora. Oko jej suche, przytem uporczywe milczenie i giesta jakieś dzikie, nie ludzkie, kazały się domyślać, że ta nieszczęśliwa i zdrętwiała kobieta całkiem utraciła zmysły.

Ponieważ koło tego miejsca szła droga do wioski, więc każdy z przejeżdżających i przechodzących ujrawszy rozrzucone w nieładzie graty, i siedzącą z dzieckiem między niemi kobietę, zatrzymał się trochę, popatrzył litościwie, popytał ciekawie, radząc, prosząc, żałując. Poczciwe wiejskie kobiety, szczególnie mieszkająca obok żona owczarza, pomogły służącej ubrać płaczącą w niebogłose dziewczynę – przyniosły jej obiad, próbowały otrzeźwić matkę, lecz to wszystko było na- próżno, bo opierająca się szarpiącym ją kobietom, jak przykuta do ziemi, z całej siły obiema rękami trzymała się nogi przewróconego stołu.

Już przed wieczorem, gdy pan Mikołaj wracając do domu spostrzegł nagromadzoną kupę różnych przeróżnych sprzętów, drgnął mimowoli, domyśliwszy się

gwałtownej egzekucji ukochanej Salusi. I choć zwyczajnie nie wiele go obchodziła niedola drugich, tym razem jednak, wyznać musimy, serdeczny żal ścisnął mu serce, wpadł jak szalony do swojej kancelarii, i nie chcąc się spotkać z żoną, posłał tylko do niej po kluczyki od biórka, kazał sobie przynieść obiad, i zamknąwszy się na rygiel, wydobył worek z pieniędzmi, odliczył dziesięć rubli, obwinął w papierek i wybiegł za bramę.

← Moja dobra i poćciwa Żarska, zmiłuj się, nie miej, panie, żalu do mnie!—odezwał się stawając przed siedzącą na ziemi kobietą. — Widzisz, ja sam tyle, panie, nieszczęśliwy jestem z taką niegodziwą żoną; — masz oto trochę pieniędzy na pierwsze potrzeby—mówił wtykając jej do ręki zwitek papierków — nie bój się, ja tam o was nie zapomnę, ja wam to wynagrodzę! — Lecz widząc iż ona ani się ruszy z miejsca, ani odezwie do niego i nie bierze litośnego datku, ale z wytrzeszczone- mi i zamglonemi oczyma patrzy nań nieprzytomnie, przestraszył się bardzo, pieniądze oddał służącej, i dra- pnął czempredzej do dworu.

Ciemno się już dobrze zrobiło, gdy uwiadomiony o tym wypadku ekonom, ziając i dysząc od złości i przyśpieszając biegu, z zaciśniętą pięścią, a iskrzącem od gniewu i wściekłości okiem, wpadł pomiędzy rozrzucone graty.

- Co to, wyrzucili nas! — krzyknął na całe gardło stojąc przed odrętwiałą kobietą.
- Janie! mężu mój! — zawołała ochryplym głosem ekonomowa i bez tchu prawie rzuciła się w jego objęcia.
- I ona śmiała zrobić takie bezprawie, i ona

miała sumienie?! Boże Wszechmogący, chyba Cię już niema na niebie! – Puść mię, żono, niech tam co chce się zrobi, polecę, zabiję, zamorduję!

– Jasiu, Janie daj pokój – mówiła błagając nieszczęśliwa kobieta, trzymając go z całej siły za sur* dut. – Już się stało; darmo, taki nasz los, jeszcze cię gotowi skrzywdzić. Bóg ich skarze, zobaczysz!

– I ty Chcesz żebym to zniósł cierpliwie – co? czy to my nie tacy ludzie jak oni, czy prawo nas nie osłania – wołał już ciszej Żarski, a gniew i pierwsze oburzenie ustępowały miejsca rezygnacyi. Patrząc na tak pozorną spokojność żony, powoli stygł cały nadnaturalny jego zapal, ręce opadały bezwładnie, oko straciło ognisty swój wyraz, a pochyliwszy głowę na piersi, usiadł przygnębiony na ziemi, zdawał się ukrywać przed samym sobą ogrom nieszczęścia tłoczący szlachetne jego [serce.

Jednakże pomimo tyle niehumanicznego postępków pani Mikołajowej, pomimo widocznej niełaski spadłej na ekonoma, a ztądibojazni narażenia się dziedzicom, i wreszcie pomimo naturalnej obojętności jaką zwykle chowają w duszach ciemieni chłopkowie dla swoich prześladowców, tym razem znalazły się litościwe serca, zwłaszcza kobiet wiejskich, bo przyszły z pomocą, przeniosły sprzęty do pobliskiej chaty sołtysa, zaprowadziły zdesperowane małżeństwo do siebie, i radząc, odgrając, bolejąc, ulżyły ich cierpieniom.

Pan Mikołaj czując dotkliwie wyrządzoną swemu oficyaliście niesprawiedliwość, i bojąc się jakiejś napaści ze strony Żarskiego lub namówionego przezeń chłopstwa, za poradą jejmości wyjechał z nią razem jeszcze

przededniem, napisawszy utyskujący i zarazem przepraszający list do niego, w którym obiecuje mu przyszłe wynagrodzenie, i zarazem pozwala jechać na starej for-
nalskiej szkapie, dla wyszukania sobie innej kondycyi.

Lecz na nieszczęście, z owej hojnej łaski dziedzica nie mógł korzystać biedny
Żarski; bo na drugi dzień po owym wypadku, nie był już w stanie podnieść się z łóżka.
Zmartwiony, zrozpaczony, bez żadnej nadziei jakiegoś w tej biedzi[^] poratowania,
dostał gwałtownej gorączki, z której /całą srogością wyrodził się niezblaga-
ny tyfus. Poczciwi wieśniacy jak tylko mogli, starali się dopomagać nieszczęśliwej familii; sołtys
przywiózł z Wolbroma żydka felczera, inni posprowadzali wiejskie lekarki, poznosili
różne przeróżne zioła, plastry; kobiety gotowały, okładały, ślęczały po całych nocach
przy chorym, ale to wszystko najmniejszej nie przynosiło mu ulgi. Czwartego dnia
choroba rozwinęła się z całą mocą: Żarski majaczył, zrywał się z łóżka, groził, krzy-
czał, przeklinał, w okropnej malignie odpychał żonę, nie poznawał nikogo, tylko
czasami, gdy wysiliwszy się do ostatka padał jak martwy na pościeli, łzy stawały mu w
oczach, i imię Józia wylatywało ze spieczonych ust jego.

Wierna i współbolejąca małżonka, cudem prawie trzymała się na nogach; nie
wiem, czy nie tak dotkliwie czująca ów cios straszny, a pewno taki pierwszy w swem
życiu, czy mniej gnębiona, a zatem więcej posiadająca rezygnacyi i energii, jednakże
nie straciła przytomności umysłu, i z zadziwiającą wytrwałością czuwała przy chorym
przez kilka dni i nocy. Lecz widząc iż mu się bynajmniej nie polepsza, że ta choroba
może stać się osta

tnią w jego życiu, uprosiła sołtysa, aby natychmiast posłał furmankę po Józia do Pińczowa, napisała list do rektora donosząc o takim nieszczęściu, z prośbą o pozwolenie wyjazdu dla syna.

Właśnie w tej chwili[^] na naradzie szkoły pińczo- wstrij, jednomyślnie przyznawano Józefowi Żarskiemu pierwszą nagrodę, gdy starszy syn sołtysa wręczył mu list od biednej matki. Stary rektor aż się zatrzęsł z oburzenia, przeczytawszy treściwe doniesienie ekono- mowej o tym nieludzkim wypadku. Wszyscy profeso- rowie, choć nieznający ubogich Józia rodziców, żalowali ich serdecznie, – bo znając taki owoc jakim był syn, nie bez powodu mieli prawo dobrze wnioskować i o rodzicach. Więc kiedy rektor posławszy po Żarskiego, z całą chrześcijańską i ojcowską perswazyą uwiadamił go o niebezpiecznej chorobie ojca, kiedy błogosławiąc zdumione i przerażone dziecię, wyprawiał go do domu, – jeden z profesorów drżącą od wzruszenia ręką pisał po[^] ciesząc list do matki, prosząc na wszystko i zaklinając, aby ułatwiwszy swe interesa, jak tam Bóg pokieruje, natychmiast przyjeżdżała do Pińczowa, to oni jej do- pomogą całymi siłami, aby zdołała zapomnieć o przeszłej nędzy i doznanych cierpieniach.

Spakowano tedy mały zasób studenckich sprzętów Józia, i nazajutrz dodnia ruszyli ku domowi. Biedny chłopczyna przez całą drogę nie dał się utulić ani pocie- szyć, chociaż pocziwy sołtysiak uspokajał go po swojemu, dowodząc że ojciec nie tak znowu bardzo chory, że państwo się udobruchają i przyjmą napowrót rodziców do służby; że jak będzie tak płakał, to się i sam rozchoruje, a ojcu nie dopomoże. Lecz te wszystkie perswa- nie znajdowały drogi do strapionego serca chłop

czyka. Na samą, myśl, że ten którego kochał nad życie, który tyle pracował i tyle poniósł ofiar dla jego szczęścia, leży już martwym na śmiertelnej pościeli, że go zakopią, na wiejskim cmentarzu, i on nigdy przenigdy nie ujrzy go na świecie, mąciło się wszystko w dziecięcej głowie trzynastoletniego Józia. Kiedy wspomniał sobie o tem, łzy strumieniem płynęły po twarzy, kładł się na wózku cisnąc obie ręce do oczu, bo chaos niczem nieogarniętej i niepohamowanej boleści, nurtował jego zakrwawione już serce, nie pojmujące jej ogromu.

Na nieszczęście, siedm dobrych mil było do Starej Dębicy, upał nieznośny utrudniał jazdę; wlekli się więc powoli, jakby naprzekór gorącym życzeniom biednego dziecka, któremu każda godzina wiekiem się wydawała. Nareszcie kiedy już podjeżdżali w znajomsze strony, na każdym popasie, przed każdą prawie karczemką gdzie stanęli, z trwogą i niezwykłym biciem serca, wypytywał się podróżnych[^] karczmarza, lub kogo napotkał, czy nie znają ekonoma Żarskiego ze Starej Dębicy, czy nie wiedzą jak się też ma teraz, albowiem cierpiąc tak dotkliwie, mniemał że i wszyscy o tem wiedzieć powinni. A po każdym znowu dopytywaniu żałował zaraz w duchu tej niepowściągniętej ciekawości, drżał jak jesienny listek, bojąc się usłyszeć straszne słowo "zmarł;" kiedy inu zaś powiedziano, że nie znają, markotniał jeszcze bardziej.

Było już dobrze koło północy, gdy minąwszy wiatrak, skręcili z gościńca w wązką drożynę prowadzącą do wioski. Zmęczone całodzienną jazdą konięta, poczuwszy znajome strony, i spodziewając się rychłego spoczynku, wyężyły ostatek sił swoich przyspieszając biegu. Sołtysiak jakoś głośniej i częściej śmigając batogiem, doga

dywał: "wio, wio malutka! a nuże, odsiebie" i t. p., a Józio splakany, zgłodzony, z okropnym bólem głowy, spał rozciągnięty na wózku. Lecz kiedy nadjechali w opłotki, psy z gumien, ze dworu i ze wsi, zaczęły coraz bardziej ujadać, a wózek skacząc po nierównej drodze przewracał leżącym chłopczyną na wszystkie strony, podniósł ociężałą głowę, przetarł oczy i zapytał furmana:

- Daleko jeszcze, mój sołtysie?
- Ot już, chwała Bogu, i na miejscu.
- Co to, Dębica?
- A tak, panicu, Dębica, wiatrakeśmy minęli, ot i gumna dworskie: wio, maluśka!

– mówił poganiając szkapiny.

Nadjechali przededwór; wszędzie cisza ponura, ani jednego światełka w oknach, tylko stojący przed bramą stróż nocny przechadzał się poważnie, klekocąc drewnianą grzechotką.

| – A kto tu na stróży? – zagadnął stanąwszy sołtysiak.

i – Albo co? – odrzekł przysuwając się zaczepiony; a poznawszy konięta, wózek i sołtysa, mówił: – a, to wy sołtysiaku: witajta!

J – Cóż tam słycać w chałupie, zdrowi wszyscy?

– Zdrowi, Bogu dzięki.

' – A wokunom, hę?

– "Wokunom pono kiepsko: ksiądz niedawno był u niego z Panem Jezusem...

– Ale żyje? – krzyknął zeskakując z wózka Józio!

– A, to i panicyk tu jest!–oho, kiepsko, kiepsko

A. Wilczyński.–Tom VII.

mój panicku, żyje pono, ale kto wie czy rana doceka. Jakem szedł z pańszczyzny na wieczór, tom się ta pytał przed chałupą; wasa, Marcinie, powiedziała, że nie majączy, ale strasznie słabuje; potem, słyszę, był ksiądz proboszcz.

Lecz zatrwożony chłopiec, już nie dosłyszał ostatnich wyrazów wzdychającego stróża, bo rzuciwszy czapkę na furę, kopnął się krótszą drogą ku chacie, nie zważając na wołania sołtysiaka, że psy go mogą potargać. I w samej rzeczy, gdy przybiegł zadyszany przed okna domostwa, trzech kundlów wypadło do niego obce- sem i nuż ujadać: biedny chłopczyna nie mogąc im się opędzić, zaczął krzyżeć w niebogłoty, aż matka siedząca przy chorym, usłyszała przeraźliwy krzyk dziecka, i prawie nieprzytomnie wybiegła przed sień.

– To ty, Józiu! – zawołała porywając w objęcia przelęknionego chłopczyka, gdy boleść i łzy nie pozwoliły jej dalej mówić.

– Ja, mamuniu kochana, ja biedna sierota, – odpowiedział zanosząc się od płaczu, całując po rękach Żarską, i tuląc się do jej piersi.

– Oj! narobiłeś nam też, narobił, mój synu – odezwała się po chwili prowadząc go za rękę.

– Ja nic nie winien, mamuniu, – ja nie winien! Wszyscy mogą zaświadczyć: on skłamał w liście, ja nie winien! – A po chwili jakby sobie dopiero przypomniał, krzyknął: – A tatunio?

– Bardzo chory, mój synu: niedawno ksiądz był z Panem Jezusem, stawiali mu bańki i pijawki, ale nie pomaga i nie pomaga. Przytomność ma dobrą, przed godziną pytał się czym nie posłała po ciebie; biedne oj- czyisko! oj biedniemy, moje dziecko!

- Pójdźmy, pójdźmy, mamuniu do izby, niechże go choć obaczę, przywitam.
- Cyt–szepnęła Żarska, nakazując milczenie synowi–od godziny usnął, nie trzeba mu przeszkadzać.

"Więc na palcach, cichutko otwierając ciężkie skrzypiące drzwiska, wsunęli się oboje do izby.

Na kominie kilka polan łuczywa płonąc z trzaskiem i sykiem, oświecało do połowy wewnątrz nędznej wieśniaczej chaty. Na progu drzwi przy samym okienku, stało duże chłopskie łóżko, tak nazwane werko, a na niem skulony i prześcieradłem okryty leżał nieszczęśliwy Żarski. Głowę jego pozbawioną włosów, z odwróconą twarzą ku izbie, oblewał w tej chwili purpurowy odblask palącego się łuczywa; kości policzkowe dobrze wystające, oczy zapadłe, nos zwieszony i wyciągnięty ku brodzie, pokazywały, iż choroba musiała być nazbyt gwałtowną w swym pochodzie, przeraźliwe zaś chrapanie wydobywające się z napół roztworzonych i posinia- łych ust jego, kazało się domyślać, iż niewiele mu się należy chwil życia na tej ziemi.

Chłopiec stanąwszy przy drzwiach, z niemem, prawie nieludzkiem uszanowaniem i przestachem złożył ręce jak do modlitwy, zatrzymał oddech, wlepiwszy swe czarne załzawione oczy w schorowaną twarz ojca. Grobowa cisza panowała dokoła, bo litościwa gospodyni nie chcąc zawadzać choremu, wyniosła się wraz z dziećmi do stodoły; płomień więc tylko wystrzeliwszy kiedy niekiedy błyszczącą iskrą z komina, przebudzał na chwilę Żarskiego.

Tymczasem przed chatą sołtys rozbierając konie, zastukał mocniej uprzężą, pies zaszczekał głośniejsze,

a chory poruszywszy się nieco na posłaniu, otworzył z ciężkością zapadłe źrenice i błędnym wzrokiem powiódł dokoła.

- Matko! jesteś ty?
- Jestem, mój Jasiu, czegoż to chcesz?
- Oj, *pió, pić, a toż mi się palą wnętrzności!

Kobieta skoczyła ku stojącemu przy drzwiach cebrowi, zaczerpnęła w garnuszek i podniósłszy mu nieco głowę, wlała do ust chorego.

- Matko!—odezwał się znowu—czy mi się zdaje, czy tam ktoś stoi przy kominie.
- To Józio, mój mąż, przyjechał z Pińczowa.

– A dobrze, dobrze, pójdźże tu chłopcze; tu, tu bliżej; nie bój się: jam jeszcze nie umarł.

I podniósłszy nieco rękę, przyciągnął do siebie zanoszącego się od płaczu chłopczynę.

– No, nie płacz, moje dziecko; ja wiem, żeś ty nie winien, ale niech im tam Bóg tego nie pamięta.

– Nie mów-no, mężu, bo ci zaszkodzi, Berek powiedział, żebyś się nie wysiłał.

– Eh! już mi to nie pogorszy—odrzekł wzdychając Żarski – ostatni raz może pogadam z moim dzieckiem. Oh! bieda, bieda, mój Józiu—ciągnął dalej urywając słowa—umierać jeszcze nie starym, umierać wtedy kiedym dla was najpotrzebniejszy na świecie... Mój dobry Boże, nie pozwolisz mi też doczekać się pociechy z tych dzieci, na które tyle lat ciężko pracowałem; bo ty, mój Józiu, pójdiesz na świecie wysoko, coś mi tu mówi ciągle, że wam Bóg wynagrodzi te wszystkie utrapienia. Jak ja umrę...

– Ależ tatunio nie umrze, nie umrze! – krzyczał rozpaczliwie chłopczyna, tarzając się głową po łóżku ojca.

– Oj, niedługo, niedługo już mi popasać, moje dziecię; ja czuję, że tu brak tchu, wewnątrz pali jak ogniem; więc słuchajno, jak umrę, pochowajcie mnie ubogo, nie szafować na trumnę, na księdza, zbić cztery deski, pokropić, a potem przeprowadź się matko do Pińczowa, tam znajdą się poczciwi ludzie, dopomogą... No, nie płaczcież-no, bo i mnie się żal robi życia, a tam podobno potrzeba stanąć bez wszelkiej żałości.

– O, mój Jasiu! o, mój tatuniu drogi!–zawołali oboje jakimś przeraźliwym głosem, wydobywającym się z głębi ich duszy, okrywając pocałunkami wychudłe ręce Żarskiego.

– Proszę was, moje drogie pisklęta–mówił jeszcze ciszej nieszczęśliwy ojciec, strząsając mruganiem łzy cisnące się do oczu.–Bóg tu o was nie zapomni, wszak zawsze umrzećby potrzeba, wcześniej czy później. Ot i przypomniałem sobie że mam bogatego brata w Kaliskiem; udaj się do niego, chłopcze, kiedy ci bieda bardzo dokuczy; on choć skąpy, aleć przecie wspomóżę syna swego brata;–powiedz mu, że przez całe życie nie odzywał się do niego o łaskę, chociaż swoją pomyślność mnie tylko winien. A ty, moje dziecko kochane, pamiętaj, że na twojej głowie spoczywa cała przyszłość, cały los twojej matki i siostry; wspomagaj je, gdy ci się lepiej powiedzie na świecie, nie pogardź biedną matką, bo choć ona ekonomową, ale przez swoje cnoty i miłość dla ciebie, godna wielkiego poszanowania i wdzięczności.

– Mężu! bój się Boga, zmiłuj się, nie mów!
– cDajno pokój, mateczko—już niewiele mi czasu zostaje, a chciałbym jeszcze raz ostatni powiedzieć to, czego nigdy nie usłyszysz, i co ma mu wystarczyć na długie jego życie jako pamiątka, jako spuścizna po ojcu.— Patrzajże synu: twój ojciec ekonom, nędzarz, dziś leżąc na śmiertelnej pościeli, mówi ci, że nie żałuje życia dla siebie, nie złorzeczy swej doli, bo choć każdy kawałek chleba nim przeszedł do ust moich, stawał się cierniem, pracy .krwią i gorzkimi łzami zaprawionym, a że sumienie mam czyste, zem zgadzał się z wolą Boga, umieram spokojny. Pokora i praca, moje dziecko, pokora i cnota, pokora i miłość niech ci przewodniczy w przyszłości. A kiedy cię niedola dojmie, kiedy ludzie odstąpią, a zły duch podszeptnie występkiem, — oj, udaj się wtedy do naszego Ojca, On niczyjej ufności jeszcze nie zawiódł. No, teraz idź do komory, połóż się trochę, ja cię jeszcze przywołam; tylko bój się ran Boskich, mój Józiu, słuchaj matki i starszych, nie mścij się nad naszymi krzywdzicielami, bom ja im przebaczyłem!

I ucałowawszy po kilkakroć głowinę łkającego Józia, obrócił się do żony.

– A teraz, moja pocziwa Marysiu, na nas kolej: ciebie mi najboleśniej żegnać, ale cóż robić, takie przeznaczenie; więc bywaj mi zdrowa i szczęśliwa, prowadź te dziatki jak Bóg przykazał. Nie zostawiam ci, wprawdzie ni majątku, ni sławy, ni mienia, bo widziałaś że to nie było dla mnie zapisane; ale dziękuję za dwudziestoletnie nasze pożycie, przepraszam za wszelkie przykrości, jakiem ci mógł kiedy wyrządzić, za brak energii w ważniejszych razach; bo człowiek zawsze człowiekiem, a przygnębiony, nie dziw, że z czasem odrętwiał na

wszystko. No, daj mi rękę i idź się trochę położyć, bo te płacze ci zaszkodzą, mnie nie pomogą, a masz przed sobą jeszcze ten drobiazg i ważne dla niego obowiązki.

Oh! nie życzyłbym nikomu doświadczać a nawet widzieć podobną scenę pożegnania. Rozżalona do najwyższego stopnia ekonomowa, klękawszy przy łóżku męża i przycisnąwszy do ust wychudłą jego rękę, zdawała się w tej chwili wylewać cały zapas nieograniczonego przywiązania i miłości. Łez już zabrakło w oczach biednej kobiecie, słów nie stało na oddanie ostatniej podziękii, i tej boleści gniotącej zrozpaczone łono. Szloch jakiś a raczej ryk dogorywającej istoty, wydobywał się przeraźliwie ze dna jej duszy; serce chciało wyskoczyć z piersi i raz jeszcze zabić tak silnie, aby z ostatniem uderzeniem mężowskiego serca, i ono zamarło na wieki.

Ogień gasnąc na kominie, kiedy niekiedy tylko przy zsunięciu polan zaświeciwszy jaśniej, pokrywał się bielejącym popiołem; odbrzask świtającego poranku, przedzierał się już przez wązkie okienko chaty. Józio przysiadłszy na ziemi przy nogach ojca, wysilony płaczem, z nabręknętymi oczyma, drzemał oparłszy głowę na krawędzi łóżka, a ona jeszcze trzymając przy ustach zastygłą rękę męża, klęczała i klęczała przy łóżku, choć wosk topniejącej przed obrazem gromnicy, rozpalonemi kroplami kapał jej na głowę, formując na wierzchu skwierczący żółty plaster. Dopiero, kiedy dzień na dobre rozpostarł się na niebie, i gdy niespokojna sołtysowa wchodząc na palcach do izby, skrzyknęła drzwiami, ocuciła się nieboga Żarska, a zobaczywszy trupią twarz męża i zeszywniałe jego członki, padła zemdlona na ziemię.

Na ten krzyk sołtysowej: "umarł, umarł, ratujcie!" zbiegło się co żyło do chaty: karbowi wyganiający na

pańszczyznę, wieśniacy dążący z kosą lub grabiami, kobiety, dzieci, wkrótce napełnili izbę.

Wyniesiono omdlałą ekonomowę, oderwano prawie gwałtem Józia, trzymającego ojca za szyję, zwołano proszalne kobiety, przyniesiono dwie świece z kościoła, i w godzinę—nieboszczyk ekonom leżał rozciągnięty na ławie, w nowym granatowym surducie, w białej chustce na szyi i obrazkiem św. Jana Chrzciciela, osadzonym między skostniałymi rękoma.

Miejscowy karczmarz i stolarz zarazem, na gwałt prawie budował ostatni domek zmarłemu, poczciwi soł- tysowie poszli do proboszcza i ugodzili pogrzeb; owczarz od nikogo nie proszony, z rydłem na plecach powędrował na cmentarz, wykopać grób dla ekonomy, a ponure i kłękające dzwony miejscowego kościołka, huczną salwą dały znak mieszkańcom wioski, iż jednego z nich tej nocy Bóg powołał do siebie na wieczny odpoczynek.

Nazajutrz wypadła jakoś niedziela, więc po nieszpórach cała wioska prawie świątalnie przybrana, wyruszyła na pogrzeb. Ekonom z Górniska dowiedziawszy się o śmierci swojego przyjaciela Żarskiego, przyjechał z żoną z araz po sumie, aby oddać nieboszczykowi ostatnią przysługę. Wszyscy serdecznie żałując poczciwego ekonomy, zebrawszy się w kupki przed chatą sołtysa, biedowali wspólnie przypominając różne przeróżne przymioty zmarłego; ogólna niechęć i wyraźne odzywania się na dziedziczkę, dawały się słyszeć między nimi; czasem i groźba wyrwała się z przygnębionej piersi wieśniaka, a sołtys z karczmarzem i organistą spoglądając litośnie na płaczącą wdowę z sierotami, kiwali smutnie głową, i radzili o jakiejbądź pomocy, żeby się przecie nie zmizerowały dzieci uczciwego człowieka.

Okolo piątej godziny ruszył orszak z przed chaty, kierując się pod las ku cmentarzowi. Ze zaś droga wypadła koło dworu, więc też wszystka czeladź stanawszy przy bramie, żegnała po raz ostatni nieboszczyka ekonomą.

Przez szybę okna swej kancelaryi, spoglądał rozczulony pan Mikołaj, nie śmiejąc pokazać się na dziedzińcu; łza nawet dawno nie widziana, zaświeciła w jego bładem oku; żal mu się prawdziwie zrobiło Żarskiego, który był pocziwszym od innych oficyalistów, pilnował dobrze robotników, pracował gorliwie, a co najważniejsza, wcale nie pił i nie kradł.

Może też wspomniał i o koleżeństwie, może i o niesłusznej krzywdzie, która wpędziła do grobu ojca biednej familii, może i złorzeczył pani Salusi za zbytnią gorliwość o własne dobro i obywatelską powagę; może nakoniec bał się obruszenia włościan, tajemnej zemsty, albo wreszcie sądowych poszukiwań, bo patrząc na tę białą ordynarną trumnę unoszoną na barkach chłopków i pływającą na wierzchu fali z odkrytych głów ludzkich, machał ręką, krzywił się niesmacznie, obcierał rękawem świątelnego surduta łzy padające na żółte wąsy, i mówił głośno do siebie:

– O! źle może być, panie, szkoda człowieka; głupstwo się, panie, zrobiło, zawsze to, panie, babskie rozumy!—Jeszcze zaskarżą, i włócz się, panie, po sądach, płać, trać, czy to potrzebne, he! A mogą i skazać, panie, na jaką karę; szkoda, pocziwy człowiek, biedny— i żona i dwoje dzieci, panie, bez chleba...

– Co im tam będzie, Mikołaju, nie bój się, dadzą oni sobie radę!—odezwała się prawie nad uchem stojąca

za nim Salusia, która miała ten chwalebny zwyczaj podsłuchiwać cudze rozmowy, a zwłaszcza monologi mężowskie.

– Narobiłaś głupstw, panie, skrzywdziłaś niewinnie ludzi, panie, i jeszcze ich prześladujesz! – zawołał groźnie z wyrzutem pan Mikołaj zwracając się od okna.

– O jakich mi ty tu gadasz głupstwach znowu? cóż to za krzywdy, co za prześladowania?! Oszalałeś chyba, mój kochany! No, no, jaki mi pobożniś; cóż sobie to ty myślisz, że ja dyabeł nie kobieta, co?

– A no, moja Salusiu, przyznaj, niesłusznieś ich panie, wygnała; ja, Bóg widzi, tegom nie chciałem, ani się spodziewałem śmierci tego biedaka; teraz może być źle: obniesą, panie, po okolicy żem ja tyran, okrutnik i człowieka porządnego nie dostanę. Mogą zaskarżyć do sądu...

– Ciekawam za co?! – przerwała zapalając się gniewem Salusia.–Cóż-to, biłam go, katowałam i z tego umarł? Tu wszyscy widzieli, żem jej, ani jego nie dotknęła nawet. Nie bój się, panie mężu, nie jestem ja znowu taka sekutnica jak sobie wyobrażasz, nie, nie–mówiła coraz głośniejszym głosem jakoby oburzona.–Ja sobie jestem chociaż kobieta nieuczona, ale poczciwa i szanująca swoje położenie, pani i dziedziczki; jak mię nikt nie zadraśnie, to ja go pewno sama nie zaczepię!

– Widzisz, panie, przecież tu nie było wielkiej sprawy: cóż, że się tam chłopaki pobili; wielka racya, panie, smarkacze...

– Oh! to się już zbierało dawno, dawno, bo pani ekonomowa, którą pan dziedzic widać szanował, chciała tu być drugą panią, robiła mi ciągle na złość; więc trudno, ja aniołem nie jestem, cudzych grymasów nie znio

sę, powiedziałam sobie: niech co chce będzie, wyrzucę, i wyrzuciłam!

– Eh! gadasz, panie, aby gadać; wpędziłaś oto, panie, człowieka do grobu, i nic ci sumienie nie wyrzuca?

– A co mi to ma wyrzucać znowu! oho, mój panie Mikołaju, jak uważam, strata pani ekonomowej strasznie ci coś zajechała do serca. "Wpędziłaś, wpędziłaś, patrzaj go; człek schorowany, stary już, pijak, przyszedł czas, to i umarł.

– No, niech już i tak będzie—odezwał się wychodząc małżonek, aby się uwolnić od dalszej sprzeczki, ale powziął szczere postanowienie wynagrodzenia sownie straty poniesionej przez Żarską z powodu wrodzonej złośliwości pani żony.

Zabrawszy tedy pęk kluczy, pobiegł do Spichlerza, kazał namierzyć kilka korcy zboża, zawiązać w worki i odwieźć do chaty sołtysa; obliczył rachunki roczne z pensyi nieboszczyka, znalazł, że mu się należy jeszcze do św. Jana około stu złotych, i te więc posłał nieszczęśliwej wdowie, oświadczywszy, iż kiedy zechce się wyprowadzić, da jej kilka furmanek, dla przewiezienia reszty niepotłuczonych gratów.

Ale o tem wynagrodzeniu straty męża, jedynej podpory całej rodziny, już nie wiedziała Żarska, bo zaraz po pogrzebie, gwałtem prawie z samego grobu, pocziwy przyjaciel, ekonom z Górniska, wsadził ją wraz z dziećmi na wózek, odesłał z żoną do siebie, a sam zajął się przeprowadzinami.

Po rozprzedaniu niepotrzebnych gratów, zapasów kartofli, kapusty, siana i jednej krowy, resztę zapakował na furmanki dostarczone bezpłatnie przez włościan, i na trzeci dzień przywiózł do Górniska.

Odrąciwszy koszta pogrzebu, doktora i lekarstw, cała gotowizna już z hojnym datkiem dziedzica wynosiła złp. dwieście. Z taką więc kwotą stanowiącą jedyną sukcesyę po biednym ekonomie i owoc trzydziestoletniej mozolnej pracy obojga, miała znękana kobieta żyć Bóg wie jak długo na tym Bożym świecie, edukować syna, wychować córkę i zapewnić im jeszcze przysły los po swojej śmierci.

Lecz władza serc ludzkich i sprawiedliwy szafarz łask swoich, nie zapomniał o wiernem mu stworzeniu. Odmówił jej materyalnych dostatków, ale wlał w tę duszę pełną miłości dziełek i poświęcenia, niezwykłą moc energii i niewytłumaczonej otuchy, niedozwalającą jej upaść pod brzemieniem gniożącej srodze niedoli. W domu ubogich ekonomów do których się schroniła, [znalazła prawdziwie chrześcijańskie serca, które podzieliły się ze swym bratem ostatnią koszulą, ostatnim kawałkiem chleba. Pr żytem pomimo tylu okropnych przeżyć, tylu bolesnych ciosów jakie w tym krótkim czasie uderzyły na skołatany umysł słabej i spracowanej kobiety, zdrowie jej nic nie ucierpiało. Po całych dniach i nocach płacząc i tuląc do ąbiebie nieszczęśliwe sieroty, przemy- śliwała nad wynalezieniem sposobu dalszego życia. Tysiące projektów, czasem i najdziwaczniejszych przebiegało przez głowę tej zacnśj kobiety, a wszystkie rozbijały się stanowczo o niemożność kontynuowania eduka- cyi Józia.

Przyjacieli ów, jego żona, a nawet i sama ciotka dziedzica wioski w której zostawała, radzili, odradzali, tłumaczyli, przekładali, że trudno płynąć pod wodę, że chłopiec będąc uczciwym rzemieślnikiem lub oficjalistą, może być szczęśliwszym niż na jakim urzędzie; lecz

wszystkie perswazyje nie mogły trafić do serca matki miłującej swoje dziecko, i gotowej do zniesienia największych poświęceń dla jego przyszłości

Co do Józia, ten od czasu pogrzebu ojca zmienił się nie do poznania. Dziwna rzecz, iż na umysł ledwo trzynastoletniego dziecka, gdzie, jak to mówią, wróble w głowie świstają—cios tyle straszny i bolesny wpłynął tak stanowczo. Z trzpiotowatego, żywego jak ogień, lekceważącego wszystko chłopca, zrobił się jakiś sensat poważny, myślący, taktowny. Zdawało się spojrzawszy na tę pochyloną głowę dzieciaka z czarnymi błyszczą- cemi oczyma, zasępionem czołem i rozsądnem słowem na ustach, że to jest nie student z drugiej klasy, nie ekonomiczne dziecko, ale jaki uczony filozof w skarłowa- ciałem ciele.

Tak, tak, łaskawi czytelnicy, wierzcie mi, że nieszczęścia, łzy, niedola i sieroctwo przyspieszają umysłową dojrzałość, bez sztucznych chuchań i karmy naukowej, jakimi szczęśliwcy obarczają słabiutkie ramiona swych dzieci, aby je w młodości już widzieć przemądrza- łemi starcami. Rozbierając Józio w swym młodocianym umyśle ostatnie słowa ojca, że ma być opiekunem i jedyną pomocą drogiej matki i siostry, wyrabiał w sobie jakąś dziwną energię i zapal do pracy. Bujna imagi- nacja chłopczyka, już zwalczała tysiączne przeszkody mogące spotkać go na drodze przyszłych losów, skracała lata, przedstawiając w różowym świetle chwile nastąpić mającej radości, gdy on własną swą pracą i przemysłem zapewni dostatni byt kochanój matce i odwdzięczy się za poniesione dla jego edukacji trudy, wysilenia, a nawet śmierć nieodżałowanego ojca. Jednem słowem, swoboda dziecięcego wieku, to lekceważenie wszystkiego,

obojętność na ciężkie przygody życia—i szczerą niewinna wesołość trzynastoletniego chłopca, zamknęły już na czas jakiś przed nim swe urocze bramy. Teraz stał się niejako czynnym uczestnikiem społeczeństwa, współnikiem jego niedoli i gotowym zapaśnikiem do ciężkiej walki z przeciwnościami, które tak nagle uderzyły na słabiutką jego duszę. Po całych dniach przemyślał tylko jakby tu dopomódz matce, a sobie zapewnić możliwość prowadzenia dalszej edukacji. Dumny swoją mądrością ukończonego pierwszoklasisty, co on to sobie nie wynajdywał zatrudnień!?—Raz chciał iść w prywatną służbę za pisarza, drugi raz uczyć dzieci gdzieś na wsi po panach, dalej prosić rektora aby mu pozwolił udzielać korepetycje młodszym, a tych nabrałby znowu tyle, żeby i siebie wyżywił i matce dopomógł. A potem zostawszy księdzem, osadziłby ją przy sobie, otoczył niesłychanymi wygodami, siostrę sam uczył: słowem najchętniej jego projekta sięgały dalszej przyszłości, już zapewnionej, ukończonej, mało zważając na najbliższe przeszkody, po których stąpając długo jeszcze, długo, mógłby w milionowej cząsteczce urzeczywistnić owe bujne marzenia. Co godzina prawie z nowym projektem przybiegał do matki, przekładał go najdobitniej, dowodził możebności wykonania takowego, i kończył zawsze jedną myślą, jednym zamiarem widzenia kiedyś, niedługo nawet, ukochaną mamunię szczęśliwą i zadowol-nioną.

Pocziwa Żarska z niejaką pobłażliwością, a nawet i chlubą, macierzyńskiego serca, słuchała cierpliwie owych tak gładko i cudnie poustawianych domków na lodzie; i chociaż widziała dobrze ich nedorzecznosc, jako plód trzynastoletniej rozmarzonej głowy kochające

go ją szczerze syna, wszelako nie miała tej siły rozczarowywać go tak nagle, i niby potakiwała wszystkiemu, dziękując serdecznie za takie dowody synowskiej wdzięczności.

Już połowa lipca upłynęła, czas olbrzymimi krokami przybliżał chwilę wyjazdu do szkoły, a tu jeszcze nic stanowczego nie wiadano. Józio markotniał coraz bardziej, matka płakała skrycie dręcząc się tak krytycznym dla niej położeniem; litościwi ekonomowie u których znalazła tymczasowe schronienie, różne przeróżne robili propozycje, których ona przyjąć nie mogła, a które tem dotkliwiej ją bolały, że zdawała się upatrywać w nich chęć pozbycia się niepotrzebnego dla nich ciężaru. W istocie tak nawet nie było, gdyż ci zacni ludzie powodowani jedynie tylko najszczerszą dla niej życzliwością, radzili to, co im się najlepszym zdawało; lecz Żarska nieprzywykła do podobnych dobrodziejstw, i widząc ich niezamożność, sama radaby była jak najprędzej wynieść się gdzieś na swoje gospodarstwo.

W takich będąc zamiarach, zaczęła pokryj omu pakować swoje rzeczy, ocalone ze sprzedaży w Starej Dębicy, i przerzucając kufeczek Józia, znalazła ów list od profesorów z Pińczowa, który mu przy wyjeździe dla oddania go matce doręczyli, a o którym zupełnie on przepomniał. Przeczytawszy więc ze skwapliwością te kilka wierszy skreślone sercem prawie, pełne otuchy na przyszłość i prawdziwie chrześcijańskiego pocieszenia, padła na kolana podziękować Bogu za tak widoczną łaskę, okazaną w tem jej nieszczęśliwym położeniu. Przedsiębiorczy i wytrwały jej umysł, mając już pewniejszą wskazówkę, zaraz nasunął dobrą myśl przenie-

sienią się do Pińczowa, gdzie trzymając uczniów na stancyi, zapewni Józiowi sposobność dalszej edukacyi Plan ten przedstawiła natychmiast ekonomstwu, ci jego trafność potwierdzili z najżywszą radością, poprosili o przyjęcie ich syna na stancję, a ciocia dziedzica ze swej strony przyobiecała nastęrczyć jej wszystkich krewniaków pobierających nauki w Pińczowie. Więc na drugi dzień zaraz po owej naradzie, puściła się w drogę, odwiedziła rektora, podziękowała profesorom za tak troskliwą pamięć o biednej wdowie, a ci na swoje odpowiedzialność kazali jej nająć mieszkanie, i sprowadzić się od wakacji do miasta.

IV.

W miesiąc potem, w obszernej izbie czyściutko wybielonej, z oknami wychodzącymi na Nidę, pięciu dorodnych i żywych chłopaczków, w nowych i całych jeszcze mundurkach, wróciwszy z południowych lekcji, atakowało o podwieczorek krającą chleb Żarską. Jeden przed drugim, odpychając się wzajemnie, chciał dostać wprzód i większą porcję: poczciwa kobieta ciesząc się z tak dobrego apetytu swych malców, godziła ich jak mogła, temu przykrawając dodatek, owemu dokładając gruszkę lub jabłko, innemu smarując grubiej masłem, a zaspokoiwszy i ułagodziwszy wszystkich, zwróciła się do Józia pokornie stojącego przy oknie i czekającego cierpliwie swojej kolei.

– Co ci to, mój Józiu?—przemówiła z macierzyńską cierpliwością podając mu kromkę chleba z serem, i podnosząc do góry nachyloną główkę syna – czyś czasem nie chory, co?

– Nie, mamuniu—odrzekł, całując ją w rękę.

– No, to i cóż cię tak zasmuciło? czy czasem nie zbroiłeś tam co w klasie?

– I to nie, mamuniu, tylko ksiądz rektor...—i zamilkł połykając dalsze słowa.

– Cóż ksiądz rektor, mów, nie bój się...

– Ksiądz rektor powiedział żeś zamały na pry-

A. Wilczyński.—Tom VII.

musa i rady sobie dać nie mogę – ciągnął dalej chłopcyna zabierając się do płaczu – więc odebrał mi prymusostwo i dał starszemu, chociaż on miał gorszą cenzurę.

– No, no, nie płacz, mój Józiu; przecież to nie kara żadna, bo już ció jesteś zamały...

– Co mam być zamały, mamuniu, tylko prosili mnie, żeby ich nie zapisywać i ja tak robiłem, a oni hałasowali, krzyczeli...

– Eh! nie maź się, to się wynagrodzi, ucz się tylko dobrze, nie dokazuj.

– Ale, ale, wie też mamunia, że ja będę korepetytorem tego małego Stasia Wolskiego – odezwał się radośniej, przytrzymując za fartuch odchodzącą matkę.

– Jakiego Stasia?

– A tego Wolskiego, syna pana profesora jeografii. Dziś na ostatniej godzinie wypukał mię z klasy pan profesor, i powiedział żeby do niego przychodzić Codziennie na korepetycję, to mi da za to trzy złote na miesiąc.

– A widzisz płaczku, że tam o tobie pamiętają. – Dobrze, dobrze, ucz go, moje dziecko, ucz; jak się teraz przyzwyczaisz do pracy, to później pójdzie ci jak chleb z masłem. Dobre i trzy złote na miesiąc; będziesz miał na papier, na pióra...

– Nie, nie, ja to mamuni oddam, a mamunia kupi co Anusi; moja mamuniu, dobrze, co? – i patrząc się błagająco w oczy kochanej matce, czekał odpowiedzi całując jej rękę..

– Dobrze, dobrze; jak zbierze się zajkilką miesięcy, sprawimy jej salopkę.

– Ale niech mamunia, nic jej o tem nie mówi,

to się dopiero ucieszy, jak się dowie, że ja jej za swoje pieniądze kupiłem salopkę: dobrze mamuniu?

– Dobrze, dobrze, moje dziecko—odpowiedziała, całując go w głowę, Żarska.

– A wie też jeszcze, mamunia, że ksiądz rektor nie chciał przyjąć do szkół Julka Ziembickiego.

– Dlaczego, mój Józiu? czy go tu niema w Pińczowie?

– A niema, niema: ksiądz rektor powiedział podobno ojcu, że on jest niesforny, kłótnik, próżniak, że mu psuje innych. Widzi mamunia, jak go to Pan Bóg skarał za te zmyślania przed matką.

– E! co tam będziesz wspominał takie rzeczy; idź oto lepiej, pobaw się trochę. A nie dokazujcie tam bardzo, bo może nadejść profesor; mundurek zdejm żeby się niepodarł, a potem do książki mój synu, do książki!

I rozweselony tem chłopiec, wybiegł na podwórko zajadając swój podwieczorek, i połączył się z bawiącymi kolegami.

#

* *

Otóż tym sposobem tylko się mignął rok szkolny. Zadowolona Żarska tem nowem zatrudnieniem, jakoś prędko oswoiła się z hałaśliwą dziatwą;—jak druga matka pamiętała o każdym, czuwała nad ich zdrowiem, napędzała do pracy, utrzymywała wszystko w domu czyściutko, schludnie; broniła ich skwapliwie, gdy któremu z nich trafiła się jaka studencka przygoda, wyprasząc od kary, jeżeli czasem wizytujący profesor

chciał ją swawolnikowi wymierzyć. To też dzieciaki kochali ją, za to serdecznie, słuchali we wszystkim, a przebywając na świętach u rodziców, nie mogli się odchwalić czcigodnej i dobrej gospodyni.

Za nadejściem szarej godziny, kiedy jeszcze szkoda było świecę palić, gronko ciekawych malców otoczyło ukochaną gosposię przy piecu, a ona im opowiadała różne przeróżne gadki i historyjki, to o królewnach zaklętych, to o szklanej górze, to o żelaznym wilku i innych tym podobnych. Chłopcy słuchali z największym zajęciem, drżeli lub cieszyli się z przygód powieściowych bohaterów, a Józio położywszy swą głowę na kolanach matki, pochłaniał prawie każde jej słowo, i na drugi dzień poszedłszy do kolegów na inne stancję, wiernie powtarzał im każdą powiastkę. ^ Czasami i jakieś poważniejsze prowadzono rozmowy: Żarska kiedyś służywała po dworach znakomitych panów, znała wiele, słyszała jeszcze więcej, i w miarę tego jakie miała o czym wyobrażenie, rozповідаła dzieciom to o tem, to o owem, a oni słuchając, nieraz i zaprzeczyli czemu, nieraz pytali się później w szkole profesorów, a otrzymawszy dokładne objaśnienie, powtarzali je swej gosposi, wielce kontenci, że ją na czym złapać mogli.

A kiedy drugiego lutego przyszły imieniny pani Żarskiej i kiedy chłopcy wymalowawszy na dużym arkuszu papieru pęk jaskrawych i różnorodnych kwiatów, a w środku umieściwszy stosownej treści powinszowanie, złożyli go w ręce kochanej Żarskiej, to biedna kobieta nie posiadała się z radości. Płakała całując dziatki, zaraz kazała złocisto oprawić ten dowód miłości swoich stołowników i zawiesiwszy go nad;łóżkiem, z dumą pokazywała wszystkim ją odwiedzającym. A gdy znów

przyszedł wieczór, nasmażyła malcom pączków bez liku, uraczyła owocami, społa kawą, dośó, że podobna uroczystość na długo pozostawała w ich pamięci i wspominając ją chłopcy, połykali ślinkę oczekując znowu owych smacznych pączków i ogromnych półmisków chrustu.

Józio uczył się jak nie można lepiej: profesorowie, rektor, koledzy, odchwalić się go nie mogli; to też gdy przyszły wakacje, rodzice możniejszych, potrzebujący nauczyciela dla przygotowania młodszych chłopców do- szkoły, wydzielali go sobie prawie, ofiarując czasem i po kilkadziesiąt złotych. Uszczęśliwiona Żarska takim postępowaniem jedynaka, z jakąż-to radością witała wracającego ze szkoły chłopczynę, gdy ten w dzień rocznego popisu obciążony nagrodami, składał je do rąk matki, jako jedyną ofiarę wdzięczności, za jej dawniejsze i terazniejsze trudy, a padłszy do nóg, ze łzami w oczach serdecznie dziękował za nie.

Oh! ta jedna chwila, chwila prawdziwego szczęścia matki patrzącej na dobre prowadzenie syna, dla ktorego tyle już ucierpiała w życiu, wynagradzała jej wszystko. I żeby nie przykra myśl o mężu, iż on biedny nie mógł doczekać się takiej pociechy i podzielać obecnie jej zadowolenie, ta myśl, która wywoływała przykre i bolesne w jej duszy wspomnienia, uważałaby się za najszczęśliwszą z ludzi.

I znowu ubiegł rok drugi i trzeci jej pobytu w Pińczowie: Józio rósł, jakto mówią na chwałę Boga i pociechę ludzi, matka w swem rozumieniu opływała w dostatkach, bo rodzice cisnęli się prawie oddając jej synów na stancję; ztąd potrafiła uciulać sobie dość znaczny zapasik, za który kupiła kolonijkę niedaleko Pińczowa

będącą, aby po wyjściu Józia dalej w świat dla szukania przyszłego sposobu do życia, ona przekawęczyła spokojniej resztę dni swoich, ciesząc się zdaleka jego powrotem, o którym wcale nie wątpiła.

Tymczasem szesnastoletni Józio ukończywszy cztery klasy w szkole Pińczowskiej, zachęcony przez rektora, profesorów i różnych obywateli, u których przepędzał wakacje, wziął paraset złotych na opłacenie wpisu szkolnego, kilkadziesiąt na własne potrzeby i puścił się do Radomia. Kochająca matka pierwszy raz rozstając się z synem, nadawała mu tyle zbawiennych nauk, przestróg i rad tchnących prawością, szlachetnością i bogobożnością, że uzbroiwszy się niemi, dobre serce Józia, nabrało pewnej otuchy w siebie, że da sobie jakoś radę na tym wielkim Bożym świecie.

Nie będę tu nudził czytelników opisywaniem szczegółów pobytu naszego bohatera w szkole Radomskiej, to tylko powiem, że jako-tako przecie się ulokował na stancyi, dostawszy sześcioro dzieci do nauki; bo to już zwykle tak bywa między ludźmi, że jak kto biedny a potrzebny, nie omieszkają korzystać z jego niedoli i pakować ile się tylko zmieści ciężarów na słabiutkie a pracowite ramiona potrzebujących wsparcia.

Przebywając w większym mieście i między ludźmi inaczej ukształconymi, inaczej myślącymi niż tymi, jakich dotąd spotykał, nasz ekonomczyk coraz to lepiej spostrzegał różne przeróżne tajemne nitki wiążące społeczność ludzką. Pracując po całych dniach dla drugich, a po całych prawie nocach dla siebie, kształcąc wrodzone zdolności, umysł jego nabierał* zawczasie tej praktyczności życia, jaką wyradza zwykle praca z nie

dostatkiem, i tego przemysłu, umiającego zaradzić sobie w każdej potrzebie. Od dzieciństwa przywykły w krwawym pocie czoła zdobywać każdy kawałek chleba, przy tym mając młodość i zdrowie, nie czuł tak dotkliwie ani pojmował nawet owych przeciążeń, jakimi okupywał przyszłe niby szczęście. Tu nie tak było jak w Pińczowie: nie znalazł tylu przychylnych serc i gotowych rąk z pomocą. Większe miasto, „mniej współczucia; praca jego, pilność, dobre sprawowanie i zdolności, ginęły pośród świetnego urodzenia, wielkich majątków i eleganckiego wychowania innych kolegów.

Pomiatano więc naszym Józiem, schlebiano gdy okazał się któremu z nich potrzebnym, chwalono, całowano, ściskano w szkole, ale gdy przyszło podzielić z nim ich uciechy, pobołość nad jego biedotą, lub wesprzeć przyjacielską usługą, wtedy nie było kolegów, nie było serca, któreby go zrozumiało. Dlatego też listy pisywane do matki, tchnęły jakąś niewymowną tęsknotą za dawnym wspólnym życiem, dawną miłością, za tym dobrym Pińczowem; w każdym prawie wyrazie jego, wylewała się nieograniczona wdzięczność dla kochanej mamuni, którą teraz coraz bardziej dostrzegał, lepiśj czuł, a więcej cenił.}

Jednakże powoli, czy instynktem, czy też naglony potrzebą, lub może szlachetną zazdrością zrównania kolegom w ich światowym wykształceniu, i on zaczął smakować w życiu więcej wyrobionem pod względem form jego zewnętrznych. Mając stosunki z obywatelami, u których na wakacyach przebywał, zapatrując się na ich obejście, sposób wyrażenia, zwyczaje, z nadzwyczajną łatwością przyswajał sobie to wszystko, cokolwiek koniecznem dla siebie osądził. Z początku wprawdzie

szło mu to niebardzo sporo: czerwienił się na każde niewłaściwe wyrażenie, lub niezgrabne obejście się, popełniał drobne wykroczenia, przypominając dość żywo pierwiastkowe jego wychowanie; lecz pracując nad sobą, przypatrując się innym, czytając wiele, ucząc się jeszcze więcej, zdołał pokonać wszystkie trudności i otrząść się z dawnych, nieco gburowatych nawyknień ekonomicznego dziecka.

Umysł dziewiętnastoletniego młodzieńca i to łaknącego wciąż nauki, nie przebierał w środkach: chwycił pierwsze lepsze książki, jakie się pod ręce nawinęły, czytał a raczej pochłaniał wszystko, nie umiejąc sobie zdać sprawy, obliczyć korzyści, jakie mu to czytanie w przyszłości dać miało. Sądząc się zażbyt surowo, i nie pojmując tego wywyższenia się moralnego i naukowego nad stan, z którego się wysunął, w żaden sposób nie mógł się pozbyć owej bezwarunkowej uległości i niejako poddaństwa względem tych, co w jego rozumieniu więcej posiadali; dlatego rodzice dzieci których uczył, obarczali go bezprzestannie sprawunkami, interesami, a on je z całą usilnością i skrupulatnością wypełniał. Lecz takiego rodzaju usługomość, choć niezawsze i zdrowo oceniana, czasami jednak dostarczała mu osobistych korzyści. I tak, zwykle przysyłano mu ze wsi książki do odmienienia w księgarni na nowe; on przez jedną noc musiał sam odczytać to wszystko, co tamci dwa tygodnie czytali, a tym sposobem jakbądź tak bądź nabywał więcej a więcej wiadomości, kształcił jeżeli nie zawsze serce, to przynajmniej rozum, i dość szybko wypełniał ten brak pierwotnego wychowania.

Ale też wyrwawszy się raz na rok do matki, z jakąż-to szczerą radością, z jakim zapalem i wdzięcznością

<jałował spracowane ręce poczciwego matczyska, która nic nie widziała w życiu, oprócz jego szczęścia, nie żyła tylko dla niego, nie myślała tylko o nim. Kochany jej Józio, już na dwa tygodnie wprzód miał przygotowane wszystko, co tylko do jego wygody posłużyć mogło. I ulubione dawniej potrawy, i placuszki z makiem, i kożuszki od śmietanki, w których niegdyś smakował, prześliczne jabłka czerwone, czekały swego konsumenta. Zawsze jej się zdawało, że to jeszcze dwunastoletni chłopaczek pucował, swawolny, żywy, że nic się w nim zmienić nie mogło, że jeszcze kładąc głowę na kolanach matki, słuchać będzie ciekawych historyjek, o królewnach zaczarowanych i trzech braciach śpiących. To też cackała się z nim, pieściła, dogadzała bez końca i miary.

Wieczorem znowu zasiadłszy we troje przy kominku, gdy Józio zaczął im rozpowiadać różne swoje przygody szkolne, objaśniać dostępne zjawiska i tajemnice natury, opisywać kraje, zwyczaje, ludzi lub zwierząt rozsianych po tym wielkim świecie, albo przypominawszy treść czy tanych francuzkich powieści, obfitych w nadzwyczajne wypadki, takowe z całą dokładnością powtarzał siedzącej matce i siostrze, to nieraz obie kobiety do późna w nocy słuchały i słuchały pochłaniając każde jego słowo, a olśniona tem Żarska, całując ;i głaszcząc ukochanego Józia, płakała z radości, dziękując Bogu za to szczęście, jakiego się doczekała po tylu latach próby i niedoli.

Nareszcie po trzechletnim pobycie w Radomiu, zbliżyła się już chwila ukończenia nauk młodego Żarskiego, a z nią zniknęło szczęście, jakiego dotychczas kosztował w pracy i nauce. Zdał egzamina jak nie można

lepiej, otrzymał chlubne świadectwa, i zobaczył się samotnym wpośród ludzi, nie wiedząc gdzie się obrócić, do kogo udać, co przedsięwziąć. Od matki nie chciał i nie mógł żądać najmniejszej pomocy, gdyż mając mało, ledwo że sama wyżyć mogła; dobrodziejów nie znalazł żadnych, a przyjaciele byli tak biedni jak i on, i rozbiegli się w różne strony szukać także chleba i losu.

Oj! przykro to było i boleśnie młodemu człowiekowi, gdy wracając z popisu z patentem w ręku, pustką w kieszeni, a łzą w oku, szedł ze zwieszoną głową, kiedy tylu innych cieszyło się serdecznie mając przed sobą otwarte ramiona rodziców lub opiekunów, którzy tulili ich radośnie, witając nowych członków społeczeństwa, i otwierając przed nimi złote bramy przyszłości! Pierwszy raz dopiero w życiu pozazdrościł bogaczom ich majątków, pierwszy raz pożałował tego, że się uczył, i kto wie czy w myśli nie uwłaczał drogiej matce, iż pokazawszy mu zdaleka lepsze życie, nie potrafiła zaprowadzić go na tę drogę jaka do niego wiedzie. Do duszy dziewiętnastoletniego młodzieńca zajrzała wątpliwość, tłumiąc dotychczasową energię, a rozbudzając pewne zniechęcenie do świata i ludzi. – Zupełny brak na pierwsze potrzeby, uczucie samotności i opuszczenia, dręcząca niepewność, włożyły cierniową koronę męczeństwa na skronie biednego chłopczyzny; płakał więc rzewnymi łzami pakując swoje manatki i książki, nie wiedząc w którą mu przyjdzie udać się stronę.

Lecz po dwóch dniach takiej bolesnej walki z sobą, gdy już reszta uczniów z tej stancyi gdzie był korepetytorem opuściła miasto, gdy i gospodarze szemrać poczęli na jego tak długie ociąganie się, nie pozostało

mu nic innego do zrobienia, jak tylko udać się do matki, jako jedynej na świecie orędowniczki, z nią popłakać i poradzić w tej ważnej życia jego chwili. Zrozpaczony tem niezwykłym położeniem, w ciągu różnych przeróżnych rozmyślań, gdy zabrnął w przeszłość i zaczął od dzieciństwa przebiegać to życie pełne łez i niedostatku, wspomniawszy na śmierć kochanego ojca i jego ostatnie chwile, przysłała mu na pamięć pocieszająca jego rada, udania się w razie gwałtownej potrzeby do stryja mieszkającego w Kaliskiem, który jako majątny, nie odrzucił przecie dziecka swego brata, i dopomoże synowi tego, z którego poręki cieszy się obecną pomyślnością. Dzisiaj więc tę chwilę krytycznego swego położenia uznał za najstosowniejszą, i pokrzepiony niepełną nadzieją, napisał list uwiadamiający matkę o swoim postanowieniu, sprzedał skromny zapasik studenckich ruchomości, i zebrawszy kilkadziesiąt złotych, z pełną wiarą w opiekę Boską i pomoc stryja puścił się w drogę.

Trzy dni i trzy noce tłukł się młody człowiek po różnych drogach, znosząc tysiączne niedogodności, głód inewywczas, gdyż furman jego, żydek z Radomia, utrzymujący niejako pocztę osobową, stawał co dwie mile na popasy, zapraszał nowych podróżnych do swej krytej bryki, obiecując niezliczone wygody, chociaż ośm czy dziewięć osób, jak śledzie w beczce siedziało prawie jedno na drugim. Przebiegły izraelita, aby tylko mieć więcej zysku, układał nowe siedzenie, pakował rzeczy i jechał noga za nogą, bacząc na zmęczenie swych ostro-kościstych siwoszów. Biedny Józio, kołysany nadzieją pomyślnego skutku swych zamiarów, marzył sobie Bóg wie nie o czym, nie zwracając uwagi na swoich towarzyszy

szy. Znowu widział się w dostatkach, brał matkę do siebie, siostrę za mąż wydawał, a nieznany stryjasek pośród tych szczęśliwych marzeń, stawał jako błyszczący meteor, sypiący hojną dłońią pomoc, wraz z ojcow- skiem współczuciem.

Trzeciego dnia, jak powiedziałem, nastąpiła dniówka, albowiem była to sobota i żydek roztasowawszy się w Częstochowie, zmusił także swoich podróżnych do świętowania. Lecz nie pożałował tego nasz Józef: z bi- jącem sercem, a duszą pełną nieograniczonej wiary w miłosierdzie Orędowniczki naszej, powitał z uniesieniem Jej przecudowne oblicze w zgrzybiałej Jasnogórskiej świątyni. Dawno już, bo prawie od niemowlęstwa wiedział o cudownym obrazie, patrzył corocznie na Wybierające się gromady pobożnych, słuchał z niezmiernem uszanowaniem i ciekawością różnych a różnych opowiadań o tym słynącym po świecie obrazie, a jednak pomimo najgorętszych życzeń, nie był tam nigdy. Teraz więc, gdy wszedł do kaplicy, gdy olśniony majestatyczną wielkością i urokiem rozlanym w tem świętem miejscu, zachwycony wspaniałością ozdób, gdy spojrział na ten obraz będący pomnikiem wiekowej czci i szczególnej a widocznej łaski zlewanej na tyle ludzkich pokoleń, nogi zdrząły pod nim mimowolnie, padł przed ołtarzem Bogarodzicy, nie śmiejąc podnieść oczu przed siebie, nie czując się godnym zanieść w tej chwili jakąbądź prośbę do stóp Matki Najwyższego. Nieskalana jego dusza pobiegła myślą nad światy: stanęła przed tronem Wszechwładczy, i korząc się jako proch nikczemny przed Jego ogromem, doznawała najwyższego szczęścia, na jakie tylko człowiek zdobyć się może.— Wtenczas matka, siostra, stryj, przeszłość, obecność

ora

I

fij

– 93 –

przyszłość, zniknęły w jego umyśle; dotykałnie prawie, uczuł nicość żądź ludzkich, ich zabiegów, starań, krzywd i dolegliwości; widział tylko życie duchowne człowieka, cel jego, przeznaczenie nieziemskie, jakiś niezwyuczajny zapał ogarnął całe jestestwo chłopczyny; znalazł w nim niezmierną moc gotowości do poniesienia najsroźszych ofiar w tem życiu, aby tylko spełnić do końca wolę najlepszego Opiekuna.

Tu dopiero, prosząc o łaskę, o pomoc i wytrwałość w przyszłej kolei losów, złożył niejako przysięgę, że żywot jego będzie takim, jakim być powinien według przykazu Chrystusa. Tu, otrząsł się bezpowrotnie z całej przeszłości, z dziecięcych marzeń słabego młodzień- ; ca, stał się prawdziwym człowiekiem, z nieugiętą wolą przeżycia naznaczonej sobie doli w cnocie i pokorze. Wzmocniony niepłonną otuchą, uszczęśliwiony taką przemianą, innym zupełnie i nowym wyszedł z kościoła nasz Józef.–Zdawało mu się teraz, iż urągając przeci- i wnościom, zwalczyłby światy, poświęciłby wszystko, fży- cie nawet, gdyby napotkał jakie przeszkody na tej drodze prawości, którą sobie iść zamierzył.

Na drugi dzień około wieczora, stanęła wreszcie żydowska bryka przed karczmą Zapola, dziedzicznej wioski pana Tadeusza Żarskiego, stryja naszego Józefa. Złożywszy na ręce karczmarza podrózne zawiniątko, zapłaciwszy żyda i oczyściwszy się nieco, w starej, wytartej i połatanej surducinie, sunął śmiało ku dworowi. Chociaż to nie była zbyt późna godzina, jednakże gospodarz, snadź trzymając się starej metody wczesnego spoczynku, już zabierał się do snu rozpatrując dzienne rachunki; na podwórzu ciemno, spokojnie, oprócz jedne-

go światelka, błyszczącego słabo w oknie pokoju pana Tadeusza.

Zaraz na wstępie, obskoczyła go zgraja czekającej rzeszy, docierając żwawo na nieznajomego; hałas zrobił się na podwórzu, wyskoczył z kuchni zaspany parobczak i przecie obronił naszego młodzieńca.

Nareszcie po wielu wypytywaniach, ociąganiach, doprowadził go do drzwi pokoju samego jegomości, a młody Żarski zrobiwszy znak krzyża świętego, odważnie poruszył za klamkę.

– Kto tam? – odezwał się przelęknięty gospodarz przyskakując do drzwi.

– Proszę pana, czy tu mieszka pan Tadeusz Żarski?

– Tu, albo co? – wyrzekł nie młody już mężczyzna, otwierając drzwi i ze świecą w ręku przypatrując się ciekawie przybyszowi.

– A nie mógłbym się z nim widzieć – przebąknął z niezwykłym biciem serca, tracąc poprzednią odwagę Józio.

– Ja sam jestem. – Co pan masz do niego tak późno? – odpowiedział dość opryskliwie pan Tadeusz, nie puszczając do pokoju synowca.

– Bo ja to... stanąłem w karczmie i jestem...

– To i cóż ztąd? od tego karczma; idź sobie spać, nie przeszkadzaj ludziom, mój paniczu.

– Bo to ja jestem Żarski, syn Jana, brata pana dobrodzieja.

– A, to proszę, bardzo proszę! – przemówił niesmacznie stryjasek, spoglądając jeszcze baczniej na podniszczone suknie bratanka.

R

Lecz w jednej chwili, niby się opamiętawszy, chwycił oburącz wchodzącego nieśmiało chłopaka i zaczął najogólniej ścisnąć, całować, wołając:

– A to mi szczęście, a to mi niespodzianka, a jaki podobny do ojca; siadajże, kochanie, rozgość się: gdzie rzeczy? hej! świecy, jeść co: pewnieś zdrożony.

Dość, że w tym nawale płynących wyrazów, nasz poczciwy bratanek nie wiedział za co wprzód podziękować, i tylko całując ręce kochanego stryjaszka, bąkał:

– Dziękuję, nie głodnym, rzeczy w karczmie i t. p.

. Nareszcie gdy przeszły pierwsze powitania, gdy napiwszy się herbaty, Józio nieco się rozgościł w domu stryjaszka i zaczął mu opowiadać cały szereg nędznego ich żywota, pan Tadeusz kiwał litośnie głową, robił najdziwaczniejsze i bolesne miny, zrywał się z krzesła przerywając:

K* – X to się godziło zapomnieć o bracie, i to rzecz słychana nie napisać, nie donieść; a toć, Bóg widzi, niewiele mam, mój Józefie kochany, alebym ostatnią koszulą z wami się podzielił.

A gdy już przyszło do śmierci kochanego brata, i gdy chłopczyna ze łzami w oczach powtórzył całą ostatnią jego rozmowę, opisując szczegółowo nieszczęśliwe położenie biednej rodziny, stary pan Żarski rozplakał się serdecznie, porwał Józia w swoje ramiona i przerywając sobie łzami, mówił:

– Daj pokój, moje dziecko, już nie mów, już nie mów; to serce się kraje! No, i ja o tem nie wiedziałem że umarł brat mój kochany, jedyny Jaś; a to się nie godzi, mam żal śmiertelny do twojej matki; i nie mogła- to się do mnie zgłosić, jaby dopomógł, jaby ratował...

I posiedziawszy jeszcze z godzinę, nagadawszy się do woli o biedzie, kazał posłać mu w swoim pokoju, bo chociaż miał dość obszerne mieszkanie, lecz jak twierdził, chciałby mieć przy sobie dziecko najpocziwszego, najlepszego brata*

– No, idź spać, mój Józiu; jutro po rzeczy poszlę do karczmy, stryjence cię pokażę, dziatki sprezentuję; dopiero się to ucieszą, znalazłszy brata. Bo widzisz, mam tego sześcioro: najstarszy już kończy szesnasty rok życia, jest w trzeciej klasie; jak się poznacie lepiej, ręczę, że się tu nie znudzisz: no, dobranoc ci kochanie, dobranoc!–i ucałowawszy serdecznie jego głowę, -zgasił świecę, a po chwili głośne chrapanie dało znać uszczęśliwionemu Józiowi, że stryjasek śpi sobie w najlepsze.

Nazajutrz była może dziewiąta godzina, kiedy się przebudził nasz młodzieniec, a otworzywszy oczy, wzrok jego padł na siedzącego przy stole stryjasek, i rozmawiającego pocichutku z jakąś szczuplutką kobieciną. Teraz za dnia miał Sposobność przypatrzenia się lepiej stryj aszkowi. Było sobie może pięćdziesięcioletni mężczyzna, nadzwyczaj ruchliwy, niski, łysy, pękaty, z twarzą okrągłą i pulchniutką. – Oczy jego czarne, małe, śmiejące się biegały na wszystkie strony; kręcił się nieustannie na krzeselku ruszając rękoma, głową i całym korpusem.– Usta nieco zacięte i nos śpiczasty, trochę za- czerwony, mogłyby zwrócić uwagę jakiego fizyognomisty, niebardzo korzystną dla jego charakteru; ale szczerego i otwartego serca Józio, widział w tem obliczu stryjasek samą tylko pocziwość, wielkie współczucie i nieograniczoną chęć na usługi swych bliźnich. Ubrany był dość starannie, ale nie wykwintnie, w letnim kortowym surduciku, w białej chustce na szyi, z dużemi podtrzy-

mującymi policzki kołnierzami. Nachylona zaś do niego bokiem kobieta, snać żona, bo porządniej ubrana, spoglądała dość oziębłe w twarz męża; czasam i obejrzała się ku sofce na której spoczywał bratanek, i słuchała z zajęciem cichej jakiejś rozmowy z pewnemi dąsaniem się małżonka prowadzonej. Z jej twarzy kiedyś pięknej a dziś spustoszonej ręką czasu, nie można było odgadnąć żadnego odcienia wewnętrznego charakteru: było w niej coś tak posągowego, zimnego, bez najmniejszego umysłowego życia. Z oczu dużych czarnych nie patrzyło nic takiego, coby objawiało samoistność myśli, jakąś wolę, czucie, lub namiętność. Patrząc na tę twarz powleczonej maską obojętności, zdawało się, iż tę kobietę nic nie obchodziło, nic nie cieszyło lub zatrwajało, zawsze jedna, zawsze ponura, krzątała się po izbie, pełniąc z nałogu wszystkie obowiązki dobrej gospodyni. Mówiła w razie koniecznej tylko potrzeby; siadała będąc dobrze zmęczoną, jadła kiedy się zbliżyła godzina obiadu, bo wszystkie jej ruchy, słowa i czynności, wypływały jakoby z naturalnego biegu tajnej maszyneryi, urządzonej na lat kilkadziesiąt ręką doskonałego sztukmistrza.

W samej rzeczy, p. Tadeusz rządził wszystkim a najwięcej żoną. Obdarzony potężną dozą przebiegłości, sługiwując po różnych panach, zwinny jak lis, giętki jak воск, potrafił sobie zebrać małą fortunę, a upatrzawszy stosowną do swych planów chodzącą mumię, w osobie pani Jadwigi, ożenił się z nią bez tych wstępnych preludyi nazwanych miłością, i kupiwszy małą wioseczkę w Kaliskiem, gospodarzył dość pomyślnie, zaokrąglając coraz lepiej drobny mająteczek.

Zaraz z początku wziął kochanego swego bratanka w takie serdeczne obroty, tak umiał go sobie ująć,

tak zatrudnić, zagadywać, że biedny chłopczyzna rozradowany podobną życzliwością, już po tygodniowym pobycie nie śmiał jeszcze wyjawić mu istotnych powodów swojego przyjazdu. Stary filut stryjasek, oprowadzał go po swoich oborach, stajniach, folwarkach, woził go po sąsiadach, prezentował, chwalił, całował, karmił, poił, ale jak uważał, że ten chce o co go prosić, uprzedzał jego żądania, lecz nie te, o których myślał młody kuzynek. Sama pani rozmawiała z nim tak lakonicznie, obojętnie, bez żadnych dopytywań i ciekawości, że pomimo to, iż dogadzała mu we wszystkim, lepiej może niż rodzona matka, że widocznym było, iż rada mu serdecznie, jednakże nie potrafiła wzbudzić w duszy młodego krewniaka takiej ufności, aby się mógł przed nią zupełnie otworzyć.

Trwało już takie życie ze dwa tygodnie, czas odjazdu się zbliżał, gdyż kończące się wakacje przywoływały go do matki dla przedsięwzięcia czegoś stanowczego na przyszłość. Nadzwyczaj drażliwy w prośbach za sobą, a przy tem łatwowierny, martwił się jednak, iż dotąd nic jeszcze nie wskórał u stryjaska. To też jednego dnia po obiedzie, gdy wyszli wszyscy do ogrodu na świeże wiśnie, zbliżył się do niego nieśmiało, i czując, że krew gwałtownie nadbiega mu do głowy, pocałował go w rękę prosząc o chwilę rozmowy.

– A dobrze, dobrze, łaskawy mój bratunku; – choćby pół dnia mogę ci poświęcić! Proszę bardzo, mów śmiało; no cóż to tak ważnego? – i postawiwszy koszyk z wiśniami pod oknem domostwa, wziął go za rękę prowadząc w głąb ogrodu.

– Otóż proszę stryjaska kochanego–przemówił

całując znów jego rękę, Józio—stryjaszek wie jak to teraz ciężko o grosz...

– A któżby więcej o tem wiedział jak ja, mój kochany, drogi bratunku! ja, co to wylazły z biedy, ot tak z niczego—przerwał mu pan Tadeusz^ odskakując na bok i recytując prędko, bez namysłu: ^ Oh, prawda, prawda, ciężko o grosz: co przyjdzie, to pójdzie! a tu dawaj, a tu płąć, a tu posyłaj...

– A ja skończyłem szkoły – ciągnął dalej Józio—jak to stryj wie, po biednemu, ledwie, przele- dwie...

– "Właśnie to dobrze, właśnie tak być powinno! Z biedy człek pocziwy, mój Józiu, nauczy się szanować grosza, nie będzie tedy putał; tak, tak, ja mojego Stanisława tak samo pokieruję: niech się uczy pracować, a będzie pocziwym, zacnym i mądrym, jak ty, moje dziecko.

– Widzi stryjaszek dobrodziej, jabym to chciał pojechać...

– Ozy ci tu źle? – zawołał niby obrażony pan Tadeusz odskakując na bok, i patrząc z pe^nyra wyrzutem na młodego chłopca—Oh! jeżeli mię kochasz, jeżeli mi dobrze życzysz, jakem rodzony brat twego pocziwego a nieszczęśliwego ojca, nie pojedziesz! 4 toć ja odżyłem przy tobie, moje dziecko; na wsi podetrze zdrowe, ja cię zabawię; bój się Boga, nie rób mi tej przykrości, nie jedź!

– Ależ wszystko to dobrze, kochany stryj aszku, rad mi jesteś, widzę to dobrze i wdzięczem ci jestem nieskończenie, ależ przecie tak beczynnem siedzieć tu nie mogę.

– Jako beczynnem? Nie bój się bratku, znajdę

ja ci tu robotę; u nas, na'wsi, mój kochany Józieczku, dwuletnie dziecko przydatne, a cóż dopiero taki wykształcony, dorodny, zdolny młodzieniec!? Czy ci to nie smakuje, he, co – mówił dalej, patrząc figlarnie w zasmuconą twarz Józia–ale nie bój się, przecieżąć cię nie będę; kiedy zechcesz odjedziesz do matki, koni dam do Częstochowy: no i cóż ty na to?

– O mój stryjasku kochany, jabym tu siedział i Bóg wie dokąd–odrzekł, rozrzewniony taką czułością, młody Żarski.–Ręczę, że i w raju lepiejby mi nie było, ale przecież potrzeba coś przedsięwziąć dla ustalenia sobie losu; takie siedzenie na wsi na nic mi się nie przyda, gospodarzem, proszę stryja, nie będę, bo na to trzeba majątku, a ja...

– Tak, tak, tak, tylko coś mi z ust wyjął to samo–przerwał znów pan Tadeusz całując go w głowę.– To mi z przeproszeniem rozum, to główka! Masz ra- cyę, uciekaj od gospodarstwa: gospodarstwo, to kłopot, gospodarstwo, to morderstwo; – pracuj całe życie, zabiegaj, męcz się, utyskuj, a zawsze bieda; tu urwij, tam nadstaw, tu klęska, tam pożar–nie masz-to, z przeproszeniem jak urzędowanie!

– Ja też tak chcę zrobić, kochany stryju, tylko to z początku trudno...

– A co łatwego z początku, proszę ja cię, powiedz, co? Wszystko trzeba zdobywać w pocie czoła, w mozole, w niedostatku; już-to przeznaczenie takie biednych, mój bratku. Samo z siebie nic się nie robi, oho, wiem ja to dobrze, ale zabiegać, szukać, przemyśli- wać, pracować...

– Ja też tylko pracy szukam, mój stryjasku.

– Wiem, wiem, mój drogi, kochany Józieczku;

nie bój się, ja, z przeproszeniem twojem, z pierwszego rzutu oka, każdego ci durch odgadnę,

– Otóż widzi stryjaszek, chciałbym jechać do Warszawy!

– A wybornissime! niema co mówić, to mi projekt! – krzyknął, dając swym palcom głośnego całuska pan Tadeusz.–No, proszę, czy może być co lepszego?– A to jak ja widzę u ciebie, z przeproszeniem, głowa nie od prezenty. Tak, tak Józieczku, niema jak przy wielkim ołtarzu. Tam, z przeproszeniem, posady, tytuły, pensye, słyszę, jak grad lecą na głowy. Oobyś ty tu robił, dobry Józiu, na prowincyi? zmarnowałbyś na ni- czem młode lata, ani-by to kto wiedział, ani ocenił. A tam co innego; przy twej zdolności, pójdiesz wysoko! oho, mój bratku, znam ja to dobrze, wspomnisz moje słowa, pamiętaj!

Rozrzewniony i ucieszony młodzieniec tak piękną przepowiednią stryj aszka, znowu musnął go w obie ręce, pan Tadeusz oddał to w trójnasób jego głowie, zakreślił się jakby chciał odejść po zostawiony koszyk z wiśniami, lecz Józio znowu porwał go za rękę mówiąc:

– Mój kochany stryjaszku, skoro już tak dobry jesteś dla mnie i pochwalasz moje zamiary, proszę cię nie odrzuć mej jedynej prośby.

– Choćby tysiąca, kochanie, mów, nie bój się; czem będę mógł, dopomogę: no, słucham.

– Oto, proszę stryja, w Warszawie tak samemu, bez opieki, bez znajomych, bez zasób...

– Masz rację – odrzekł, prędzej niż zwykle pan Tomasz–prawda, niema co powiedzieć.

– Więc prosiłbym...

- – Poczekaj, poczekaj, niechno pomyślę.

- O jakie...
- Czekajno, Józieczku, czekaj, mówił trącając go w rękę.—Mam, mam, dobrze, wybornissime, znalazłem... Napiszę ci list do mego przyjaciela znajomego, urzędnika w Warszawie. Doskonale się też trafiło, żeś mi przypomniał: oto widzisz, mój bratku, przed miesiącem rachimistrz ogniowy z naszego powiatu, przeniósł się tam na jakąś znaczną posadę; napiszę do niego, on ci wszystko ułatwi lepiej jak ja sam, co Bóg widzi jak ci dobrze życzę. Nie może być nic lepszego; tak, tak, on mi nawet jest obowiązany trochę; musi ci dopomódz; dopomoże niezawodnie; umieści cię przy sobie w biurze, on tam ma wielkie wpływy. Widzisz, jego żona, to córka jakiegoś radcy czy naczelnika, bo dalibóg już nie pamiętam.
- Dziękuję ci, mój dobry stryjaszku, dziękuję serdecznie—odrzekł zakłopotany Józio—ale jabym jeszcze śmiało prosić przynajmniej o pożyczenie coś na drogę do Warszawy.
- Z miłą chęcią, moje dziecko, co chcesz dam; może tłomoka? Mam aż cztery, nawet daruję jeden; żona ci każe upiec kilka kapłonów i chleba ci włoży, a jeżeli chcesz to i wódki, tylko młodym nie życzyłbym zaprawiać się do gorących trunków, bo to na starość, mój Józiu, wszystko się odezwie, oj odezwie—dokończył westchnąwszy.
- Kiedy to, proszę stryja—przerwał bratunek— nie o...
- Rozumiem, rozumiem, kochanku; nie ma się czego wstydzić, myśmy wszyscy biedni; co tam ceremonie, weźmiesz i kwita. Ja to wiem, jak się ze szkół wychodzi, wszystkiego brakuje.

– Ale bo to jeszcze i nie o to...

– I to wiem, i to wiem, mój Józieczku; nie bój się, przecież ja to nie od dziś żyję na świecie: było się różnie i na wozie i pod wozem. Znam to doskonale, że tam i garderoby niewiele, i bielizny, że w studenckim surduciku jakoś nie aproposito się też znajdzie co w do-

mu, choć nie świetne, nie bogate, ale przerobiwszy, połatawszy, jeszcze się opędzi czas niejaki. Moje dziecko jak można, tak trzeba pchać biedę. No, jakże?—zapytał widząc stojącego ze spuszczoną głową chłopczykę, i szukając sposobności wymknięcia się od niego—a kiedyż to tak naprawdę chciałbyś jechać?

– Choćby i jutro, kochany stryjaczku.

– Jutro, nie może być, cóż ci tak pilnego, posiedzisz z nami; nie smuć się, wszystko pójdzie dobrze. Ja kiedyś byłem w twoim wieku, to dla mnie niczem ot taki mur przeskoczyć! Bodaj to młodość, Józieczku! Ale co do tej jazdy—ciągnął westchnąwszy głęboko—to ja ci tu dam ze wsi parę koników jak ogień; ani się spostrzeżesz kiedy staniesz w Częstochowie, a tam furmanek bez liku, za parę złotych odwiozą cię do Pińczowa i lepiej i wygodniej. Ja, widzisz, jutro bo muszę wyjechać do powiatu: dyabli tam nadali—mówił drapiąc się niesmacznie po głowie — że trzeba oto stawić się w sądzie, a tu, mój drogi, może się znudzisz bezemnie, co? No, ale ja wrócę nazajutrz, konie dla ciebie zapowiem, żona ci tam przygotowuje różnych materklasów.

– Ależ ja i funduszków żadnych nie mam, stryjaczku.

– Cierpliwości, cierpliwości.

– Żeby to stryj był łaskaw co pożyczyć, a ja

przysięgam, co do grosza oddam stryjaskowi—wyrzekł pocichu i nieśmiało Żarski, chcąc mu upaść do nóg.

— A, jakie to gorączki z tych młodych ludzi!— zawołał podnosząc go z ziemi i tuląc w swoich ramionach.—Wszystko muszą wygadać zaraz. Mój kochany, ja sam pojmuję może lepiej od ciebie, z przeproszeniem twojem, co ci potrzeba; nie bój się, nie zapomnę, nie zapomnę. A jakie to dumne, pożyczyć, pożyczyć, jakby ci kto mówił o oddaniu.—Pięknie to być ambitnym, mój Józieczku, ale nie ze stryjem; po co te ceregiele, wszakże majątku nie masz: prawda?

— Prawda, proszę stryja, ale przecież kiedyś coś będę miał.

— Kiedy to będzie, kiedy, gruszki na wierzbie, a tymczasem trzeba teraz. Ja sam niebogaty, dzieci sześcioro, w długach po uszy, ale co będę mógł dam, dopomogę; bo widzisz i twój ojciec tak zemną robił: sam mało co miał, a przysyłał po kilka złotych. O! nie- oszacowany to braciszek, mój Józiu; niech mu tam Bóg Przenajświętszy za to wynagrodzi. — No, teraz idź do żony, do Stasia, zabawcie się; a dużo wiśni nie jedz, bo febra na pogotowiu; ja polecę do dwora, trzeba zaj- rzyć w pole. Znasz przysłowie: "pańskie oko konia tuczy." Nie dziękuj, kochanie, nie dziękuj—mówił rozczulony wrywając swą rękę od ust Józia — niema za co, niema za co, jak ci się powiedzie, to podziękujesz wtedy.

I zakręciwszy się żwawo, jakby żałował marnie strawionego czasu, pobiegł ku domowi, zostawiwszy w ogrodzie uszczęśliwionego tak pomyślnie ukończonym interesem młodzieńca.

– Przecie też choć raz mi się powiodło – mówił do siebie nasz bohater, zmierzając ku stryjence. – No, to już spokojny jestem o początek; później dam sobie jakoś radę. Najświętsza Panna widać wysłuchała próśb moich i matki: pocziwy stryjaszek, wyborne serce, a jaki delikatny, jaki troskliwy, jaki uprzedzający, niech mu tam Bóg wynagrodzi za tę pomoc udzieloną sierocie. A jak się to dobre matczysko ucieszy! – O chciałbym jak najprędzej być przy niej i dowieść, że są jeszcze litośne serca na ziemi, że nie wszyscy bogaci krewni zapominają o swych kuzynkach. Wyborne, szczęśliwie, pojedę do Warszawy, a tam tak będę pracował, tak się będę starał przypodobać zwierzchnikom

1 starszym, że muszę zwrócić ich uwagę na siebie; a wtedy dadzą pensję, mamunię sprowadzę i będziemy sobie żyć wygodnie, szczęśliwie. Andzi się trafi jaki porządny człowiek, wyprawę kupię, wydám i da Bóg dobrze będzie.

Otóż tak się zaspokoiwszy, młody Żarski, jakoś inaczej spoglądał dokoła: niebo zdawało mu się piękniejszą przybierać barwę, słońce wspanialej świeciło, ptaszki weselej kwiliły, kwiaty wymowniej patrzyły; wszystko się doń ńśmiechało samą nadzieją, samem szczęściem. Nawet i poważna stryjenka miała coś w sobie przyciągającego, uroczo poważnego, że dopiero teraz zaczął ją kochać prawdziwie i oceniać jej kłopotliwe gospodarskie zabiegi. A stryj sam to anioł w ludz-kiem ciele, to ideał poświęcenia, prawości i uczciwości, czołem tylko bić przed nim, całować ślady szlachetnych stóp jego.

Widzicie więc łaskawi czytelnicy, jak to mało potrzeba młodemu sercu do prawdziwego uszczęśliwienia.

Byle okruszyna współczucia, byle jedno słowo choćby udanej pociechy, byle isierka jakiejś nadziei w przyszłości, już mu wystarczy, już go podniesie i uzbroi do najsroźszej walki w tem życiu. A jednakże i na to trudno się zdobyć niejednemu! Dobrego słowa pożałuje, choć za nie płacić niepotrzeba, próby nie przyjmie, jeszcze złaże, wykrzyczy za chwilę natręctwa, za odezwanie się do jego szlachetnej strony serca. Lecz gdyby jeden i drugi taki protektor wiedział, jakie to wprzody męczarnie i walkę z upokorzeniem przejść musi biedny proszący, gdyby zajrzał w jego duszę i zobaczył jle go to kosztuje ten jałmużniczy krok pokory, pewnoby nie kazał wyrzucać za drzwi ubogich natrętów!

Następny dzień przeszedł Józiovi bardzo szczęśliwie: jakoś z dobrą myślą rozmiłował się we wsi, żałował, że tak prędko zmuszony jest opuścić kochanego stryjaska i to piękne niebo i te pola, lasy, łąki, wśród których ujrział pierwsze światło dzienne, na które patrzył całe lata dzieciństwa, na których wykształcił swe czucie i serce i które kochał najgorętszą miłością swojskiego zakątka. Stryj jak powiedział, wyjechał do miasteczka, a pani stryjenka od rana do zmierzchu krzątała się coś żywiej niż zwykle, dobywała z kufrów bieliznę, garderobę, przeglądała, odkładała, pakując spore zawiniątko, a w kuchni pod wieczór, kilka uśmierconych kapłonów skwierczało przeraźliwie na rożnie, roztaczając aromatyczną woń, łechcącą podniebienia przebywającej tam czeladzi.

Późno w nocy wrócił pan Tadeusz z miasta, a nazajutrz rychło świt, przebudził naszego bohatera przypominając, że konie czekają przed gankiem.—W istocie para wiejskich szkapiąt, a raczej para kotów uprzężona 1

do małego wózczyzny o jednym półkoszku, wcale nie ogniście jak obiecywał pan Tadeusz zaszła przededwór. Usłano siedzenie, wypakowano mały skórzany tłomoczek, połatany różnej wielkości i koloru kawałkami skóry, przewiązany starym postronkiem dla braku sprzączek, ustawiono na przodzie dość spory koszyk sianem obłożony, a woźnica, już stary chłopek w podartej sukmanie i boso, siadając, po kilkakroć z całej siły, ugniatał paniczowi siedzenie.

Tymczasem w kancelaryi samego stryjaska, Józio wypił już dwie ogromne szklanice kawy, pan Tadeusz zapieczętował list protekcyjny do owego znajomego w Warszawie dygnitarza, i oddając go bratankowi, mówił prędko, zacierając ręce:

– Z tem, jak z cyrografem możesz jechać na pewno, ja tam napisałem, jak za rodzonym dzieckiem lepiej nie można. U niego będziesz miał pewno i stół, i stancję, i pomoc, bo jak ci powiedziałem wczoraj, to człek jedynej poczciwości, mój najlepszy, najdroższy przyjaciel.

Józio znów musnął go w rękę, pan Tadeusz przytulił serdecznie do piersi, ucałował w głowę po kilkakroć i wyprowadziwszy go na ganek krzyknął:

– A co, nie powiedziałem, że tęgą będziesz miał jazdę?! Patrzaj, konie tylko co nie wyskoczą, jakie be- stye ogniste, hę; królewska jazda, powiadam ci, królewska! – A widząc, że Józio nie podziela coś jego zdania oglądając posmutniałe konięta, dodał:–Nie zważaj, kochanie, że one tak małe i niepozorne, jużto, z przeproszeniem, taka rasa, i arabskie, słyszę, niewielkie koniki, a najchybsze w świecie. A ty Bartku–mówił zwracając się do wiążącego łokciowej długości batożek woźni

cy—śmigaj żwawo, nie żałuj, wal z biczem kiedy będziesz wjeżdżał do jakiej wsi lub miasta, bo wiesz, że wiesz mojego drogiego, kochanego bratanka. No, wsiadajże, wsiadaj, mój ty Józieczku, niech ci tam Bóg błogosławi, i szczęśliwie dalej prowadzi, niech ci tam wszystko płynie jak mleko; pracuj kochanie, staraj się, a pójdzie to dobrze. O mnie też nie zapominaj, gdzie tam zajedziesz, napisz jak ci tam poszła droga, jak ci się tam powiedzie; bo widzisz, każda drobnostka twego życia, tak samo mnie obchodzi jak własnych dzieci. Matkę ucałuj, uściskaj i powiedz, że mam serdeczny żal do niej. A może się kiedy wybierze do Częstochowy na odpust, więc niech tam nie opuści ubogiego dworka brata nieboszczyka męża.

Rozrzewnionemu Józiowi taką życzliwością stryja, łzy puściły się z oczu, upadł mu do nóg, całując jego kolana, stryjenkę pocałował serdecznie w obie ręce, a ona żegnając go kiwnięciem ręki, szepnęła do ucha poważnie:

– Nie zapomnij też odesłać koszyka, i garczka z masłem nie potłucz.

Dzieci jeszcze spały, więc kazawszy je uściskać stryjowi, wsiadł nasz bohater do wózka, podtrzymywany za rękę przez pana Tadeusza, który całując go jeszcze, poprawiając siedzenie i upominając furmana, wyjął z kieszeni szlafroka dość sporą owiniętą w bibułę i sznurkiem przewiazaną paczkę, a zawoławszy "ruszaj!" wetknął ją w rękę rozrzewnionemu chłopcu.

Koniki podcięte batem, wyprężyły się dość leniwo, ruszyły drobnym kłusem, a Józio z oczami łez pełnymi i głową zwróconą ku gankowi, wyjechał za bramę. Stryjaszek póki tylko mógł dojrzeć oddalającą się wóz-

czynę, stał ciągle przed sienią, zasyłając czule pożegnania to głową, to ręką, to chustką, a kiedy zobaczył, że już skręca się za pobliską górkę, splunął głośno, zatarł ręce i wróciwszy do pokoju, szepnął do siebie:

– A przecież też dyabli go wzięli; o mało że mi się tu na kark nie wpakował! Śliczne rzeczy, jabym jlszcze miał żywió takiego drągala. A co się udało, to udało, zwyczajnie, głupie cielątko; pal dyabli już i tło- moczek i starzyznę: bodajto z takimi mieć zawsze do roboty. J

‡ Koniki biegły dość żywym truchtem, Józio przecierając oczy trzymał ową paczkę, zawierającą całe jego przyszłe szczęście, całą zapomogę, i ważąc ją w rękach, czekał póki stryjaszek nie zejdzie z ganku. Ledwo że wózek zakręcił na prawo, ciekawy, niespokojny, rozwiązał szybko krępujące, ją sznurki, i z niezwykłym biciem serca, odrzucał arkusz za arkuszem sonej bibuły aby się dostać do owych skarbów. Lecz jakież było jego zdziwienie, gdy zamiast spodziewanych biletów lub brzęczącego srebra, ujrzał sztuczkę czarnej ordynarnej mory, snać na kamizelkę przeznaczoną. Rozpostarł ją więc z jakimś gorączkowym drżeniem, i spostrzegłszy w środku mały zwitek białego papieru, porwał go i otworzył i o zgrozo! dwa oberżnięte holenderskie dukaty wysunęły się na jego kolana. W pierwszym gniewie i oburzeniu, kazał wracać do dworu, aby oddać wspaniałomyślnemu stryjaszkowi dar tyle szacowny, lecz rozmyśliwszy się iżby na tem nic nie wskórał, a może i obraził go bardzo, przytem wspomniawszy, iż nie mógłby nawet spojrzeć śmiało w tę twarz pełną obłudnej serdeczności, postanowił zajechawszy do Często

chowy, napisać list z porządną, dozą wyrzutów, i odesłać napowrót wszystkie przedmioty jego hojności.

Ale do owej Częstochowy było pięć mil, jakto mówią obłożnych, słońce zaczęło mocniej dopiekać, konięta się zgrzały potężnie, a zatem trzeba było zsiąść z wózka i per pedes apostolorum maszerować aż do pierwszego popasu.

Oj! przykro to było biednemu Józiowi, żegnać się z całym gmachem urojonej przyszłości, zbudowanym na tak śliskiej podstawie współczucia stryjaska!—Ostatnia jego nadzieja, ostatni szczebel po którym mógł wstąpić do owego przyładku przyszłej pomyślności, zniknęły bezpowrotnie, zostawując na dnie jego duszy zimną rzeczywistość patrzącą nań wielkimi oczami niedostatku, szydzącą z jego pracy, z jego zamiarów i nadziei. A ten wczorajszy złoty, uśmiechnięty i całujący stryjasek, jakże ranił swoim wspomnieniem serce chłopaka?!

— Oh! jakież ja byłem nierozsądny—mówił do siebie spacerując obok wózczyzny — żem łudził sam siebie tak dalece, spodziewając się jakiejś pomocy od ludzi, a zwłaszcza od krewnych. A nibym to już doświadczony, wypróbowany, skończony młodzieniec! No i cóż zyskałem na prośbach? chwilę ułudnego szczęścia, a wieki rozczarowań i zawodu. Nie masz jak praca własna, nie masz jak sztuka obejścia się bez cudzej łaski! Tak, tak, obejdę się bez was podli, nikczemni, obłudni, bez serca! Sam, sam, własną piersią, własnym potem muszę zapewnić sobie byt niezależny od waszej szczodrośliwości; choćbym miał skonać przy wykonaniu tego zamiaru, choćbym się miał zapracować, zabić przyszłość i zginąć marnie walcząc z niedolą—nie

ustąpię, i przekonam was wszystkich, że większą jest moja wytrwałość niż wasze dobrodziejstwa!

I wyprostowawszy się jak ów jeleń, gdy ma się puścić w zapasy z wiatrami, rozpromienił jakąś dziwną energią pałające oko, wznosił głowę do góry, i z całą mocą przedsiębiorczego ducha, zawołał:

– Ty, Panie, dopomożesz mi w tem przedsięwzięciu, boś Ty, jedyny ojciec, biednych i utrapionych. Ty, sam byłeś Bogiem; a jednak mało znalazłeś współcierpiących. Dałeś mi dożyć tego wieku, dałeś mi cząstkę Twego bóstwa, dałeś zdrowe ręce i szczerą wolę, więc nie dopuścisz zaguby wiernego Ci dziecięcia!

Przyjechawszy do Częstochowy, wzmocniony poprzednią rezygnacją, napisał treściwy list do stryja, odesłał cały zapas danych mu podarków i tak zakończył:

“Niech ci tam Bóg nie pamięta^ mój stryju, takiego postępuku z biednym sierotą. – Zegnaj cię po raz ostatni, zegnaj bez tęsknoty, ale i bez żalu; odtąd będę obcym dla ciebie, nie odezwę się do twej łaski, bo i tak już zanadto dłużnym ci pozostanę za tę wyborną lekcję poznawania ludzi, i za to odwdzięczenie się bratankowi za dobrodziejstwa jego ojca tobie wyświadczone. Lecz jeśli kiedy w życiu mogę ci być w czem pomocnym, wspomnij, że masz bratanka, który pójdzie śladem poczciwego ojca, i z czem będzie mógł, pośpieszy na twoje usługi!”

Załatwiwszy tym sposobem interes ze stryjaszkiem, zapłaciwszy chłopka, po wielu kłopotach, przesiadywania ch i niewygodach dorywczej podróży, dostał się wreszcie do matki. Poczciwa Żarska już dobrze teraz podstarzała, z całym gorączkowym wylaniem się macie

rzyńskiej miłości przyjęła jedynaka. Zaraz na wstępie zarzuciła go tysiącem zapytań o stryja, stryjenkę:

– A jakże tam, a cóż tam, przyjęli cię, wspomogli, gadajże, u Boga, bo ja tu mrę z niecierpliwości?!

– Moja kochana mamuniu – odrzekł smutnie lecz z pewnym lekceważeniem Józio–przyjęli obłudnie, oszukali niegodnie, i pozbyli się najzgrabniej w świecie. Ale ja tam drwię z ich pomocy, dam sobie radę, moja mamuniu: nie umrę z głodu.

– No i patrzajże, mój synu, tak mówisz, nic a nic nie dali, co?–pytała lękliwie kobieta.

– Dali mi, i to im odesłałem.

– A może i źle zrobił, synu, ambicya dobra, ale kto potrzebuje, powinien nagiąć trochę karku.

– Proszę mamuni, to co mi dał stryjasek, nicby mi nie pomogło, a tylko jeszcze przypominało ciągle przykre chwile mojego tam pobytu; wolałem się przeto obejść, i zaręczam, że z tego postępu stryj będzie niewymownie kontent. – I tu opowiedział jej szczegółowo całe przyjęcie, obejście się, serdeczną uprzejmość i wreszcie pokazał ów list rekomendacyjny do Warszawy mówiąc:–to może się i na co przyda: zobaczmy.

– O! że miał racją Jaś nieboszczyk, że się tam nigdy nie zgłaszał, to miał; widać znał go dobrze, a ja nierozsądna, jeszcze mu to ciągle wymawiała. No, i do czego to przyszło na świecie, mój synu; skoro rodzony stryj nie dopomoże, to któż się tu tobą zajmie?

– Ja sam, mamuniu, ja sam – odpowiedział, całując ją w rękę.

••– A dasz sobie-to radę, moje dziecko, taki młody, niedoświadczony, bez grosza.

– Nie bój się, mamunia, mam w Bogu nadzieję, nie zginę. Przecież mam lat blisko dwadzieścia, zdrowie, i z łaski mamuni jakąś naukę, więc pojedę czy pójdę do Warszawy i muszę wynaleść jakiś sposób do życia. Tylko trzebaby jutro być w Pińczowie, odwiedzić pocziwego profesora Koseckiego; on tu bywalec, rozsądny, pocziwy, ma stosunki, w Warszawie, może coś poradzi.

– To dobrze, mój Józiu, pojedziemy; ale jakże ty się ruszysz z domu bez pieniędzy, bez ubrania?

– Eh! albo mi to dużo potrzeba, proszę mamuni; zostało mi jeszcze ze 30 złotych, mundur każę przerobić na cywilny surducik, płaszcz mam jeszcze nie zły, bielizna ujdzie.

– A choćby zkąd pożyczyć, co? – zapytała matka – bo to do Warszawy mil 30, a tam drożyzna wielka i nie masz nikogo ze znajomych..

– Niepotrzeba, mamuniu, nie potrzeba. Bóg wie kiedybym mógł oddać, a mamuni to ciężkoby było.

– Prawda że ciężko; ale byto jakoś musiało się oddać potrochu. No, ja tu pomyślę o tem, nie turbuj się, bo wiem że mi ty to oddasz wszystko jak się sam dorobisz – dokończyła całując go w głowę. – Idź spać, idź; zmęczonyś, a jutro cię rano obudzę.

I pożegnawszy czule dobrą mateczkę, pokrzepiony stałą myślą udania się do Warszawy, usnął Józio smacznie, tak samo jak kiedyś przed sześciu laty na tem studenckiem łóżeczku, lecz pono nie z taką jak wprzódy dziecinną swobodą.

A. Wilczyński.–Tom VII.

Ten pan Kosecki, profesor matematyki przy szko- . le pińczowskiej, był-to jedyny człowiek w swoim rodzaju, jakiego dziś już bardzo rzadko gdzie napotkać można. Mały, szczuplutki, z zaczesanemi na wierzch dużej głowy kosmykami siwych włosów, ubierał się zawsze bacząc na wygodę, a nie ozdobę. Ztąd cały Pińczów znał go pod nazwą oryginała, a zatem i filozofa. Posiadał gruntownie sześć czy siedm obcych języków, mowa jego miała coś szypiącego, ostrego, szczególnie przy wymawianiu głoski r. Zwędrowawszy na własnych nogach kawał świata, przeżywszy w różnych kolejach lat blisko sześćdziesiąt, osłabł znacznie na zdrowiu i tylko cudem prawie trzymał się przy życiu. Mniemał on i dowodził, że tylko ruch jeden, życie czynne, mechaniczne, dotąd mu pomagało; więc też wynajdywał sobie różne przeróżne majsterki, piłował lub rąbał drzewo, grał w piłkę, stał przy tokarni: dość że wszystkie godziny wolne od zatrudnień szkolnych przepędzał albo w ogrodzie, albo w domu przy jakim warsztacie rzemieślniczym, których aż cztery posiadał. Jużto jako stary profesor matematyki, stał się nadzwyczajnym formalistą i drobnostkowym: każda rzecz choćby najmniejszej wagi, musiała być u niego zupełnie wykończoną. Mniej go znający przypisywali mu skąpstwo, które było tylko zwyczajną oszczędnością. Na wzór chińczyków starał się, ile możliwości, sam sobie wystarczać: dlatego i frak sobie uszył, i okulary zbudował i buty narządził i zegarek zreperował, a często gęsto i obiadem się zajął.

Dla młodszych uczniów, zwłaszcza nieuków, był prawdziwym biczem bożym, albowiem poty każdego męczył, póty uczył, pokazywał, dowodził, nawet i u siebie w mieszkaniu, że koniec końcem musiał wpakować do

głowy cały kurs arytmetyki lub geometrii. Ale zato z pilniejszymi przestawał za pan-brat: opowiadał im swoje wypadki, objaśniał zjawiska ciał niebieskich, choć ich wykład do tej klasy nie należał; prawil pocieszne dykteryjki, lub jakie zdarzenia historyczne, a to wszystko z taką, znajomością, rzeczy, tak dostępnie i popular- nił, że kochając go prawdziwie malcy, nie mogli się wy- dziwić, zkad tam w tej starej głowie profesora mogło się pomieścić tyle różnorodnych wiadomości.

Kiedy Źarski z matką przybyli do jego mieszkania, stary profesor tak sobie roznegliżowany, piłował ze sługą drzewo na dziedzińcu, podłożywszy jednak pod kolana czerwoną kraciastą chustkę.

J' – A kto to? – zapytał przysuwając rękę do oczu aby się lepiej przypatrzeć wchodzącym, a poznawszy Józia, zerwał się czemprędzj z ziemi i pobiegł ku niemu mówiąc: – A, to waćpan, panie Źarski? o jakże-bo mi się miewasz? proszę, proszę, do pokoju.

• I wprowadziwszy oboje, włożył stary frak granatowy z długimi po kostki prawie połami, zażył tabaki, chustkę na ręce przewiesił, i uśmiechając się z zajęciem przyglądał się wzniosłej postawie chłopaka.

– Jakto-bo wyrosło, z takiego ot maluczkiego Józia; no siadajże, tedy, a powiadaj jak ci się tam-bo, powodzi?

– Skończyłem szkoły – odrzekł nieśmiało Józef – i nie mam co robić, proszę pana profesora, dla tego przyszedłem prosić go o jaką radę.

– Pan profesor ma stosunki w Warszawie, a syn chciałby się tam udać – dodała matka.

– Eh! bo źle waćpaństwo trafiliście do mnie na

radę; kto sobie dotąd radzić nie umiał, to cóż innym pomoże?

– Dobre słowo, proszę pana profesora więcej znaczy, niż tysiące obłudnych przyrzeczeń – odrzekł Józio chcąc go pocałować w rękę. Lecz stary skoczył odeń jak oparzony chowając ręce za siebie.

– Dajno waćpan pokój z temi całusami – odrzekł śmiejąc się stary. – Czym ja to baba, żeby mnie cmokano po rękach; widać waćpan zapomniałeś o moich kaprysach. No, a jakże ci tam-bo, z matematyki, he?

– Miałem zawsze celujący.

At dobrze, dobrze, proszę waćpana; ja już dawno wiedziałem że tak będzie; bo kto z pod mojej nauki wyjdzie cały, dobry i porządny, wszędzie musi być także dobry i porządny. Ale tandem tedy, powiedzno mi co zamysłasz robić w Warszawie?

Starać się wejść gdzie do służby rządowej, i przy- tem pracować na utrzymanie.

– A masz-bo waćpan jakich tam krewnych lub opiekunów?

– Nikogo a nikogo.

– A fundusik wielki?

– Prawie żadnego.

– To będzie kiepsko, proszę cię, mój Żarski!

– Eh! da Bóg, mam nadzieję, że tam znajdę jaką robotę: może lekcyę, może \ przy adwokacie lub budowniczym; przecież-to Warszawa tak wielka, ludzi tyle, więc i roboty nie zabraknie; tylko prosiłbym pana profesora o jaki bilecik polecający do kogo ze znajomych, może mi w czem ułatwi z początku...

– At nie wiem, bo na co się tam moje listy przydać mogą?! Jużciż ja tam mam różnych przeróżnych

znajomych, kolegów, uczni nawet dziś wysoko położonych i bogatych, lecz wątpię aby moja protekcja coś u nich znaczyła. Widzisz-bo waćpan, ludzie bardzo prędko o drugich zapominają i jeszcze gotowi zgniewać się, że tam jakiś chudeusz, profesorzna matematyki, ś<iie odzywać się do ich pamięci.

– Z dziesięciu może choć jeden dobry się trafi i poratuje – odezwała się Żarska.

I o tem wątpię, proszę waćpani! Żeby oto syn waćpani, był jaki francuz, kucharz, niemiec, anglik, albo dobry berajter, to możeby-to, panie, przepłacono: ale swój, i to biedota, – ho, ho, to trudno będzie?!

– Proszę pana profesora, jać przecie nie potrzebuję ich pienniężnego wsparcia, ja chcę tylko rady ja- kićś, ułatwienia, życzliwości... – wymówił zapalając się nieco Józio.

– Ot waćpan, bo perorujesz, jak młodzienaszek, z kalendarza! – zawołał śmiejąc się stary. Patrząc na waćpana, zdaje mi się iż się przyglądam w zwierciadle przed trzydziestu laty. Słowo w słowo tak sobie kon- cypowałem puszczając się na trudną drogę życia.–Ale, ale... dziś, jak waćpan widzisz, czem jestem, hę?

– To też ja daleko nie sięgam z mojami życzeniami: byle jaki taki kącik, byle kawałek chleba i szklanka wody...

– Kiedy-bo żołądek pełny w tej chwili i surdu- cik na plecach, i zdrowie na usługi – przerwał śmiejąc się znowu profesor – łatwo znosić to czego jeszcze nie ma, a jak przyjdzie bieda?...

– To nietylko jej się nie dam, ale ją jeszcze rozumu nauczę! – krzyknął naiwnie z całą energią młodego wieku nasz Żarski.

– Chyba – przemówił pan Kosecki spoglądając uważniej na twarz młodzieńca – chyba – powtórzył kiwnąwszy głową i wciągając mocniej tabakę, a obróciwszy się do siedzącej w milczeniu ekonomowej, przemówił: – Waćpani syn, a mój uczeń będzie człowiekiem! Ja tak myślałem jak i on, dawniej; lecz przyznam się, opuściłem ręce, gdy mi się raz, drugi i trzeci nie powiodło: z nim inaczej będzie!

– A dziękuję, dziękuję łaskawemu panu za takie pocieszenie – odrzekła wesołej Żarska chcąc go pocałować w rękę, lecz stary znów jak oparzony odskoczył na bok mówiąc żartobliwie:

– Jak obserwuję, proszę waćpani, to oboje macie- bo żyłkę cackania; to nie modnie. – No, no, nie marszcz się waćpani, bo ja choć dziwak jestem, ale tym razem wcale nieprawdę mówię, lepiej oto powiedzcie mi otwarcie, w jakim-to stanie wasza kassa?

– Jeżeli prawdę mam powiedzieć łaskawemu panu – odrzekła rumieniąc się ekonomowa – to zamierzyłam sprzedać krowę i dać mu na drogę kilka dukatów, bo gotowizny prawie żadnej nie mamy.

– A ja nie chcę żadnej krowy, żadnych dukatów! – odezwał się gwałtownie Józio.

– A po jakimu to, proszę waćpana, hę! – krzyknął groźnie profesor, pukając palcem po jego czole. – Waćpan zapomniałeś już uszanowania dla matki? Co to znaczy ^a nie chcę?" – waćpan myślisz żeś urósł pod powalę, to możesz tu natrzasać się grubijańsko. Ostrożnie, ostrożnie, mój duży paniczku, bo my tu takiego rumaka potrafimy wziąć na uzdeczkę, żeby tak nie hasał!

Zawstydzony pan Józef takim wyrzutem starego profesora, i czując jego słusność, ucałował matkę po rękach, przeprosił ją najserdeczniej, oświadczając iż to wymknęło mu się nie w złej myśli, tylko niby z oburzenia na gotowość nowych dla niego poświęceń.

– Ale koniec końcem! – odezwał się już weselej profesor, – bo widzi waćpani, krowy teraz szkoda; na lato pasza łatwa, bydło przydatne; kiedyindziej korzy- stniejby ją można spieniężyć, a waćpani jak słyszałem, masz dobre krowy...

– Trzy skopce daje mleka na dzień – proszę łaskawego pana, a każdy po garncu, i to takie gęste jak Śmietana, i nigdy się...

– A widzisz waćpani, że szkoda – przerwał Ko- secki – i czybyto nie lepiej było pożyczyć gdzie?

– Otóż w tem bieda, proszę dobrego pana – wyrzekła kłaniając się pokornie Żarska – że nie wiem do kogo się z tem udać: od żydówbym nie chciała, bo trzeba i dać zastaw i procent duży...

– No, to siadajno panie Józefie i pisz co podyktuję! A położywszy przed nim arkusz papieru, wetknął mu pióro do ręki, mówiąc pisz: “Winien jestem, Karolowi Koseckiemu, prostym długiem, złotych polskich dwieście... wyraźnie, literami, dwieście...

– Kiedy ja tyle nie potrzebuję! – przerwał Józio wstając od stolika.

– Pisz-no mi-bo zaraz! – Waćpana rzecz robić to, co starsi każą i milczeć. – At, jak się to wyuczył tych ekskuz w Radomiu! – No, dwieście, – dyktował dalej przyciskając go ręką do krzesła – które obowiązuję się oddać wtedy, kiedy będę miał.!

– Ależ to być nie może, proszę pana profesora?!

– Kiedy profesor stary, waópanu mówi tak, to Waćpan ani mrumru; i choćby nawet kazano przez godzinę drzwiami skrzypieć, waćpan skrzyp!

– Niechże już, pan profesor, będzie tak dobry i oznaczy termin! – przerwał zakłopotany młodzieniec.

– A naco-bo termin! sumienie waćpana to termin!

– Zawszebym wolał... to jakoś przypomni...

– Słuchajno waćpan, panie Żarski—odezwał się poważnie profesor – przed chwilą chciałeś biedę uczyć rozumu, a jak obserwuję, waćpan sam niewiele go posiadasz! Kto myśli oddać, nie pyta o termin; chcesz wiary od drugich, ufaj im wprzódy. Widzisz waćpan, ja bo jestem stary dziwak i stary filut: jak mi tu będzie napisano: "oddam kiedy będę miał," niezawodnie oddasz, uręczam oddasz waćpan! No, podpisuj, bo nie mam czasu do stracenia, ot i obiad za pasem, a dwa klocki leżą caluteńkie jeszcze. Waćpan nie myśl, że ja dla niego robię tu jakieś dogodności – mówił, składając papier i chowając go do szuflady—ot, myliłbyś się pono. Stary skąpiec taki jak ja, nikomu nie dopomaga; uciulałem sobie kwotkę, nie mam gdzie schować, tu kradną naokoło, a w cudzem ręku pewniejsze.

I wydobywszy skórzany worek, odliczył stp dwuzłotówek, kazał je zebrać zdziwionemu Józiowi, a gdy stara Żarska chciała wystąpić z jakimś podziękowaniem, nie dał jej mówić, tylko kręcąc się niespokojnie po izbie z miną niezadowolenia, przeproszał iż niema czasu, że mu się śpieszy, zabrawszy więc tabakierkę, pierwszy wysunął się z pokoju.

– Jutro waćpan przyjdź tu po listy – mówił, za

mykając drzwi mieszkania. Teraz to z pewnością napiszę, bo jestem niejako współnikiem waćpana. Powiedzie ci się szczęśliwie, ot i mój kapitalik wróci do worka. Tymczasem dziękuję waćpaństwu za odwiedzenie, dziękuję waćpaństwu za pewną lokację pieniędzy, bywajcie mi zdrowi; waćpan prowadź się uczciwie, jak znajdziesz wolną chwilę napisz do starego profesora; matematyki nie wyrzucaj z głowy, bo matematyka uczy porządku i myślenia i działania, a kto zachowuje we wszystkim, porządek, nazywa się, proszę waćpana, porządnym człowiekiem!

I na tem zakończywszy rozmowę, sunął na podwórze piłować dalej swe kloce, gdy zdumieni niezwykłą jego pomocą, a zarazem dziwnym sposobem postępowania oboje Żarscy, pośpieszyli do siebie.

Józiowi wszystko to niejako snem się wydało: albowiem porównyując tę opryskliwą usłużność starego dziwaka z ową serdeczną życzliwością i całusami stryjaska, w głowę zachodził, jakto ludzie potrafią do tego stopnia zamydlić sobie oczy, że tych kochają któremiby należało pogardzać, a nienawidzą zasługujących na cześć i uwielbienie.

– "Widzi też mamunia, i ja myślałem że znam już dobrze ludzi, że z pierwszego rzutu potrafię ocenić ich wartość, odgadnąć charaktery, a tu jak się przekonywam, głupiutki sobie jestem.

– Tak, tak, mój synu, całe życie obcując z kim, jeszcze nie będziesz mógł sobie powiedzieć: "znam tego człowieka" bo niema na świecie dwóch sobie podobnych, jak niema listków jednakowych.

Na drugi dzień, listy były gotowe, lecz profesor

się nie pokazał. Przykro to było Józiewi, odjeżdżać nie pożegnawszy się z swym dobroczyńcą, lecz trudna rada, snąć tak chciał, a wolę jego przywykł oddawna szanować. Zapakowawszy się więc znowu na żydowską brykę, wysłuchawszy mszy świętej, ucałował ręce i nogi kochanej mamuni, i pojechał w świat szukać sobie przyszłego losu i szczęścia.

y.

Była to niedziela czy też inne święto uroczyste, pocziwa "Warszawa ustroiwszy się nadobnie, rozesłała na pokaz swe dziatki po wszystkich ulicach. Pełno złocistych karet z błyszczącymi zaprzęgami dzielnych ru- • maków, niezliczona liczba dorożek, powozików i bryczu- szek, mijało się tu i tam, unosząc szczęśliwe pary, szukające jakiegoś wytchnienia po tygodniowej mordującej pracy, a może i próżnowaniu. Tłumy mężczyzn, kobiet i dzieci, przybrane świątlnie, szeleszcząc jedwabiem, jaśniejąc odblaskiem kosztownych stroików i ładnych twarzączek, z całą majestatycznością zgrabnych ruchów właściwych naszym rodaczkom, sunęło poważnie chodnikami Nowego Świata, zdążając ku Szwajcarskiej dolinie, lub rozkosznym Łazienkom. Na każdej twarzączce czy twarzy, królował uśmiech rajskiego szczęścia i swobody; z każdego oka tryskało tyle życia, tyle za- dowolenia z siebie, tyle nieziemskiej jakiejś błogości, że patrząc na nich otworem płóciennej budy, nasz Józio uczuł odbicie tej rzeźwości w swem sercu, i powiedział sobie w duchu, iż niema na świecie weselszego miasta jak Warszawa, niema życia jak tylko tam, gdzie mieszkają ludzie tak bogaci, śmiejący się, a zatém szczęśliwi.

Jeden z jego kolegów radomskich, chłopiec nie bo

gaty wprowadzie lecz też i nie biedny, już od miesiąca przebywał w Warszawie; do niego więc jako jedynie znajomej sobie istoty, zamierzył udać się nasz bohater. Po wielu szukaniach i dopytywaniach, trafił wreszcie na ulicę Freta, zniósł małe zawiniątka, i uszczęśliwiony serdecznym przyjęciem kolegi, przytem czując dwieście złotych w kieszeni, sumę jakiej nigdy nie posiadał, sądził, że wszystko pójdzie mu jak z płatka.

W pierwszych dniach po swoim przybyciu, nic jeszcze nie przedsięwziął stanowczego; bo ile razy wyszedł na ulicę, spotykał mnóstwo przedmiotów zupełnie mu nieznanych, które musiał szczegółowo pooglądać. Wstępował więc do kościołów, czytał nagrobki, podziwiał piękność ozdób architektonicznych, stawał przed sklepami, pytał kolegi o nazwiska i użytek różnych przeróżnych gracików zastawionych ponętnie w oknach, przeglądał ryciny, gapił się na przejeżdżających i przechodzących; wszystko mu się podobało, wszystko chciałby posiadać, na wszystko patrzeć bez końca: zwyczajnie, odbywał kurs parafiańskijsj gapiologii, z którym-to i dziś niebardzo trudno napotkać się w Warszawie.

Ten jego przyjaciel i kolega, jako dawniej już przebywający, a zatem więcej wtajemniczony w życie naszego miasta, mustrował biednego chłopca na wszystkie strony. Dąsał się niemiłosiernie, gdy ten wskazywał palcem na jakie przedmioty lub osoby, kazał mu zaraz sprawić sobie kapelusz, laskę, rękawiczki, zapinki, i inne drobnostki należące do garderoby męskiej, a dla warszawskiego eleganta niezbędne; wodził go po cukierniach, kawiarniach, ogródkach i tym podobnych miejscach publicznych; sam mu wiązał modnie chustkę na

szy, poprawiał kołnierzyki, a co wieczór zachęcał da teatru.

Prostodusznemu Józiowi, taka nowość i rozmaitość nadzwyczaj smakowała; nie przywykły do odbywania pieszo długich spacerów, wynajmował dorożki i rozsiedział się pompatycznie w zielono malowanym powozie, myślał, iż wszyscy nań patrzeć muszą z podziwieniem i zazdrością. Dwuzłotówki jedna za drugą wysuwały się szybko ze skórzanej sakiewki, Józio nie liczył reszty, nie pomyślał nawet o tym co wydawał; widocznie, żyłka utajonej próżności zadrgała w jego umyśle, a wewnętrzne przekonanie o wielkości i nieprzebraniu swych dwustu złotych, ani przypuściło krytycznego następstwa. Zresztą w rozmarzonej głowie dwudziestoletniego młodzieńca, choć już kilka razy zawiedzionego w swych oczekiwaniach, znowu zaświtała jakaś nadzieja pomyślności gasząc dawniejsze przykre wspomnienia, ba oglądając coś ze sześć opieczętowanych listów protekcyjnych, i mając szczerą chęć do pracy, był pewnym najlepszego skutku swych starań.

Po tygodniowym tedy przeglądzie Warszawy, gdy już oswoił się nieco z tym hukiem i gwarem naszego miasta, gdy bez zawrotu głowy i długich dopytywań, mógł swobodnie trafić z przed kolumny Zygmunta na ulicę Freta gdzie mieszkał, przystroiwszy się w co miał najlepszego, z dobrą miną i lepszą jeszcze ufnością w swe listy, udał się naprzód do owego znacznego urzędnika i zarazem serdecznego przyjaciela pana Tadeusza.

Adres był wypisany na kopercie, więc nie szukając długo, zaszedł na Leszno i śmiało zadzwonił do drzwi w oficynie. Jakiś męczyzna szczuplutki, wysoki, otwo

rzył mu drzwi przedpokoju, i wzięwszy list do ręki, złamał pieczętkę, prosząc naszego Józia do salonu.

W miarę czytania, spoglądał ukradkiem na stojące go pokornie przy drzwiach chłopczynę, a gdy skończył, uśmiechnął się dośó poważnie, podał mu rękę, którą młody Żarski za koniec tylko palców uściskał i bardzo grzecznie zapraszał do siedzenia.

- To pan chcesz się ulokować w Warszawie?– zapytał patrząc mu w oczy.
- A tak, proszę w. pana – odrzekł Żarski, powstając z krzesła.
- Ale siedźno pan, siedź! Dobrze, dobrze, mój panie, wszystko się to zrobi; stryj pański pisze mi tu bardzo pochlebnie o panu, a ja, nie chwaląc się, mam dużo stosunków w Warszawie, więc mi to z największą łatwością przyjdzie.
- Dziękuję, bardzo dziękuję – mówił uszczęśliwiony Józio, chcąc go pocałować w rękę.
- Nie dziękujno pan, nie, to bagatela; tylko powiedzno pan, gdzie chcesz, bo mnie wszystko jedno, tu, czy tam...
- Chciałbym gdzie w jakiej wyższej władzy, np. której z komisji.
- Bardzo dobrze, bardzo dobrze, mój panie Żarski, z największą chęcią. A masz pan swoje papiery?
- Mam – odrzekł, wydobywając patent szkolny, metrykę i inne świadectwa.
- A próbę pisma?
- O tem nie wiedziałem.
- No, to przyjdź pan jutro o godzinie dziesiątej z rana, napiszesz mi tu jaki kawałek, bo widzisz, mój panie Żarski, to koniecznie potrzebne.

- Dobrze w. panie, stawię się jutro.
- A ładnie pisziesz? – przemówił, powstając z krzesła.
- W szkołach to mnie i chwalono – odpowiedział nieśmiało Józef – ale nie wiem czy się panu spodoba.
- No zobaczymy, spodziewam się, że dobrze będzie; bądź pan spokojny, przyjdź jutro; może i obiadek będziesz łaskaw zjeść z nami, pewno w traktyerni się stołujesz...
- Tak jest, w traktyerni, i skoro pan tak łaskaw dziękuję bardzo...
- I pożegnawszy uprzejmie nowego dobrodzieja, uszczęśliwiony pobiegł do domu.
- Nie tak dyabeł straszny jak go malują! – zawołał wpadając do pokoju.
- No i cóż, jakże poszło? – zapytał kolega.
- Dobrze, wszystko skończone.
- I gdzie się umieścisz?
- Jeszcze nie wiem gdzie, ale powiedział mi ten pan, że się to zrobi, że mogę być spokojnym. Tylko jutro kazał przyjść na próbę pisma; wiesz, bardzo grzeczny, miły, prosił siedzieć a nawet i jutro na obiad...
- A chwała Bogu, wiesz ci tedy! A teraz skoro ci tak gładko poszedł interes – odezwał się wesół koleżka – wiesz co, mieszkaj ze mną, kup sobie trochę mebli, oporządź się jako-tako.
- Bardzo dobrze, mój kochany, ja też miałem cię o to prosić – pójdźmy zaraz kupić łóżko, stolik, parę krzesłek; niewiele mam pieniędzy, ale co mi tam po nich...

I w wypełnieniu tak szczęśliwie powziętej myśli, pobiegli do żydków, kupili kilka starych gratów, ustawili w pokoju, z wielkiem nadwężeniem skórzanej Józia sakiewki, w której pono niewiele już zostało profesorskich dwuzłotówek.

Nazajutrz, młody Żarski stawiał się na oznaczoną godzinę; pan protektor przyjął go jeszcze łaskawiej, zasadził do stolika, i nasz bohater niby na próbę, zapisał coś ze sześć arkuszy próśb i różnej treści podań; gdyż ten, według stryjaska znaczny urzędnik, był to sobie poprostu spadły z etatu rachmistrz, trudniący się ułatwianiem różnych prywatnych interesów, aby jako-tako wyżywić się z dość liczną rodziną. Podobnie jak Józia, z najzimniejszą krwią i niezwykłą powagą, zwodził biednych interesantów, których los, lub przyjaciele napędzili w jego sieci. Kręcił, motał, obiecywał, zapewniał najuroczyściej, aby tylko dostać jakiegobądź zaliczenie. Zamiast więc przyrzeczonego obiadu, skończyło się na skromniutkim śniadanku.

Na drugi i trzeci dzień, powtórzyło się toż samo, prób pisma trzeba było coraz więcej, radcy go bardzo chwalili, posada płatna za kilka dni nawet miała być gotową dla młodego pracownika, tylko jeszcze drobne przeszkody, jak choroba naczelnika, wyjazd, zatrudnienia i t. p. nieco opóźniały ten interes.

Uszczęśliwiony Józio, jak to mówią, sadził się na ładne pismo: kamieniem siedział u pana protektora, wyroki nie wyroki, pozwy, prośby, komplianacye, kopie rozmaite, jak z maszyny, wypadały szybko z pod ręki Żarskiego.

Już czas podobnej próby trwał ze dwa tygodnie, gdy jednego dnia wróciwszy protektor z miasta, z we

selszą miną niż zwykle, powitał naszego Józia donosząc, iż sam radca wziął jego papiery do siebie, że jutro napiszą prośbę do niego, i że znalazł mu bardzo korzystne miejsce u swego krewnego adwokata, gdzie pracując w południowych godzinach, zarobi sobie kilkadziesiąt złotych miesięcznie. Józio omal nie rzucił mu się do nóg dziękując za taką troskliwość, prosił o adres tego adwokata i z większą jeszcze ochotą wziął się do pisania. Lecz po godzinie tej pracy, wiedziony ciekawością sobie wrodzoną, zaczął od niechcienia przerzucać papiery swego dobrodzieja rozrzucone po stole; i wystawcie sobie jego zadziwienie, gniew i oburzenie, gdy znalazł między nimi swoje świadectwa, prawie nietknięte od czasu, jak je złożył owemu protektorowi. Najoczywie- ściej poznał, iż go niegodnie dotąd oszukiwał, zwłóczył, korzystał z jego pracy i niewiomości. W pierwszej chwili bolesnego ocucenia, nie wiedział co z sobą robić: jak szalony porwał papiery i pobiegł do domu!

– Mój Boże, mój Boże! za cóż mię tak srogo dotykasz! – zawołał padając nieprzytomnie na nowo sprawioną sofkę. – A to dopiero oszukaniec, tak zwodzić mnie biednego, który mu zaufałem!– Oj! ludzie, ludzie, i was mam kochać jak braci, was, którzy na każdym kroku obdzieracie z mego serca listki nadziei i kwiaty i miłości, jakie nauka Chrystusa w niem pielęgnuje. Ale dobrze mi tak; jaki stryj, tacy i przyjaciele jego!

Splakawszy się więc i zmartwiwszy, rozbierając krytyczne dzisiaj położenie, jakoś zwrócił uwagę na stan swego woreczka. Pierwszy raz dopiero od czasu przyjazdu do Warszawy, przeliczył resztujące dwuzłotówki, i pomimo uporczywych wytrząsań i macań, znalazł ich niecałe trzydzieści. To otworzyło mu dopiero

oczy na zbliżającą się chwilę niedostatku; poznał zbyt dużą rozrzutność i brak rozważności w dotychczasowym postępowaniu, a żal marnie wydanej kwoty, powiększył jeszcze bardziej ogrom jego nieszczęścia.

– Ha! spróbuję drugiej ścieżki: pan Kosecki może lepszych ma przyjaciół; pójdę: uda się, dobrze, nie uda się... dalibóg, głowę tracę na samą myśl o tem.– Bądź co bądź, choćbym umarł tu z głodu w Warszawie, nie wrócę do matki, bo bym się spalił ze wstydu.

I powziąwszy tak stałe postanowienie, ubrał się znów porządniej, otarł oczy, zabrał list do jednego z uczniów pana Koseckiego, człowieka niemającego wprawdzie, lecz mającego jakieś znaczenie w Warszawie i stosunki z ludźmi, którzy mogliby mu śmiało dopomóc.

W jednym z większych domów Nowego-Światu, na pierwszym piętrze od frontu, mieszkał ów przysły dobrodziej. Józio wszedłszy nieśmiało do pokoju, stanął pokornie przy drzwiach podając list samemu panu.

Był to mężczyzna może 40-letni, niezłej tuszy, z twarzą czerwoną, nabrękną, oczkami małymi i noskiem nieco haczykowatym. W całej jego postawie napuszonej, znać było jakąś przesadę, wymuszoną, i gdybyśmy mieli wierzyć metempsychozie dusz ludzkich, ten pan sędzia nim przybrał na się ludzkie ciało, musiał być dawniej jastrzębiem, lub innym drapieżnym ptakiem, tak miał coś w całej twarzy, nieludzkiego a ptasiego. Że zaś obecnie był sędzią, łatwo odgadnąć spojrzawszy na kolosalnych rozmiarów portret jego wiszący naprzeciw drzwi wchodowych, na którym zdaleka dał

się wyczytać adres listu trzymanego w ubrylantowa- nych palcach jegomości, w tych wyrazach:

“Jaśnie wielmożnemu sędziemu pokoju okręgu it. d.”

Przerzuciwszy pismo dawnego profesora, pan sędzia, że go tu nazwiemy Trukalski, ani spojrzawszy na oddawcę, zapytał dość opryskliwe, puszczając oddech przez zęby:

- No i cóż pan żądasz?
- Proszę jw. pana, prosiłbym o jaką pomoc w wynalezieniu sobie zatrudnienia w "Warszawie.
- A zkadże ja go wezmę, co? – czy ja kantor stręczeó utrzymuję?
- Ale jw. pan ma stosunki z panem hrabią L., u niego w biurze^ mógłbym się może umieścić–odezwał się drżąco nasz Żarski.
- A cóż ty umiesz?
- Skończyłem gimnazyum w Radomiu.
- Masz papiery?
- Oto są i próba pisma.
- No, to zgłoś się do mnie za tydzień – odezwał się, kładąc papiery na stoliku i wychodząc do drugiego pokoju.

Żarski się skłonił pokornie tylko już portretowi, i ze ściśniętem sercem poszedł do siebie.

Godność osobista biednego chłopczyny, srogo dotknięta została tym pogardliwym tonem mowy protektora i całem opryskliwym obejściem. Chciał zapłakać, ale wstydził się tego; czuł tylko że ognie przechodzą po nim, że zawód i poniżenie szarpią kolejno jego duszę; lecz cóż miał począć w tej chwili? Potrzebny, wszystko zniesie, potrzebny–wszystko zniesć musi. Szczęściem,

przypomniał sobie ostatnie nauki umierającego ojca, słowa: "pokora i praca, mój synu, pokora i miłość niech ci przewodniczą," które brzmiały proroczo w jego pamięci i osładzały po części obecne jego położenie. Ojciec, pomyślał sobie, więcej znosił; ojciec, który całe życie pracował, całe życie cierpiał nawet niesłuszne upokorzenia, a ojciec pokorę mu radził, więc musiał mieć słuszność.

Tydzień niecierpliwego oczekiwania, jest tak długi jak lata szczęścia; a dla naszego Józia patrzącego na zbliżające się suchoty woreczka, i wątpliwość o swej przyszłości, ten tydzień nieskończonym się wydawał. Nareszcie zbliżył się dzień łaskawie oznaczony, Józio już o siódmej zrana przechadzał się pod oknami jw. sędziego, oczekując jego przebudzenia. O dziewiątej zadzwonił nieśmiało do drzwi, wyszedł służący oznajmiając, iż jw. sędzia goli się teraz;—"przyjdź pan za godzinę" – mówił spoglądając ironicznie na przybranego skromnie młodzieńca.

Żarski przespacerował znowu ową godzinę, zadzwonił po raz drugi, i tenże sam lokaj już nieco zgniewany fuknął: iż jw. sędzia je śniadanie, – przyjdź pan za pół godziny.

Minęło i te pół godziny.

– Jw. sędzia prosi – rzekł sługus otwierając drzwi pokoju, a niespokojny Józio stanąwszy u progu, drżał jak jesienny listek, oczekując rezolucyi.

Jw. sędzia Trukalski właśnie w tej chwili z największym zajęciem karmił papugę jw. sędziny; usłyszawszy otwierające się drzwi pokoju, przekręcił głowę, i zobaczywszy stojącego pokornie chłopczynę, zapytał:

- Czego-to?
- Przyszedłem, stosownie do polecenia jw. pana względem tego miejsca u hrabiego L.
- A coś ty za jeden? – mówił trzymając przed dziobem papugi spory kawałek cukru, i śmiejąc się do niej serdecznie.
- Przed tygodniem przyniosłem tu list od pana profesora Koseckiego: nazywam się Żarski.
- No, Fibcia, masz, masz, a nie szczyp! – pamiętaj że się zgniewam! – wołał przysuwając i odsuwając cv kier przed dziobem ptaka. A że Fibcia zaczęła się trochę niecierpliwie podskakując na swej grzędzie, więc j w. sędziego bawiło to nieskończenie; powstał z krzesła, spędził ją na stół, ona biegała za cukrem, on uciekał koło stołu, potem wyprowadził ją do drugiego pokoju, a biedny Józio stał i stał przy drzwiach przestę- pując z nogi na nogę. "Wreszcie po kwadransie może takiej uciechy, wrócił jw. sędzia już bez papugi, i rozsiadając się niedbale w fotelu cedził przez zęby:
 - Widzisz, mój panie Żarski; wszak tak, Żarski?
 - Tak, jw. panie – odrzekł kłaniając się Józio.
 - Otóż, panie Żarski, jeszcze się nie widziałem z hrabią; ale teraz trudno to będzie: niedawno jednego młodego człowieka tam wprowadziłem... Zresztą, zobaczymy; może sam pójdziesz do hrabiego później, ja cię zawiadomię. Ot, przyjdź tak za dwa tygodnie.
- Józio aż drgnął usłyszawszy tak długi termin, chciał coś odpowiedzieć, lecz i słów mu w tej chwili zabrakło, i jw. sędzia zaczął przerzucać jakieś dzienniki

rozłożone na biurku, więc skrzywiwszy się najniesmaczniej, wysunął się z wolna do sieni.

– A cóż ja tóż nieszczęśliwy będę robił przez te dwa tygodnie! – zawołał idąc ku domowi. – Tu pieniędzy nie mam, znajomości żadnych, papiery u niego, i dwa tygodnie, dwa nieskończone tygodnie mam czekać! Oh! mój Boże kochany, jakże też-to ciężko zdobyć na ludziach trochę pomocy! jakże tu wytrwać niezachwianie w swych przedsięwzięciach, gdy ludzie zamiast wsparcia, uwzięli się przeszkadzać mi najoczywiściej.

I zmartwiony do żywego, biedny Żarski, przywłókszy się do mieszkania, załamał rozpaczliwie ręce i zaczął płakać tak rzewnie, tak przenikająco, że kolega jego, choć sam biedny, jednakże pocieszał go jak mógł, ofiarując się podzielić z nim tem wszystkim, co tylko posiadał.

Nareszcie jak wszystko na świecie, tak i boleść Józia nieco się zmniejszyła; dwa tygodnie bezczynnego życia, choć bardzo leniwo, jednakże minęły przecie, a nasz młodzieniec nie omieszkał stawić się znów w mieszkaniu jw. sędziego.

Tym razem pan protektor jeszcze krzywiej spojrzął na przybyłego, i rozmawiając z jakimś nieznanym Józiowi jegomością, nie raczył nawet odpowiedzieć prośącemu. W końcu widać go rozgniewało podobne wystawanie, bo zwróciwszy się nagle w jego stronę wyrzekł dość prędko:

- Idź sobie z Panem Bogiem, nie mam dziś czasu: zgłoś się kiedyindziej!
- Ależ, proszę jw. pana, ja nie mam funduszów na życie nawet–ośmielił się przebąknąć Józio.
- Nu, to cóż ja ci zrobię!? idź do dobroczyn

ności! W Warszawie nie można tak prędko załatwiać interesów; ja wyjeżdżam teraz za granicę, za parę miesięcy będę z powrotem, zgłoś się wtedy, to pomówię z hrabią.

– Proszę jw. pana, gdzież jabym mógł tak długo czekać bez żadnego zajęcia i funduszków; więc czyby nie można iść samemu do pana hrabiego.

– A idź sobie, idź z Panem Bogiem, mój ty hardy paniczu! Patrzaj go—mówił zwracając się do owego jegomości—przychodzi do mnie po protekcję, narzuca się kilka razy na tydzień, a teraz sam chce iść do hrabiego!? Idź sobie, masz swoje szpargały, a daj mi święty pokój. U mnie, mój panie, posłuszeństwo przede wszystkim; chcesz iść do służby, a jeszcześ się tego nie nauczył!

I rozniewawszy się niepospolicie, rzucił świadectwa Żarskiemu, kiwnął głową na znak pożegnania, prowadząc dalszą rozmowę z owym nieznanym.

Żarskiemu aż zaćmiło się w oczach usłyszawszy podobnie grzeczną odprawę; wyszedł na ulicę prawie nieprzytomny, albowiem boleść, gniew i jakaś chęć zemsty, naraz zawrzały w jego sercu. – Dostyc tych protekcyi!—powiedział sobie w duchu, dość niezasłużonych upokorzeń, dość wyrzutów, dość litości i łaski! Darmo, widać Bóg mię dotyka palcem nieszczęścia, zsyłając na mej drodze kamienne serca! Chybaby jeszcze jedno się udało—pomyślał pó chwili—ten jw. to miastowy dorobkowiec, to pieczarka co na śmieciach wyrosła; pójdę jeszcze do jednego, do pana z panów, bogacza; oni mają być lepsi, dostępniejsi, łaskawsi: spróbuję raz ostatni.

I wyjąwszy pęk opieczętowanych listów, odłożył jeden z szumnym adresem hrabiego, a uzbrojony w pe

wną odwagę, której już nabył po tylu bezskutecznych próbach, jakoś śmieiej sięgnął do herbowanych podwoi znowu jw., lecz już hrabiego.

- Do kogo to? – zapytał opryskliwie jeden z wy- galonowanych lokai.
- Do pana hrabiego—odrzekł Józio.
- A po co?
- Mam list do niego.
- To niech mi go pan odda.
- Kiedy jabym chciał sam doręczyć panu hrabiemu.
- To być nie może.
- Dlaczego?
- Bo pan hrabia od nikogo listów nie odbiera.
- Ale idźno pan, powiedz, bo ja mam pilny interes.
- Jakże mam zameldować pana?
- Co to znaczy?—zapytał Józio.
- Jak się pan nazywa? – fuknął niecierpliwie sługus.
- A do czegoż to potrzebne?
- Ooo, do czego? mów pan, albo idź sobie z Bogiem.
- No, to nazywam się Żarski.
- Niech pan tu zaczeka, pójde zameldować.

I przeciągnawszy się spazmatycznie, napił się jeszcze wody, pogadał coś z swoim kolegą i po kilku minutach poszedł przecie do pokoju, wrócił za kwadrans oznajmując, iż jw. hrabia prosi.

Józio wszedłszy nieśmiało do pierwszej sali, stanął przy drzwiach pokornie, trzymając w ręce ów list protekcyjny.

Po półgodzinnem może takim staniu, otworzyły się drzwi z przeciwka, i wysoki, chudy, żółty mężczyzna, już nie pierwszej młodości, do tego w zupełnym negliżu, pokazał się pan hrabia.

- Co to za interes?
- Mam tu list do jw. pana hrabiego – wyrzekł drżąc Józio, podając mu takowy.
- Od kogo?– spytał hrabia nie biorąc listu.
- Od pana Koseckiego.
- Co to zajeden ten Kosecki?
- Profesor szkoły pińczowskiej.
- A z kądże znowu jakiś profesor ma do mnie listy pisać!
- Bo on podobno był guwernerem jw. pana.
- To i cóż ztąd, że był; spodziewam się, że mu się nic nie należy. O co on tam

pisze?

- Niech jw. hrabia będzie łaskaw przeczytać.
- A po co mam czytać, czy ja tu nie mam dość innych zatrudnień, żebym jeszcze na takie rzeczy czas tracił. No, wiesz wasan o co?
- Prosi podobno o protekcję za mną.
- A któż wasan jesteś?
- Nazywam się Żarski.
- Idź sobie precz, mój kochany. Feliks!– krzyknął na lokaja– od czego ja ci płacę, po co tu puszczasz takich obdartusów!?

Feliks przypadł czempredzej, i nim Józio mógł się opamiętać, popchnął go niebardzo grzecznie do sieni, zamykając z trzaskiem drzwi przedpokoju.

Znając naszego Żarskiego, łatwo pojmiecie, co się to tam działo w duszy biednego Józia.

Tym razem już nie płakał, nie narzekał na ludzi

i przeznaczenie, ale zacisnąwszy pięści, z iskrzącym okiem a ironią w sercu, pośpieszał do swej stancji.

Najpierwszą jego czynnością było spalenie pozostałej liczby protekcyjnych listów..

– To były moje zawady, to były utrapienia, to niedostatek—mówił, patrząc radośnie na palący się papier. – Wyczerpnałem już wszelkie sposoby kołatania do serc ludzkich i tej przesławnej litości; nie żałuję upokorzeń, nie żałuję marnie strawionego czasu, nie żałuję tych biegów, łez i boleści, bo one niejako wyzwoliły mię na człowieka, dając aż nazbyt wierny patent doświadczenia. Robiłem co było można: nie mam sobie nic do wyrzucenia. Teraz zostaje tylko Bóg i praca: te pewno nie zawiodą! Precz fałszywa ambicja, precz niedostatek! gardzę pierwszą, drugiego się nie lękam! Dalej więc, w imię Boże!

k v W pięć miesięcy potem, w nędznej, z obitemi ścianami stacyjce Starego-miasta, siedział przy stoliku nasz Żarski przepisując sądowe wyroki. Mróz trzaskający srożył się na dworze, po zakutych szybach brylantowe kryształki lodu iskrzyły się tęczo od blasku łojowej świeczki. W stancyi oddawna nie palono, woda w dzbanku zamarzła; oddech tumaniał się długą smugą bladawej pary, a on otulony starym jeszcze ze studenckich czasów płaszczykiem, pisał i pisał chuchając' w palce, tupiąc nogami, lub przechadzając się kiedy niekiedy po trzechłokciowej podłodze, swego mieszkania.

Patrząc na taki stan naszego bohatera, nie trudno się domyślić, że od czasu jakiegoś go ostatni raz widzieli, niewielka nastąpiła zmiana w jego powodzeniu. Umieścił się w jednym z biur tutejszych na bezpłatną aplikację, szukał rozmaitych zatrudnień, prosił to kolegów szkolnych, to biurowych o pomoc w wynalezieniu płatnego zajęcia; podejmował się jakiegobądź roboty, aby tylko nie umrzeć z głodu, nie spać pod gołym niebem, i czembądź ochronić to biedne ciało od deszczu i zimna.

Ale jak ze wszystkim na świecie, tak i z biedą oswoić Się można! Pracując po całych dniach i nocach, i do tego pracując ciężko, biedny Józio nie miał nawet

czasu zastanowić się nad swoją niedolą. Życie jego przybrało jakiś charakter maszynowego ruchu: ręce umiały tylko, pisać, głowa przemyślać nad wynalezieniem nowej roboty, a spracowawszy się przez dzień cały, spał jak zabity w swej izdebce, przykrywszy się całym zapasem nędznych ruchomości, i oczekując takiego samego jutra.

W listach pisywanych do matki, zmyślał jak mógł donosząc o swem powodzeniu; albowiem wiedział dobrze, iż to poczciwe matczyisko, gotowe było wyprzedać się ze wszystkiego, ująć najgwałtowniejszym potrzebom[^] aby tylko przyjść mu z pomocą. Profesorowi zaś wyznał wszystko, zaklinając na Boga aby matce o tem nie wspominał i był cierpliwym o swą należytość, albowiem według brzmienia rewersu, jeszcze nie nadszedł termin wypłaty.

Z owego niegdyś z całym zapalem wesołego młodzieńca, teraz zrobił się człowiek milczący, ponury, cichy i pokorny. Z nikim nie żył, nigdzie nie bywał; bale, wieczory, tańce i teatr, były mu zupełnie obce: idąc ulicą, ani spojrzał na stroje innych, ani pomyślał o jakiejś zazdrości porównując swą nędzę z ich dostatkami.

Nadzwyczaj usłużny, chciałby wyskoczyć na każde skinienie starszych; w biurze punktualny, pracowity, ani się ruszył z krzesła przez całe sześć godzin zajęcia; ztąd też zwrócił uwagę niektórych zwierzchników, zjednywając sobie współczucie porządniejszych kolegów. Słowem, jak bądź tak bądź szło przecie biedne jego życie, wyrabiając w nim charakter więcej stały, więcej pewny, aniżeli dotychczasowe wybryki młodzieńczej fantazy.

Jednym z najbardziej upragnionych życzeń młodego Józia, było wynalezienie w prywatnych domach ja- tiejbądź lekcyi, która dostarczyłaby mu przyjemniejszych zatrudnień niż dotychczasowe przepisywanie, dała lepszą płacę, i więcej wolnego czasu; – o niej więc myślał ciągle, o niej marzył i o nią prosił wszystkich kolegów. Chodził po kantorach stręczeń, lecz w każdym prawie pytano go się czy posiada język francuzki, czy gra na fortepianie, a że podobne umiejętności mało były mu znane, więc niewiele robiono nadziei, twierdząc, że teraz w Warszawie więcej pewno jest nauczycieli, niż potrzebujących nauki.

Zwrócił się wreszcie do poczwiwego Kuryerka, jedynego przedstawiciela różnych zapotrzebowań Warszawy, i żaden pewno z prenumeratorów nie oczekiwał każdodziennie jego wyjścia z t&ką niecierpliwością, nie czytał z taką skwapliwością i uwagą, jak nasz Żarski. To też jednego dnia, jakby odwdzięczając się swemu czytelnikowi, w jednej ze szpalt zapełnionych obwieszczeniem, Józio wyczytał doniesienie, że przy ulicy Elektoralej potrzebny jest korepetytor do dwojga dzieci, za stosownem wynagrodzeniem.

Zanotować adresipobiedz w wskazane miejsce, było dziełem jednej chwili dla poczwiwego Józia. Z biją- cem sercem i bojaźnią czy tam kto go nie uprzedził, dysząc cały od zmęczenia, zadzwonił do drzwi pierwszego piętra, jednego z większych domów Elektoralej ulicy. Na tak gwałtowne hasło, wybiegła jakaś przystojna panienka, dosyć wykwintnie ubrana, i zobaczywszy młodego człowieka dyszącego od zmęczenia, zapytała trwożliwie czego żąda?

- Proszę pani, czy tu potrzebny jest korepetytor?
- Tu, tu – odpowiedziała uśmiechając się – tylko papy w domu niema teraz, więc niech pan będzie łaskaw zgłosić się tak około ósmej godziny w wieczór.
- Bo jakby kto inny się pytał?... – wyrzekł spuszczać litośnie oczy Józio.
- To ja mu powiem, że już niepotrzeba, – odrzekła prędko dziewczyna przypatrując się lepiej młodzieńcowi.
- A, bardzo byłbym wdzięcznym pani – mówił radośnie Żarski kłaniając się uniżenie.
- Tylko przed ósmą, pamiętaj pan – dorzuciła zamykając drzwi.
- Dobrze, pani, dobrze – krzyknął ochoczo zeskakując po trzy schody nasz Józio i pobiegł do domu.

O naznaczonej godzinie, młody Żarski kazawszy się oznajmić samemu panu, oczekiwał w przedpokoju jego przybycia. W sąsiednim pokoju grano widać w karty, bo przez uchylone drzwi, co chwila dolatywały go głośne wykrzykniki kilkunastu mężczyzn tam zgromadzonych: "pięćdziesiąt rubli do bicia! może radca pozwoli! do czego sędziego licytował? Naczelnik zagrywa – pan prezes bez jednej. Ale jakże można z takimi kartami pomagać? Biję do reszty" i t. p.

Z pomiędzy tych różnorodnych głosów, jeden jak się to zdarza, rej tam wodził. Co chwila, to odezwał się z jakimś płaskim dowcipem wywołując gwałtowne wybuchy śmiechu grających, to rozprawiał o swoich dobrach, to o koniach, to łajał apartnerów. Inni mu dogadywali pochlebnie, dziwili się takiej łatwości dowcip

kowania, słowem widoczne tam miał pierwszeństwo i adorację. Słuchając to nasz Józio, powziął niewątpliwe przekonanie, iż się znajduje w domu jakiego znakomitego urzędnika, albo takiego, który potrzebuje owych radców, sędziów, naczelników, a nawet prezesów. Ujrawszy przeto wchodzącego do przedpokoju w przeraźliwie skrzypiących butach mężczyznę, stanął skromnie przy drzwiach kłaniając się bardzo nisko.

– Czy to pan zgłaszasz się o lekcję? – zapytał dość prędko gospodarz, opuściwszy spodnią wargę, i przyglądając się przez okularową lornetkę młodemu człowiekowi.

– Tak, proszę pana, wyczytałem w Kuryerze.

– A kto pan jesteś i jak się nazywasz?

– Jestem aplikant biurowy, a nazywam się Żarski – odrzekł dość śmiało nasz Józio.

– To dobrze, mój panie, będziesz więc mógł przysposobić do szkół mego syna: chłopiec mały, ośmioletni, pojętny...

Żarski się uklonił na to.

– Lekcja po południu, dwie godziny.

– Dobrze, proszę pana.

– No, i cóż pan żądasz za miesiąc?

– Ja tam nie wiem co płacą, jeszcze w Warszawie nie dawałem lekcji...

– No, ale cóż przecie?

– Choćby z 50 złotych.

– Ho, ho, mój panie, teraz ciężkie czasy! Za 50 złotych, to ja na cały dzień dostanę człowieka.

– Kiedy, jak słyszałem, że moi koledzy biorą i po 60 złotych za godzinę.

– Może od jakich wielkich panów – odrzekł niecierpliwie się gospodarz – ale ja sam nie bogaty, jednakże z wielką biedą i gdy będziesz pan pracował, mogę dać pięć rubli...

W tej chwili jakiś młody jeszcze mężczyzna wypadł z drugiego pokoju, i zobaczywszy gospodarza krzyknął:

– Panie mecenasie! przegrałeś 50 rubli!

– To nic – odrzekł uśmiechając się lekceważąco mecenas, – a obróciwszy się znów do Józia, pytał:

– No i cóż, zgadzasz się pan czy nie? bo widzisz że nie mam czasu.

– Choć sześć rubli niech pan będzie łaskaw.

– Eh! widzisz pan – mówił krzywiąc się niesmacznie – to zawiele na mnie.

– Jest do bicia sto rubli, mecenasie! – zawołał pokazując się we drzwiach ten sam mężczyzna – czy bijesz?

– Biję, ma się rozumieć – taka bagatelka! – odpowiedział śmiejąc się jeszcze bardziej gospodarz – niech pan hrabia będzie łaskaw tam mię zastąpić, ja zaraz wrócę. – No, dam już te sześć rubli, dam, tylko widzisz panie Żarski, siostra mojej żony ma takiegoż chłopaczka, wszak to niewielka dla pana różnica, jeden czy dwóch: prawda?

– A, zawsze więcej trzeba czasu – mówił Józio domyślając się interesu.

– Eh! gdzie tam – odbędziesz pan swoje dwie godziny...

– Dobrze, proszę pana, skoro taka wola...

– Ale bo widzisz, mój panie Żarski, siostra mojej żony

ny, uboga wdowa, mieszka na Nowym-Świecie... a pan czy lubisz spacer? – zapytał jakby nawiasowo.

– Lubię – odrzekł Józio nie pojmując o co tu chodzi – tylko że nie mam czasu na to.

– To też po obiedzie, przejdiesz się pan na No- wy-Swiat, wstąpisz do siostry, zabierzesz tu chłopca, bo to tam i sług nie ma, dziecko troszkę żywe. A po lekcji znowu, wracając do domu, wstąpisz pan z nim...

– Kiedy, proszę pana, ja mieszkam na Starem- Mieście.

– To niebardzo z drogi, ona mieszka za Warecką ulicą, młodemu to zdrowo przejść się.

Józio się nieco zamyślił, czy przyjąć lub nie przyjąć. Dobrze i 40 złotych, ale taka wysługa to trochę za uciążliwa i ubliżająca aplikantowi, myślał sobie obracając kapelusz na wszystkie strony. Ale pan mecenas nie dał mu na to czasu, bo przybierając minę niby obrażonego, zapytał seryo biorąc za klamkę drzwi sąsiedniego pokoju:

– Chcesz pan czy nie? bo słyszałeś, tam goście sami...

– Dcibrze, dobrze – wyrzekł smutnie Józio.

– Więc zgoda, panie Żarski, przyjdź jutro o 4-ej na lekcję, a dam ci adres mieszkania siostry żony. Do widzenia!

I ukłoniwszy mu się od niechcienia, poszedł do grających mruczając:

– Przegrałem 150 rubli, bo trzeba było przegrać; utargowałem trzy ruble na miesiąc, bo siostra zapłaci połowę, dobrze idzie!

Z objęciem tego nowego obowiązku u pana ex me-

A. Wilczyński.–Tora VII.

cenasa Granickiego, jakoś odwróciła się i karta niedoli biednego ekonomczyka. Snaó ciężkie próby życia, na które Bóg wybranych swoich tylko wskazuje, już depę- niły swego kresu, bo od tej chwili, powodzenie naszego bohatera zaczęło przybierać więcej znośniejszą, a zatem i pomyślniejszą barwę. Za tą lekcją znalazła się i druga lepiej płatna, i w biurze dano mu małą pensyjkę, więc mógł sobie żyć już nieco wygodniej; miał co jeść, w czym chodzić, stancyę opłacić, a nawet zdołał uezierać dość znaczną kwotę, przeznaczoną na spłacenie dawnego dęgu pana Koseckiego.

Z pomyślnością, pracą i pewniejszą nieco przyszłością, znękana pierś jego odetchnęła swobodniej, umysł orzeźwiał, serce poczuło młodzieńczy zapal, niesplamio- ny dotąd żadnym brudem zbytkowości i jakiegokolwiek- bądź występku. Rozpatrując się wokoło, poznał, że jego dotychczasowe nauki i wiadomości nie wystarczają nawet zwyczajnym wymaganiom ducha, łaknącego wciąż nowych wrażeń i nowej wiedzy; obcując z ludźmi wyżej ukształconymi, musiał dostrzedz zbyt rażąco odległość między tem co posiadał w dziedzinie nauk, a co jeszcze mógł osiąść własną pracą i staraniem. Dlatego w wolniejszych godzinach, wertował po książkach, notował, pisał, uczył się na pamięć, sklejjąc do siebie rozproszone ogniwa tego nieskończonego łańcucha wiedzy ludzkiej. Nie mając przewodnika któryby mu wskazał drogę po jakiej od wieków szedł umysł ludzki, bękał się po ciemnych rozdrożach, macał, niemogąc dojrzeć prawdziwego światła, plętał się rozbierając najsprzeczniesze zdania o jednej i tej samej rzeczy, a jednak nie ustawał na tej drodze postępu, i jak bądź tak bądź, wyrabiał w sobie myśl samoistną, a opartą wszakże na niewzru

szonych podstawach religii głęboko wkorzenionej w jego sercu.

Wśród takich zabiegów i moralnej pracy, ubiegło już dwa lata jego pobytu w Warszawie. Przez ten czas, ani razu nie odwiedził kochanej matki a tylko pisując co kilka tygodni i wylewając przed nią swe myśli i wrażenia[^] w słowach do jej prostego rozumu dostępnych, miał nadzieję, że niezadługo spełnią się jego najgorętsze życzenia, i będzie mógł widzieć ją przy sobie szczęśliwą i zadowolnioną.

Znajomości jego w Warszawie, ograniczały się dotąd na kilku tylko domach mniejszych urzędników, i tych, w których lekcye udzielał. Zwykle bywał tam bardzo rzadko, raz dla braku czasu, a powtóre, iż nie- mając jeszcze stosownego ubioru i nie znając zwykłych form i talentów młodego warszawskiego kawalera, wstydził się okazać niższym od innych paniczów, a tem samem stać się przedmiotem złośliwych uwag pięknych warszawianek. Jednakże z czasem uczuł i on pewną tęsknotę do życia towarzyskiego; samotność mu nieznośnie ciążyła, gorliwość do nauk stygła powoli, ustępując zniechęceniu i jakiejś niewytłumaczonej goryczy. W ciągu tych dwóch lat spędzonych przy pracy, jak równie i teraz, nie zaniedbywał zwyczajnych lekcyi, które mu dość znaczny przynosiły dochód; chodził do owego mecenasa któregośmy niedawno poznali, a ponieważ na dalsze losy Żarskiego familia ta przeznaczoną była odegrać niepoślednią rolę, więc nie od rzeczy tu będzie nadmienić co to za jedni byli ci państwo Graniccy.

Sam pan Ksawery, dawniej podobno patron czy nawet obrońca, a teraz miastowy spekulant, ajent, en- trepreneur i Bóg wie nieco jeszcze, było 40-kilkolętni,

wysoki, szczupły mężczyzna, dość nawet majątny. Na twarzy jego bladej, wyrazistej, czarno zarośniętej, z oczami dużymi również czarnymi i nosem na środku nieco nabrzęklymi, panował jakiś przebiegły uśmiech i aż do zbytku uniżoność. Wszystkie jego ruchy oczu, rąk i całego ciała, miały w sobie coś żywego, wcale niesłowiańskiego, ale przypominały najwyraźniej dziecię skwarne nieba Lewantu. I chociaż ubierał się bardzo modnie, nosił lornetkę, wargę odymała, wszystkim nadskakiwał i miał opinię człowieka bardzo porządnego, jednakże byli tacy, co umieli w tem dopatrzeć zręczną obłudę, chęć zysku i jakiś nieswojski charakter.

Przed kilkunastu laty, ożeniwszy się z ubogą wdową po jakimś pułkowniku czy nawet majorze, przez nią wszedł w stosunki z domami więcej zamożniejszymi; przytem żył dość wystawnie, spraszał na obiady, wydawał sute bale, więc miał i przyjaciół i pewne znaczenie, pomimo to, że na uboczu śmiano się dobrze z niego, szydzono, obmawiano, zwyczajnie jak między ludźmi dobrze wychowanymi.

Sama pani, kobieta przeszło pięćdziesięcioletnia, niezbyt urodna, ale zato zbyt otyła, okrągła, rumiana, wesoła, towarzyska, bardzo zręcznie umiała dopomagać interesom męzowskim. W salonie była bardzo dobrze, żyła w serdecznej przyjaźni ze wszystkimi radczyniami, naczelnikowemi; ubierała się elegancko, jeździła kareta, i mając dwie córki na wydaniu, posiadała w wysokim stopniu szacunek wszystkich kawalerów, starających się o panny posażne.

A było o co się starać; bo młodsza, piękna Karolcia jak ją poufnie młodzież nazywała, w istocie zasługiwała na to miano. Śliczna bruneteczka wysmukła,

z czarnem żarzącym okiem, z czarną, kosą bujnych włosów, szczebiotliwa, modnie naiwna, śpiewająca jak słowik, grająca jak sam Liszt na fortepianie, a do tego wszystkiego z dwoma krociami gotowizny, zawracała głowy wszystkim, nawet najwybredniejszym elegantom warszawskim.

Zato starsza Marynia, blondynka, z niebieskim okiem jak lazur włoskiego nieba, ale niepiękna i niebogata jako córka z pierwszego małżeństwa pani Garnickiej, chociaż mówili, że dobra jak anioł, pracowita, nabożna, gospodarna, miała się jakto mówią ku starości, bo już podobno i 24 roczek minął, a biedne serduszko nie zaznało jeszcze goryczy i uciech poetycznej miłości. Każdy z młodych ludzi bywających w domu państwa Granickich, stronił od niej zdaleka, rozmawiał jak za pańszczyznę, jedynie przez grzeczność dla gospodarstwa, ojczym krzywo spoglądał, a najmłodszy synek dokuczał jej po swojemu; tylko jedna matka, co zawsze wszystko dobre widzi w swych dzieciach, kochała ją prawdziwie.

Jednakże nie myślcie łaskawi czytelnicy, że ta nieszczęśliwa panienka, zajmując podobne stanowisko między rodziną, i uchodząc za biedną w obliczu innych, była to sobie przygnębiona, powolna, skromna, z zapłakanimi oczami Marynia. Nie, wcale nie. Owszem, jako dziecko obecnego czasu, jako wychowana wśród lepszego niby świata, i znająca wymagania dzisiejszego społeczeństwa, doskonale umiała odgrywać tę łatwą rolę panny starającej się wyjść za mąż. Słodkiutka i uprzejma w salonie, niezmordowana tancerka, przy tem jak na dzisiejsze czasy aż zanadto dobrze ukształcona, z zadziwiającą szybkością potrafiła odgadnąć charakter i żą-

dania otaczających ją mężczyzn. Wszystkich znanych i nieznanymi sposobów hołdowania sobie życzliwości drugich, umiała użyć z całą swobodą i naturalnością. Z poetą rozmawiała o poezji polskiej czy francuskiej. wedle tego której był zwolennikiem. Brylantowe słówka, czułość bez granic i głębokie westchnienia, sypały się tak gładko, zwyczajnie, jakby jej dusza chciała co- prędzej wyrwać się z tej ziemskiej gliny, i ulecieć w nad- powietrzne kraje. Muzyka ją zachwycała, śpiew oczarowywał.

Z obywatelem, rozmawiała o wiosce, krowach, kurczętach: smażyła konfitury i powidła, sadziła kapustę i kartofole, tak dobrze znowu, jakby się pomiędzy nimi urodziła, wzrosła i mieszkała.

Z urzędnikiem, utyskiwała wspólnie nad ogromną pracą, nieznośnym siedzeniem, koleżeńskimi niezgodami i t. p. przykrościami, a takim sposobem bawiąc, pochlebając, a czasem i obmawiając, potrafiła sobie zjednać przydomek wykształconej i miłej pani.

Jednakże pomimo tych błyszczących zalet, pomimo nieograniczonej miłości matki jaką posiadała panna Marya, i owej nazwy miłej pani, nikt jakoś nie odezwał się z prośbą o pulchną jej rączkę. Bogatsi panowie lubili jej towarzystwo, chwalili dowcip, chętnie tańczyli polkę, ale że nie miała posagu, na tem się kończyły wszystkie starania i zabiegi. Mama w swej wygórowanej rachubie, przed kilkoma jeszcze laty, szukała dla niej tylko milionera, później krociowego, a teraz zdecydowaną już była przyjąć zięcia chociażby i urzędnika z dostatnią pensją. Niejeden z tej ostatniej kategorii, może i pomyślał o tem uczęszczając w dom państwa Granickich, lecz rozpatrzywszy się lepiej, dostrzegłszy,

że panna Maryanna zarówno wszystkich obdarza swymi względami, a zatem nie czuje doń żadnej sympatii, zostawił ją w pokoju, jak dzieci sztucznego żołnierza, co to wciąż jednostajnie wybija takt pałeczkami "po swoim bębenu.

I że w tem mieli najślusniejszą rację, trudno zaprzeczyć; albowiem to nieustanne zgadzanie się z charakterem innych osób, to genialne prawie zastosowanie się do cudzych myśli, życzeń i sposobu zapatrywania się na rzeczy, w końcu musi znudzić, musi spowszednić.

Po kilku w podobnym rodzaju prowadzonych rozmowach, wyczerpuje się cały przedmiot, jako niewspierany przeciwnem zdaniem, nie potrzebujący zobopólnych dowodzeń, i jawnie okazujący, iż taka osoba nie mówi tego co myśli, albo też nie ma samoistnego poglądu, czepiając się pierwszego lepszego zdania innych. Ależ to ma być zaletą grzeczności i skromności niewieściej, jak twierdzą dzisiejsze panie. Prawda, że grzeczność a raczej pobłażanie jest jednym z pierwszych warunków skojarzenia się towarzystw ludzkich; – prawda, że skromność jest najpiękniejszą ozdobą kobiety, że ją podnosi w oczach mężczyzn, że ją uzacniają, że ją najwdzięczniej przystrajają; ale znów ta bezwarunkowa grzeczność, to skromne pobłażanie, prawie zawsze prowadzi za sobą lekceważenie wszelkich względów towarzyskich, i brak uszanowania dla kobiet, które im bezwątpienia od mężczyzn przynależy.

I gdyby taka jedna i druga gospodyni, mężatka lub panna, okazała jakąś wdzięczną choć niezłśliwą niechęć temu, który na nią zasługuje, gdyby szczerzej i lepiej potrafiła ocenić prawdziwą wartość człowieka ze

wszech miar jej godnego, mniej mielibyśmy zarozumiałych salonowców, mniej postrojonych i wymuskanych paniczów z pustymi głowami, a kobiety więcejby ceniono, gorliwiej starano się o ich względy, i nie zostawiano tak jak się dość często praktykuje, na pastwę nudów i samotności.

"Wszyscy o tem wiedzą, wszystkie nasze panie na to wyrzekają, słysząc o ciągłych awanturkach młodych paniczów, wcale niezgodnych z przepisami moralności i dobrych obyczajów, a jednakże gdy taki kawaler pokaże się w salonie, śmieją się doń serdecznie, mile go widzą, robią jakieś pierwszeństwa przed innymi, a dlaczego?—bo ten pięknie gra i tańczy, tamten nosi szumny tytuł naddziadów, ów posiada milionowy majątek, innego znów ojciec zajmuje dość wysoki urząd i t. p., a zresztą, grzeczność i dobry ton tak nakazują. Śliczny mi dobry ton i grzeczność dla oszusta, uwodziciela, rozpustnika, którego by sądy kryminalne karać za to powinny?!

Ale dość już tego—bo i to groch na ścianę; ot lepiej wróćmy się do panny Maryi.

W końcu drugiego roku udzielania lekcji przez naszego Józia synkowi państwa Granickich, w umyśle panny Maryi nastąpiła stanowcza odmiana. Nie wiem, czy znudziła się już ową rolą grzecznej i miłej panienci, czy też dostrzegła że miano starej panny tylko na cienkim włosku wisi nad jej dziewiczą głową, czy też z czasem nastąpiło jakieś opamiętanie się i rozważa, dość, że zajrzawszy w siebie, przekonała się dowodnie, iż takie życie naprawdę nudzić ją zaczyna. Z prawdziwym tedy żalem serca, obejrzała się dokoła, i spostrzegła, że pu

sto jej wszędzie, że marnie strawiła kilka najpiękniejszych chwil życia, nie zaoszczędziwszy nic anie dla przyszłości. "Wesoły humor panienki powoli zniknął, tęsknota ogarniała serce, coraz to częstsze westchnienia wydobywały się z bolejącej piersi; tance przestały .bawić, i nawet sen dobrodziej uciekał od pięknych niebieskich oczu.

Otóż będąc w podobnym usposobieniu, pewnego dnia przechodząc przez pokój w którym nasz Żarski właśnie wykladał lekcję swym malcom, rzuciła okiem na niego, i szczególniejszym trafem spostrzegła, że wcale przystojnym był młodzieńcem.

Ale, dobrze że sobie przypomniałem; a toż wy, łaskawi czytelnicy nie wiecie jak to wyglądał nasz Józio. Wprawdzie dotąd nie było to wam na nic potrzebnem, ale teraz chcąc ocenić gust panny Maryi, przyzwolicie niech go wam naprędce przedstawię.

Dwudziesto-trzy-letni Żarski, musimy wyznać na bardzo przystojnego wyrósł mężczyzną. Wysoki, dobrze zbudowany, z pociągłą twarzą, pełną życia i ognia, z rysami doskonałej regularności i wdzięku, miał jakiś szczególniejszy wyraz smutku czy tęsknoty, nie dającj się wymazać prędko z pamięci tych, co go choć raz widzieli. Oczy czarne, duże, błyszczące, zdawały się tryskać zbytkiem życia i młodzieńczej siły. Piękne pukle kruczonych włosów, nawet wpadające nieco w kolor granatu, bez żadnej przesady wtył zaczesane, wdzięcznie odkrywały czoło wysokie, z białą szczególniej delikatności cerą. Usta małe, przytem głos silny, męzki i cała postawa przypominająca bardzo dawnych rycerzy greckich, zwracały czasami uwagę nietylko spacerujących kobiet, ale nawet więcej pretensjonalnych męzyczyn.

W skutek więc tak pomyślnego wyroku o powierzchowności młodego Józia, nazajutrz, przed 4-tą godziną po południu, siedziała już panna Marya w dzieciennym pokoju przy oknie, i wydobywszy od roku zaczęty, pobrudzony kołnierzyk, drobną rączką, a drobniej- szemi jeszcze nożyczkami, wycinała spokojnie batyst około zahaftowanych rąbków. Punkt o godzinie 4-tej wszedł Józio do pokoju, i zdziwił się niepomalu zastawszy tam starszą pannę, którą dotąd kilka razy tylko spotykał i to prawie zawsze na ulicy. Ukłonił się jej więc dość nieśmiało, gdy ona podniósłszy nań swe duże niebieskie oczy i zrobiwszy że tak powiem zgrabnego uśmieška, wyrzekła uprzejmie:

– Dzień dobry panu!

Józio zaczerwieniwszy się jak wiśnia, bąknął pod nosem jakąś odpowiedź; krztusząc się i poprawiając na krześle, zasiadł czemprowadziej do stolika, ani spojrzawszy ku oknu.

Dotąd, w swem życiu, chociaż i uczęszczał po różnych towarzystwach, wszelako zawsze prawie uciekał do mężczyzn; z kobietami nie rozmawiał nigdy, a o jakichś tam uczuciach, ani mu przez myśl nie przeszło. Miłość uważał jako- owoc zakazany dla takiego biedaka jakim był on, syn ekonoma. Na około siebie widział tylko wielmożnych, jaśnie wielmożnych, bogatych, strojnych, potężnych, więc gdzież tam sięgnąć jemu nawet myślą w takie wysokości?! Zresztą, i wszyscy ci panowie również z góry go traktowali, nie zwracając uwagi na jakiegoś tam kanceliścinę. Dzisiaj więc, doznawszy ze strony panny Maryi podobnej uprzejmości, nie wiedział jak ją sobie wytłumaczyć; lekcyja szła jakoś nie-

sporo, jękał się, czerwienił, mylnie poprawiał, słowem, utracił zwyczajną swobodę.

– Mój panie Żarski – odezwała się w pół godziny może panna Marya, stawiając przy stoliku – nie byłby pan tak dobry zatemperować mi kilka piór nowych, bo – mówiła dalej patrząc mu w oczy – tak jestem biedna, że nie mam czym listu napisać do ciotki. Wczoraj wzięłam jedno od Stasia, pańskiego temperowania, i nie uwierzysz pan, jakie było doskonale do mej ręki.

– Bardzo dobrze, proszę pani – odrzekł zrywając się z krzesła Józio i poprawiając ręką spadające mu na czoło włosy.

– Ale nie zrobi panu żadnej przykrości to moje natręctwo?

– Nie, nie, proszę pani – odpowiedział mieszając się biedny Józio – i zaczął temperować z jakimś prawie gorączkowym pośpiechem. Bęce mu drżały, scyzoryk tylko migał ścinając boki piór, a on się spieszył i spieszył, jakby go kto gonił, lub na gwałt wołano o te pióra.

Nareszcie skończył, zaniósł do okna, i kładąc na stoliku musiał spojrzeć w oczy panny Maryi, które dziękując mu, bardzo miłutko się uśmiechnęły.

Lekcy a szła dalej, Staś czytając po polsku przekręcił jakiś wyraz przeczytawszy pultyński; Żarski go poprawił głośno że ma być pastylki, a panna znów się odezwała:

– Zdaje mi się, panie Żarski, że jest w polskim języku ten stary wyraz pultynek; nie mogę sobie przypomnieć gdzie to czytała, ale wiem że jest.

- To zapewne w pamiętnikach Paska – odrzekł nieco śmieiej Józio – bo jest tam, że Pasek jak wrócił z wyprawy Duńskiej, przywiózł swej narzeczonej drewniane trzewiki w pułtyнку.
- Ach! prawda, prawda – więc pan czytujesz książki?
- O! już oddawna, proszę pani – odrzekł z niejaką chęcią pochwalenia się nasz Józio – prawie całą księgarnię przeczytałem, nawet i sam mam mały zbiorek.
- Doprawdy? – odrzekła niby zdziwiona Marynia – a że ja też nie wiedziałam o tem; byłabym korzystała z jego łaski, i ośmieliła się prosić o udzielenie czasami jakiej książki. "Wystaw sobie pan, tak mnie znudziły te francuzkie romanse, ojciec nie ma żadnych książek, prócz rachunkowych i prawnych, a z księgarni tak trudno się doprosić o coś świeżego...
- Ja wprawdzie nie mam nic szczególnego – odrzekł Józio mając zawsze oczy spuszczone ku ziemi – trochę historycznych, trochę poezyi polskich...
- Czy pan lubisz poezye?
- Przepadam za niemi, proszę pani.
- Bardzo mię to cieszy, mój panie Żarski – wyrzekła kładąc robótkę na stoliku i zabierając się do wyjścia – że pan masz podobny gust do mojego; i gdyby mu to nie zrobiło wielkiej subiekcyi, prosiłabym o pozwolenie Zaleskiego: pewno masz pan?
- O! mam, mam, całe cztery tomy i przyniosę jutro...
- Dziękuję panu bardzo – i nie zwalam, nie, broń

Boże, bo ja wiem jak to amatorowie tego nie lubią.– Do widzenia więc, panie Żarski, proszę nie zapomnieć!

Józio, jak tylko powrócił do siebie, wyjął natychmiast z kuferka poezye Zaleskiego, i chociaż nazajutrz dopiero miał je wręczyć pannie Maryannie, zdjął zaraz zwierzchnią papierową okładkę, czytając i przeglądając prawie każdą stronicę. Co się wzięło do pisania lub nauki, zaczął kilka wierszy i spojrzał na owe poezye; wnet przychodziły mu na pamięć śliczne niebieskie oczy Maryni, jej uprzejma rozmowa, uśmiech, ruchy, więc odkładał pióro lub książkę na bok, i podparłszy głowę obu rękoma, dumął i dumął sam nie wiedząc o czym.

Pierwszy raz w życiu i to w życiu już rozwiniętem zdarzyło mu się, iż kobieta, do tego kobieta ładna, wykształcona, raczyła łaskawiej z nim pomówić, zapotrzebowała jego pomocy, nazywając go mój panie Żarski. Dlatego też nazajutrz, oczekiwał tej czwartej godziny jak dusznego zbawienia, a wchodząc do mieszkania państwa Granickich, poczuł iż serce mocniej mu kołace w piersi, a niezwykle rumieniec posuwa się ku oczom.

Panna Marya już siedziała przy oknie z tą samą co wczoraj robótką, podziękowała jeszcze milej za książki spojrzawszy przeciągle i znacząco w twarz jego; po- tćm, że pióra wczorajsze były nieco zagrube, prosiła o poprawienie; znów podziękowała przy oddawaniu, dotknąwszy od niechcenia swą pulchną rączką jego dłoni.

Takim więc sposobem, przesiadując codziennie w pokoiku dziecinnym, panna Marya powoli, powoli oswajała naszego Józia z rozmową, ośmielała go, zachęcała wysnuwając tym sposobem jeden za drugim wszystkie tajniki jego serca. Dalej, robiła mu pewne poufal-

sze zwierzenia, dopytywała troskliwie o jego przeszłość, litowała się nad niedolą, dając mu poznać tkliwe zajęcie się jego losem, a nawet i osobą.

W tydzień, zwróciła mu książki prosząc o inne; Józio przyrzekł, a przyszedłszy do swego mieszkania, czy z troskliwości o całość dzieła, czy też przecuciem jakimś wiedziony, zaczął przekładać kartka za kartką czytając i szukając, ale czego? – sam nie wiedział. W ciągu takiej rewizji, trafił na jakieś wierszyki delikatnie ołówkiem podkreślone., przeczytał je skwapliwie raz, drugi, trzeci; patrzy, najwyraźniej stoi: "Nigdzie o! nigdzie drugiej żywej, duszy."–Biedna ona!–szepnął sobie. – "Widać jej tęskno jak i mnie na tej ziemi; widać nie znalazła serca, któreby ją zrozumiało; pusto jej w duszy, jak pusto i mnie, który prócz matki, nie mam drugiej życzliwej istoty. Oh! prawda, że nigdzie i nigdzie! A westchnąwszy boleśnie, zsunął się myślą ku przeszłości, wspomniął dziecińne lata swobody i nauki, pozazdrościł im dawnego szczęścia, i pierwszy raz obejrzawszy się naprawdę koło siebie, poznał iż nie sam materialny dostatek jest warunkiem prawdziwej pomyślności człowieka. Bujna imaginacja biednego Józia, już zaludniła mu świat cały jakimiś fantastycznymi osobami, związanymi serdeczną nicią przyjaźni i życzliwości, zapragnął i on współczucia innych. Lecz w całej tej przedwstępnej niejako tkance, chaotycznie krzyżowały się różne przeróżne żądania, chęci i potrzeby, przygotowując niejako przyszłą podstawę wielkiego państwa miłości, na którego błyszczącym tronie nie wiedział kogo zasadzić. Czasami wpośród owego natłoku fantastycznych rojeń, błysnęła nadobna twarzyczka Maryni, -sypiąc z cudnych błękitnych oczu iskrami jakieś błogo

ści, na wspomnienie której drżały wszystkie jego nerwy, a serce biło silniej, jakby przecuciem zwycięstwa nad sobą.

Tymczasem lekcye szły zwykłym porządkiem, Józio zrobił się czegoś smutnym i zamyślonym; nieraz przy lekcyi zabrnął duchem gdzieś daleko od siebie, nie wiedząc ani słysząc szczebiotania chłopca. W biurze, obliczając anszlagi, lub pisząc ekspedycye, jakoś mimowoli przerywał robotę, nie kończył wyrazu, gryzł najnieznośniej wierzchołek pióra, lub kreślił po papierze jakieś niewyraźne znaki, z których jednakże wprawny dostrzegacz mógłby wybornie odczytać imię Marya.

W parę tygodni po owej pożyczce książek, Józio jak zwykle wszedł na lekcya, panna siedziała z robótką, położywszy więc kapelusz, przywołał Stasia z drugiego pokoju, i kazał mu odrabiać jakiś przykład arytmetyczny. Lecz chłopiec ujrzawszy swego nauczyciela, spojrział uśmiechnięty ku siostrze, i kiwając naiwnie główką, mówił:

- Powiem, powiem, powiem panu Żarskiemu!
- Co powiesz?—zapytał Józio.
- A to Mania powiedziała na pana...

Lecz w tejże chwili, panna Marya skoczywszy co żywo do okna, ślicznej białości rączką zatkała buzię Stasiowi, wołając błagalnie:

- Nie mów, Stasiu, mój kochany, nie mów!

Ale chłopiec, rzucając się na krzesło i starając odepchnąć jej rękę, krzyczał jakimś tubowym głosem:

- Kiedy powiem, kiedy powiem!
- Mój kochany, mój drogi Stasieczku, dam ci cukierków!...

- Nie chcę, powiem!
 - Ale niech też pan nie wierzy, panie Żarski – odezwała się Marynia, trzymając wciąż rękę przy ustach, Stasia, – on zmyśla, ja nic nie mówiłam.
 - Aha! nie mówiłam, nie mówiłam – powtarzał chłopiec. – A to, powiedziała... przed mamą... i wykręciwszy zgrabnie głowę, odsunął jej rękę, kończąc prędko: że pan jej się bardzo podobał.
 - A ty jakiś! – krzyknęła, dając Stasiowi klapsa zawstydzona Marynia, – wszystko musisz wypaplać; – poczekaj, powiem ja mamie! I. niby zagniewana wybiegła z pokoju.
- Żarski zaczerwieniony jak pons, słuchał tego wszystkiego z jakimś osłupiałym uśmiechem na ustach, i dopiero po wyjściu panny Maryi, gdy chłopiec zaczął się sięgać na mamę i tatę, dogadując mu, że to prawda, przyszedł jakoś do siebie, i przybrawszy obojętną minę, kazał mu dalej rachować.
- Ale kiedy się ujrzał w swojej izdebce, pokazało się, iż cios ten wybornie był obliczony i dobrze ugodził w serce naszego bohatera. – Zaraz z weselszą miną spojrzął w zwierciadło, jakby dla przekonania się czy on istotnie może się spodobać; chodził gorączkowym krokiem wzdłuż i wszerz swego pokoiku, uśmiechał się radośnie, do północy myślał tylko o pannie Maryi i o tem podobaniu się, a usnąwszy, caluteńką noc przemarzył o niej, ubierając te cudne duchowe zlepki w cały zapas bujnej młodzieńczej imaginacji.
- Nazajutrz wychodzą na lekcję, znów przejrzał się w zwierciadło i dostrzegł, że wygląda nieco zaniedbanie; więc uczesał się porządniej, założył świeże kołnierzyki, chustkę misternie zawiązał, i ubrawszy się w nowy tuż-

rek, już na samą myśl spotkania się z panną Maryą, rumienił się po same uszy. Lecz skończyło się to wszystko na czułych przeprosinach ze strony Maryni, że to było żartem, że mówiąc o nim przy herbacie, powiedziała od niechcienia i t. p.

Otóż takimi drobnymi ścieżkami, coraz wyraźniej szem podkreśleniem różnych zdań po książkach, jakimś dwuznacznym słówkiem, lub przypadkowym dotknięciem się ręki, a wreszcie wymowniej szem na wszystko spojrzeniem – wkradła się prawdziwa miłość do serca naszego Józia.

Z początku dobrze mu z tem było. Umysł jego nabierał pewnej rzeźwości, podnosząc wrodzoną energię i przedsiębiorczość, – życie wydało mu się czarownóm, świat najpiękniejszym, a lekcye w domu państwa Granickich najprzyjemniejszym zatrudnieniem; – wszystkich chciałby kochać, wszystkich przytulić do swej piersi, li-tować się nad biednymi, dopomagać im ile tylko możność jego wystarczy: słowem, nowa ta miłość rozwinęła w nim cały zasób szlachetności, złożony ręką Stwórcy w nie-skalanej dotąd duszy młodego Józia.

Później już, raz i drugi proszony przez samą panią Granicką, zostawał u nich na herbatę, czytywał im książki, rysował desenie, rozmawiał z całą swobodą o swych zatrudnieniach, nauce i dalszych widokach, a czas schodził mu tak mile, zwłaszcza w towarzystwie panny Maryi, z którą teraz już miał tyle do mówienia. Wrodzone zdolności i naturalny jego dowcip, podsycane niepłonną chęcią podobania, rozwijały się tu coraz to jaśniej, coraz to śmielej, nie mogąc się wszelako pozbyć tej, że tak powiem studenckiej nieśmiałości.

Wychodząc z domu, zawsze obiecywał sobie tyle narozmawiać z panną Maryą, dając jej poznać swe uczu-

cia najgorętszej miłości, ale gdy stanął przed nią, gdy spojrzął w te piękne niebieskie oczy, zapomniał języka w ustach, odpowiadając li tylko na jej zapytania. Gniewał się potem wróciwszy do domu, obiecywał być śmielszym drugim razem, a kiedy się to zdarzyło, robił tak samo jak wprzód.

A i pannę Maryą, kto wie, czy nie bardziej gniewała t&ka jednostajność rozpoczętego z wyborną strategią romansu. Wprawdzie, wiedziała ona aż nazbyt dobrze o uczuciach pana Józefa, bo prostoduszny młodzieniec, nieledwie że każdym słowem, każdym ruchem lub spojrzeniem dawał jej to poznać, odkrywając jak na dłoni piękną swą duszę; lecz ona chciała czegoś więcej stanowczego, więcej pewnego, chciała najwyraźniej szego wyznania.

Więc też jednego wieczoru, gdy zebrało się kilka osób w salonie państwa Granickich, i kiedy podzieliwszy się na małe grupy, zaczęła się między nimi więcej odosobniona rozmowa, Marynia spostrzegłszy siedzącego na ustroniu «fózia, zbliżyła się doń, i zajmując sąsiednie krzesło odezwała się troskliwie:

- Czego mi pan tak smutnie wyglądasz od niejakiego czasu?
- Bo w samej rzeczy smutny jestem – odrzekł, pocierając czoło.
- No i cóż panu tak dolega? – odezwała się, patrząc mu rzewnie w oczy.
- Jeżeli prawdę mam pani powiedzieć, to sam nie wiem; czegoś mi tęskno na sercu, czegoś mi brakuje, że pomimo tego, iż wczoraj awansowałem w biurze, jednakże nic mi nie cieszy, nie zajmuje...

– A winszuję panu, winszuję serdecznie! i tylko się gniewam, jak można było nie powiedzieć mi wczoraj
o tym.

– Dziękuję pani bardzo za tę życzliwość, i przepraszam za niedbalstwo, ale bo też...

– Co, bo też?

– Bo też—kończył smutnie Józio—nie myślałem, aby moja pomyślność mogła co panią obchodzić!

– A brzydko, panie Józefie, nie spodziewałam się tego po panu; jakże można było tak przypuszczać?

– Ja—mówił, westchnąwszy Józio—teraz o wszystkim wątpię.

– A zkadże to taka wątpliwość?—powiedźno pan.

– Zkad!?!—o, zewsząd, proszę pani; ludzie tak dalece odarli mnie z wiary i nadziei, tak wybrali je częściowo z mego serca, że dziś jestem jak ów dobrze zaszuszony kwiatek, który zachował wszelkie dawniejsze kształty i kolory, ale brakuje mu życia, brakuje tchnienia.

– Ach, to pan biedny jesteś! — wyrzekła, przysuwając się bliżej Marynia i patrząc nań z prawdziwym współczuciem.—I jacyż-to ludzie tak pana zawiedli?

– Wszyscy—odrzekł lakonicznie.

– Jaki wszyscy?—i ja nawet?

– Tak, i pani — mówił wolno ale stanowczo nasz Józio.

– A to w czym, a to jakim sposobem?—zapytała z całą żywością Marynia.

– Długo to trzebaby opowiadać—wyrzekł drżąc

1 z niezwykle biciem serca, Żarski.

– No, powiedźże pan? słucham!

– Wierz mi pani—chciałbym, ale nie mogę.

- Czy to ma być co straszego?
 - Może i nie, ale boję się obrazić panią, a siebie rozdrażnić...
 - A fe, jak można tak źle o mnie trzymać, panie Józefie! – odezwała się z wyrzutem. – O cóż jabym się mogła obrażać na pana;–wiem przecie, że pan nic takiego nie popełnił, coby na gniew zasługiwało!..
 - Kto to wie?
 - Ja wiem –przerwała śmieiej panienka–bo ja znam siebie, i o ile mi się zdaje, znam także i pana.
 - A więc skoro mię pani zna, nie potrzebuję mówić.
 - Kiedy pan nieznośny jesteś! – zawołała, nieco urażona.–Chciałby powiedzieć, boi się;–ej, panie Żarski, zobaczysz pan, że się pogniewam naprawdę za ten brak ufności!–No, powiesz pan, czy nie?
 - Nie–odrzekł po chwili Józio.
 - Szczególniejszy człowiek! – zawołała, dziwnie się uśmiechając, Marynia. I porwawszy się z krzesła, pobięła w drugi kąt pokoju.
 - Ach, jakie ja też dziecko! – powiedział Józio, , patrząc za odchodzącą. Tysiąc razy przyrzekałem sobie, że jej wyznam wszystko a wszystko, co od kilku miesięcy gnieździ się w mojem sercu, truje mi każdą chwilę, co chciałbym ukryć i zniszczyć w sobie samym, a teraz, gdy zdarza się sposobność, drzę jak jaki młodzieniaszek, jak ten mały Józio, który stłukł matce garnuszek i obawiając się kary, nie śmie jej spojrzeć w oczy. Oh! biśdne to serce ludzkie!–Marzy, przemyśliwa, układa, a gdy przyjdzie spełnić, nie ma energii, nie ma za grosz potrzebnej odwagi.
- I posiedziawszy czas niejaki w takim zamyśleniu,

spojrzał ku Maryni, która czy rozgniewana, czy obrażona, siedziała samotnie zwiesiwszy głowę na piersi. Żal mu się jakoś zrobiło, że ją tak zmartwił, że jej nie zaufał, a przez to rozgniewał; przytem ubódł i wstyd własnej słabości, dość, że powstał szybko z krzesła i zbliżywszy się do niej, zapytał niby żartobliwie:

– Teraz nawzajem, mógłbym zapytać się pani

O jej smutek?

– Nie słucham pana, gniewam się: idź sobie pan odemnie.

– Ale niechże mi pani przebaczy, niech pani się nie gniewa; chciałbym, Bóg widzi, tylko nie mam tej śmiałości, obawiam się. .

– Czego się pan obawiasz?

– Śmiechu pani lub żartów.

– Dziękuję za komplement, dziękuję; piękne jak widzę masz pan o mnie wyobrażenie! – wyrzekła nieco ironicznie Marynia,

– Otóż, widzi pani, jak mi to jest trudno wybrnąć. Na każdym kroku robię gorzej, zamiast się poprawiać.– Ale nie gniewaj się pani, chęci mam najlepsze, tylko wrodzona nieśmiałość, ta zdradzana ciągle ufność mię powstrzymuje. Wszakże powiedziałem pani, że jestem owym kwiatkiem co nie ma życia...

– A czy ja nie mówiłam, że chcę być dla pańskiego kwiatka choćby i słońcem, co mu koniecznie powrócić musi pierwiastkową siłę i życie.

– Prawdziwie, że nie pamiętam tego.

– Otóż ja panu. teraz powtarzam, że tak jest,

1 bądź pan pewny, że gdybyś mię w podobnym rodzaju zapytywał, bez wahania się odkryłabym mu wszystko.

– A więc kiedy tak–podchwycił Józio, siadając

obok niej—niechże mi pani powie, z kąd to od kilku dni widzę takie zamyślenie na jej twarzy?

- Bo mam zmartwienie.
- No i jakież to zmartwienie?—zapytał ciekawie.
- Oto takie, że pan Sudawski, znasz go pan, ten wysoki blondyn z żółtymi

rzęsami...

- Czy ten co tu tak często bywa?
- On sam.—Oto już od kilku tygodni chodzi wciąż za mną, i wynurzając swoje nudne sentymta, mówi mi, że mię uwielbia, kocha...
- A pani co na to?—przerwał drżąco Józef.
- Ja?—Naturalnie powiadam, że nie potrzebuję jego oświadczyn, jego miłości...
- I on na tem nie poprzestaje?
- A nie; – tylko wciąż mi klepie jedno i toż

samo.

– Jak uważam, pani okrutną jesteś!—przemówił Józio, sposobem wypróbowania jej uczuó.

- Dlaczego okrutną?
- Bo jakżeż można tak pozbawiać człowieka wszelkich nadziei.
- I to pan mi mówisz, pan, co? – zapytała, patrząc na niego seryo.

Józio spuściwszy oczy, milczał.

– Ostatni raz panu daruję, bo wiem, żeś pan żartował!

A nie czekając jego wymówek, ciągnęła dalej:

– "Wczoraj nawet, kiedy, mię już przyprowadził do ostateczności, dałam mu poznać najoczywiściej, że darmo się ludzi jakąś nadzieją, gdyż powiedziałam mu, kocham innego.

Na te słowa, Józio o mało nie upadł z krzesła doznawszy gwałtownego wzruszenia; ale po chwili starając się ile możliwości pokryć ten nienaturalny stan swojego serca, tak niby obojętnie, ledwo słyszczanym głosem zapytał:

– I kogóżto, pani, tak kocha?

– Jaki? pan mię się pytasz jeszcze kogo?! A, niedomyślny jesteś!–zawołała, patrząc nań z całym wylaniem, i pogroziwszy figlarnie ślicznym paluszkiem, zerwała się jak spłoszona sarna, wybiegając do drugiego pokoju.

Józiovi aż się w oczach zaćmiło: krew gwałtownie uderzyła do głowy, wszystkie nerwy zdrząły w nim, a serce jakby bijąc w metalowy puklerz, tętniło coraz szybciej, coraz wyraźniej, tamując swobodny jego oddech. Zupełnie stracił przytomność, więc porwawszy kapelusz, i nie żegnając się z nikim, jak szalony wybiegł na ulicę.

Dopiero opamiętawszy się nieco w swojej izdebce, skoro pierwszy ogień nadspodziewanego szczęścia przeminął, kiedy wszystkie minione dolegliwości i cała ta przeszłość odarta z najpiękniejszego kwiecia młodzieńczych marzeń, zlała się w jedno ogniwo obecnego ukontentowania, zawierając nawet ich wspomnienie, nasz Józio, dziś już wyzwolony na człowieka, zahaczył jakoś niechcący o tę wspaniałą gałąź rozumu, nazwaną rozsądkiem. A jakkolwiek owiany niezmierzoną przestrzenią najczystszej i pierwszej miłości, wszelako ten natrętnik coraz to jaśniej, coraz to bliżej, nasuwał mu owe drobniutkie koluszki, których zadrażnienie nie prędko da się zagoić w tem biednym sercu ludzkim.

I nic dziwnego, bo owo przesławione i okrzyczane szczęście, skupia się tylko w terażniejszości, a cóż to jest terażniejszość? punkt matematyczny, mniej niż jedna chwilka w porównaniu przeszłych i przyszłych czasów! tfmysł ludzki, to żyd"wieczny tułacz, którego nieodgadniona fatalność pcha i pcha wiecznie naprzód, wiecznie dalej, zostawując po sobie tylko żal, tylko wspomnienia!

I Żarski w swem dotychczasowym życiu, osiągnął już owego wierzchołka upragnionego szczęścia, a oba- czywszy, że jeszcze wyżej wznieść się można, opuścił ręce, skoro zabrakło mu sposobów wykonania dalszej podróży.

I na co się to zdało? – mówił do siebie, pocierając gwałtownie czoło.–Ja, nędzarz prawie w obliczu świata; ja, ubogie ekonomiczne dziecko, a ona? bogata, piękna, wysoko urodzona, i tylko siostra duchem, kochanka nieograniczonem i świętem uczuciem, gorejącem w naszych sercach.

O! świat ten i jego podziały, jakżeż ścigają boleśnie biedaków tej ziemi, jak ich gniotą żelazną dłonią władnącą złocistym mieczem z oherbowaną rękojeścią! Rodzice nie pozwolą i ja o tem nie pomyślałem dawniej. A szkoda uczucia, które choć niby niezmierzone, jednakie kiedyś wyczerpnąć się musi, a z którego już dla mnie niewielka pozostać może cząsteczka!

A choćbyś się ty cofnął? podszeptał wierny przyjaciel człowieka, rozsądek. Już zapóźno, odrzekło uczucie. Spróbuj, wszakżeś tyle razy dał niezaprzeczone dowód swej wytrwałości – mówił znów pierwszy, i tak jakoś umiał zgrabniutko podejść biedne serce, tak swemi

dowodzeniami zagłuszyć gwałtowne jego bicie, że biedny Józio postanowił w końcu pójść za jego radami.

Nazajutrz i w dwa dni następne nie poszedł na lekcję, siedział w biurze jak przykuty, a w mieszkaniu czytając dzieła najzawilszej treści filozoficznej, chciał koniecznie zapomnieć o Maryni i miłości.

Ale na co się to zdały owe heroiczne wybryki rozumu i jakaś duma człowieczej woli?! Co silnie, długo, a gruntownie zbudowane, nie da się tak prędko i lada komu pokonać; czas tylko jeden, czas dobrodziej i lekarz cierpiących, czas niezwalczony dotąd zwycięzca, może sam urągać się ze wszystkiego. A tu czwartego dnia zaraz, pani Granicka przysłała dowiedzieć się o przyczynie tak długiej w domu jsj niebytności. Józio nie potrafił tym razem pokonać swej woli, aby się nie zapytać o pannę Maryę, i dowiedziawszy się, że jest od kilku dni cierpiącą, że czegoś zmizerniała, nie słuchał już żadnych perswazyi, a po biegł czemprowadzej ku Elektoralfnej ulicy.

Naturalnie, że przyjęto go z najżywszą radością, że trudno mu było wydażyć z odpowiedziami na tysięczne wymówki i troskliwe dopytywania się o zdrowie, i przyczyny takiego zapomnienia. Sama tylko Marynia, jednym spojrzeniem odgadła prawdziwy stan duszy nieszczęśliwego młodzieńca, a upatrzwszy stosowną chwilę, zapytała go niby obojętnie:

– Czy to ostatnia nasza rozmowa, panie Józefie, zrządziła taką odmianę w jego postępowaniu?

– Ponieważ na nicby się tu nie zdały wszelkie moje tłumaczenia i wymówki—odparł Żarski ze stoicką odwagą—wyznam pani szczerze, że tak jest!

- To mnie dziwi mocno—mówiła potrząsając głową – gdyż wcale czego innego spodziewałam się po panu.
- Być może, nie zaprzeczam, że kto inny na mo- jem miejscu takby nie zrobił, ale daruj pani, że wyznam jej otwarcie: jestem człowiekiem, który wszystko co dziś posiada, sam sobie winien; nie dziw więc, że patrzę w świat inaczej, i że rozsądek gra w mojem postępowaniu wcale niepoślednią rolę.
- Więc to pan matematycznie, rozsądkiem mierzysz uczucia? Winszuję panu takiego mentora!—odezwała się Marynia z niejaką ironią.
- Chciałbym żeby tak było jak pani utrzymuje, chciałbym, Bóg widzi, jednakże tym razem nie potrafię.
- Spróbuj pan; słyszałam, masz silną wolę: ja ci przebaczam wszystko.
- Oh! pani żartujesz sobie z mojego biednego serca, gdy ono raczej na twą litość zasłużyłoby powinno. Ale po co te wstępy, poco tak dalekie określenia? Otóż powiem pani wszystko nie to co czuję, o czym pani wiesz doskonale...
- Z aniołem stróżem rozsądkiem – przerwała v Marynia.
- Pani! przez Boga nie karz mię przedwcześnie!—zawołał błagająco Żarski – wysłuchaj wprzód, a potem ocenisz.
- No, słucham, mów pan – odpowiedziała z pe- wnem współczuciem Marynia.
- Otóż po tej ostatniej naszej rozmowie, przy

szedłszy do domu, pozwól pani, że tu użyję jeszcze raz tego wyrazu, rozsądek poszepnął mi pytanie: coby to powiedziała na to mama pani i ojciec, gdyby się dowiedzieli?...

– Więc pan myślisz—przerwała śmiejąc się—że ja mam jakieś tajemnice dla mamy, że o tem wszyst- kiem nie wie?

– Jakto, pani to wyznałaś?

– A naturalnie, że wszystko a wszystko.

»

– I pani sądzisz, że niema nic przeciwko temu?

– Przecież pan możesz się łatwo o tem przekonać ze sposobu jakim cię dzisiaj przyjęto.

– Więc jest dla mnie nadzieja! – zawołał radośnie Józio, ściskając jej rękę.—I ojciec pani zezwoli?

– Skoro zezwolił na to, co dotąd między nami zaszło – odrzekła Marynia, ze szczególniejszym wyrazem szczęścia spoglądając w oczy Józiovi – spodziewam się...

Wtem zbliżyła się do nich pani Granicka chcąc coś przemówić, gdy Józio, porwawszy gwałtownie za rękę pomieszana Marynię, ukląkł przed nią z jakimś dziwnym zapalem wołając:

– Pani, matko nasza! pobłogosław tve dziatki!

⁴ Wszystko to stało się tak prędko i prawie w je dnej chwili, że pani Granicka nie wiedziała co na to odpowiedzieć—a Józio patrząc jej błagalnie w oczy, zatrzymał oddech, czekając stanowczej rezolucyi.

– Ach! błogosławie i błogosławie serdecznie, moje kochane dzieci! – wyrzekła w końcu ze łzą radości w oku, całując bez końca i tuląc do siebie klęczącą parę.

– Więc choć raz w tym życiu doznaję prawdziwego szczęścia! – zawołał Józio, patrząc się na stojącą obok Marynię. – Oh! dziękuję ci serdecznie, droga Maryniu za to, dziękuję i tobie czcigodna jej matko, dziękuję po tysiąc razy, żeście nie odrzucili biednej sieroty, żeście oddali sercem za serce, żeście nie wzgardzili... I nie mogąc już dalej mówić całował panią Granicką po rękach, po nogach, i klaskał w dłonie podskakując wesoło po pokoju.

Nareszcie, kiedy już ochłonął z tego nadmiaru radości, kiedy zasiadłszy wszystko troje przy stoliku, patrzeli milcząco na siebie czytając w tem spojrzeniu wszystko, co tylko w duszy czytać można, a na co w mowie ludzkiej wyrazów niestaje, pani Granicka odezwała się do niego.

– No, teraz mój Józio kochany, potrzeba pomyśleć o waszej przyszłości.

– Ale po co to zakłócać w tej chwili naszą radość jakimiś zimnymi rachubami, moja pani, moja przyszła, kochana matko; proszę cię serdecznie: kiedyindziej, jutro... potem.

– Dobrze, moje dziecko, zgoda na to; tylko widzisz chciałam ci przypomnieć, że trzeba tę wielką dla nas wszystkich radość jakoś uzupełnić uroczyściej.

– Jaktó?—zapytał niespokojnie Józio—czy to jeszcze niedostateczna wola kochanej mamy?

– Nie o to, mój Józio, nie o to, tylko za dwa tygodnie, jak wiesz, moje imieniny; więc zachowując wszelkie starodawne zwyczaje, trzeba odbyć formalne zaręczyny, trzeba kogoś z twej strony.

– A to ja dziś jeszcze napiszę do matki! oh,

ona niezawodnie przyjedzie sama, ona co mię tak kocha, co mi tak życzy, przyjedzie, z pewnością przyjedzie.

– Więc kiedy tak, wszystko już zakończone, moje dzieci: bądźcie szczęśliwi, kochajcie się zawsze, i pamiętajcie o tem, że macie we mnie również kochającą i najlepiej życzącą wam matkę!

VII.

Tego samego wieczora, wróciwszy do siebie nasz Żarski, usiadł natychmiast do stolika i w te słowa pisał do matki:

Droga i najukochańsza moja mamuniu!

“Dziś, rozstrzygnął się los mojego życia, mojej przyszłości. Nie wiem jak Ci to opisać, jak Ci to wytłomaczyć, bo w mojej głowie taki nieład myśli, taki natłok wrażeń i szczęścia, że sam się dziwię, iż dotąd nie oszalałem z radości. Słowem, kochana mamuniu, żenię się, i to żenię się z aniołem tej ziemi. Dawniej już pisałem Ci o Maryni, córce państwa Granickich, których synkowi od trzech lat udzielałem lekcye; wiesz, że ją kochałem całą potęgą pierwszej i ostatniej miłości, i dzisiaj Pan Bóg wysłuchał próśb moich, zlitował się nad wierną Mu istotą, bo dzisiaj oświadczyłem się samej pani, i przyjęto mnie z takim uczuciem i życzliwością, jakich tylko od Ciebie, kochana mamuniu spodziewać się mogłem. Teraz spełniły się wszystkie i długoletnie moje życzenia: będziemy razem żyć sobie spokojnie i szczęśliwie, bo moja przyszła żona potrafi uczcić Twą starą głowę: potrafi wynagrodzić Ci sownie wszystkie te straty jakieś poniosła w tem życiu dla Twojego ukochanego dziecka. Przybywaj więc kochana i droga mamuniu, przybywaj jaknajprędzej chociażby i sama, jeżeli Andzia przy go

spodarstwie zostaćby miała. Za dwa tygodnie od dziś dnia, imieniny przyszłej mojej drogiej matki. Chwila ta przeznaczoną jest na nasze zaręczyny, i spodziewam się nie odmówisz nam tej łaski, którzy Cię tak bardzo kochamy, i Twą drżącą ręką pobłogosławisz raz jeszcze wdzięcznego Ci do śmierci Józia.

P. S. Nie bierz, kochana mamuniu nic z sobą, nie rozporządzaj niczem, ja tu wszystko dla Ciebie przygotowuję – a potem uradzimy wspólnie co zrobić z kolo- nijką.

Całuję więc po tysiącokroć ręce i nogi kochanej mamy i oczekując niecierpliwie Jej przybycia, proszę tylko Boga, aby Jej dał jak najdłuższe życie i zdrowie za to wszystko, coś dla mnie uczyniła.

Szczerze kochający syn Józef\

Możecie sobie łatwo wyobrazić radość poczciwej Żarskiej po odebraniu tego listu. Przez cały dzień nie wiedziała już co z sobą zrobić: zwoływała wszystkie sługi, chodziła po wsi, czytała ten list rozpowiadając że jej kochany Józieczek żeni się z bogatą panną w Warszawie, że ona będzie przy nich mieszkać, że . jedzie na zaręczyny; kazała sobie Anusi wydostać brunatną jedwabną suknię, stroiła czepki, zamawiała u szewców nowe trzewiki, czyściła stare srebrne kolczyki; słowem, biegając, płacząc i ściskając każdego co jej się tylko nawinął, nie mogła sobie znaleźć miejsca, tak ją to wszystko serdecznie cieszyło.

– A, moja Anulko – odezwała się do córki – nałóż-no tam ze dwa duże garczki, ot te garncowe, świeżego masła; wypłucz ładnie, czyściutko...

– I cóż to mamunia z niem zrobi?

– Co? a wezmę do Warszawy; u nich to tam wszystko drogie, a jakie? Boże zmiłuj się!

– Eh! mamuniu, oni bogaci, co to u nich znaczy taka odrobina?

– To też trzeba nałożyć ze dwa garnce tego, com go dla nas zachowała na zimę.

– Kiedy, mamuniu, to mi się nie zdaje.

– Co tam tobie się nie zdaje – odrzekła uśmiechając się znacząco pocziwa staruszka. – Gadaj mi tam mało, nie zdaje się – oho! nie bój się, wiem ja to dobrze co to potrzeba na wesele: dobra i trocha! – Pamiętam, kiedyś szła za mojego nieboszczyka Jana, pani hrabina mówiła: “dosyć tego, dosyć;” a jak przyszło piec, gotować smażyć, nie ma masła. – Krętu-wętu tedy, szukać po wsi, u pachciarza, u karbowego, i ledwo że wynaleźli. No, i czegoż ty się śmiejesz? – mówiła dalej patrząc na córkę kręcącą główką. – Jak mi Bóg miły, to prawda, i teraz, chociaż to tam słyszę, bogaci ludzie w Warszawie, ale im się to przyda; nie bój się: wiem ja co robię. A ładnie mi upakować, czystym płótnem przykryć, sianem w koszyku obłożyć, i serów ze sześć obmyć, osuszyć; bo to widzisz, moja Andziu, na to ludzie patrzą, i zaraz powiedzą: “musi to być dobra gospodyni!”

Córka nie chcąc się sprzeciwiać matce, chociaż innego była przekonania, pobiegła wszakże wykonać jej rozkaz, a pocziwa staruszka uśmiechając się radośnie, szyła, przyszywała, oglądała wszystkie stroiki. Wyjęła potem trzy sznurki dużych koralików, wytarła je oliwą, przymierzyła patrząc w zwierciadło; zrobiła też samo z czepek i dużą jedwabną chustką, a gdy przyszedł

wieczór, pakowała bieliznę i suknię gwarząc z ukochaną Anulką.

– A jak to on musiał wyrósć i wyładnieć! bo to podobniuteóki kropla w kroplę do nieboszczyka męża. A jak on też będzie wyglądał przy ołtarzu? bo to pamiętam, kiedyśmy z moim Jasiem ślub brali w Kościelcu, kiedy on w białej chustce i granatowym fraku szedł przez kościół, to wszystkie panie o mało go nie zjadły oczami; mnie zaś serce tylko że nie wyskoczyło z radości. Ale jak zaśpiewali Veni Creator, to panna młoda beee i w płacz,

Pani hrabina przypada, daj pokój, Marysiu, a nie szlochaj; i ksiądz proboszcz perswaduje, i mój się skrzywił, ale gdzie tam służyć wtedy: płakałam i płakałam, bo to już taki zwyczaj, moje dziecko.

– Moja mamuniu – odezwała się po chwili Andzia – mnie się zdaje, że to tam w Warszawie inaczej być musi, że to ubranie mamuni źle będzie wyglądać przy strojach pań tamtejszych, możeby lepiej korali nie kłaść...

– Ho! ho! moja kochana – odrzekła Żarska poruszając głową – nie bój się, znam ja to wszystko: a przecież i ja widywałam różne przeróżne panie bogate, potrafię się ustroić, potrafię! Taka suknia jedwabna jak moja, taka chustka duża z frędzlami, taki czepek i królewskich pokoi się nie powstydzi. A zresztą, mnie starej i matce pana młodego, to wszystko ujdzie. Ale, ale – odrzekła po chwili – furmanka też będzie na jutro?

– Będzie, mamuniu, dodnia zajędzie.

– No, ale widzisz ty, moja Andziu, jaki to majster z tego Józia: żeby też od trzech miesięcy nic a nic nie

A. Wilczyński. –Tom VII.

pisac, zeby nie doniesc matce o zadnych zalotach,—ale tak od razu pec, zenie sie mamuniu, przyjezdź! Muszę ja mu to wypowiedziec, to nie ładnie, to nie z matką, taka sprawa.

— Może i czasu nie było — odezwała się Andzia — on tyle pracował, tyle miał zatrudnień...

— Nie wymawiaj go, nie. Na napisanie listu nie długo trzeba czasu, tylko się rozamorował, a o matce ani dudu. Wszystkie dzieci to tak robią: a moja mamuniu, a moja kochana, a moja serdeczna, poty, póki niema na sercu jakiej bogdanki, a potem to ani słyhu

O mamuni.—Wiesz co Andziu, ochota mię bierze spłatać mu figla: odpiszę że nie pojedę...

— Nie rób mamunia tego, zmartwiłby się bardzo.

— A ja się nie martwiłam, co?

— Eh, cotam, mamuniu, to przeszło, niech mamunia jedzie.

— Ja też pojedę, moje dziecko, pojedę, tylko widzisz tak mu niby napiszę pocztą; niech się pomartwi trochę; a potem dopiero się to ucieszy, kiedy ja wchodzę do niego i mówię: "Niech będzie pochwalony!" Tak, tak, siadaj no Andziu i pisz!

I powziawszy takie postanowienie, kazała napisać, że jest słabą, że sama przybyć nie może, ale błogosławi, zezwalając na wszystko.

List na drugi dzień zaraz oddała sama na pocztę,

1 nająwszy furmana do Kielc, zabrawszy cały zapas swej garderoby i różnych gospodarskich prezentów, do których przybyło jeszcze kilka zajęcy i duży ser owczy

kupione w Pińczowie, wydawszy potem stosowne rozporządzenia, zostawiła córkę w opiece boskiej i znajomych, a sama ochoczo ruszyła ku Warszawie.

#

* *

Rozkochanemu Józiowi, te dwa tygodnie czasu zeszły jak dzień jeden, przybliżając chwilę upragnionych zaręczyn i przyjazdu najukochańszej mamuni. Już od kilku dni, codziennie po południu, wychodził ku rogiatkom Jerozolimskim, czy czasem nie spotka jadącej; pytał się o listy na pocztę, szukał okazji ztamtych stron, a nie widząc żadnego skutku swych poszukiwań, niecierpliwił się mocno.

W ostatni dzień wyznaczonego terminu, kiedy nie- spokojność jego zaczęła przybierać coraz obszerniejsze rozmiary, odebrał ów list matki zawiadamiający o niemożności jej przybycia.

Ż początku zmartwił się bardzo tym wypadkiem, że najdroższa mamunia nie podzieli z nim jego radości, zwłaszcza iż zakupił dla niej mnóstwo rozmaitych stroików, żeby przecie nie potrzebowała się wstydzić swego ubóstwa, wobec licznie zebranej rzeszy strojnych pań warszawskich. Jakieś przykre uczucie opuszczenia i samotności w tej ważnej życia jego chwili a przykrejsza jeszcze myśl, iż matka może i bardzo jest chorą sparaliżowały mu ten piękny plan zadowolenia, jaki oddawna ułożył w swem sercu. Jednakże czas się zbliżał. Marynia prosiła o wcześniejsze przybycie, miłość gwałtownie ciągnęła, więc przybrawszy się ile możliwości najwy-

kwintniej, ze smutną myślą pojechał wszakże do państwa Granickich.

Wszedłszy do salonu, zastał małą dopiero liczbę panien, nieco starszych pań i mężczyzn, a wśród nich jego Marynia, opromieniona nieziemskim szczęściem, zdawała się królować.

Ujrawszy samego Józia, zerwała się czemprędzej z krzeselka, i przybiegając doń, zapytała trwożliwie:

– A gdzież mama?

– Nie przyjedzie—odrzekł smutnie Żarski — pokazując przed chwilą odebrany list z poczty.

– Ach! nie uwierzysz jak mi to przykro, mój Józiu!—zawołała, ściskając go czule za rękę. A ja sobie tyle obiecywałam, tak pragnęłam ją poznać, ucałować, uściskać i podziękować, że mi z takim sercem wychowała narzeczonego...

– Trudna rada, moja Maryniu!—Dziękuję ci jednak serdecznie i za te chęci, przecież da się powetować; tylko to mię najbardziej niepokoi, czy aby nie jest bardzo chorą.

– Eh! nie smuć się przedwcześnie, wszakże sama list pisała.

– Właśnie, że to ręka siostry.

– No, toby ci była prawdę wyznała.—Nie marszcz się, nie, mój drogi, bo widzisz i mnie się przykro robi, i nie chciałabym, Bóg widzi, aby jakaś chmurka w dniu dla nas tak ważnym osiadła na twojem czole.—Oto powiem ci lepiej, że właśnie w tej chwili mama rozmawia z tatą o nas w tamtym pokoju.

– O czymże oni mogą rozmawiać?—zapytał zdziwiony i pomieszany nasz Józef.

– Widzisz, mój drogi — mówiła, ciągnąc go do

przedpokoju—mama dotąd nie mówiła o naszym postanowieniu...

— Jakto?—więc on nic nie wie?

— Ale poczekajno, okropny jesteś gorączka;—wiedział, wiedział, tylko jak to ojciec, wiecznie zajęty interesami, wiecznie zamyślony, nie miał dotąd czasu ułożyć się stanowczo z mamą o naszą przyszłość, bo przecież tak nas nie wypuszczą na Bożą łaskę.

— No, to co innego, to co innego; bo wiesz, ja już wątpię o jego przyzwoleniu.

— Ależ dzieciństwo takie wątpliwości—przerwała Marynia, trzymając w swych dłoniach jego ręce, i patrząc nań z całym wylaniem się prawdziwej miłości. — Wszak znasz mię dobrze i możesz być pewnym, że nawet i w takim razie, ja przysięgam ci na wszystko, raczej umarłabym starą panną, aniżeli bym poszła za kogo- bądź innego. — Mój Józiu kochany, ty nie znasz jeszcze kobiet, które prawdziwie kochają! Wtedy nic ich nie odstrasza, nic nie zniechęca;—wszystko zniosą cierpliwie, śmierć nawet, a nie odmienią swych uczuć i swych zamiarów!

Józio za całą wdzięczność ucałował najczulej pulchne jej rączki, rozpromienił oko i wszedł do salonu wolny od wszelkich przykrych myśli, jakie poprzednio dręczyły poczciwe jego serce.

My tymczasem odchyliwszy zasłonę tajemniczej rozmowy dwojga małżonków, posłuchajmy jak oni-to radzą o przyszłości narzeczonych.

— No, i po cóż mię tu ciągniesz? — zawołał dość opryskliwie pan Grranicki, zamykając drzwi od salonu. — Tam radca sam został, a właśnie teraz najwięcej potrzebuję jego pomocy.

- Nie ucieknie, nie bój się, mój Ksawerciu;–oto widzisz, chciałam się rozmówić z tobą co do przyszłości Maryni.
- Moja kochana, daj mi też teraz pokój! cóż to znowu tak pilnego dzisiaj...
- Bo proszę cię, ułożyliśmy dziś odbyć ich zaręczyny.
- No to sobie odbywajcie; cóż mnie to obchodzi?
- Bardzo źle, że pana nie obchodzi! – odrzekła nieco zagniewana małżonka.
- Robiliście wszystko bezemnie, kręciliście się, swatali, to sobie i kończcie sami.
- Ależ bój się Boga, Ksawery!?
- Co tam, bój się, nie bój się, ja mam swoje dzieci.
- "Wszakże i matka twych dzieci, jest jej matką– przemówiła z pewnem oburzeniem pani Granicka–proszę cię, to się niegodzi tak zaniedbywać moją córkę;–on taki chłopiec porządny, pracowity...
- Cóż mi z tego? i mój stróż taki sam – ale bieda.
- A fe, – jakżeż można porównywać jego do stróża?
- Wszystko to jedno, moja kochana, dość że ubogi, a ubóstwo jest wadą.
- Ależ to człowiek zdolny, wielce obiecujący...
- Prawda–tak samo mówił mi jego naczelnik,– ale koniec końców, ma 2,000 pensyi; z tego nie wyżyją, trzeba dopomagać, a ja nie mam na to! Zresztą Bóg wie co to za jeden? – może to syn jakiego chłopca, albo karczmarza.

– Ale zkąd znowu, mój Ksawerciu, mogłeś przecie widzieć z jego obejścia, a nawet chociażby i tak było, cóż to znaczy?—Wszak i ty...

– Co ty tu stawiasz mnie na przykład! .Ta co innego, on co innego;—tacy jak ja, dziś się już nie rodzą. Mnie tu nie idzie o niego, ale o moje dzieci, o moją Karolcię; powiązawszy się z jakimś tam karczmarczykiem, to nikt porządny nie zechce wchodzić w podobne stosunki...

– Dajno pokój, nie przesadzaj, i on kiedyś przydać ci się może. Przed nim otwarta droga; wspomóżesz go teraz, później ci to odwdzięczy: zobaczysz!

– Mówisz, aby mówić! – Proszę cię, spójrz tylko na niego, a zobaczysz jak mu z oczu patrzy ta głupia poczciwość; ja takich nie potrzebuję wcale. Chcesz koniecznie, to daj za niego; wyprawę kupię, ale ani feniga potem.

– Mój Ksawerciu, jak mnie kochasz, choć po tysiąc złotych przez pierwsze lata im dawaj. Oni ci to oddadzą potem; wszakże będzie mu później można dopo- móż inaczej.

– Sześćset złotych przez dwa lata i wyprawę; to i tak wielka łaska.

– Choć 800, mój mężu!?

– Moja kochana nie nudź mię też więcej; nie mam czasu, bierz póki daję!—zawołał niecierpliwie Ksawercio i wyniósł się prędko z pokoju.

– Dobrze i to – poszepnęła sobie pani Granicka i poszła zawiadomić o tej pomocy szczęśliwą parę.

*

* *

Tańce szły w najlepsze, ochocze grono bawiącej się młodzieży wywijają z całym życiem skoczno mazura, starszyzna zasiadła do gry, mamy siedząc pompatycznie w około sali, gwarzyły o domowych kłopotach, patrząc na bawiące się dziatki; niektóre z nich czasami i sen zmorzył, więc kiwnęły kiedy niekiedy głową, narzekając na straszliwy upał i zbyt hałaśliwe tony dość licznej kapeli.

Godzina 10-ta dopiero co uderzyła na ratuszowym zegarze, gdy poczciwa Żarska zmordowana niezwykłą dla niej podróżą i niespokojna czy się nie spóźni, ledwie przeledwie wynalazła mieszkanie swego jedynaka.

Stara kobieta, sąsiadka naszego bohatera, a zarazem i służąca, miała klucz ocl stancyi; więc dowiedziawszy się, że to jest matka dobrego pana Żarskiego, wprowadziła ją natychmiast do pokoju, zapaliła świecę, zniosła rzeczy, i nuż wygadywać wszystko co tylko wiedziała o miłośkach swego panicza: jak-to on posyłał jej kwiaty i książki, jak nakupił różnych a różnych ubiorów dla mamy, ale te są zamknięte w komodzie; w końcu, jak on wychodził na jej spotkanie, i dziś aż płakał kiedy odebrał list z poczty.

Biedną Żarską i cieszyło to i smuciło zarazem, przekonywając się o przywiązaniu Józia i niepotrzebnym umartwieniu. Ubierała się więc prawie na gwałt, porozkładawszy liczną garderobę po wszystkich sprzętach synowskiego mieszkania.

– Ale wy wiecie, moja kobieto – odezwała się Żarska, zapinając korale – gdzie to mieszkają ci państwo?

– A cóż nie mam wiedzieć, proszę pani, a toż ja się tam nachodziła dosyć, i dziś nawet byłam ze trzy ra

zy. Sprowadzę dorożkę, pojedę z panią, bo już cić nie wypada chodzić piechotą.

- Dobrze, dobrze, moja kobieto, tylko się spieszcie, bo to będzie koło jedenastej.
- Właśnie też prawiusieńko o tej godzinie. – To wielcy państwo, a u nich taka moda, proszę pani: nieraz bywało, pan Józef wraca o 4-ej albo o 5-ej, wali i wali do bramy. Onufry pijany śpi jak zabity; mnie się i żal robi dobrego pana, schodzę tedy...
- Ale idźno moja kobieto, po tę, tę... jak się to nazywa?
- Po dorożkę...
- Tak, tak, po derożkę – odpowiada, niecierpliwiać się Żarska, kładzie świeżutkie bawełniane rękawiczki, zapina i odpina kołnierzyk, poprawia, przegląda się w dużym zwierciadle, uśmiechając się radośnie.

Nareszcie służąca dała znać że dorożka, czeka, i pani Żarska w brunatnej jedwabnej sukni z bufiastymi rękawami, w dużym bieluchnym czepku przystrojonym rześisto żółtymi wstążkami, okryta dużą, niebieską chustką także jedwabną, z wązkim ceglasytym szlakiem i długimi frędzlami, schodzi bardzo ostrożnie ale dość żwawo po stromych schodach drugiego piętra. Trzy sznurki koralu czerwienią się szkląco na szyi, nowe trzewiki dość obszerne, według niej bardzQ zgrabne, wyglądają z pod krótkiej sukni pukając głośno za każdym krokiem, a duża, cieniutka chustka od nosa zgrabnie ułożona, bieli się dość wyraźnie wśród nocnej ciemności.

W kilka minut zatrzymała się dorożka przed mieszkaniem państwa G-ranickich. Żarska spojrzawszy na rześisto oświetlone okna pierwszego piętra, drży już

z radości, że wkrótce obaczy ukochanego Józeczka; zapłaciwszy więc dorożkę, biegnie co żywo na górę.

Właśnie w tej chwili kapela graó przestała w salonie, bo zaczęto roznosić herbatę i ciasta. Oboje państwo Graniccy wraz z córkami uwijają się między gośćmi, zapraszają uprzejmie do brania, a ziajaca od zmęczenia młodzież, pomiędzy którą był i Żarski, wysuwa się do pokoju męskiego na odpoczynek lub sygaro.

Przechodząc około drzwi przedpokoju, Józio zauważył tam jakiś hałas i ucierania lokai, przybiega więc do nich i rozpoznaje głos matki, która gwałtem chce zobaczyć się z panem Żarskim.

Odrzucić na bok zuchwalca i upaść do nóg kochanej mamuni, było dziełem jednej chwili pocziwego Józia.

– To Józio, syn mój!–To droga moja mamunia! –odezwały się naraz dwa głosy, matki i syna, którzy z wielkiej radości więcej przemówić nie mogli. Uszczęśliwiony Józio, z rumieńcem prawdziwej radości na twarzy i niezwykłym biciem serca, porywa gwałtownie rękę zdziwionój matki i szybkim krokiem prowadzi ją za sobą do sali.

– Oto jest moja matka!–woła, stawając na środku przed panią Grariicką!

Na taki okrzyk zaturkotały wszystkie krzesła w salonie, zdziwiona, a zarazem ciekawa rzesza w tej chwili otacza matkę i syna, gdy pani Granicka spoglądając jakimś wzrokiem na taki ubiór Żarskiej, bełkocząc niezrozumiałe wyrazy, nie wie co zrobić z sobą.

– Przedstawiam pani moją matkę!–krzyknął poraż drugi Józio, drżąc z gniewu i oburzenia.

– Oo to? kto to?–daje się słyszeć głos pana Gra-

nickiego, przeciskającego się przez tłum ciekawych i milczących widzów, a za nim pokazuje się grono mężczyzn z drugiego pokoju. – Co to za kobieta? z kąd ona się tu wzięła?—spytał jakimś dziwnym głosem, stawając obok żony, a usta mu drżały jak w febrze, bladość powlekła chude policzki, okulary spadły poniżej nosa, odkrywając dwoje w tej chwili tygrysiich oczu.

– To moja matka!—odrzekł Józio, czerwony jak burak, z całym wysileniem powstrzymania swego gniewu, gdy biedna Żarska trzęsąc się lękliwie, o mało co nie upadła na ziemię.

– Kto panu pozwolił wprowadzać do mego domu jakąś szynkarkę? kto? – wrzasnął pan Ksawery, szarpnąwszy gwałtownie kłapą Józiewego fraka.

– Proszę się umiarkować, panie Granicki – odrzekł niby spokojnie Józef, a z takim ognistym wyrazem oczu, że zdawało się, stopiłby pod nim najtwardszy metal.— Moja matka nie była nigdy i nie jest żadną szynkarką; że jest biedną a uczciwą ekonomową, to ani jej, ani mnie nie hańbi...

– Fi, fi!... co, ekonomowa!? – odezwało się kilka głosików.

– Proszę wyjść ztąd zaraz!—wołał, szamocząc się gospodarz.

– Za pozwoleniem pana dobrodzieja, za pozwoleniem—odpychając silną dłoń trzymającego go za rękę,

...kę ex-mecenasa. – Ani krokiem ztąd się nie ruszę póty, póki dokładnie nie wytłumaczę, nie panu, ale zgromadzonym tu gościom powodu przybycia mej matki.

– Józio! synu mój! pójdźmy, pójdźmy!—wyrzekła cicho matka, ciągnąc go ku drzwiom.

Ale on, jakby nie słysząc tej prośby, mówił dalej drżącym głosem:

– Otóż, proszę państwa, dziś miały tu się odbyć moje zaręczyny z panną Maryanną, córką pani Grani-ckiej. Uważałem to za najpierwszy obowiązek, a zarazem i najwyraźniej żądano odemnie, aby tu moja matka była obecną. Ponieważ zaś nie uszanowano jej obecności tak, jak na to jej wiek i przyszłe stosunki nasze zasługują, więc darujcie, że wam pomiejszałem szyki zabawy, ale i ja jestem synem!!! Zegnaj więc wszystkich, upadam do nóg!...

I odwróciwszy się z szlachetną dumą obrażonego uczucia miłości synowskiej, wśród głębokiego milczenia obecnych, powiódł ku drzwiom przełękłą kobietę.

Ale na samym wyjściu, wzrok jego spotkał się ze wzrokiem siedzącej smutnie Maryni, więc zapytał jeszcze stanąwszy przed nią:

– Czy i panią zawstydzają ten ubiór mej matki, o którym wiedziałaś dawno?

– Ja... ja... – bąknęła pomiejszana i zawstydzona panienka – ja myślałam, że nie tak... ja muszę się zgadzać z wolą rodziców...

– Więc bywajże mizdrowali ty wierna kochanko! Nie uczciłaś siwej głowy przyszłej swej matki, więc i ja też ciebie szanować nie mogę; a kogo nie szanuję, spodziewam się i kochać przestanę! – Pójdź, pójdź, droga

1 kochana mamuniu! – mówił ze łzą w oku, całując jej czarne, spracowane ręce. – Znieważyli cię tu ohydnie, wypędzili prawie najsromotniej za to, że twą szlachetną duszę pokrywa mniej świecących łachmanów; ale ja ci przysięgam na pamięć dobrego ojca, że ile tylko sił mi

starczy, postaram się wynagrodzić to wszystko! – Tak, mamuniu, wierz mi, pierwszy i ostatni raz przejrzałem oczami prawdy, oczami dziecka niedoli!!!

Łatwo sobie wyobrazić, jakie to wrażenie wywołał ten wypadek na umysłach zgromadzonych w salonie: jedni się śmieli lub szydzili, drudzy dogadywali osłupiałemu gospodarzowi, aby się pomścił tej krzywdy wyrządzonej jego domowi; inni dziwili się wielkiemu przywiązaniu syna, a tylko dwóch młodych ludzi i jeden stary sędzia, okazało się przychylnymi dla naszego Józia, bo wzięwszy kapelusze, wysunęli się razem z nim do przedpokoju, pomagając ubierać się zirytowanemu młodzieńcowi. '

Tymczasem gospodarz poduszczony o zemstę przez większą część dystygowanego towarzystwa, jak szalony wybiegł jeszcze z salonu i pieniać się od gniewu, krzyknął:

- Pamiętaj ekonomczyk, że jak tu więcej twoja noga postanie w mym domu, każę cię lokajom wyrzucić!
- Nie potrzebna groźba, bądź pewny, że nie shańbię się poraż drugi, przestępując tak podłe progi.
- Milcz ty... ty... bo ja cię nauczę!
- Może chcesz satysfakcji, co? – zawołał obracając głowę nasz Józef.
- Co ty pleciesz – odezwał się jeden z młodzieży – gdzieby znowu taki Granicki odważył się pojedyńkować.
- Panie, za te słowa! – krzyknął patetycznie ex- mecenas.
- Daj mu trzy ruble, a będzie kontent – dorzucił drugi, kiedy się wysuwano do sieni,

– Szlachetny i poczciwy jesteś mój młodzieńcze– przemówił już na wschodach ów stary sędzia, ściskając serdecznie dłoń Józia. – Mój Boże, jakie to teraz państwo!? A toó ja, przed trzydziestu laty, pamiętam, jak ten, ten, jaśnie wielmożny chodził z pudełkiem na piersiach i wołał... Eh, głupi świat i ludzie na nim!! – dokończył, kiwnąwszy głową.

*

* *

Przez cały miesiąc może, aż trzęsła się poczciwa Warszawa, od różnych i różnych ploteczek osnutych na tym wypadku. Ale, jak to zwyczajnie bywa po dużych miastach, zjawily się świeże nowinki, przyjechał jakiś artysta mechanik, co kule połykał, któraś z większych pań przewróciła się na ulicy, inna, z powodu jakiejś sy- garniczki rozpoczęła proces rozwodowy z mężem; więc nowe sitko na kołek, i zapomniano o biednym ekonom- czyku.

Panna Marya tylko wcale nie poszła za mąż, chodzi dotąd na tańczące wieczory, ubiera się wykwintniej, prowadzi słodziutkie rozmowy jeszcze bardziej zajmująco; tylko wybredna młodzież, niechętnie wybiera ją do figury, a ona mszcząc się za to, wzdorliwie powtarza przed wszystkimi, że to są młokosy i studenci, którzy niedawno co z mundurów powychodzili.

O pannę Karolinę stara się podobno jakiś bogaty filozof i obywatel z Wołynia; pan Granicki, jak zwykle, robi wyborne interesa, przestaje już z większymi panami niż naczelnicy lub radcy, konie nawet ma zamiar posyłać na wyścigi; syna zaś, to oddał już na pensję, oba

wiając się drugiego takiego korepetytora jakim był Żarski.

A z Józiem co się zrobiło? – zapytacie czytelnicy.

Otóż powiem wam, że na drugi dzień po owym wypadku wziął dymisję, pomimo usilnych odradzań lubiących go zwierzchników, i zniknął gdzieś, że go przez długi czas ani oko ludzkie nie widziało. Tylko coś przed dwoma czy trzema laty, na wodach w ogrodzie Krasińskich, widywano codziennie młodego, przystojnego i bardzo porządnie ubranego mężczyznę, prowadzącego wszakże pod rękę jakąś staruszkę w miejskim ubraniu. Pamiętam, wszystkich to zastanawiało: dziwiono się, dopytywano, co to za jeden? 'jak się nazywa? a z kąd pochodzi? ale nikt nie umiał na to odpowiedzieć. Otóż ja dzisiaj zaspokoję waszą ciekawość, oświadczając, że tym młodzieńcem był nasz Józef Żarski, a tą podeszłą niewiastą, wdowa po Janie Żarskim, jego mat ta.

Więc to już koniec! zawołacie, przeczytawszy niniejsze opowiadanie, a raczej pamiętnik dziecka niedoli, jakich co krok napotykalie w swem życiu.

A koniec i to niezwykle koniec jak nateraz, odpowiem śmiało; bo gdybym inaczej napisał, stosując się do zwykłych form powieściowych, minąłbym się z prawdą, która idąc w parze z rzeczywistością, nie zawsze przyjemne wrażenia rozbudzi w sercach czytających.

Później może, gdy sam dowiem się o dalszem powodzeniu i utrapieniach naszego bohatera, lub której z osób tu występujących, nie omieszkać podzielić się z wami tą wiadomością. Tymczasem zaś, moi szlachetni panowie i piękne a litościwe panie, jeżeli wam się zdarzy zobaczyć przy drzwiach świetnych waszych salonów,

młodego człowieka, zebrzącego jałmużny słowa lub jakiejś pomocy, wspomnijcie sobie, że to może być taki sam Źarski, że wspierając go łaskawie, utorujecie mu drogę do przyszłej pracy, i przyczynicie jednego więcej a użytecznego członka społeczeństwu ludzkiemu!!!

EOJfIEC DZIECIĘCIA NIEDOLI.

I.

Czy znacie wy tę chwilę zwątpień, czytelnicy moi, ten straszny sąd samego siebie, kiedy zdarłszy odważnie tę powabnie łudną szatę miłości własnej, odtrąciwszy z pogardą i wstrętem usiłowania przeszłości i nadzieje przyszłości, staniecie obnażonymi przed zwierciadłem nieskalanego waszego ducha!? Krok jeden, a grozi przepaść; krok jeden, a czeka spokój całego życia.

A jednakże ta chwila, ten rozstrój młodej marzącej i ufnej w swą siłę duszy, jest odbłaskiem przyszłego sądu z życia, jest promykiem łaski, świtem jasności Bożej, próbą, hartem i zmartwychwstaniem godności człowieczej. Takie obnażenie własnego ducha, to wdeptanie egoizmu w proch nicości, a nawet ten szal zwątpienia, wyzwala duszę i serce, umysł i ciało ze szponów osobistości; daje poznać najmniejsze onych zboczenia z tego wspaniałego łożyska, którem, wodom życia Bóg płynąć rozkazał.

Tylko potrzeba mieć w swej piersi to serce, które U-., przeczuje nową gwiazdę mającą zabłysnąć na jego ho-

A. Wilczyński.–Tom VIII.

1

\.

lv-

ryzoncie; potrzeba mieć wiarę, która z nadzieją, osłodzi lata czekania, obleją cudnej woni balsamem miliony cierni sterczących po drodze, którą iść musi, aby ujrzeć brzask pierwszy niebieskiej jutrzeńki.

Biedni są zapewne ci, dla których ta godzina są- du^{nie} wybiła jeszcze; biedniejsi zaiste, dla których już nie wybije! Albowiem duch ich spać sobie będzie na rozkosznym wprawdzie kobiercu róż, ale bez woni, myśl ich i czucie zleją się z żądzami ciała, poddadzą bez oporu, i rozpromienią to życie marzeniem uciech, lecz uciech kończących się tu, na ziemi, w ich głowach, w ich dostatkach, a częstokroć i nędzy.

W czasie takiego sądu, o którym wyżej wspomnieliśmy, nawet egoizm przybiera rolę oskarżyciela: szydzi bezkarnie z przeszłych usiłowań, wskazuje ich niemoc, brudotę i niedołęztwo; litosnej łezki pożałuje i jak nie- zblągany oprawca, poruszy wszystkie sprężyny urągania, i razem z nimi krzyczeć ci będzie: "pysznyś człowiecze!" Te słowa wypiętnuje ci na sercu, temi słowy karmić cię będzie, zatruje twój oddech, okoli całą istotę twoją – i śmiać się będzie tym śmiechem szatana, którego chichot jeszcze nad grobem pamięć ci dochowa!

Ha! piękna chwila, nie prawdaż, czytelnicy moi? A czy prawdziwa, to odgrzebcie wspomnienia przeszłości, spojrzycie przed siebie, albo zapytajcie własnego serca, a one odpowiedzą za mnie. Dlatego nie bierzcie mi za przesadę, kiedy wam powiem, że w takim rozstrojeniu pozostawała bolejąca dusza Żarskiego, gdy opuściwszy "Warszawę, znalazł się znowu w ubogiej izdebce, w domu matki, pod tą samą strzechą, gdzie przepędził tyle chwil szczęścia, przyjeżdżając tam ze szkół

z gawędką o świetnej gwiazdzie, błyszczącej na jego młodzieńczym czole.

Nie powiem żeby odchorował ostatni wypadek w domu państwa Granickich; bo ciało jego mocniej szem jeszcze było od duszy, siły fizyczne tym razem oparły się na przekor męczarniom wewnętrznym, chorował, ale chorował duchem.

Pierwsze dni po przyjeździe były najgorsze: rana zbyt dotkliwie bolała, aby o niej mógł zapomnieć. To też po ciętych godzinach prawie przesiadywał w swym pokoiku pasując się z rozpaczą i ostatecznym upadkiem. Po tysiąc razy uderzając różdżką czarodzieja wskrzeszał minione lata, uobecniał je z całą żywością poety, widział się ubogim chłopczyną, gdy prosząc litosnego wsparcia, kołatał z wiarą i miłością do kamiennych serc ludzkich. Dalej uciążliwa praca, to konwulsyjne szamotanie się z nędzą, ta pokora ducha, to poniżenie nawet osobistej godności, szarpały kolejno jego poczciwe serce, skupiając się pryzmatycznie w ognisko terażniejszości. Wtedy wyniosłe czoło młodziana, bruzdowała troska, wzrok słabnął ciśniony wspomnieniem, i porwawszy się oburącz za głowę, wołał z głębi serca:

«— Boże mój, Boże! po co tak niesłusznie napiętnowałeś mię znakiem niedoli? po co wlałeś w to mizerne jestestwo żądze inne, cele inne, i myśl inną, a ich spełnieniu postawiłeś tamę nieprzebytą!? I cóż Ci zawiniłem, Panie, że zalewając mą duszę morzem miłości, nie pozwalasz burzliwym jej falom roztoczyć się po wszem obszarze serc ludzkich, pochłonać je w swoje odmęty, a każesz bić tylko w jeden nędzny brzeg piasku, o który roztrącam się cały, i jak fenix znów wstaję

z własnych popiołów!? Oświeć mię, Panie, wołam do Ciebie zebrząc litości! Oświeć mię, co ja mam kochać, co przytulić do piersi, co czynić na świecie! Kochałem matkę, kocham i czczę nad przykaz; kochałem bliźnich, kochałem nieprzyjaciół nawet, a ci, bliźni, wzięli to za zbrodnię, odepchnęli mię od swego łona, zdeptali przyszłość, wyzuli z praw Twoich, o Boże! i kazali... doprawdy, nie mogę pojąć co oni kazali. I cóż mi po pracy, co mi po nauce, co mi po dostatkach, kiedy jam nie człowiek, jam nie bliźni nawet. Drwię już z przeszłości, żałuję teraz mozołów, za nic mam energię, gardzę wyższą myślą, bo to jest puch, mamona świata, głupia blichtra ludzkości: to nie jest szczęściem!

I znowu chodził po izbie, i znowu myślał, trąc czoło, i znowu skoczył wspomnieniem za siebie, a wszelako nic nie był w stanie wydobyć z owego wątku rozmyślań, z ciasnego kółka rozpaczy.

– I jakież to życie przedemną? – powiedział ciszej patrząc z okna swój izdebki na chowające się słońce za wierzchołkami sosnowego lasu. – Gdzie idę? nie wiem, gdzie skończę? wiedzieć nie chcę, tylko aby prędszej, aby prędszój. Nie mam celu w życiu, nie mam gwiazdy coby mi świeciła, jestem wyrzutkiem społeczeństwa, trądem między zdrowymi, suchą gałęzią wśród liści, która na ogień tylko służyć może. I pytam się was ludzie, za co? i pytam się Ciebie, mój Boże, com ja Ci zawinił, że tak cierpię jak ostatnie z Twych stworzeń, cierpieć nie jest w stanie?

– Kochałeś matkę – dał się słyszeć drżący głos Żarskiej z drugiej stancyjki.–Otwórzno, Józiu, otwórz, popłaczymy razem.

Młody człowiek aż wzdrygnął się cały, spostrzegłszy świadka swej rozpacz. W jednej chwili przemienił wyraz zasmuconej twarzy, i pobiegł ku drzwiom odkładając z szybkością haczyk.

– Józiu! dośó tego – wyrzekła staruszka ocierając fartuchem kropliste łzy sączące się po twarzy.–Nie bój się, choćem ja prosta kobieta, ale rozumiem twoje słowa. Ty grzeszysz bardzo, o, grzeszysz, moje dziecko; ty poważasz się czynić wymówki Bogu, tyś chyba stracił zmysły, mój Józiu.

– Ale nie, matko, nie, jam tylko...

– Słuchaj mię – przerwała mu siadając na ławce–nie dziś żyję na świecie, wiem co bieda, co zgryzoty i zmartwienia, ale i wiem co grzeszne słowa. Nadaremnie ukrywasz się przedemną; ja matka twoja, ja mam także serce, ja wiem co cię boli i jak boli. Ale ja wiem jeszcze, że Bóg wielki jest tam w niebiesiech, że patrzy na swoje mrówki, że pamięta o dzieciach swoich jak dobry ojciec, i gniewa się na tych co Mu nie ufają.

– Mamuniu droga–przemówił z ironią, spuszczaając w dół oczy–czym ja nie ufał?

– Nie ufałeś!–krzyknęła staruszka zrywając się z ławy;–Twój ojciec więcej i dłużej bolał, a czyś ty słyssał aby jeden wyrzut z ust jego; mów, słyssałeś?

– Nie, ale to tem bardziej moję ufność osłabia, bo i cóż my winni?...

– Milcz niewdzięczne dziecko! milcz mi zaraz! – zawołała gwałtownie, zasłaniając mu usta–Najświętsza Panno Częstochowska, co się z tym chłopcem dzieje!? No, no, patrzajcieno państwo. Słuchajno Józiu, tyś chyba chory, albo co?

– Tak, chory jestem ale tu—odpowiedział wskazując piersi z wyrazem dziwnej jakiejś boleści.

– A to waryat! a to szaleniec!—wołała babinka rzucając się na wszystkie strony. — Co jemu do głowy przyszło znowu, jakieś modne nauki. Ot, widzisz jak mi się wywdzięczasz za te wszystkie utrapienia com ja dla ciebie znosiła! Mój kochany, jak widzę, lepiej żebyś ty był jak i twój nieboszczyk ojciec pozostał ekonomem, nauki ci przekręciły w głowie, mój synu. Tak, tak, zmądrzałeś już za bardzo! Oho! nie będzie z ciebie nic — nie, nie. A to dopiero zuchwalstwo—mówiła dalej, poruszając głową—rozbierać wyroki Boskie. A to mi mędrzec; on chce swoim konceptem ruszać przeciwko Bogu:—ładna pociecha dla matki... A czy ty nie wiesz — dodała, z coraz wzrastającym zapałem, potrząsając go za oba ramiona — że jeden podmuch woli Boskiej, może cię zetrzeć, robaku, na miazgę, że pójdiesz na wieczne zatracenie, że zgubisz duszę i ciało swoje! O! Chryste Panie, przebacz temu szaleńcowi jego słowa, nie bierz je za grzech, bo on nie wie co czyni!

Przez ten czas, jak martwy posąg boleści, stał Józef, zasłaniając dłonią swe oczy. Słowa matki, tyle dotąd powolnej dla niego, tyle go kochającej, a nawet uległej, jak srogie cięcia gnębiły duszę, raniąc niemiłosiernie resztki tlejącej rozpacz. W jednej chwili zatrzęsł się febrycznie, upadł na kolana z taką gwałtownością^ że podłoga zajęczała w stancjce, i całując nogi rozgniewanej kobiety, płakał tak rozdzierająco, że i słów dosłyszeć nie można było.

– Mamuniu! mamuniu! nie potępiaj mię, a pożałuj trochę! — Nie odpychaj od siebie, nie pogardzaj nie-

wdzięcznym dzieckiem; oh, módl się za mną jak możesz, bom ja bardzo nieszczęśliwy!

– Ach! nie płaczże już, nie płacz, moje kochane dziecko – mówiła, siadając znowu i okrywając pocałunkami tulącą się do kolan jego głowę. – Ja się już nie gniewam na ciebie: tyś był chory, tyś mówił, nie myśląc. Nie bój się, nie rozpaczaj, Bóg dobry, wszystko przemieni jeszcze. No, no, wstaó-no mój Józieczku, usiądź ot tu przy mnie, pogadamy teraz rozsądniej trochę. –Widzisz, ty to za bardzo wzięłeś do serca, to tak nietrzeba znowu; no i cóż tam wielkiego, że się ludzie nie poznali na tobie; przyjdzie czas, że to jakoś się polepszy na świecie, oliwa zawsze na wierzch wypłynie, moje dziecko. Co komu przeznaczone, to się musi wypełnić. Da Bóg, ty jeszcze zawstydzisz tych wszystkich co tobą pogardzili; kto to wie, jak kogo Opatrzność postawi.

– Ależ mamuniu moja droga, co mi tu już pozostaje na tej ziemi do roboty?...

– Oh! wiele jeszcze, wiele! A cóż-to, shańbiłeś się, czy co? – Masz zdrowie dobre, i z łaski Boga w głowie nieźle; jak się postarasz, to się i kawałek chleba znajdzie. Cóż-to znowu, wszyscy mają być tacy, jak tamci państwo Granic...

– Nie mów, mamuniu, nie wspominaj mi, bo czuję że krew się we mnie gotuje...

– No to dobrze, dobrze, tylko się uspokój, łzy otrzej i bądź też mężczyzną przecie. Tak znowu płakać i płakać, Bóg wie o co...

– Ale kiedy mię to boli bardzo.

– To też nie myśleć o tem, ale zająć się jaką ro-

botą, Panu Bogu swoje nieszczęścia ofiarować, poprosić Go o natchnienie, to wszystko pójdzie dobrze. Już ja ci zaręczam, że to najlepsza ochrona, a mnie możesz uwierzyć. Niech sobie tam perorują tacy mędracy co chcą, ale my się trzymajmy starej wiary, w której ojcowie nasi poumierali. A zresztą o co tu się kłopotać!? Przecie- żeś nic złego nie zrobił nikomu, pracowałeś uczciwie, kochałeś matkę jak na syna przystoi, a że tam głupie jakieś fanfarony o to się rozgniewali, to mniejsza o nich– i tak świat światem będzie.

– Dobrze to wszystko – wyrzekł już spokojniejszy–ale do czego ja się tu wezmę teraz? Do Warszawy za żadne pieniądze, za żadne tytuły już nie pojedę, bo tam każdy uśmiech na twarzy przechodzących, zdawałby mi się szyderstwem do mnie wymierzonym.

– No, kiedy już tak sobie postanowiłeś, to zostań z nami; albo, jeżeli chcesz jechać, to jedź gdzieindziej; wszak ludzi nie brak.–Ot, zajrzyj jutro do pana Koseckiego, on taki pocziwy, tak się tu zawsze dopytuje o ciebie: a czy też przyjedzie, a jak mu się tam powodzi, a czy pisuje często. On to ta człek nie dzisiejszy, jak się rozgadacie, to może i poradzi dobrze...

– Prawdę mamunia mówi, on mi tu dużo może dopomódz; tak, tak, pojedę do niego. No, to dobranoc mamuni, bo to już dość późna godzina, a mamunia potrzebuje spoczynku. Ja się już uspokoiłem zupełnie: ot, pomodlę się trochę, jutro zaś rano pódziemy do Pińczowa: dobrze?

– Dobrze, Józiu, dobrze, tylko, że ja ci tu jeszcze coś chciałam powiedzieć: nie mogę sobie przypomnieć co to było, ale czekajno, zaraz, zaraz... – mówiła,

widocznie udając, że sobie przypomina.–Aha! to o tym liście.

- O jakim liście?–zapytał ciekawie Józio?
- A o tym z "Warszawy, coś-to. pisał ostatnio.
- No i cóż się stało?

–Nic się nie stało, tylko lepiej, żebyś był nie pisał.

– Eh! kiedy to mamunia zawsze do tego wraca.
– Nie wracam, tylko, jakem sobie to rozebrała w mojej głowie, to się pokazało, że ja tam wcale niebyła potrzebna.

– Moja mamuniu, niemówmyotem; jaby m chciał na wieki wieków zapomnieć to wszystko...

– To też to właśnie, chcę ci powiedzieć, że ty... tak jakoś... Eh! nie wiem, jak to się wygadać.,, ot, za bardzo tak o mnie pamiętałeś.

– Co też mamunia mówi znowu!?

– Prawdę mówię, moje dziecko: bo ty jeszcze za bardzo jesteś dobroduszny. – Widzisz, ja to już znam z praktyki, że my przy sobie nie jednakowo wyglądamy.

– Jakt o nie jednakowo? – syn z matką, i z taką jeszcze matką!–Ja tego nie rozumiem.

– Bo to uważasz, Józiu, ja to wiem jak być powinno, tylko, że jakoś nie mogę jeszcze wypowiedzieć. Ale zawsze, jak pójdziesz znowu między ludzi, to się bardzo mną nie chwal przed nimi. Co im tam po tem, żeby mię znali: ja stara już baba, no i nie wyglądam na taką pa- .nię wielką, zwyczajnie jak ekonomowa,–pocóż tedy narażać mię na jakieś obmowy i śmiechy, a siebie na wstyd...

Ttyf sobie oboje możemy się kochać jak zawsze, ale cichutko, w kąciku; – tyś już przez swoją naukę do innego życia stworzony, a ja znowu do innego... Oo tam komu do tego, że twoja«matka biedna i prosta sobie ekonomowa...

– Ozy mamunia żartuje ze mnie, czy co?–przerwał nasz Żarski, patrząc się dziwnie w jej oczy.

– Eh! co mam znowu żartować, moje dziecko – mówiła dalej, siląc się na uśmiech.–■ Jak przejrzyś lepićj, jak jeszcze parę lat pożyczysz między ludźmi, to sam się przekonasz jak ci dobrze radzę. Bo chociaż to syn o matce zawsze powinien pamiętać, i tak prawo Boskie nakazało, ale ludzie zawsze ludźmi! I widać tak musi być dobrze, kiedy tak jest., Jak się będziesz chciał ze mną widzieć, no to sobie tu przyjedziesz, pogadamy, nacieszymy się; czasem i napiszesz jak ci się tam powodzi, co zamyślasz, czyś zdrów, a jakby ci się pytali o matkę,–ho, to powiedz, jak tam będziesz uważał, np. zem umarła. Doprawdy, ja się tam o tem nie dowiem, a choćbym i wiedziała, to się tam nie zgniewam; dla mnie już wszystko jedno: prócz niebieskiej chwały, innej nie potrzebuję!–zakończyła, śmiejąc się głośno, choć dwie łzy jak ziarnka grochu stoczyły się po zgrzybiałych policzkach.

– Mamuniu!–wyrzekł po chwili, jeszcze zdziwiony Józio–i za co mię też tak dręczysz nielitościwie? Có* zem ja ci zawinił, żebyś mnie odrzącała od siebie?

– Ale bo to ty zaraz sobie inaczćj musisz wszystko wytłumaczyć. Zrozumiej mię tylko dobrze: wiesz o tem, żejaciękochałam i kocham zawsze jako jedyne moje dzie-
cię, że pragnę dla ciebie nie wiem jakiego szczęścia, że

"wszystko-bym oddała, aby ci tylko pomyślność zapewnić, że każde powodzenie twoje jest moim powodzeniem," nie bój się, nie zapomnę o tobie: w każdym razie, masz mię tu matką, masz opiekunką... *

– Na co te wszystkie gadania, po co te wymówki. Czy mamunia myśli, że ja tego nie rozumiem? mamunia mię próbuje. Ale ja powiem – zawołał z całą energią, stawając przed nią, – że trzeba wprzód wyrwać mi ztąd serce, zatrzeć pamięć, zedrzeć człowieczeństwo, i dopiero kazać wyprzeć się matki!!! Oh! mamuniu, choć znasz mię od dziecka, mało mię znasz jeszcze, kiedy się nie lękasz przedstawiać mi podobne projekta.

– Mój Józiu, mój Józiu! – krzyknęła poczciwa kobieta, rozżalona temi słowy. – Oh! daruj mi, daruj, jam nie wiedziała!..

I porwawszy go w objęcia, całowała, tuliła z całą gwałtownością kochającej matki.

– Oh! jam cię nie próbowała, nie próbowała, mój synu; ja chciałam cię uszczęśliwić, i wierz mi, więcej tego nie będzie. – No, zapomnijmy o tem: tyś syn najlepszy, mój Józio, moja pociecha, moje dobro. Ja teraz z tryumfem wzięłabym cię za rękę i stanęła śmiało przed tronami wszystkich królów na ziemi i powiedziałabym im z rozkoszą: patrzcie, to syn mój!!!

*

* *

Mijał już sierpień, kurs nauk w szkołach pińczowskich rozpoczął się naprawdę, świeżo przybyła młodzież

garnęła się do pracy, wspomnienia wakacyjne już pewno- P* li wietrzały w głowach pieśczochołów, a profesorowie wezwawszy Boskiej pomocy, wrócili znowu do dalszego powtarzania nauk, już tyle razy wypiętnowanych w ich pamięci.

Tego dnia pan Kosecki, nie będąc zajęty w szkole, i stosując się do raz na zawsze przyjętego rozkładu swych zatrudnień, przebywał w ogrodku od samego rana, i z cierpliwością niezwykłą układał na rozpostartej słomie strząśnione z drzew owoce. Już bez okularów, ale za to w czapce, z ogromnym zielonym daszkiem, cały obsyty białą flanelą, – dziwnie wyglądał pośród zielonych gałęzi, do których przystawiając drabinę, bujał się przy każdym silniejszym wstrząśnieniu, lub podmuchu nieco chłodnego już wiatru.

Wtem skrzyknęła furteczka, pies uwiązany opodał zaszczekał przeraźliwie, pan Kosecki spojrział ku wejściu, zdziwiony tyle śmiałą wizytą.

– A kto tam? – krzyknął prawie rozgniewany, nie schodząc z drabiny, gdyż wiedział o tem, że nikt ze

, znajomych w tej chwili-by go nie odwiedzał.

– To ja–odezwał się Józio tonem studenta wobec swego profesora.

– Ale co za ja? – Powiedz waópan nazwisko, bo ja okularów nie mam a dojrzeć nie mogę.

– Żarski, dawny uczeń pana profesora.

– Kto, Żarski,–powtórzył jeszcze bardziej zdziwiony.–A co waćpan tu porabiasz?

– Przyjechałem do matki i chciałem odwiedzić pana profesora, dowiedzieć się o zdrowiu...

– A, to Józio!... No, no, przepraszam cię-bo serdecznie; proszę dalej, proszę. Azor, cicho mi bądź, do budy zaraz!... Tylko, mój panie Żarski, jako człowiek z wielkiego świata, bądź też ostrożnym i panien moich nie udeptaj.

Potem zaczął powoli schodzić po szczeblach drabiny, poprawiając nieustannie czapkę, unoszoną przez gałęzie, gdy nasz Józio, przebierając znów misternie nóżkami, aby gruszek nie nadeptać, zbliżał się doń pełen jeszcze przedkilkuletniej bojaźni, z jaką witał srogiego profesora, przynosząc ćwiczenia do poprawy.

– Poczekaj-no trochę waćpanie, ót, popróbuj tych panien, ja tu zaraz wrócę.

I nie czekając odpowiedzi, żwawo jeszcze pobiegł do mieszkania. W chwilę ukazał się znowu, ale już w długim letnim szlafroku, i przecierając zamszową skórką okulary, zbliżał się doń z uśmiechniętą twarzą.

– Ot, przepraszam, cię-bo mój panie Żarski, ale ja to u siebie w ogródku, to sobie tak czasem pozwalam; teraz zaś w okularach, witam cię serdecznie...

– Niepotrzebnie pan profesor robił sobie subiekcyę, mnie tak miło widzieć pana profe...

– Ot, komplementa, warszawiak!–przerwał mu stary, biorąc go za rękę i przyglądając się z wielkiem zajęciem pobladłej twarzyczce młodziana.–Widzisz-bo, waćpan, ja to stary mantyka, a zatem i rygorysta, i jakkolwiek mógłbym cię był powitać w poprzednim uniformie, wszelako, gdy tak przyzwoitość nakazuje, to choćby j i przed zwierciadłem, należy zachować skromność.–Ale siadajno na tej murawie, tu świeże powietrze, może sobie

pogawędzimy swobodniej. Moje płuca już zszarżane, po- t rzebują więcej jak dawniej; no, nie ceremoniuj-no się i usiądź waćpan: my teraz równi sobie.

I gdy Józio wypełnił polecenie profesora, on, trzymając go wciąż za rękę i przypatrując się jeszcze ciekawiej zniżał i podnosił okulary, jakby nie wierzył swym oczom, bo wreszcie zapytał:

– Jakoś mi waćpan pomizerniałeś, i nie wiem czy oczy mię zwodzą, ale wierz mi, nie poznałbym cię odra- zu. Ha!–widać żyło się, panie Józefie, co?–dokończył, poruszając nim żartobliwie.

– Ciągłe w pracy, proszę pana profesora, ciągle w niedostatku, w kłopotach, w miejskim zaduchu, to się prędko zestarzeć trzeba...

– Chyba że tak–odrzekł niedowierzająco.– No, ale powiedz-no, jakże ci się tam-bo powodzi?

– Zupełnie źle.

– To i bieda!

– A bieda!–powtórzył, westchnąwszy Józio!

– Pensyjka przecie musi być jaka, tytuły wielkie? gadajno! bo to jakoś waćpan mi wzdychasz, a nic nie mówisz...

– Miałem ostatnio dwa tysiące.

– A to dobrze, doskonale, i cóż waćpan chcesz? W tym wieku, ho ho, bardzo korzystnie po trzech latach służby...

– Teraz zaś wziąłem dymisyę – ciągnął dalej Józio.

– Jakto, z emeryturą? – No, proszę, wczesny z waćpana emeryt; już-bo chcesz spoczywać!

- Ależ kiedy bez emerytury—przerwał nieco zawstydzony Żarski —* tylko okoliczności mię zmusiły do tego.
- To jest, chciałeś waćpan powiedzieć, kazano tobie się podać, hę?
- Owszem, na własne żądanie.
- Przyznam się waćpanu, że to za śmiało! No, proszę ja, jaka to stałość w młodym wieku. Teraz zapewne pójdziesz waćpan na cukrownika, bo to w modzie, korzystne, tysiącami sypią, majątki robią.—Ot tak, zmieniać, próbować, aby nowość!
- Eh, kiedy pan profesor żartuje sobie ze mnie najniesłuszniej; bo zaręczam, gdyby pana profesora wyśmiano publicznie jak mnie, zniesławiono dla przyczyn, które prawo natury za słuszne uważa, to zaręczam, to samo-byś uczynił.
- Przepraszam waćpana, że w tćm się mylisz srodze. U mnie, sumienie własne jest opinią, a religia — prawem. Wiesz waćpan, że mnie śmieją się taki lat trzydzieści z górą, a wszelako tak samo żyję jak żyłem, i nie dbam o głupie gadania lub śmieszki półgłówków.— Bo to wziąć cygaro w zęby, przywdziać kurtkę podkasaną, przez głowę poprowadzić szosę i śmiać się z drugich—nie wielka sztuka, proszę waćpana: ale żyć jak Bóg przykazał, pracować i ciężko pracować,—inna historia, o, inna!?
- I ja, proszę pana profesora, pracowałem ciężko — odezwał się markotno Józef — zdawało mi się, że świat-bym przeskoczył, aby dopiąć swego; jednakże inaczej się stało: przyszła chęć życia towarzyskiego, poznałem młodą panienkę...

– Ot masz tobie-bo waćpan! miłostki, ha!–No to co innego?! Zdradzono ciebie zapewne?

»– Tak jest, zdradzono i to najhaniebniej.

– No i cóż dalej, powiadaj waópan, powiadaj! – mówił już rozgniewany, iynosząc się na palcach, pomru- gując oczami i pukając niecierpliwie w swoją tabakierkę.

A gdy Żarski milczał, on ciągnął dalej:

– Naturalnie, że waópan jej to wyrzuciłeś z całą okropnością, rozsrożyłeś się na świat cały, na miasta, wsie, ludzi, drzewa, a osobliwie kobiety, i różmazgaiwszy się porządnie, przyjechałeś waćpan objadać biedną matkę, przewracać jej chałupkę sentymentalnemi westchnieniami, a wreszcie z łez utworzyć rzekę, na kórejby młyn postawiono o trzech kamieniach, a w nim tarto cnoty ludzkości na mąkę; czytak?–dokończył, mierząc go ognistym spojrzeniem.

Ale przygnębiony młodzian, nie śmiejąc podnieść nań oczu, stał pochylony. Twarz mu się dziwnie jakoś wykrzywiła, jakby do płaczu, a wyrazy mogące go usprawiedliwić, konały na' drżących ustach.

Spostrzegł to profesor, i naprzód się roześmiał ironicznie, a potem machnąwszy chustką, twarz wypogodził nieco, i snać ulitował się nad jego słabością, bo siadając na darninie, przemówił już łagodniej:

– Opowiedz-no, jak to było? tylko szczerze a z prawdą. Nie smuć się, nie becz, bo ja tego nie lubię: ot, uniosłem się nieco, gdyż inaczej cię pojmo wałem i co innego spodziewałem się po tobie; ależ wszyscyśmy ludźmi, powiadaj tedy!

. Ośmielony nieco tem nasz Żarski, zrazu powoli, lę-

kHwie, później więcej energicznie, a nawet z pewnym żapałem, powtórzył treściwie całą wiadomą nam historię. Pan Kosecki słuchał z największą uwagą ale i krwią zimną, czasami tylko się poruszył, czasami mrugnął okiem, Wszelako nie przerwał ani razu.

– Żeby to wszystko osądzić należycie—przemówił, powstawszy z powagą – ułożę waćpanu kategorycznie rzecz całą. Najprzód: głupstwo waćpan zrobiłeś, żeś chciał się żenić, bo ja powiadam waćpanu, że ludzie tylko żenić się powinni...

– A przecie-żem nie był takim dzieckiem—przerwał, nieco obrażony Żarski. •

– Za pozwoleniem waćpana, daj skończyć. Ja me przerywałem jak waćpan opowiadałeś, więc i ty zrób dla mnie to samo. Wiesz waćpan, że w matematyce jest najprzód twierdzenie, a potem dowodzenie; com wyrzekł, dowiodę, tylko cierpliwości. Ludźmi nazywam tych – mówił dalej, trzymając jedną ręką wielki palec drugiej ręki—co potrafią żyć na świecie, a ci umieją żyć, proszę waćpana, co jego ciosy mężnie przyjmują, lub zręcznie odbijają.—A waćpan byłeś do tego przygotowany, co?— Powtóre, głupstwo waćpan zrobiłeś, uciekając z Warszawy, bo skoro kto ucieka, znać, że winien lub tchórz, a waćpan jesteś jeden i drugi.

– Nie—odrzekł nieco żywiej Józio.

– 'Cierpliwości! zaraz dowiodę; choć jednym, to waćpan zostaniesz, tylko słuchaj: Wyśmiano cię za to żeś uczcił matkę, żeś wypełnił obowiązek serca i prawa natury, ale waćpan nie widziałeś w tem złośliwości ludzkiej, tylko jakąś klątwę rodową. Uciekłeś, boś się obawiał ze śmiałem obliczem bronić cnoty prawem Boskiem

A. Wilczyński —Tom VIII.

uświęconej; waćpanem o władła próżność i wstyd fałszywy: co, nie tchórz z waćpana?

Ależ na miłość Boską, panie profesorze, pan chyba nie znasz złości ludzkiej, nie pojmujesz ambicyi własnej, kiedy możesz przypuścić, abym ja, z krwią zimną zniósł tysiące szyderczych przymówek i wytykań pierwszego lepszego przechodnia!?

– Prawdziwy człowiek, proszę waćpana, kiedy jest przekonany o swojej słuszności, zniesie to wszystko; zaręczam, że zniesie nawet z uśmiechem na ustach.

– Istotnie nie mogę tego pojąć?

– Bo waćpan jeszcze nie masz wyobrażenia o człowieku; waćpanu jeszczebym aplikować na człowieka nie pozwolił.

•– Więc tym sposobem to można umrzeć nie doczekawszy się podobnego nazwiska.

•– I takimi też, proszę mojego waćpana, większa połowa umiera. Ale co tam rozprawiać o takich bana- lukach. Wolno waćpanu wierzyć i nie wierzyć, mniejsza o to; ciągnąłeś mię waćpan za język, ja powiedziałem com myślał, co myślę i co będę myślał; a jeżeli się wyraził za ostro, to przebaczyć staremu oryginałowi, on inaczej nie potrafi: matematycy retorykami nie będą. Co było to się skończyło, a teraz powiedz co robić zamysłasz?

– Istotnie sam nie wiem – wyrzekł smutnie Żarski.

– Oł, drugi warunek... no, ale przecie co?

– Przyznam się panu profesorowi, tak mię już to

łzycie zmordowało, strudziło, zniechęciło, że do niczego nie mam ochoty. Pracowałem, już tyle lat i to tak ciężko pracowałem, a nic mi się nie darzy...

– A co waćpan-bo zrobiłeś, hę?—zapytał prędko, znowu zrywając się z siedzenia.

Józio zamyślił się nie wiedząc co odpowiedzieć na to.

– No, powiadaj waćpan co zrobiłeś, czekam!—powtórzył mrugając oczami.

– To cóż ja winien żem nie mógl?

– A któż winien, proszę mojego waćpana?

– Ludzie, fatalizm jakiś...

– Z przeproszeniem waćpana, głupi są, którymi fatalizmy rządzą.

– A ludzie?—podchwycił Żarski.

– Prawdziwi ludzie kiedy mają siłę wewnętrzną i szczerą wolę, złość tych mniemanych ludzi zwyciężą.

– A jeżeli to ludzie prawdziwi przeszkody stawiają?

– Nie wierz temu waćpan, nie wierz! Prawdziwi ludzie dobrze robić nie przeszkadzają; i uręczam ci, że jako bracia w imieniu wiary do jednego celu dążą. Kruk krukowi oka nie wykolę, powiada przysłowie.

Nie to to jest, nie to, proszę cię, mój panie Żarski: tylko wszyscy ci, jak ty, drugi, dziesiąty i t. d. mają wzrok krótki, a okularów dobrać sobie nie mogą. "Wszyscy patrzycie tylko obok siebie, macacie przy sobie, stąpacie w kółku osobistości, a dalśj spojrzeć się nie chce, bo głowa się zawraca, oczy zamykają, nogi słabną, i jak te ślimaki pełzacie dźwigając skorupę ego

izmu na plecach. Dotknie się kto owego macka, czyli rożka, znasz waćpan, tego co ślimak ma na głowie, wnet myk, i już was niema!

– Ależ pan profesor trochę za surowo tę rzecz bierze, a względem mnie nawet niesprawiedliwie – odezwał się ożywiony taką rozmową nasz Józef.

– Bardzo przepraszam mojego waćpana – wyrzekł nieco obrażony pan Karol.–Ja nigdy niesprawiedliwym nie byłem, tylko waćpan jesteś zarozumiały i niedoświadczony; a co do surowości, to jest moja reguła, i od niej nie odstąpię. U mnie albo starosta, albo kapucyn, półśrodków nie cierpię! Wiedz waćpan, że nikogo tak wymownie bronić nie umiemy, jak samych siebie: a jednakże policz się-no waćpan z sumieniem, przekonaj, że to co dotąd robiłeś, robiłeś dla siebie tylko, żądając za każdą pracę osobistej nagrody, to powiesz, że mam rację. A na to długich dowodzeń nie- potrzeba. Ot, spójrzno po całym świecie, a zobaczysz, że począwszy od najdrobniejszego pyłku, aż do samego człowieka, wszystko jedno drugiemu służy na użytek jakiś i wzajem się wspiera; a tacy ludzie jak waćpan jesteś, wyroili sobie jakąś maksymę nierozsądną, że oni mają być królami stworzenia. A to zkąd, proszę ja cię, a to z jakiego tytułu taka łaska, co? Myślisz, że Pan Bóg na to was tu stworzył, abyście byli istnemi pasożytami, żeby nikomu nic nie dając, pochłaniać wszystko? O! nie, mój panie Żarski, nie! Czem kto ma więcej, więcej jest winien temu który mu dostatki udzielił, a człowiek, że jest królem stworzenia, niechże więc królewskie składa mu dary!

– Ja przecie wiem o tem–przerwał Józef, i wiem, że miłość bliźniego jest obowiązkiem człowieka, że...

- Ot, masz tobie, bo waćpan! zawsze po swojemu, a zawsze ciemno. Czy gruszka na tej gałęzi wisząca, tylko dla drugiej gruszki służy, co?
- Nie, ale dla człowieka lub zwierząt...
- Otóż widzi waćpan, i człowiek nie tylko dla człowieka żyć powinien, ale dla kogoś wyższego od siebie. Miłość bliźniego, jakkolwiek szczytne prawo Boskie, nie jest celem, a środkiem. Przez miłość ludzie się łączyć powinni ku wspólnej chwale Boskiej; bo już ciż za to-wszystko co inamy od niego, nic wyraźnie nie żąda, jak tylko miłości, i to nieograniczonej miłości. A stworzył nas nie dla nas, ale dla siebie: czy my, czy zwierzęta, czy inne twory Jego wszechmocnej ręki, sami jesteśmy nic więcej, tylko proste maszynki woli Boskiej, dlatego słuchać Go jest pierwszym i ostatnim prawem Haszem; a nie słuchać Go znowu z bojaźnią, ale koniecznie z miłością, pojmujesz waćpan?!
- Pojmuję, tylko niechże mi pan profesor z łaski swojej objaśni, dlaczego ludzkość tyle tysięcy lat istniejąc na świecie, nic a nic nie zrobiła na tej drodze zbliżenia się do Boga, a nawet powiedziałbym przeciwnie, poszła wstecz.
- A zkąd to waćpan możesz o tem wnioskować?
- No, przecież czytałem historię, a dziś patrzę na to co się dzieje...
- I mam pretensję do mądrości wszelkiej, dodaj waćpan! – mówił profesor uśmiechając się litośnie. – Ze też to wam trzeba jak niewiernemu Tomaszowi palcem wszystkiego dotykać, nim się przekonacie o prawdzie. "Waćpan czytałeś historię, ale jej nie pojmowałeś, skoro przypuszczasz, że dzieło Boże wstecz może się cofać.

Oj głowy, głowy! A toć weź waćpan oto korzec tych? śliwek, rzuć do kotła i pal pod nim, a jak przyjdzie dziecko małe, nie rozumiejąc, że z tego powidła być mogą, to płakać ci będzie żałując marnie zepsutego owocu; a waćpan słuchając tych lamentów, jak obecnie ja ciebie, śmiać się będziesz z dzieciaka będąc pewny swego. Tak dzieje się i z ludźmi płytkiego rozumu. Wiedz waćpan, że ludzkość gdy nie czuje wędzidła w swej paszczy, to sobie bryka i hasa jak koń znarowiony, a skoro matce jej ziemi sprzykrzą się takie swawole, ot, po- trzęsie grzywą, i bach, jej mrówki jak owoce z drzewa sypną się w przepaść. To masz waćpan choroby i wojny. A po takiej karze, ludzie robią się ostrożniejsi na przyszłość, i jeżeli robią głupstwa, to proszę mojego waćpana, już mądrzejsze głupstwa! Nie bój się, ludzkość idzie doskonałą drogą, nic jej zarzucić nie można, tylko trzeba umieć ją rozpoznać, studyując ślady.

Ach! co u Boga, już dwunasta! – zawołał usłyszawszy dzwonek szkolny. Dla mnie czas na obiad, i proszę waćpana z sobą, tam dokończymy rozmowę. A nie gniewaj się-bo na mnie; ja taki kontent jestem, jak mogę z kim pogawędzić uczciwie, że czasem się i za- zbyt uniosę; ale to-bo widzisz profesorska natura: uczyć wszystkich, czy chcą czy nie chcą.

– Owszem, ja panu profesorowi nieskończenie wdzięczny jestem—przemówił, z rozpromienionem okiem, Żarski.—Taka rozmowa mię karmi,, dodaje siły, odwagi i pewności jakiejś. Oh! mój Boże, gdybym ja to w Warszawie miał kogoś takiego, coby podobnie jak dziś pan profesor, zdrowo i poprostu wyłożył mi tyle ważnych kwestyi, na które sam nie mogłem dać sobie odpowiedzi, to pewno inaczejbym się pokierował.

- Aha, uznajesz waćpan słuszność! Chwał aż Bogu, jeszcze możesz być użytecznym członkiem społeczeństwa, tylko woli, mój Józiu—dodał ściskając go za rękę – woli żelaznej, nieugiętej, a wszystko pójdzie dobrze.
- Otóż-to, że mi trudno zdobyć tę wolę, a trudniej jeszcze wiarę.
- Jakto? czy ty jej już nie masz?
- Niestety, choć ze wstydem muszę wyznać panu profesorowi, że tak jest.
- Alei u Boga, jakże się to stać mogło? Ty tak pobożnie wychowany, w całej prostocie serca, miałbyś w 24 roku życia być już niedowiarkiem; proszę cię, opowiedz mi to wszystko. Ale—dodał po chwili spoglądając na słońce—to już po obiedzie, regularne życie przede wszystkim; bo ono daje zdrowie ciała, a zatem zdrowo utrzymuje i umysł. No, proszę do stancyi.

Weszli obadwaj, stół już był zastawiony, i to bardzo skromniutko, bo obiad składał się z dwóch potraw tylko. Profesor jadł prędko, częstował gościa uprzejmie, poważnej rozmowy wcale nie było, i dopiero zmówiwszy dziękczynną modlitwę, powstał i poprosił znów Józia do ogródka.

– Widzisz waćpan, po obiedzie zwykle pół godziny pozwalam sobie próżnować spacerując w tej oto uliczce; jeżeli więc masz dość czasu wolnego, to powiedz o tej wierze.

– Istotnie jak się to stało – mówił Żarski z pewną przykrością—sam nie wiem. Czy towarzystwo, czy zawód i rozczarowanie się do ludzi były tego przyczyną, trudno odgadnąć; dość, że dzisiaj przymuszam się wie

rzyć a nie mogę. Zaraz ten przebrzydły rozum, nasuwa swoje matematyczne uwagi, wszystko chce przemierzyć łokciem, objąć cyframi, i czego nie dokaże, to drwi sobie najbezczałniej z tego wszystkiego co dawniej było dlań świętem i nietykalnem. Nieraz i zły jestem na siebie, odpycham myśli takie, wstydę się ich, a jednakże nie mogę i nie mogę wydobyć się z ciasnego kółka ma- teryalizmu.

– A co, nie powiedziałem?—przerwał profesor— nie odgadłem?

– Prawda, tak jest, i teraz sam to widzę najlepiej. Czasami bywało, modłę się najgoręćój, proszę Boga, błagam i płaczę o wiarę, tylko o tę wiarę, jaką miałem w dzieciństwie, o ten urok niebiański, którym dusza moja pałała unosząc się po nad sfery ziemskie. Darmo! modłę się usta, serce tej prośby nie powtarza, i wiara nie zstępuje. Na prawdę to sam nie wiem czy to wszyscy podobne przechodzą koleje z wiekiem, czy tylko mała liczba takich jak ja wyjątków.

– Nie, proszę waćpana, to tak jest:—mówił profesor zwijając się żwawo po alei.—Wiara jest dwojaka: jedna wpojona z dzieciństwa, a druga w skutek niej i życia nabyta z doświadczenia. Tamta, bardzo rzadko się trzyma do samej śmierci człowieka, chyba w umysłach słabych i krótkowidzących; druga zaś daleko trwalsza wyrabia się wewnętrznem przeświadczeniem i prostomyślnością rozumu. Masz waćpan ludzi w wieku, ludzi prawdziwie uczonych, nawet wrogów wiary, bo matematyków, którzy ją mają w wyższym da- 1 eko stopniu, niż dzieci bogobojnie chowane; a to pochodzi ztąd, że nie z form rozumem jej doszli, nie z obcych

wpływów, a z siebie samych ją wydobyli. "Waópan jesteś na tej drodze: ufaj tylko, a wszystko będzie dobrze. Kto czuje potrzebę wiary, znaó, że tęskni za nią i onej szuka. A teraz kiedyśmy sobie już wszystko wypowiedzieli, powiedzże mi tak szczerze jako człowiek, co robić zamýślasz? boć zapewne nie będziesz siedział u biednej matki z założonemi rękoma.

– Przyznam się panu profesorowi, że w pierw- szym wrażeniu owego wypadku, anim pomyślał o tem; później, zdecydowałem się już wstąpić do klasztoru...

– A to po co? – zawołał żywiej pan Karol wpadając na zwyczajną drogę ironii.–Czy chciałeś waćpan nic nie robić a żyć wygodnie, hę? O, jeżeli tak, toś się grubo omylił. Tam więcćj trzeba pracować niż gdzie- bądźindziej. Służąc li tylko Bogu, trzeba umieć być godnym tego zaszczytu, i skryalizować w sobie wszystkie cnoty ludziom znajome.

– To też już o tem nie myślę.

– No, to i cóż-bo myślisz?

– Pracować jak bądź, aby żyć!

– Niezupełnie dobre takie postanowienie, mój panie Żarski! Od ciebie się więcćj należy, bo więcćj ci Bóg dał jak drugim, a z tego rachuaek zdać trzeba...

– Jak bądź, tak bądź–mówił zasępioy Józef– wszelako nie wrócę już do bogatych, wysoko urodzonych i próżnych. Wolę w prostocie, a spokojnie, niż wyżej- a w zgryzotach. Już nie pragnę chwały: dla mnie samego, karyera moja skończona. Darmo, nie miałem tej siły wdrapać się wysoko i osobistą zasługą zrównać się z innymi, więc niechże zostanę równym przynajmniśj użytecznym.

– Hm, hm—pomrukiwał stary mocno zamyślony bawiąc się tabakierką i zatrzymując w miejscu.—Dobry to krok wprowadzić, ale to mało, to mało; waćpan więcej możesz!—A spojrzawszy mu przenikliwie w oczy, dodał ciszej:—od waćpana wymaga się już poświęcenia!

Józio aż drgnął usłyszawszy podobne zdanie Kb- seckiego, i milcząc, stał niewiedząc jak na to odpowiedzieć. Dostrzegł to jego wahanie się pan Karol i zaraz przemówił:

– "Waćpan, panie Żarski, widzę boisz się-bo tego wyrazu, co? Nie czujesz się na siłach, nogi się chwieją, w głowie się mąci, nieprawdaż? A jednakże ja waćpanu powiem, że to jest konieczne. W ofierze wyrabia się wola i pokora, których tobie niedostaje; w ofierze jest tylko źródło wewnętrznego zadowolenia, którego zapewne jako człowiek jeszcze nie kosztowałeś. Bo proszę ja waćpana mojego, miłem ci było upokorzenie, jakim cię poczęstowano w Warszawie, co?

– Niech już pan profesor nie wspomina mi o tem, bo to mię rozdrażnia na nowo, a dzięki persfazyi pana profesora, już zapomniałem o niem.

– Właśnie tak trzeba, mój panie Józefie; wścieklizna się wypala, i tem się goi rana; z błędów, prawda się wyrabia, z przeciwności człowiek prawdziwy. Więc wracając do tamtego wypadku, mówisz, że ci przykre jego wspomnienie i zapewne nie życzyłbyś nikomu, nawet nieprzyjacielowi czegoś podobnego. Otóż kto je spowodował? – ludzie. A co niemi kierowało? – próżność. Więc uderz waćpan w próżność, pozbądź się swojej i ludziom jej ujmij potrosze, a to cię zadowolni.

– Nie wiem jakim sposobem ja to mogę zrobić?— zapytał ciekawie Józef.

– Poświęceniem, proszę waćpana, bezwarunko- wem poświęceniem tylko. Bo rozebrawszy matematy- m cznie źródło tej przebrzydłej wady, to zobaczymy, że ono leży już w złej stronie natury człowieka; okoliczno- m ści zas, a głównie wychowanie je rozwija. Więc wać- pan poświęć się wychowaniu drugich, maksymy wprowadź w czyn, upokorz się w duchu, a podnieś w ofierze!

– To pan profesor namawia mię na guwernerkę, £ i to może jeszcze do domu prywatnego?—zapytał, śmie- | jąc się żartobliwie Józef.

– Ot tak, tak właśnie!

– To jakoś nie zgadza się z mojsm przeko- P naniem.

[: –A dlaczego, proszę ja cię?

– Bo ja dziś inaczej już na świat patrzę, każde draśnięcie więcej mię boli niż dawniej, kiedym go nie znał; mÓflej pracy nikt nie oceni, choćbym zdrowie przy niej stracił: zawsze uważać mię będą jako sługę.

– Ot, waćpan zaraz-bo chcesz zapłaty; chcesz by cię noszono na rękach za to, co z obowiązku człowieka i chrześcianina robić powinienes! Ze też to wam w głó- l ^ wie nie może się pomieścić czysta idea powinności czło- £ . wieczej: wszędzie szukacie blichtru, sławy, a przede- ^ wszystkim pieniędzy. Ot, patrzaj na mnie, lat 30 ' przeżyłem w stanie nauczycielskimi, zgrzybiałem pakując w głowy malcom to co sam umiem, a powiadam ci & szczerze, tak jak mi Boga trzeba przy śmierci, że szczęki śliw jestem zupełnie; i gdybym się drugi raz rodził, to f: żyłbym tak samo.

– Ależ kiedy ja nie czuję w sobie tyle sił by wy- - trwać w tym stanie – wyrzekł, już na pół przekonany
||Żarski.

– To je trzeba wyrobić koniecznie, proszę waćpana; mysi ta, że swoją pracą przyczyniasz się waćpan dobru ogólnemu, że przez nią zbliżasz ludzi do Boga, że wypełniasz swoje posłannictwo z całą wielkością poświęcenia, przewodnicząc ci nieustannie, już wleje pociechę do serca, już je umocni, a duszę zadowolnić potrafi. Ja tak samo się bałem, a Bóg ot dodał siły i wytrwałości, więc idzie dotąd szczęśliwie. Niechby z pod mej nauki jeden tylko wyszedł człowiek prawdziwy, już to dla mnie dosyć, a mam nadzieję, że więcej ich będzie, i że waćpan na moją pociechę powiększysz ich grono. A zresztą, nie daremną jest maksyma ludzka: "Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem" bo niedość jest usunąć się od bliźnich, i żyć samemu uczciwie, gdyż byłby to rodzaj także egoizmu; ale zapalić pochodnię wiary i iść z nią jako męczennik pośród zaślepionych nieprzyjaciół* to, proszę waćpana, heroizm, to prawdziwy znak miłości Boga i bliźniego!

Przez cały czas mówienia profesora, Żarski stał zamyślony, rozbierając każdy wyraz zacnego przewodnika. W głowie jego zabłysło nowe światło, i choć zbyt oddalone, jednakże już mu oznajmiało bliski świt uroczej przyszłości. Po bujnych marzeniach młodości, i po niedawnych burzach rozpacz, przeczucie kazało chwytać czempredziej ostatnią łódkę ocalenia, a poleciewszy się Bogu, kierować nią gorliwie dopóty, dopóki s ily jego i nieugięta wola trzymać się go będą.

– Otóż wie pan profesor – odezwał się prawie zdecydowany—w tej chwili nie jestem w stanie obliczyć sił moich i przewidzieć korzyści z podobnego postanowienia; lecz ufając słowom jego, puszczę się z ochotą na tę drogę poświęcenia, jakkolwiek niełatwą ona mi bę-

W'

^ dzie. Podążę po niej z całym zapalem jaki pozostał jeszcze we mnie, rzucę się śmiało z wiarą i nadzieją; zwyciężę – to dobrze, zginę – to zginę z chwałą jako prawdziwy rycerz Chrystusa. Ot, masz pan profesor moją rękę i słowo: stało się, chcę być człowiekiem czynu, człowiekiem ofiary.

– At, teraz to pięknie, mój Zarsiu, ot, takich lu- ; bię i szanuję jako przyjaciół moich; tylko-bo wytrwaj, wytrwaj młodzieńcze. Nie ten co zaczął, ale ten co skończył wart chwały. Ja ciebie tu nie opuszczę, wspierać będę ile możliwości, dzielić troski, a cieszyć się po-^v myślnością. Nie bój się, Bóg o nikim nie zapomina i wcześniej czy później nagrodzi cię wedle twych zasług.

| Ale patrzajno jak się to wszystko-bo szczęśliwie składa: właśnie co przypomniałem sobie, że pewna tu pani prosiła wczoraj pana inspektora o nauczyciela. Ma to być bogata kobieta i pani wysoko urodzona; tem ci lepiej, Obszerniejsze pole działania. Ot, wiesz co, jedź tam zaraz i bierz się do pracy w Imię Boga. Teraz-bo muszę cię pożegnać, mój Zarsiu, i pobiegnę do inspektora powiedzieć mu żeby kogo innego nie szukał. Bądź spokojny, wszystko pójdzie dobrze; jutro się zgłoś i sakum pakum w drogę.

– Dziękuję bardzo, dziękuję—mówił rozrzuwiony Józef chcąc go pocałować w ramię, lecz stary, co ni- gdy mu się w życiu nie trafiło, odsunął się zręcznie i ucałował twarz młodzieńca. Potem jakby wstydząc się tego, nieco zarumieniony, pożegnał go ukłonem i po- P biegł do siebie.

– Otóż to mi człowiek! – pomyślał sobie Żarski & postępując po drodze wiodącej do domu matki, i prostu- ' jąc się jak ów wyrobnik gdy zrzuci z siebie gniotący go

ciężar. We dwie godziny potrafił mi wrócić swobodę, pocieszyć ducha i wskazać cel życia! Boże! błogosław mu za to, i ochraniaj dni jego jak najdłuższ na użytek ludzkości. No i mają go za dziwaka i skąpca; obyśmy tylko takich dziwaków mieli na świecie, a rajby nam życia pozazdrościł. Tak, ma on słuszność: żyłem dla siebie, wszędzie widziałem siebie i swe korzyści; a teraz mam świetną gwiazdę przed sobą, bom ja orlę, które zepchnięto z gniazda, lecz orlę któremu skrzydła podrosną i wzlecę niemi tam napowrót, a nawet wyżej się pokuszę, tylko, Panie! błagam Cię kornie, daj wiarę, daj wolę dobrą, i ja zostanę człowiekiem!

II.

We trzy dni potem, znów stara Żarska odprowadzała syna do Pińczowa, a błogosławiąc po macierzyńsku, ze łzami żegnała ukochane dziecię rozpoczynające nowy zawód w swem życiu. Pan Kosecki już inny czło-^k wiek niż przy pierwszym widzeniu się z Józiem, dowcipkował po swojemu z uśmiechem na ustach, uspokajał matkę, że mu tak jak w rajku będzie dobrze, że przeszedłszy próbę nieszczęścia, już nie tak prędko przy r drugiej upadnie.

– A mój waćpanie Żarski, proszę cię, ostrożnie się tam sprawuj; bo to młoda wdowa i to po trzecim mężu, a u waćpana krew płomieniem się pali, więc żeby tam maryaż się nie skojarzył znowu. Wierz mi waćpan, wdowy niewybredne, a rodzice niemi nie

^ rządzą...

– Ale co też tam pan profesor mówi –. odezwała ^ się matka – gdzie jemu tam do miłości; przecież to lu- pjc dzie mówią, że kto się na gorącym sparzy, to na zimne | dmucha.

– Nic to, proszę waćpani, ja wiem co to kobiety.

Ot naprzykład, gdybym ja się umizgnął do waćpani, to- byś może i nie odrzuciła?

– Eh! co też tam pan nie nawymyśla–przerwała, śmiejąc się pociesznie Żarska –jakbyśmy to wyglądali przy sobie. Józiu–rzekła zwracając się do syna–nie- zapomnij też pisać jak ci tam będzie, a pisz prawdę!

– Tak, tak, szczerą prawdę – dokończył pan Karol stojąc już przy bryce. Ostrzegam, że to wielka pani, waćpan dużo przejść musisz nim cię poznają lub postawisz na swoim. Więc baczność, bo to widzi waćpan, jak próbować złego, to najprzód najgorszego. Ot i Sokrates umyślnie się z jędzą ożenił. Jedź tedy już w Imię Boże, a o nas nie zapominaj!

I pomimo to, że stary silił się na żarty, widocz- nem było, ile go kosztowała ta maska oziębłości, bo machnąwszy ręką i niby wycierając okulary chustką, obtarł łzę zawisłą na źrenicy.

Bryczka ruszyła, oboje z Żarską zostali patrząc jeszcze za odjeżdżającym, i gdy kłaniając się nieustannie, zniknął po chwili na skrócie ulicy, profesor zwróciwszy się do niej powiedział:

■– Syn waćpani, a mój uczeń, na dobrej drodze: uręczam pani, już się nie rozbeczy, ani wyrzekać nie będzie. To chłopiec z dobróm sercem, Bogu więc zań po-dziękować, i prosić aby więcej było takich na świecie.

– Oj prawda, prawda, proszę łaskawego pana, jak teraz widzę, lepiej się zrobiło, że wyjechał z tej "Warszawy. Tam tyle różnych ludzi, złych nie brakuje: onby się na nic rozpuścił. No, upadam do nóżek łaskawego pana, upadam, i dziękuję za uzdrowienie mi

dziecka – dokończyła, widząc, że pan Karol kręci się, szukając sposobności wymknięcia się od niej.

– Bądź waćpani zdrowa! A odwiedź mię też czasem, tylko nie rano, bo to u kawalerów o tej porze ład nieszczęśliwy. A jakby co było potrzeba, no, to można i w tym czasie. Do widzenia tedy!

*

* *

Choć to fornalskie były konie i trochę schudzone ale rosłe i cztery, więc drogi ubywało co raz więcej, i jeszcze nasz Józef nie ostygł z ostatnich wrażeń pożegnania, gdy pokazało się Busko otoczone wiankiem drzewiny, jak piękna altana wśród rozległego angielskiego parku. Czas był pogodny, kąpiących się wiele, więc po ulicach miasteczka, szczególnie zaś w ogrodzie na rynku urządzonym, uwijało się mnóstwo kobiet i mężczyzn, młodych i starych, cywilnych i wojskowych, zdrowych i chorych, zwyczajnie jak to u wód bywa, gdzie część przyjeżdża z potrzeby, część dla towarzystwa, a inni z prostej ciekawości, nudów, lub chęci zabawy.

Bryczka zatrzymała się na rynku, bo furman miał zabrać jakieś sprawunki do dworu, więc też i Żarski nie chcąc być przedmiotem ciekawych przyglądań Buskiej publiki, wychylającej ładne główki z okien, drzwi i balkonów swych mieszkań, zsiadł na chwilę z zamiarem przejścia się po ulicach ogrodu. Ledwo że uszedł parę kroków, gdy chwycił go ktoś z boku za rękę wołając:

A. Wilczyński.–Tom YJIT.

– Jak się masz, Józiu!

Obejrzał się prędko i zaraz trafił na całusy jednego ze znajomych warszawskich kolegów, który śliniąc go najserdeczniej, obsypywał gradem zapytań nie czekając nawet odpowiedzi.

*-T" A cóż ty tu robisz? a dawno jesteś? a kiedyś wyjechał z Warszawy? a co tam słyhać? na balu będziesz u nas? a gdzie stoisz? i t. p.

– Zdrow jestem, nie przyjechałem na żadną ku- racyę ani bale, tylko przejeżdżam.

– Ale zostaniesz się na dzisiejszym rejunionie?

– Nie mam zamiaru.

– Mój drogi, zrób mi tę łaskę, zostań; pokażę ci jedną śliczną panienkę: dalibóg wcale nieszpeta jak na Busko.

– Ależ nie mogę, jeszcze trzy mile mam dziś ujechać, a to już 4 godzina.

«i

– Eh, ty żartujesz, ty zostaniesz – mówił żywo potrząsając go za ramiona. – Powiadam ci jak się bawimy, to ani sobie wyobrazić nie potrafisz! Kobimy na złość temu motłochowi co nam chce imponować; wystaw sobie, ta szlachta tutejsza to takie wszystko grube a zuchwałe okropnie! My też dokuczamy im nielitościwie, i jak rejunion wypada, kobiety się zmawiają, nie idą do sali tylko za okna.

– Po cóż za okna?—spytał Józef. *

– Tak, przypatrzeć się jak oni tańczą.

– I tym sposobem się bawicie?

– Ale, bo widzisz, przyprowadzamy ich do wście

kłości; powiadam ci co oni nie nawymyślają żeby nam odpłacić, my jednak zawsze górą.

– Przyznam się – wyrzekł śmiejąc się litośnie Żarski—oni lepiej wychodzą bawiąc się, jak wy patrząc.

– Ale gdzie tam!? O! w niedzielę przeszłą, chcąc nas naśladować, wszystkie ich kobiety wybrały się za okna: sala była osierocona, muzyka grała, a my wszyscy przypatrujemy się przez szyby dwom lokajom, co dość niezgrabnie objaśniają świece, bo cały bal za oknem. Ha! co, nie zabawne?

– Tak, tak, zabawne, masz rację; wszelako ja nie mam najmniejszej ochoty nietylko stać za oknem . ale i tańczyć.

– Ach! prawda, tyś w rozpacz; słyshałem, słyshałem o tym wypadku u Granickich. Mój kocha ny powiedz mi jak to było? bo wiesz, że ja tam dawno już nie bywałem, a tu mnie niestworzone rzeczy opowiadano. Np. że na balu kiedy miały być twoje zaręczyny, przysła jakaś pijana kobieta...

– Proszę cię, milcz!—krzyknął gniewnie Żarski— moja matka nigdy pijaną nie była.

– Ależ nie gniewaj się, Józiu, ja tylko powtarzam co mi mówiono... i dlatego chciałbym prawdy się dowiedzieć od ciebie.

– Kto cudze głupstwa powtarza, wiesz czem samjest?

– No, to mię objaśnij!

– Nie widzę potrzeby.

– Ależ ty uparty jesteś; i unosisz się Bóg wie

za co. Mój kochany, przepraszam cię; aleś mu też porządnie odpłacił; wiesz, kocham cię za to...

- Jak to rozumiesz?—zapytał zdziwiony Żarski.
- Eh! nie udawaj skromnego, przecieżeś mu przylepił dobrze.
- Komu?
- No, a Granickiemu.

– Fałsz, jako żywo fałsz: anim się dotknął!
– A wiesz, to szkoda jeżeli tak jest. Proszę, cię, taka kompromitacja o krew woła. Żeby tak na mnie trafił, oho, pokazał ja-bym mu,.. Patrzaj, patrzaj, idzie moja piękność: co to za nóża zgrabna, a ruchy? i to, słowo honoru ci daję, parafianka.

Lecz Żarski nie patrzył wcale przed siebie, jemu otworzyła się jeszcze zbyt dotkliwa rana, przytem fałsz i plotki oburzyły, że zapomniawszy się nieco, ciekawie zapytał:

- I któż ci to mówił o tem mojem zdarzeniu?

– A jedna tu panna, kuzynka Granickich, co jest na kąpielach. Ale z jakimi szykanami, że cię wypchnięto za drzwi, że wszyscy się oburzyli, że cię do sądu miał zaskarżyć i t. p. Ja temu nie wierzyłem wcale, ale jeżeli tak jest, to jak przyjadę do Warszawy, potrafię się odemścić za ciebie, mój drogi!

- Eh! zostaw to już mnie samemu – wyrzekł zasępio Żarski.

– Oho! nie bój się, ja to potrafię: tak ich skompromituję, że nie będą mogli pokazać się na ulicy. Na najbliższym wieczorze—mówił dalej z całą energią—zamówię Karolkę do mazura, wyprowadzę na środek sali

i puszczyć: co, źle będzie? Bo to, proszę cię, jak można oczerniać człowieka tak porządnego jakim ty jesteś; jakiś tam dorobkowicz, ex-mecenasik, ma tu nami szlachtą pomiatać! a to zkad?

– Kiedy ja szlachcicem nie jestem – przemówił, śmiejąc się litośnie, Józef.

– Ale żartujesz sobie!? Mój kochany, po co się zapierać, familia Żarskich znana...

– Być może, ale nie moja; ojciec mój był sobie zwyczajnym ekonomem...

– Fe, daj pokój: nie zmyślaj!

– Słowo honoru ci daję, że tak jest.

– Więc to prawda, że ta kobieta, ekonomowa, po miejsku ubrana, była twoją matką?

– Tak jest, moja matka.

– No, to znowu inna historia! Bo to ja myślałem... Ale powiedz mi gdzież teraz jedziesz? – ciągnął dalej, wcale obojętnie, przyjaciel–i czy prędko wracasz do Warszawy?

– Nie, już nie wrócę, wziąłem dymisyę; teraz zaś jadę za nauczyciela prywatnego do jednej tu pani...

– A to szkoda ciebie, słowo honoru daję, wielka szkoda. No, bądź mi zdrów, życzę powodzenia dobrego... przepraszam cię że odchodzę, ale oto moje panie idą, muszę się złączyć z niemi. Do widzenia tedy!

– Do widzenia – odpowiedział Żarski nie skinąwszy nawet głową.–Teraz zapewne nie puścisz na sali panny Karoliny–mówił już za odchodzącym.

– Może... zobaczę... adieu!

I pobiegł nie oglądając się wcale, ukłonił zgra

bnie spacerującym kobietom, i zaczął coś żywo im rozpowiadać, pokazując dość widocznie na oddalającego się Żarskiego.

– I to ma być człowiek, mój przyjaciel – pomyślał sobie Józef wsiadając na bryczkę.–Jest czego żałować; prawdę mówił profesor, że to wszystko śmiecie niegodne nawet tarzać się po ulicach. Jedź!–krzyknął na furmana–a zasunąwszy się w siedzeniu, począł rozbierać w myśli dawniejsze i obecne swoje położenie^ przeglądał kolejno znajomych, gatunkował ich jak we młynku zboże, zdmuchiwał plewy i poślady do komórek zapomnienia, żałując, iż karmił się nimi tak długo, mając czyste ziarna przed sobą.

Dobrze już było ciemno, gdy przejechali powiatowe miasteczko Stopnicę; konie zwolniły biegu, stąpając noga za nogą, wlokły z trudnością dość lekką nawet bryczkę. Fornal i bata nie żałował poganiając to giestami, to krzykiem lub przekleństwem, wszelako czwórce to nie pomagało, bo chrapiąc przeraźliwie, i dobywając sił ostatnich, szła sobie coraz to wolniej.

– Co one się tak prędko pomęczyły? – zapytał Józef furmana wyskakując z bryczki.

– A cóż się nie miały pomęczyć, kaj obroku nie dają, i z dnia na dzień w drodze–odrzekł śmigając batem zadowolniony, że ma się przed kim wygadać. Potem obróciwszy się ku Żarskiemu i puściwszy wolno trzymane cugle, zapytał ciekawie:

– To i pan widzę na gubernera jedzie do naszego panicza?

– Tak jest, albo co?

- Ej, nic, proszę jegomości, bo oto wcora dopiero odwoziłem tamtego do Kielc; jakoś się ta nie przydał nasej pani.
- A długo tam był?
- Kaj?
- No, u waszej pani?
- Ee! ze cztery tygodnie pono; pokłócili się ta o coś ze starszym synem nasej pani, i nie chciał być dłużej. Ale to ta już nie z pierwszym tak bywało; tego roku odwoziłem chyba ze czterech. Za nieboscyka pana, to jakoś lepiej to słó we dworze: hulał-ci on ta casem, ale jak przysiedział kilka tygodni, wszystko poreperował. Żeby jegomość widział wtedy te moje cztery, to ha! koniki jak piece, proszę jegomości. A i ta naręczna—mówił wskazując batem po prawój stronie—to ona pochodzi od wojskowych aż z Rosyj; dał pan nieboscyk jakiemuś starszemu 40 dukatów za nią, a teraz czterdzie-stu złotych nie warta.
- Ale ta wasza pani to dobra kobieta? – przerwał mu Józef w nadziei zasiągnięcia pewnych wiadomości o osobach, u których przebyć miał czas niejaki.
- A juścić nie zła; zwyczajnie jak wielga pani. Przejdzie kwartał, a my jej ta nie widziewa; dwór duży, ino co pieniędzy, to ta chyba nie duzo musi mieć, bo oto i mnie za ten rok grosika nie dali, ordynaryę ciężko wydobyć...
- I mówisz, że wielka pani a pieniędzy nie ma?
- Bo ta pono teraz wszyscy wieldzy panowie tak samo stoją; ziemi ma stuk duży, las, proszę jegomości, to się z milę ciągnie; ino to ładu nie ma, wszyscy rządzą,

pan starszy, okunom, gminny; ludzie gadają, że to już sprzedane, bo jacyś panowie przed Sw. Janem zjeżdżali, oglądali, spisowali, ale kto ich tam wie co zrobili. My chłopcy, to wtedy wiemy, jak nam ze dwora powiedzą.

– A ten panicz co go mam uczyć, duży to chłopiec?

– O będzie miał z 16 lat, ino takie to cieniutkie jak panienka, a pani nasa to go okrutnie lubi. O, dyc to juz i nasa karcma, teraz do chałupy to koniska pójdą raźniej.

W istocie, nagle wyjeżdżając z lasu, zabłysło kilka światełek zwiastujących niedaleką wioskę. Konie, jak zapewnił fernal pomykały żwawiej, droga spuszczała się z góry, rzędy drzew z obu stron symetrycznie posadzone migwały się szybko, a zdała o ile rozpoznać mógł nasz bohater, bieleły się ściany jakiegoś budynku, który wydawał mu się kościołem. Nareszcie wjechali do wsi: światełka co błyszcząły z pod lasu jak mdłe gwiazdeczki na ciemnym horyzoncie, teraz zamieniły się w większe ogniska, buchające kiedy niekiedy purpurowym płomieniem na kominach spokojnych mieszkańców wioski. Budynek porządne, zewnątrz pobielone, przy każdój chacie ładny sadek płotem ogrodzony, murowane kominy, i regularnie wyprowadzone uliczki, wskazywały dobry byt włościan i troskliwą opiekę dziedziców.

– A daleko do dworu?—spytał Józio gotując się na pierwsze powitanie.

– O! to nie w tej wsi jesce, ale nie daleko, ot, hań na lewo pod lasem.

Już było po dziesiątej, kiedy wtoczyła się bryczka na dziedziniec dworski. Fernal palnął potrójnie z bi

cza, i składając ostatnie plagi na grzbiety pomęczonej czwórki, szumnie wszelako zajechał przed ganek. Józio sposobił się już wyskoczyć poprawiając ubranie, gdy otworzyły się drzwi od sieni i wybiegając młody chłopaczek, znać lokaj, zapytał:

- Czy to z Pińczowa?
- A ja z Pińczowa—powtórzył fornal.
- Czy pani jest w domu?—wtrącił Józef.
- Jiest, ale panicz słaby, i kazała pana przeprosić, że dopiero jutro się z nim zobaczy. A wy Mateuszu zajedźcie do oficyny.

Więc znowu skręcono tą samą drogą, bo tak nazwana oficyna a raczej dworska chałupa, może o jakie stajanie była oddaloną odedworu. Po jednej stronie sieni mieszkał karbowy, wprost drzwi ekonom, a po lewej mała izdebka oświetlona jednym tylko okienkiem, w tej chwili w trzech czwartych częściach papierem zaklejonem, stanowiła mieszkanie kolejno wszystkich guwernerów, jacy dotąd przebywali u JW. dziedziczki dóbr Sliwin z przyległościami. Zaraz na wstępie pewne nieokreślone uczucie przykrości i zawodu, owionęło młodego bohatera, gdy przeszedł próg ubogiej izdebki. Zdawało mu się, że znów wstępuje na ową drogę pracy i ciężkiej niedoli, z jaką walczył tak długo, a nic wywalczyć nie mógł. Niejaki rodzaj bojaźni, zatrzęsł poczciwą jego duszą; dawniejsze postanowienie i ta har-dość a raczej gotowość do przyjęcia spodziewanych ciosów, powoli bledły w młodzieńczym umyśle, zapał stygł, a zwątpienie o własnych siłach i niepewność przyszłości olbrzymiały coraz to bardziej, ścierając się pierś o pierś z rzeczywistością.

Stare żelazne łóżko, ze złożonemi wprowadzie gałkami, dwa biało lakierowane krzesła, także kiedyś złożone, stół o trzech nogach i coś nakształt sofki, pokry- - tój również nakształt jakąś materyą jedwabną, ot i całe umeblowanie. Ściany nagie, niepobielone, z kolorem poczerniałego od starości drzewa, zdoił tylko portret wąsatego szlachcica, oprawny w złożone kiedyś ramki, obecnie z dwóch boków złożone, bo drugie dwa leżały za sofką, a strzępy spróchniałego płótna, wiewały sobie najswobodniej, poruszane wciskającym się przez szczeliny drzewa wietrzykiem.

Zniesiono wreszcie i rzeczy nowego guwenera, zapalono świecę w pożyczonym od karbowego glinianym lichtarzu, usłano łóżko świeżem sianem, i zostawiono samego Józefa z jego myślami i coraz przykrzejszem uczuciem samotności. Nikt się go nie spytał nawet czy jadł dzisiaj lub nie, czy czego nie potrzebuje; wszystko odbyło się po klasztornemu, spokojnie, milcząco, tylko dzieci sąsiedzkie przywitały go krzyżącym koncertem, a panna ekonomówna ukradkowem spojrzeniem przez dziurkę, snaó umyślnie już dawniej w drzwiach wywierconą.

– Niech się dzieje wola Boża!–zawołał po chwili z ciężkiem westchnieniem zabierając się do spoczynku.–Rozpocząłem, trzeba kończyć; wszak zawsze pracować muszę, nie tu, to gdzieindziej, a może też przyjdzie ta chwila, że mię i te ściany pokochają!

Zmówiwszy więc gorliwą modlitwę, pogodzony w części z nowóm przeznaczeniem, usnął spokojniejszy znowu z nadzieją lepszej przyszłości.

Nazajutrz, może o dziewiątej, wpadł zadyszany

ten sam chłopak, co wczoraj z polecenia pani oddalił go z przed dworu, i z miną zuchowatą, więcej śmiałą niż na lokaja przystało, zawołał uchylając drzwi od pokoju:

– Pani kazała prosić pana na kawę!

Przeżegnawszy się więc nasz Józef, jakby tym znakiem przyzywał siły wytrwania, przystroił się ile można najkorzystniej, i ruszył ku dworowi.

Dom dość obszerny parterowy, z tarasikiem od ogrodu i szklaną z boku wystawką, czysto wybielony i nowym gontem pokryty, stał w śliczniejszym położeniu wzgórku panującym nad rozległą okolicą. Za nim laszek zielony, przed nim obszerny dziedziniec z owalnym klombem zarosłym trawą, krzaczkami agrestu, dzikiej róży i berberysu, otoczony białą brzezinową baryerką; przed nim jeszcze, ogród spuszczaający się dość leniwo z góry we trzy odległe od siebie schody, wyglądające zdaleka jak wiszące sady Babilonu. Po lewej stronie droga wysadzona starymi lipami i nadwiślańską topolą, po prawej wielkie murowane w kształcie gotyckim stajnie, z balkonami nawet i rzeźbionymi oknami, wskazywały jeżeli nie pańską, to zamożnego szlachcica siedzibę.

Przez drzwi opatrzone drewnianą przystawką, wszedł nasz Żarski do sieni, a raczej przedpokoju; ztąd lokaj wskazał mu na lewo pokój tak nazwany bawialny, i pobiegł zameldować JW. pani. Tu, prócz starego fortepianu bez strun i klawiszy, zszarżanej sofki i dużego wpośrodku stojącego stołu, nie było nic więcej do zobaczenia.

Po chwili otwarły się podwoje salonu, ten sam chłopiec poprosił dalej, a odemknąwszy małe w obiciu

ukryte drzwiczki, wpuścił nowego guwernera do sypialni samej jejmości, gdzie całe towarzystwo składające dom dziedziczki, piło w tej chwili kawę.

– Więc to pana przeznaczył pan inspektor na guwernera mego syna – przemówiła jakaś mała kobie- cinka, w ładnym, dośó wykwintnem ubraniu, siedząca wprost za stołem, i prawie zakryta stosem filiżanek, garnuszków i imbryków kawiarnianych.

– Tak jest, pani–odrzekł kłaniając się z godnością Józef.

– Wszak to pan Żarski?

– Tak jest – powtórzył znów kłaniając się damie. – Pani zapewne odebrała list którym mię polecono?

– Odebrałam i przeczytam – mówiła nalewając maleńką filiżankę kawy i dokładając łyżeczką śmietanki.–Niechże pan siada, bardzo proszę; inspektor pisze, że pan bawiłeś w Warszawie, z czego mocno jestem za- dowolniona; bo wszyscy nauczyciele których dotąd trzymałam, byli to mniój więcej młode chłopaczki z pewną nauką, ale bez wychowania, pan zaś wiesz, jak to dzieci szybko przejmują gburowate maniere. Proszę na kawę, tu są sucharki, tu cukier, to chleb z maselkiem, co pan woli.

Wziąwszy więc podaną sobie z rąk samej dziedziczki filiżankę, Józef usiadł jak na szpilkach, palony ogólnemi spojrzzeniami zebranych tu osób, których oprócz niej było cztery jeszcze: to jest dwóch mężczyzn i dwie kobiety.

Siedząca po prawej stonie młoda ale schorowana i szczupła brunetka, bawiąc się nożem, i poprawiając

nieustannie spadającą z ramion mantylkę, rzucała kiedy niekiedy przenikające wejrzenia na twarz przybyłego, od których rumienił się tenże po same uszy.

Z lewej strony, druga dobrej tuszy, może lat czterdzieści kilka mieć mogąca, rumiana, puciołowata, z małymi blado-niebieskimi oczkami, a białym już włosom na głowie, karmiła maleńką psinę ustawioną na stole, i drobiąc powoli zczerstwiałą bułkę, zdawała się nie widzieć nowego guwernera.

Na prost Józefa dwóch młodych ludzi, w rannym szlafroku i w okularach jeden, drugi zaś w tużurku ale bez chustki na szyi, stojąc przy stole, zapijali w najlepsze, dobierając coraz więcej sucharków i z całą przyjemnością wybierając resztki niedopitej kawy.

– A mówisz pan po francuzku? – zapytała dzie^ś dziczka, gdy kłaniając się Józef stawił filiżankę.

– Bardzo słabo – odrzekł mocno zawstydzony Józef–choć język ten gramatykalnie posiadam.

– Hm, to niebardzo dobrze; a właśnie ja chciałam żeby Emilek się wprawiał w konwersację. Dziś dla młodego człowieka to jest konieczność.

– Owszem, pani, nie dlatego żebym się tu uniewinniał z mej nieumiejętności–przerwał Józef–ale po większej części teraz w wyższych towarzystwach, np. w Warszawie, po polsku tylko rozmawiają.

– Albo on był w wyższych towarzystwach–odezwał się ów mężczyzna w tużurku, zwracając mowę do drugiego.

– Sewerynku, bądź grzeczny–przerwała młoda kobieta.

- A bo nacóż się tu chwalić, że się bywało, kiedy nie bywał.
- A skądże ty możesz wiedzieć? – zapytała niechętnie sama pani.
- Przecież łatwo da się rozpoznać z pierwszego rzutu oka. Ja znam wszystkie te towarzystwa, a nie spotkałem nigdzie tego pana; wszak nazywa się Żarski, tak?
- No tak.
- Pierwszy raz słyszę o tem nazwisku; zresztą– dodał obcierając usta i całując w rękę dziedziczkę – kto bywa po towarzystwach, to na kawę we fraku nie przychodzi. Do widzenia z mamą! – zakończył wychodząc do salonu, nie skinąwszy nawet głową obecnym.
- 11 est toujours presomptueux! – odezwała się lekceważąco owa brunetka.
- Mówi się grzeczniej pretentieux – dorzucił otwierając drzwi pan Seweryn.–Już to mnie pani grzeczności nie nauczysz!–i zamknął napowrót.
- Ach, jaki ty nieznośny jesteś, Sewerynie!– krzyknął pół gniewnie drugi mężczyzna w okularach, zwracając się ku drzwiom któremi wyszedł.–Przyjechałeś tu robić mej żonie przykrości tylko; źle ci, to jedź sobie z Panem Bogiem!
- Ależ dajcie pokój – mówiła powstawszy dziedziczka – jesteście moje dzieci, bracia rodzeni i tak się przemawiacie. Proszę pana–ciągnęła dalej, zwracając się ku Żarskiemu – nie zważaj pan na to, że mój syn tyle niegrzeczny i robi przymówki panu; widzisz pan, jest to artysta, muzyk, zatem i dziwak jak wszyscy artyści: nieprawdaż?

– Tak, pani, być to może, tylko co mnie, to bezpiecznie mógłby uwolnić od swej dziwaczności. Jeżeli przyszedłem we fraku, to nie jako gość, ale jako człowiek pierwszy raz się przedstawiający, jako...

– Ale co tam pan będziesz zważał na takiego, za pozwoleniem...—odezwał się rubasznie Konrad, starszy syn pani.

– No i ty się już poprawiasz – wtrąciła kwaśno żona.

– Bo już, dalibóg, trudno z nim wytrzymać! Stroi jakieś fochy oto i przy obcym człowieku, myślałby kto, że on magnat jaki, a my na wsi żyjący bydłeta, prawda?—dokończył obracając się ku Józiewi.

– Nie, ale...

– No, już ukończcie, ukończcie; proszę pana bądź tak łaskaw zatrzymać się w salonie, ja tylko sfę ubiorę, będę panu służyć i Elcia zaprezentuję.

Więc skłoniwszy się z pośpiechem, młody Żarski zawrócił ku drzwiom, i w tej rejteradzie nadepnął pieska płaczącego się około stołu.

– Ach! jak można być tyle nieostrożnym!—bąknęła rumiana kobieta, przesyłając zakłopotanemu ogniste spojrzenie.

– Przepraszam mocno, przepraszam – wymówił pomięszany Józef kłaniając się pokornie, gdy młoda brunetka uśmiechnęła się żartobliwie, a lubownicza piesków przysiadłszy na ziemi i całując w łapkę ranionego, głaskała z lamentami:

– Biedny Zefirek, pokażno gdzie cię to udeptano? o, biedna psina!

Jak oparzony wypadł nasz bohater do salonu, zły na siebie samego, że usłuchał profesora i tu przyjechał, ¹ a przeklinając i artystów dziwaków, i amatorów piesków, i same pieski, przebiegał gorączkowo po woskowanej posadzce obszernego pokoju. Ochłonawszy nieco, zaczął się rozpatrywać wokoło, i dostrzegł, że jak w poprzednio widzianych pokojach, umeblowanie znamionowało skromność a nawet niedostatek, tak tu przeciwnie, na pierwszy rzut oka wszystko oddychało zamożnością, elegancją i pretensją dobrego gustu. Mimo to i nagromadzenia tylu różnorodnych przedmiotów, salonik ten wyglądał jak wiejska dziewczyna przybrana w pani swej suknie; wszystko jest co tylko wdzięki kobiece podnieść może, wszelako oko nawet mniej wprawne, na pierwszy rzut dostrzeże dudka z pawiami pióry.

Nareszcie po półgodzinnem może czekaniu, w czasie którego nasz Józef miał przyjemność wysłuchać różnotonnie skrzypiący koncert źle pospajanych taflí posadzki, weszła dość żywo sama pani Gąsiowska, szeleszcząc jedwabną suknią, i prowadząc za rękę 15-letniego wyrostka w kaftaniku futrzanym, z bladą twarzą, dużym niebieskim okiem i białymi jak len włosami, spadającymi na około szyi w lśniących, nieco podkręconych splotach.

– Oto jest mój Emilek a pański uczeń–wyrzekła popychając go naprzód i siadając z pewną gracyą na obok stojącej kozetce.

Chłopiec spojrział figlarnie w twarz Józefa, pokręcił głową, i zwracając się do matki, wyrzekł tonem rozpieszczonego dziecka:

– Moja mamó, ja nie chcę tego pana; wie mama, on mi się niepodoba...

- Ależ, mój Emilku, trzeba być dyskretniejszym; jak poznasz bliżej pana Żarskiego, to go pokochasz serdecznie.
- O, nie, nie! ja żadnego guwernera kochać nie mogę, to tacy niedobrzy – i zaczął kasłać zasłaniając usta.
- Skoro się nie podobam – przemówił hamując swoje oburzenie Żarski – to jadę. Żegnaj więc panią i przepraszam – dokończył kłaniając się ceremonialnie.
- Ależ panie! – zawołała zrywając się z siedzenia i chwytając go za rękę – co pan robisz? Fe! jak można być tak obraźliwym. Spójrz pan tylko jakie to dziecko słabowite, delikatne...
- Przepraszam panią najmocniej – mówił prędko Józef – ale narzucać się nie mam zwyczaju.
- Wszak ja pana żądałam, nie syn mój: prawda?
- Tak jest, ale...
- On tu nic nie rządzi, i nie od siebie zależy; a właśnie po to pana zdaje mi się wezwałam, byś z niego zrobił człowieka. – Emilciu, przeproś mi' zaraz, natychmiast, bo nie będę cię kochać! – nalegała, widząc, że chłopiec się ociąga.
- Kiedy mama każe to przepraszam – wybąknął dusząc się od złości – i wykręciwszy się na pięcie, pobiegł do drugiego pokoju.
- Proszę pani – odezwał się zachmurzony Józef – jeżeli tym sposobem ma iść edukacja, to ja zbyt sumienny jestem, abym nie powiedział otwarcie, że go nic nie nauczę.

– "Właśnie że i ja też niewiele dbam o to: przyjdzie czas, to on sam się spostrzeże i zapelni brak dzisiaj- x szy. Mnie głównie tu idzie, żeby on miał więcej dobranego towarzysza, niż nauczyciela...

– Daruj pani, ale obowiązków nianiek pełnić nie potrafię.

– Zechciej mię pan tylko zrozumieć dobrze, a nie unoś się przedwcześnie.

Emilek jest dobre dziecko, z najlepszym sercem i głową, tylko było to długi czas wątłe, skrofuliczne, a ztąd potrzebowało więcej troskliwych starań z mej strony: jeżeli dzisiaj jest tyle dziecinnym jeszcze, to on temu nie winien. Dlatego też chciałam prosić jedynie pana, żeby przestając z nim, nabrał tej mękości i energii pewnej, na których mu zbywa. Tu ciągle między kobietami, w pieszczotach...

– Przyznam się pani–przerwał, już swobodniej, Józef – ja nie rozumiem czy kto bez nauki i uprawy umysłu jest w stanie nabyć te przymioty, których pani dla niego wymagasz; bo można go zrobić energicznym, lecz dziko energicznym.

– A przecież on ma dobre wychowanie!?! – przemówiła, uśmiechając się litośnie, matka.–Nie myśl pan znowu, żeby on tak był nieokrzesanym. Oho! to wcale rzecz inna; i gdybyś go pan zobaczył w towarzystwie np. między pannami, jaki on wesoły, dowcipny, zajmujący...

Miałem dowód tego dobrego wychowania–pomyślał sobie Józef – a potem głośno, siadając na krześle, dodał:

– Być może; tak z pierwszego widzenia nie można o wszystkim sądzić, i dlatego niech pani będzie

tylę dobrą i zechce objaśnić mię szczegółowo o moich obowiązkach.

– Nauki, jak panu wspomniałam niewiele, bo to młode i słabowite; więc zmordowawszy umysł, może go przytępić, i zrobić się dziwnym formalistą, pedantem, jak oto starszy syn mój Seweryn, którego pan miałeś sposobność poznać z tak niekorzystnej strony. Niech będzie nauka, ale nauka lekka, z zabawą połączona: opowiadaj mu pan różne zdarzenia z historii i innych przedmiotów, które potrzebne są dla młodego człowieka bywającego po towarzystwach, te zaś obudzając ciekawość, zmuszą go do spamiętania. Przytem staraj się pan nadać jego umysłowi zdrowy rozsądek, choć prosty, bo kiedy wyjdzie na swoje, żeby przecie nie dał się lada komu oszukiwać,

– Ależ w takim razie—odezwał się Józef słuchając jednym uchem poprzedniej instrukcyi—pani oddaje mi bezwarunkową władzę nad nim.

– Bezwarunkową! – powtórzyła z energią – aby go tylko nie karać! Broń Boże! uciekać się do takich środków: to rzecz ostateczna. Jak się co zdarzy, niech pan mnie powie, a ja sama to załatwię. Nie myśl pan, że ja go znowu tak pieszczę, nie; bo oto wczoraj, to cały kwadrans musiał przekłęczeć za grymasy..., Ale, ale, i z tego staraj się pan wyprowadzić Emilka. Wystaw pan sobie, wczorajszej nocy budzi się około 1-ej i przybiega do mnie z płaczem, dąsaniem i szlochem, że on chce żeby był dzień. Tłomaczę, przekładam, proszę, gniewam się, nic nie pomaga. Ledwie, że dociągnęliśmy do dnia i zaraz kazałam olejem napuszczonym papierem wylepić parawan, bo jakby to jeszcze raz przytrafić się

miało, więc dla miłej spokojności zapalę świecę z drugiej strony, i będzie miał imitację dnia. Nieprawdaż, że ja pomysłowa kobieta, choć się chemii nie uczyłam?

– Tak, prawda – powtórzył Józef – jednakże ośmielałam się tu zwrócić uwagę pani, że takie dogadzania kaprysom nierozsądnych dzieci, złe skutki w przyszłości pociągnąć mogą, bo jak...

– Ależ on wyrośnie z tego, próżna obawa ze strony pańskiej. Pamiętam i ja kiedy byłam dzieckiem, to także niestworzone rzeczy wyrabiałam, a wszelako dziś...

– Mamo, mamo! – zawołał wpadając do salonu Emilek – niech mameczka każe mi frak uszyć!

– A to na co?

– Bo Seweryn powiedział, że w Warszawie wszyscy chodzą we frakach, a ja tylko żenować się muszę w moim surduciku. Ach! jakże pan śliczne ma guziczki u kamizelki!? proszę pana, jak one się przyszywają?

– To są przypinane – wyrzekł niechętnie Józef powstając z krzesła, i odsuwając lekko natrętnika, który z wielkim zajęciem odciągał guziczki przypatrując im się z całą chciwością.

– Mój panie, niech mi je pan odstąpi! mama panu zapłaci nawet drożej jak kosztują.

– Emilku, co to jest? – zawołała seryo matka – nie zapominaj się.

– Ależ co to szkodzi, proszę mamy; ten pan odstąpi mi te guziczki, a przy fraku jak to ślicznie będą wyglądać, Broniś Jaszewski dopiero mi pozazdrości.

Moja mameczko droga, kochana, złocista, poślij po krawca do Staszowa, żeby mi wziął miarę na frak; wszakże ja mam wzrost już dobry...

– Proszę cię, mój Emilku, niech ci się też nie zachciewa.

– Bo jak mamę serdecznie kocham, nigdzie a nigdzie nie pojedę z mamą na wizyty, i jak się rozchoruję...

– Co się masz rozchorować – mówiła głaszcząc go po twarzy.–Za dwa lata gdy będziesz 16-letni młodzieniec to dobrze.

– No, zobaczy mama, będzie mama żałować tego.

– Proszę jaśnie pani – szepnął lokaj wchodząc na to do salonu–jakiś urzędnik przyjechał ze Stopnicy i chce się z jaśnie panią widzieć. <

– Powiedz, że nie mam czasu, niech zaczeka...

– Ależ kiedy ma bardzo ważny interes.

– No, to idę; przepraszam pana – mówiła do Żarskiego–w tej chwili wrócę, a tymczasem staraj się

pan wybić mu z głowy te zachcenia–szepnęła ciszój. ♦ »

– Słuchajno Emilku – odezwał się Żarski gdy matka drzwi zamknęła–co tobie po fraku?

– Co? a do ubrania; ja bywam na wieczór ach w okolicy, i panny się śmieją, że tak dziecinnie wyglądam.

– Bo też dziecko jesteś.

– Doprawdy, i pan tak myśli?–mówił z przekąsem poruszając figlarnie głową. – Że się uczę i guwenera mam, to dziecko. .Oho! nie bój się pan, ja nie taki głupi jak panu się zdaje!... Mój panie, mój panie,

spojrzyno pan–woła, ciągnąc go ku oknu–jako mój kasztanek paraduje na lince. Wie pan, że w całej okolicy takiej czwórki nie ma jak moja.

– Jako? masz już swoje konie?

– A mam, bo matka mi darowała tę czwórkę. Hej, Szymon! – krzyknął stawając na kozetce i uchylając lufcik–krócej go bierz! tak, tak. Patrzno pan co to za mina, jaka pierś, a krzyże, a nóżki. Na przeszłym jarmarku już mi 5000 dawali za nie, ale jabym ich i za 6000 nie sprzedał. Nieboszczyk ojczym kupił parę w Jędrzejowie przed dwoma laty, a drugą ze stadniny dobrano. Może pan pójdiesz ze mną do stajni, to zobaczymy resztę.

– Nie ciekawym – bąknął zadziwiony Żarski taką śmiałością i pewnością zdania młodego chłopaczka.

– Ale pójdź pan, pójdź, co to szkodzi! Pokażę pan u i lando prawdziwe wiedeńskie, którego nikt niema na cały powiat. Jeszcze dziś wziąłbym za niego 4000 zł. N.o, pójdiesz pan czy nie?

– Nie pójdę i ty zostań, mama laraz wróci.

– A niech sobie wraca – wyrzekł zabierając się do wyjścia.

– Proszę bardzo zostać!–krzyknął gniewnie Żarski, chcąc sobie nadać pewną powagę.

– A cóż-to pan sobie myśli, że ja się jego boję, co? – zapytał seryo Emilek stawając zuchwale przed nim.

– Jeżeli się nie boisz, to będziesz bał.

– Doprawdy!?!–odrzekł ironicznie chłopiec.–Nie

tacy tu już byli jak pan, a żadnego się nie bałem i każdego się pozbyłem. Wiedz pan – mówił z całą zapal- czywością przyskakując do Żarskiego – że ja się ani mamy, ani Konrada, ani Seweryna, ani ciotki Weroniki, ani nikogo a nikogo w świecie nie boję! I cóż mi pan zrobisz, hę?

– Ja nic – wyrzekł, zdumiony taką czelnością chłopca, nasz Józef– ale później znajdą się tacy co cię nauczą rozumu i których bać się będziesz...

– Tylko niech pana głowa nie boli o mnie; już ja sobie dam radę bez pana! Z pieniędzmi wszystko się robi, wszystko kupi, nawet i guwernerów. Ja panu radzę, że jeżeli chcesz tu być, i miła ci pensja jaką mama płaci, to nie zaczynaj pan ze mną; bo żeby mi się niewiedzieć co miało zrobić, tyle ci nadokuczam, nadrę- czę, a mamę molestować będę, płakać, chorować, grymasić, że musisz sobie iść z Panem Bogiem.

I skończywszy taką perorę, cały zaczerwieniony, z ognistym spojrzeniem rzuconem Żarskiemu, wybiegł z pokoju.

– A toż tu piekło prawdziwe! – zawołał Józef biorąc się za głowę.–Zginę z duszą i ciałem, chcąc wytrwać z pół roku. O! ciężka to droga tego poświęcenia, mój panie profesorze! Rozmawiać o niej, wyobrażać ją sobie, to śliczna, wzniosła, poetyczna, chrześcijańska; ale iść po niej, rzecz inna. Co ja tu pocznę nieszczęśliwa istota? Niepodobna, z tym zuchwalcem nie podołam; to już zgangrenowane w zarodku, stracony człowiek, dalibóg stracony! Alem też trafił, to jak z deszczu pod rynnę. Choćby porzucić–myślał zafrasowany biegając po sali. – Wstyd i przed sobą i przed ludźmi; zostanę...

ale jak tu zostać, jak wytrzymać, jak znieść takie męczarnie, takie upokorzenia, taką, swawolę dzieciaka. Ot, złapałem się najhaniebniej, zaufałem swym siłom przewidując niby wszystko, a to i milionowej części je- szczem nie odgadł!

– No, a gdzież Emilek? – zapytała wchodząc dziewczyczka.

– Poszedł!–odpowiedział cały jeszcze w oburzeniu Żarski. – Wie pani, że to okropność co to za zuchwałę dziecko! Zgroza słyszeć jak on mi tu -perorował. Niech to panią bynajmniej nie obraża – mówił trzęsąc się cały–ale pomiędzy tylu osobami, których poznałem w tem życiu, jeszcze mi się nic podobnego nie trafiło.

– Cóż to takiego było?–przerwała strwożona kobieta.

– Ach! trudno już powtórzyć, proszę pani: powiedział, że nikogo się nie boi, że uczyć się nie będzie, że mię wypędzi, historye...

– Eh! co też pan zważa na takie dzieciństwa.

– Ależ gdyby pani widziała jego zapał i ogień z jakim to mówił, to doprawdy myślałem, że mam przed sobą jakąś furę gniewu i złości. Złakłem się patrząc na niego. Nie, pani, jam tu zbyt czyny, ja nie potrafię ani uczyć, ani poprowadzić tego chłopca. Szkoda trudu, szkoda mego zdrowia, jabym się tu zagryzł.

– Zlituj się, panie! – mówiła z błagalną miną składając ręce matka.–Nie opuszczaj mię w tak drażliwej chwili: ja sama to widzę, czuję i martwię się jak nikt w świecie; ale jestem za słaba istota, aby go skarcić i poprawić. Rozpieściłam, pozwalałam na wszystko,

a on tak się ozuchwiał, że niech mi pan wierzy, już kilka razy płakałam na niego. Jednakże, panie, miej wzgląd i na to, że ja matka, kocham go nad życie!

– Więc cóż ja tu pani pomogę? ja, obcy czło-

S wiek...

– Właśnie, dlatego samego, że obcy, to widzisz zdrowiej i jaśniej niż ja zaślepiona mojem przywiązaniem. Pan jako mężczyzna, więcej masz energii; krzy-
l kniesz ostro, chłopiec musi się zląknąć; a zresztą, on już tyle ma rozumu, że tłumacząc mu jak to jest źle...

– Gdzież tam tłumaczenie... – przerwał śmiejąc się ironicznie Żarski—to jak groch na ścianę. Tu trzeba przemocy i kary...

– Oh! mój Boże, mój Boże!—zawołała nieszczęśliwa matka, zakrywając twarz rękoma. – Nie uwierzysz pan jak to boleśnie słyszeć podobną opinię o dziecku, k które się ukochało; jak to rani macierzyńskie serce ten rodzaj zwierzęcego postępowania. Ach! ta kara, ta kara!

– Inaczej nie można; lepiój teraz póki czas i póki hańbą się nie staje, niż późniój. W tej chwili każdy sposób możebny, bo ratować go trzeba. Nie myśl pani, żeby takiego rodzaju pobłażanie na dobre jej samej wyszło; zaręczam, przyjdzie chwila, on tak jej kiedyś dokuczać będzie, iż pożałujesz pani, żeś go nie ka- rała za młodu.

– Wiem, wiem, przeczuwam; bo myślisz pan, że on już i teraz nie zaczyna? Kłóci się ze mną ząb za ząb, czasem i powie coś tak przykrego, że serce mi się kraje słysząc podobną mowę własnego dziecka—za któ-
r rebym życie jeszcze wtedy położyła.

- Otóż ma pani przestrozę!
- Ja wiem, ja wiem/ ale cóż robić?! Zaklinam Sffi pana na miłość Boską, na wszystko co masz najdroższego w życiu, ratuj go, o! ratuj jeszcze, a wdzięczną ci będę do grobu! "Wszak i pan zapewne masz matkę, i ona kocha cię także, i wiesz co to jest za nieszczęście widzieć czarną przyszłość kochanych osób; więc oszczędź mi kilka lat życia sprowadzając tego chłopca na dobrą drogę, bo ja nie przeżyję tylu umar-
twień!
- Dobrze, pani–wyrzekł, rozczulony taką mową, Żarski – ja wszystkich dołożę starań, wszystkich użyję sił i sposobów...
- Tak, tak, oddaję go panu zupełnie, rób co chcesz i jak chcesz, aby uratować nieszczęśliwą dziecinę. Nikomubym tego nie powiedziała, nawet synowi starszemu, ale pan tak jakoś wzbudziłeś we mnie ufność, tyle pokładam w panu nadziei, że mało go znając, jestem pewna że nie nadużyjesz swej władzy. Od dziś dnia zrzekam się praw moich. Tylko – mówiła z błagalnym spojrzeniem, w którym topiła się cała jej miłość macierzyńska – oszczędzaj pan kary, mój drogi panie, nie pastwij się nad słabym dzieckiem, bo każdy raz jemu zadany, tysiąc razy boleć mię będzie, choć tego z mej twarzy nie wyczytasz!
- Możesz pani być spokojną; wszakże ja tyranem nie jestem, abym się lubował cudzemi cierpieniami, i zaręczam, że chyba w ostatnim razie do tego środka się ucieknę.
- Tak, tak, mój panie, a wdzięczną ci będę nie- . skończenie. Co chcesz dam, pensję jakiej zażadasz,

a tylko staraj się, mój panie, wszelkimi siłami. Te- raz, żegnam pana, bo tyle mam interesów i kłopotów gospodarskich, a to wszystko skupia się na moją biedną głowę. Po obiedzie jeszcze pomówimy o tem.

Wyszedł więc nowy guwerner wprawdzie nie bardzo zadowolniony z takiego obrotu interesów, przeczuwając podwójną walkę przed sobą, raz z nieograniczoną i ślepą miłością macierzyńską, a powtóre z krnąbrnym i zepsutym dzieckiem. Ale o odjeździe już ani pomyślał. Prośba matki tyle błagalna, nawet z pewnem upokorzeniem roli pani i dziedziczki doń zanesiona, nie znała w pocziwem sercu zahartowanej egoizmem tarczy, od której bezkorzystnie odbićby się mogła. Ulitował się nad jej przyszłością i nad przyszłością dziecka, które jeszcze może być powrócone ludziom. Wszak prawda, mówił sobie chodząc wokoło dziedzińca, że w Ewangelii powiedziano, jakoby większa radość była w niebie z jednego nawróconego grzesznika, niż z 99 wybranych. Nowa to dla mnie sposobność, nowe życie trudów i ofiary: ależ nie ustawajmy w zamiarach, nie wahajmy się gdy przyjdzie zrealizować je w czyn. Trochę pracy, trochę dobrej woli, nieco mniej pychy i osobistych żądań, a wszystko pójdzie dobrze. Panie! dopomóż mi, Panie! daj siły!

Kiedy domawiał te słowa, Emilek z bacikiem w ręku, ubrany do konnej jazdy, prowadził za sobą na smyczy sforę prześlicznych chartów, i podcinając je od niechcienia, to głaskał, to całował po brzydkich zarośniętych mordach.

– A może i pan pojedziesz z nami na polowanie! – wyrzekł stawając przed Żarskim, wciąż zajęty swą psiarnią. – Każę panu osiodłać fornalskiego

wierzchowca, nie tęgi wprawdzie, ale to dla pana prawie.

– Nie, ja nie myśliwy i tobiebym radził zostać, bo lekcję rozpoczniemy.

– Może się obejść bez niej – wyrzekł najobojętniej, zapinając sprzączki u obróż. – Powiedziałem już panu, że ja się uczyć nie będę. Co umiem, dla mnie aż nadto; bo proszę pana, na co mi religii, kiedym ja katolik i pacierz umiem; języki? no, po polsku umiem przecie; po francuzku pan znowu nie mówisz; rachunki mi nie potrzebne: od tego są rządcy i ekonomowie; historia? a co mi po niej, mnie tam nic a nic nie obchodzi co było na świecie...

– Więc pocóż ja tu przyjechałem? – wyrzekł spokojnie Żarski.

– Ja sam nie wiem po co; mama chciała, mnie to wszystko jedno. Do widzenia! – zawołał wskakując zwawo na konia.

Nadszedł i obiad, toż samo towarzystwo, które widzieliśmy przy śniadaniu, obsiadło stół dokpła; Emilek przy matce grymasił jak zwykle, ciocia karmiła pieska, a reszta jadła z najlepszym apetytem, milcząco, ponuro, jakby w jakim klasztorze. Śnać myśl niezbyt wesoła zajmowała umysły samej pani i starszego syna, bo z ust pierwszsj częste westchnienia, a z drugiego jeszcze Częstsze przekleństwa sypały się po kilka razy na minutę. Szeptano ciszej lub urywanemi słowy, których znaczenia Józef nie mogąc pojąć, przeczuwał tylko, że niezawodna burza gotuje się nad głowami tych słabiotkich istot, odgrywających do ostatniej chwili rolę państwa i zbytku, do którego kiedyś przywykli.

Po obiedzie, znów zebrała się rada w salonie, tylko liczniejsza, bo obaj synowie wzięli w nią udział. Kiedy się już usadowiono w najlepsze, sama pani odezwała się do Żarskiego:

- Więc od jutra rozpocznie się nauka?
- Dobrze, skoro taka wola pani.
- A ćwicz go też pan porządnie, ręki nie żałuj!– przerwał starszy syn w okularach, chodząc z fajką po sali–bo to nygus chłopak w ostatnim stopniu!
- Ależ dajże pokój, Konradzie–wyrzekła z przykrością matka–co tobie na tem zależy?
- To zależy, że się na nic rozpuści, i z czasem śliczny będzie kandydat do sz...
- Nie kończ, fe; jak można pleść podobne duby!
- Jak mama chce, ale ja to przewiduję i bodaj- bym nie był prorokiem.
- Ale dla lepszego dozoru – odezwał się Żarski, jakby nie słysząc poprzedniej rozmowy – pozwoli pani, że jabym go chciał mieć ciągle przy sobie.
- To jest cały dzień?
- Nie, i całą noc; nam potrzeba razem mieszkać.
- A to... po co? – spytał Seweryn – czy go pan chcesz ubierać? Bo jeśli tak, to przyznam się, po roku jeszczeby chustki porządnie nie umiał zawiązać–dokończył rzucając na szyję Żarskiego ironiczne spojrzenie.

Młody człowiek spojrzał tylko' piorunująco zaciskając pięści i milczał, gdy sama pani przerwała:

- Ależ nie o to, tylko pan-byś miał z nim tyle subiekcyi; zresztą w oficynie taka wilgoć, brudy...

– Proszę pani, skoro ja tam mogę mieszkać, i pani uznałaś oficynę za dobrą, dla guwernera, więc cze- mużby syn pani, którego on ma sprowadzić na drogę prawą, a tym sposobem być jego dobroczyńcą, jak pani to wspomniałaś, nie miał z nim dzielić tych przyjemności.

– Dobrze, panie, weź go tam sobie, weź do licha, a nie puszczaj choć ze trzy dni, to my zmartwychwstaniemy na nowo! – odezwał się Konrad.

– To już chyba ten oto pokój za salonem każę przygotować dla pana i do nauki...

– A i łóżeczko jego tam wstawić – dodał Żarski.

– Czyż to koniecznie, proszę pana; on się już tak przyzwyczaił sypiać ze mną, ja od maleńkiego muszę go sama ułożyć, przykryć...

– "Wierz mi pani i ja to samo potrafię.

– No i jakże ty radzisz, Sewerciu? – zapytała zwracając się ku niemu w nadziei usłyszenia przychylnego dla siebie odpowiedzi.

– A niech sobie mama robi co chce! Mnie oto w głowie nie może się pomieścić, jak ta okęlica jest głuchą i niemuzykalną. Żeby też ani jednych uczciwych skrzypiec pożyczyć nie można było... Palce mi zupełnie posztynięją; wie mama, ja pojutrze wyjadę...

– Chwała Bogu, jedź sobie, jedź! – zawołał brat starszy. – Nędznej tanecznicy to i fartuch przeszkadza: tak też i tobie nazwozili furami tych skrzypców, a wszystkie niedobre, fałszywe, popękane. Myślałby kto, że on dyabli wiedzą co za wirtuoz! Brzdąka, stroi, krzywi

się, a nie gra. U mnie, mój kochany, zagraj mazura, dobrego, krakowiaka od ucha, polkę, żeby potańczyć można i towarzystwo zabawić, to mi rzecz. Ale rozwodzić piszczące trele, jakieś kaduki, waryacye, to nie dla nas prostaków. Lepiej zrobisz jak pojedziesz sobie do tych co cię tam pojną... A droży się, a wzdraga, a ciska: na co i po co?

– To dlaczegoż proszą?—spytał z litosnym uśmiechem tryumfujący Seweryn.

– Bo oni sami nie wiedzą dlaczego! Słyszeli że tam grają ludzie jakieś koncerty, ale ja sobie szyję dam uciąć, że nie ciebie rzempolę, ale i dobrego nawet koncercistę nikt a nikt tu nie zrozumie, choć chwalić będą, dziękować, unosić się i basta!

– Jakże, czy pani się zdecydowała? – przerwał Żarski zwracając mowę do matki.

– Ja sama nie wiem, mój panie; żal mi Emilka, biedny chłopiec, s płacze się, zmartwi...

– W takim razie ja się nie podejmuję jego edukacji.—Albo zupełnie niech do mnie należy, albo nie.

– Cóż ja tu nieszczęśliwa kobieta pocznę! – biadowała słabiutka mama szukając wzrokiem poparcia od synów. Ach! te dzieci, te dzieci, co one nas kosztują zmartwień, mozołów i poświęcenia!?

– Eh! co się tam mama będzie targować? Chce, to dobrze; nie, to sta na jego miejsce znajdziemy. Teraz ciężkie czasy i my panowie się kurczymy, a cóż dopiero tacy—dokończył pan Seweryn skrzywiwszy nosem, jak-- by się mszcząc za poprzedni od brata docinek.

– Proszę pani—wyrzekł prędko Żarski, porywa*

jąc się z krzesła z całą usilnością powstrzymania swego oburzenia—ja chciałbym wiedzieć na czyje wezwanie tu przyjechałem: czy pani, czy tego ot pana?

– Albo co?—zapytał zuchwale Seweryn, stawając przed nim.

– Ja pana wzywałam, ja; ależ nie gniewaj się pan!

– Daruj pani, wymagasz rzeczy niepodobnych. Od samego rana ten pan przyczepił się do mnie jak wyrzut sumienia, i ubliża bez żadnego powodu. Ja do niego nie mam żadnego interesu, i jeżeli pani chcesz się układać ze mną, to proszę nie wzywać do towarzystwa osób takich, które się bardzo często zapominają zwykły.

– Fi, fi, jaki mi junak! pewno ze Starego Miasta?—bąknął pod nosem Seweryn, stojąc wciąż w jednej pozycji z miną prawdziwego Anglika.

– Choćby i ze Starego Miasta, to wiedz pan, że » mię to nie krzywdzi, ani hańbi. Praca uczciwa lepsza jest niż dmąca się...

– I do kogóż pan to mówisz, co? — krzyknął zaiskrzony panicz.

– Domyśl się pan, że do tych co w Warszawie sami dają lekcje, i jeszcze komu? a przyjechawszy na wieś, bryzgają błotem takich, którzyby kiedyindziej ręki im podać nie chcieli.

Seweryn zaczerwienił się jak burak na takie słowa prawdy, chciał coś odpowiedzieć, ale zawstydzony, przygnębiony, nie znalazł słów na swoją obronę. Wytrzeszczycwszy więc oczy, z miną głupowatą stał niepo-

ruszony, gdy matka i brat starszy, zdziwieni tak nową dla siebie wiadomością, niedowierzająco spoglądali p o sobie.

– Jakto? Sewerciu, tyś już stracił cały majątek?–krzyknęła matka przyskakując do niego.

– Ale zkąd? co jemu się marzy? zmyśla, moja mamó; ja go pierwszy raz w swem życiu widzę, a przecież bywałem i po...

– Kawiarniach może–przerwał mu Józef.

– Kłamstwo! Ja cię nauczę! – zawołał groźnie, siląc się bezczelnością pokryć chwilowe pomięszanie.

– I to prawda, panie Żarski, co? – pytał uradowany brat starszy.

– Ach! tysiącem dowodów przekonam. Wszak cała Warszawa zna tego pana jako jednego z utracu- szów, co się włóczą po ulicach dzień cały i wysługują pierwszemu lepszemu. Chcesz pan, napiszę do znajomego mi kupca Z., którego dzieciom lekcye dawał, a on poświadczy.

– Wiedz pan!–odezwał się patrząc w ziemię, pan Seweryn–że uczciwa praca nikogo nie hańbi.

– Dopieroś się pan o tem dowiedział; proszę, to takie teraz zdanie szanownego pana, a przed chwilą coś pan mówił o mnie? Wierz mi pan, jak tylko spojrzałem wchodząc dziś rano do pokoju, odrazu pana poznałem, i przyznam się, nie chciałem go zawstydząć wydając się z tem. Złośliwy nie jestem, nikomu nie zaszkodziłem nigdy w najdrobniejszej nawet okoliczności, cze- gom dowiódł przez cały dzień słuchając cierpliwie obuwających przycinków pańskich i że powiem nawet bru-

A. Wilczyński.–Tom VIII.

dzących usta które je wymawiają. Ale skoro widzę że tego zapadło, trudna rada, i ja, panie, mam krew i pojęcie godności osobistej!

– Hej, żono, Ginciu kochana! – wołał uradowany Konrad, prowadząc ją za rękę do sali. – Słyszysz ty, nasz bohater, dandy warszawski, artysta, na świętego tureckiego już się aplikuje! Ha, ha, ha! pyszna hi- storya, dalibóg pyszna! A dziękuję panu serdecznie za tę rąbaninę, toś jeden przecie utarł mu nosa porządnie!

Lecz sama pani snadź niebardzo podzielała tę radość starszego syna, bo podparłszy głowę piękną jeszcze ręką, zamyśliła się nieco, i pocierając czoło siedziała zadumaną. Pan Seweryn zaś choć upokorzony zupełnie, jednak nie stracił zwyczajnej sobie butnej fantazy, a zdjawszy skrzypce ze ściany drugiego pokoju, zaczął je stroić w najlepsze: to wykrzywił niemiłosiernie usta gdy przyszło pociągnąć strunę, to mrucał w miarę fałszywych tonów wydobytych gwałtownem brzdąknięciem, i zdawał się nie słyszeć wesołych żartów Konrada.

Kola Józefa przy tak ogólnem milczeniu wydawała mu się zbyt drażliwą. Nie śmiał odejść nie ukończywszy z apowiedzianej narady, żałując w duchu tyle nierozsądnego uniesienia; ale wkrótce sama pani, ocknąwszy się z chwilowej zadumki, powstała szybko z siedzenia zwracając się bardzo uprzejmie do niego:

– Niech pan będzie tyle dobrym i zostawi nas na chwilę samych; odkrycie pana – mówiła ciszej – co do stanu Sewercia, dało mi wiele do myślenia i dlatego chciałam z nim pomówić sam na sam. Zaraz ja tu ka-

żę uprzątnąć pokoiik dla pana, i za parę godzin przeniosą rzeczy pańskie...

– Ależ ja przepraszam bardzo panią, że mojem niewczesnem oburzeniem, stałem się przyczyną jój smutku, ale proszę uważać na to, że i mnie bolą podobne...

– Nie, nie, bynajmniej! Pana mam za usprawiedliwionego – przerwała grzecznie te tłumaczenia się zakłopotanego Józefa. – To inna myśl nasunęła mi się z tego odkrycia; proszę pana, ja przywykłam już do takich ciosów w mem życiu; a co mnie jeszcze czeka? to boję się pomyśleć nawet!—dokończyła westchnąwszy.

Skoro więc oddalił się Żarski, wstrzymywana żałość matki, już nie miała powodu taić się między swoimi. Łzy stanęły jej w oczach i zakrywszy je rękoma zaczęła płakać dość głośno.

#

– Co mameczce takiego, czego mama płacze ? – zapytali oboje małżeństwo Konradowie, zbliżając się ku niej, gdy młody wirtuoz wychyliwszy głowę z drugiego pokoju i trzymając skrzypce w rękach, spojrział nieco zdziwiony.

«– Oh! moje dzieci, to już niema ratunku!

– Na co? – zawołał Seweryn przybiegając żywo.

– Ach! na co, na co? i ty pytasz mię jeszcze!—zawołała żywo z pewną ironią.—Więc ty straciłeś wszystko i to w ciągu trzech lat niespełna!

– Ale com miał stracić! że daję lekcye i pieniądze biorę, to jeszcze nie dowód.—Bądź mama spokojną, to w modzie teraz: wszystko dobrze wychowane, idąc za postępem wieku, stara się oświecać ten lud ciemny,

przelewając weń część szlachetniejszych uczuć za pomocą sztuk pięknych. Sam hrabia K., milioner, pan z panów, a uczy malarstwa śliczną córeczkę swego ekonoma, z nudów, fantazyi...

– Pleciesz koszałki opałki,* mój kochany – odezwał się Konrad.–Dyabli-by tam z fantazyi kazali chodzić po błocie na lekcye i brać po złotówce; niby ja się nie znam na tćm! Ho, ho! musi być tćgo krucho koło wa- szeci, kiedyś się wziął aż do tego.

– Chcesz, wierz, mniejsza o twoje zdanie: ludzie światowi, dobrze wychowani tak robią.

– Idźno sobie do kaduka z taką gadaniną i dobrem wychowaniem! Ty jakbyś miał trojaka w kieszeni, tobyś się ani ruszył z sofy lub krzesła, a cóż dopiero 90 tysięcy...

– Ależ, mój Sewerciu – przerwała matka biorąc go za rękę i patrząc mu w oczy błagalnie – powiedz mi szczerze, jak mię kochasz, co ci zostało z twych funduszów?

– Prawdziwie, że sam nie wiem; tylko, że mam to mam, z sobą niewiele wprawdzie, ale po bankierach, na spekulacyach, u przyjaciół, to się zbierze z jakie 40,000. Tylko, widzi mama, teraz tak to wszystko w ruchu, że odebrać nie mogę, i nawet przyjechałem tu z zamiarem proszenia mameczki, o jakie parę tysięcy na dwa tygodnie najdalej. Niech-zajadę...

– Cóżeś ty zwaryował, czy co? – krzyknął tak gwałtownie Konrad, że aż okulary mu upadły na ziemię.–Od nas chcesz jeszcze, od nas, biedaków, którzy czekamy tylko dnia w którym nas wyrzucą!?

– Ach! Matko Najświętsza!–zawołała matka rzu-

ćając się na sofę. – Ja myślałam że ty nam zaliczysz kilkanaście tysięcy, 'a tu i on stracił... Oh! biada nam, biada: nie ma ratunku!

– Jakto? naprawdę tak źle stoicie? – spytał poważnie, trochę zadziwiony Seweryn.

– Więcej jak naprawdę! bo nas wyrzucą lada dzień.

– A z kądże ja wezmę?...

– Z kąd chcesz, a pomóż, Sewerciu!

– Ale ja na drogę nie mam, tak się wyekspensowałem licząc na was. Przyznam się, nie tę goście tu gospodarowali; kiedy tak, więc jam tu niepotrzebny, dwóch tragedii odegrać nie potrafię: jedno miałem w Warszawie na wyjeździe, druga tu się rozpoczyna. Jadę jutro; "mój Konradku, wybierz mi tam jaką bryczynę" i parę a dobrych koni, ja ci je z Warszawy odeszlę.

– Z takim żądaniem to udaj się do administratora i do komornika: wszystkie sprzęty zajęte.

– To ty chcesz żebym piechotą wracał? Śliczne przyjęcie w domu matki; dalibóg, to wyborne: koni nie mają nawet.

– Jakiś przyszedł tak się i wynoś! – krzyknął rozgniewany Konrad. – Nam o mało że głowy nie pódlatają z kłopotów, a ten jeszcze się będzie natrzasał. Cóż chcesz, tużurek mam sprzedać dla ciebie, czy co?

– Moje dzieci, dajcie pokój! Fe! jak można tak się kłócić nieprzyzwoicie i przy matce.

– Bo ten galant tak mnie irytuje, że doprawdy...

– No, pójdź, pójdź, Konradzie! – przemówiła żona

ciągnąc go za rękę. – Co się tu będziesz awanturował w obecności kobiet.

– Ależ czekajno – zawołała matka – posłałeś Haimka?

– Pojechał jeszcze wczoraj, może co i wybębni od żydów w Chmielniku, kiedy go nie widać.

– Dałby Bóg, bo już nie wiem co począć – wyrzekła matka załamując rękę.

– Niech się mama uspokoi, to się załatwi – dodała synowa wyprowadzając męża.

"Więc też polegając na takich zaręczeniach, biedna* kobieta odetchnęła nieco, i poprawiwszy spadające na czoło siwe już loki, wyszła na taras, uszczknęła kwiatków w pobliskich klombach, a bawiąc się nimi jak młoda owczyzna w przeddzień ślubnego obrzędu, pobiegła ialej spuszczając się po pochyłości ogrodu.

Istotnie, dziwną to jest zagadką, ta niewytłumaczona lekkość pewnych osób a zwłaszcza też kobiet, z jaką przyjmując wrażenia często nazbyt bolesne, w jednej chwili zaczepiwszy je na wiotkiej gałązce nadziei, puszczają w niepamięć świeże nieszczęścia, zacierając je mglistym kolorem oddalenia. Zdaje im się, że przejdzie ta burza, jak wiele innych niepostrzeżenie, że czar- aa przyszłość nie ośmieli się musnąć śnieżnego czoła, 5 którego dotąd świeciła urocza gwiazda pomyślności. Do ostatniego momentu, jeszcze nie wierzą, jeszcze nie pojmują tego ogromu utrapień. Bujny w pomysłach i leniwy w wykonaniu ich umysł, jakoś tak zamgli pobliski horyzont, zesunie się na stronę lub wzniesie do jóry, a matka trosków – otucha, rozpogodzi oblicze,

orzeźwi duszę, zatli wspomnienia, i powoli, powoli wywiedzie ją w świat inny, w świat marzeń zastosowanych do ulubionych urojeń, odpowiednio wyobraźni marzących.

Tak też stało się i z ubezpieczeniami naszej dziedziczki. Odpychając obiema rękami przykre myśli, jak ten pobożny chrześcjanin nieczyste żądze w przybytku Pańskim, uczuła się lżejszą, bo pierś odetchnęła swobodniej, oko się rozplómiło i przeskakując z przedmiotu na przedmiot, zwróciła się ku Emilcowi, z niego na mężów, z mężów na rodziców i młodzieńcze marzenia. Tu zaczepiwszy się o przeszłość osnuwała coraz to gęściej nitką czarodziejskich wspomnień dzisiejszy motek umartwienia, i to tak szybko szła robota, że w chwilę już go i dojrzeć nie można było pod tą grubą powłoką uludy.

Burza wisiła nad biedną głową słabej kobiety: los prześladowca zbierał chmurkę za chmurką, skupiał, przerabiał, zabiegał, ciesząc się niewinnością ofiary, bo jak wiadomo, silnych i w pancierz wiary skowanych, ten zdrajca nie bardzo lubi spotykać. A tu w czterdziestoletniej główce naszej pani, roił się świat inny, świat uciech i rozkoszy, których wysączyć nie potrafiła miłość dla dziecka, miłość dla bliźnich i wielka idea przeznaczenia kobiety.

Może wam się dziwnem wyda, czytelnicy moi, ta świeżość uczuć, ta żądza życia i pragnień nieokreślonych, rojących się po głowach osób, które siwizna już prószyc zaczyna. A jednakże jest prawdą, że są tacy ludzie na świecie, co pojąć nie mogą, żeby wiek ograniczał wolę człowieka i zakreślał przedziały jego bujnym

żądrom. Być może, iż oni nie przeżyli wszystkiego, że pod tą zakrzepłą oponą ciała, bije młodzińcze serce, a umysł dojrzały wie teraz dokładniej jak z życia korzystaćby można. Biedne to istoty, godne więcej pożałowania, niż chłodnych słów szyderstwa, jakie im zazwyczaj świat rzuca. Ich męki z żadnymi porównać się nie dadzą: wszystko ich gniewa, wszystkiego i każdemu zazdroszcząca gdy wola hamulca nie znajdzie, mimo krzyczącej hańby, znieważone, wyśmiane i znienawidzone, puszczają się w odmęt światowy, z piekielną żądzą spełnienia do dna tej czary mniemanego szczęścia, za którym lat tyle tęskniąc gonili.

Otóż z rodzaju tych ludzi była i pani Grąsiowska. Córka zamożnych rodziców, wychowana świetnie, z nauką wyższą może nad stan swój i przeznaczenie kobiety... ale posłuchajmy lepiej z jej ust tej krótkiej historii, bo oto spotkawszy Żarskiego, idzie z nim po ulicach ogrodu, cała rozgorączkowana potęgą wspomnienia, i właśnie pyta młodego człowieka:

- Wiesz pan, co to jest zawód w życiu?...
- Jaki zawód? – powtarza Józef, patrząc jej przenikliwie w oczy.
- Ma się rozumieć, nie zawód lekarza, prawnika, lub nauczyciela – odpowiada, nieco zadęsa pani – tylko zawiedzione nadzieje, marzenia i t. p. żądze człowieka.
- O! co do takiego, to go znam aż nadto dobrze! – przemówił westchnąwszy. – Komuż on obcy?!...
- Prawda, masz pan rację; tylko są osoby, przed oczyma których stoi on dłużej, a są i takie, przed które-

mi pierzcha po jakimś czasie. Pana zaś gdzie mam pomieścić?

– Podobno, że w pierwszej kategorii; tylko ja się z nimi oswoiłem, ja nie straciłem nadziei, ja się przerodziłem w innego.

– Szczęśliwy pan, godzien zazdrości, naprawdę; proszę pana, powiedz mi, jak to się człowiek odradza? bo ja będąc może dwa razy starszą od pana, wszelako nie potrafiłam zapomnieć przeszłości.

– Ależ i ja tego nie potrafiłem – mówił z wię- kszem już zajęciem Józef–pamięci trudno wydrzeć jej prawa; tylko można ją osłodzić nadzieją.

– A kto nie ma nadziei?

– To... to...

– No, to co? to co?–pytała żywo kobieta stawia- jąc przed nim, i z zatrzymanym oddechem czekając odpowiedzi.

– To trzeba ją wyrobić–dokończył powoli.

– Wybornyś pan sobie! – zawołała z ironią – szkoda żeś nie powiedział żeby ją kupić, choćby na wagę złota.

– O! przepraszam bardzo, o sztucznej nie myślałem, tylko o tej którą Bóg złożył tak w duszy bogacza jak i ostatniego nędzarza, co konając gdzieś z głodu i nędzy, jeszcze chciałby żyć chwilę, bo może i ona rozjaśniłaby mu horyzont lepszej przyszłości.

– Szczęśliwy pan tak myśląc, wiesz panu i życzę doczekać podobnej chwili. Nadzieja, panie, to także kapitał ograniczony, który wyczerpnąć się może.

– Nigdy!–zawołał z mocą Żarski.–Nigdy z ser

ca prawdziwego i wierzącego chrześcijanina! Nie tu, to tam—mówił wskazując w niebo—a zawsze szczęścia doczekać się możemy.

– Tam!—powtórzyła śmiejąc się kobieta—może... ale dlaczego nie tu, skoro mamy o niem pojęcie?

– I tu być może, tylko potrzeba go ograniczyć, i umieć wyrobić w sobie samym.

t- Dobrze, zgadzam się, ale pan i tego nie zaprzeczysz, że takie szczęście, o jakim pan mówisz, ma także swój czas i swoje warunki.

– Naturalnie, że tak jest.

– I że warunki nie zawsze odpowiadają naszym wyobrażeniom...

– To w takim razie szczęście musi być nieprawe, tylko ułudne.

– Więc dlaczegoż mieści się ono w duszy i pojęciach człowieka?—zapytała coraz bardziej zainteresowana.

– Bo to zależy od... od... Ale niech pani będzie tyle łaskawą i bliżej oznaczy te swoje wyobrażenia o szczęściu. Tak z ogólnych zdań, nie jestem w stanie dać stosowną odpowiedź.

– Podług mnie—mówiła nieco chłodniej—szczęście zależy na tem, żebym mogła ile można najrozleglój czynić dobrze, i sama toż samo od drugich odbierać.

– Tak, dla skwitowania się — przerwał śmiejąc się Żarski.

– Dajno pan pokój tym żartom! Jeżeli się źle wyraziłam, to nie taka była myśl moja: ja czego inne

go żądam od ludzi, nie łask, nie dostatków, ale współczucia, serca...

– No, to zawsze na jedno wyjdzie – odrzekł Józef, pojmując jej życzenia. – Bo przedstawisz to dobitniej, będzie: że pani ludziom dajesz gotowiznę, a chcesz biletów bankowych.

– Ach, jakiś pan realista, to aż mię gniewa! – Wszakżeż i ja ludziom uczucia dać mogę i dać chcę.

Tylko – pomyślał sobie w duchu Żarski – nikt ich nie bierze: rozumiem. A po chwili wyrzekł:

– No, dajmy na to, że zgadzam się z pani wyobrażeniem o szczęściu; więc cóż pani przeszkadza robić dobrze innym?

– Brak sposobów – odpowiedziała lakonicznie.

– Jakto, pani na seryo tego jesteś zdania?

– Na seryo.

– To mię dziwi bardzo, bo iluż-to jest biedaków potrzebujących wsparcia, pomocy, zachęty, litości...

– Ja wiem o tem dobrze, tylko czemże im dopo- mogę?

– Czem? a tem co można.

– "Widzisz pan, kiedy to jest dla mnie zamało; ja to czuję, że mogłabym więcej, a nie mam na to.

Ot, pierwszy zarodek próżności – pomyślał znów Żarski.

– Wszakże się nie wymaga od nikogo nad możność – przemówił głośno – a pani na swoim stanowisku, możesz bardzo wiele zdziałać dobrego.

– Objaśnij mię pan, jakim sposobem, kiedy moje

fundusze ledwo że dla mnie wystarczają. Dawniej, kiedy majątek był większy, kiedy tysiące leżały po kufrach, to co innego, ale dziś...

– A i dziś niech pani ujmie sobie, i drugim da, to będzie jeszcze większą zasługą; bo mnie się zdaje, nietrudno rozrządzać zbywając od naszych potrzeb.

– Ale, ale, łatwo da się tak mówić, wykonać zaś daleko ciężiej. Proszę pana, gdy przywykniemy do pewnych wygod stanowiących niejako nałóg, codzienną potrzebę naszego życia, a kiedy przyjdzie się rozstać z nimi, to coś nam brak widocznie; humor się psuje, niesmak, ciężkość jakaś zalega umysł, słowem jesteśmy do niczego. Nie myśl pan żebym i ja nie miała doświadczenia: przeżyłam już ciężkie próby; nie tak ja dawniej żyłam; wszystkiego było poddostatkiem: służba, dwór, zaprzęgi, ekwipaże, a dziś, ot, widziałeś pan jaki to był obiad.

– Daj Boże, każdemu mieć tego połowę cośmy jedli, a zaręczam szczęśliw byłby do śmierci.

– Wierzę panu, bardzo wierzę; ale dla mnie tego zamało i to mię gryzie, martwi, niepokoi, zwłaszcza, że mam syna, którego chciałabym widzieć ile możności najszczęśliwszym.

– To właśnie niech go pani nauczy przestawać na małym, i obywać się bez dostatków, a na jedno wyjdzie, czy zostanie mu...

– Eh! pan jeszcze to bardzo surowo pojmujesz, i nie znasz co to miłość matki. Czybyś pan miał sumienie odmawiać osobie którą się kocha, coś bądź takiego, coby jej przyjemność sprawić mogło?

– Gdybym nie miał na to...

PMr

– Tobyś pan był tyranem, a nie ojcem! – wymówiła z energią nie do opisanego.

– Ale – odezwał się znów Żarski w chęci dowiedzenia się o pojęciu drugiego warunku szczęścia pani dziedziczki – dajmy na to, że tak jest w istocie jak pani mówiła co do czynienia dobrze innym, teraz przejdźmyż do odbierania wdzięczności od drugich. Jakże to pani pojmuje?

– Nie wdzięczności, bron Boże! – odrzekła rumieniąc się lekko. – Ja mówiłam o innym uczuciu, którego człowiek każdy mający tylko serce, koniecznie potrzebuje; mówiłam o życzliwości, sympatii, miłości, czem pan chcesz...

– A to co innego znowu; lecz i tego zdaje mi się doświadczałaś pani w ciągu swego życia nie mało. Mając tyle dzieci, rodzinę, męża...

– Nawet trzech nie jednego, trzeba panu wiedzieć.

– Więc tem bardziej, w takiej liczbie...

– Fe! nie żartuj pan, to bez litości: pan w tak młodym wieku już taki szyderca: brzydki!

– Przepraszam panią bardzo, przepraszam – tłumaczył się nieco zawstydzony Józef. – Przyznaję, że czasami zdarzają mi się chwile zaprawne solą cynizmu, ależ przebacz pani, jest to podarek od ludzi.

– Widzisz pan, sam się przekonałeś i mnie chcesz dokuczać. – My powinniśmy się pogodzić wzajemnie i mieć nieco pobłażania; bo jak się przekonuję, prawie do jednej kategorii należymy.

– A do jakiejże-to? – zapytał młodzieniec z miną powątpiewania.

- No, do zawiedzionych.
- Ach! prawda. Słucham pani.
- O! nie dość słuchać, trzeba jeszcze poprowadzić, zachęcić; widzisz pan, wchodzimy na drogę więcej drażliwą, ja sama nie potrafiłabym wyjść z niej rzetelnie. I niech to pana nie dziwi, że znając go kilka godzin dopiero, już z nim rozpoczynam podobne rozmowy. My tu na wsi, a zwłaszcza ja teraz, żyjemy jak te ślimaki zamknięte w ciasnym kółku materializmu: przejdzie rok cały, a nie trafi się ani jedna osoba, z którąby tak jakoś porządniej pomówić można. Przytem, daruj pan mojej otwartości, ale pańska twarz, obejście się i mowa, choć może nieco za surowe, tyle wzbudzają we mnie ufności i wiary, że nie waham się postępować z nim otwarcie, z narażeniem przedstawienia się w oczach pana jaką filozofką, poetką, a nawet kokietką.
 - Ale gdzież znowu...–przerwał Żarski.
 - Daj pan pokój, ja was znam, moi panowie, bardzo dobrze! Przyjdą, pomówią, wyciągną na słówka, przyklasną, a potem śmieją się w duchu z tych biednych istot; szydzą, żartują, obmawiają, chociaż przyznam się, tak się nie godzi. Wszelako ja pana inaczej uważam, i mimo to, że gotoweś sobie Bóg wie co o mnie pomyśleć, jednakże powiem mu wszystko. Trudna rada, jeżeli znasz pan kobiety, to wiesz, że jak niewinne owieczki same idą na ołtarz ofiary.
 - Jakkolwiek niezupełnie podzielam te jej mniemania–odezwał się, trochę uśmiechnięty Żarski–wszelako ciekawy jestem dowiedzieć się owej historii zawodu pani w tem życiu.

– Nie ciekawa, a może i zwyczajna: chciałam kochać wszystkich, a mnie nikt nie kochał.

– Zapewne, pani, żartuje sobie.

– Mówię najszczerzą prawdę.

– Daruj pani, znów mej otwartości, ale tym razem nie wierzę; bo gdyby istotnie takie pani miałaś żądania, to nic dziwnego: wszystkich zarówno, i naraz, kochać nie można miłością więcej szczegółową niż chrześcijańską.

– Ach! jak pan chwytaś mię za słówka i literalnie je bierzesz. Tu nie ma mowy o miłości ogólnej, o miłości ludzkości, o miłości chrześcijańskiej, ale o mojej, osobistej. Pod wyrazem wszystkich, rozumiem napotykaną w życiu, z którymi, zdawało mi się, sympatya łączyć mię powinna, a którzy pojąć jej nie mogąc czy nie chcąc, chłodem płacili za bezgraniczne poświęcenia. Z domu rodziców, z dzieciństwa umysłowego, z poezji życia i milionowych marzeń o przyszłości, porwano mię ułudą, karmiono ułudą, wrzucono pośród ludzi grzecznych wprawdzie, uprzejmych, nadskakujących, ale zimnych jak marmur, ludzi bezdusznych, formalistów życia. I ja znam co to świat wielki, i ja wyszała wszystkie jego uciechy, błyszczałam po salonach Warszawy, Krakowa, Lwowa i prześniłam lat kilka jak ten muzułmanin spojony opium, któremu się zdaje, że świat cały pracuje nad jego uszczęśliwieniem!

Umarł mąż jeden—mówiła dalej po pewnym przestanku—poszłam za drugiego; umarł drugi, szukałam trzeciego, a na wszystkich pomyliłam się, zawiodłam okropnie! Dziś, jani za młoda sercem, za świeża uczu

ciem, a ciałem, baba czterdziestoletnia! – dokończyła z ironią nie do opisania.

Porwany takim potokiem narzekań nasz Józef, stał z pochyloną głową, nie śmiejąc słówkiem zwyczajnej pociechy rozdrażnić bardziej takie gorączkowe uniesienia biednej niewiasty. Litował się nad nią ale i nie wierzył. Ta zbyt skora poufałość, i te wyznania niemłodej kobiety, matki, pani i wdowy, zdawały mu się więcej jak naturalnymi; bo jakkolwiek serca kobiet są nadzwyczaj skłonne do wylania tego wszystkiego co w nich tajemniczo się gnieździ, przynajmniej w pewnej danej chwili; jednakże potrzeba wprzód zasłużyć na ich ufność, dać dowody współczucia, lub wreszcie stać się przedmiotem nieokreślonej a wypróbowanej sympatii. Do tego zaś pod żadnym względem nasz bohater nie mógł rościć sobie prawa.

Tymczasem zaś pani Gąsiowska mówiła najszczerzą prawdę, a jej wyznanie tyle nieoględne i szybkie, było skutkiem przecucia, którym wojując kobiety rzadko się pomylą. W jej piersi wykołysanój w młodości milionami marzeń, wykarmionej światem ideałów i rozkoszy, dotąd nie mogła zapukać głosem prawdy rzeczywistość; czekała jeszcze biedna kobieta, ale czekała z rozpaczą, palącą niespokojnością jutra, podsycaną ciężko wlokącą się nudą, w wiejskim zaciszu. Myśl czysto religijna ustąpiła miejsca osobistym żądaniom; idea obowiązku i poświęcenia, konała oglądając się z żalem jak ten wędrowiec, którego zmusza potrzeba opuścić miejsce lub osoby drogie jego sercu. Jedna tylko miłość macierzyńska, wśród podobnego stanu jej umysłu, podnosiła się jeszcze wyżej z chęcią skryzalizowa

nia w sobie wszystkich uczuć nie mających przedmiotu na którym spocząćby mogły. Jak widzieliśmy ta miłość przekroczyła już swoje granice, porzuciła rozsądek, i stała się ślepą, bezgraniczną, a zatem i zgubną dla Emilka.

– No i cóż pan tak milczysz patrząc się w ziemię?—zapytała po chwili, szarpnąwszy go za rękę.—Powiedz pan szczerze, dziwi cię to, i śmiesz zarazem; co, nieprawdaż?...

– Nie, pani; przyznam się, podobnej mowy nie jestem w możności pojąć dokładnie. Cudze cierpienia i przyjemności, oceniam podług wrażeń, jakie ich wyobrażenia sprawują na moim umyśle. Te zaś tyle są dla mnie nowe i przyćmione, że boję się wyrokować.

– Ha! widać, mało pan żyłeś.

– Porównywasz się z panią, to zapewne że mało.

– Więc jam nieszczęśliwszą jeszcze! O, mój Boże! Boże! gdzież znajdę ludzi, którychbym pocieszyć mogła!

– Wszakże ich tysiącami liczyć można.

– Ale w rezultacie szczęśliwszych odemnie.

– To się tylko zdaje pani; zresztą, o ile tu moje zdanie słusznem być może, powiedziałbym, że pani umyślnie pracuje nad pogorszeniem własnych udręczeń, przy których zapomniany jest najskuteczniejszy środek, jakim jest wiara.

– Wiara, wiara!—powtórzyła ruszając głową ko-

A. Wilczyński.—Tom VIII.

bieta z pewnem wahaniem się. – Ja nią już żyję tyle lat, mój panie, ale to za mało.,.

– Bo jej brak cierpliwości i nadziei.

– To i cóż ja temu winna, powiedz pan, żem stara ciałem a silna i młoda uczuciem, że konam jak ten kwiat pod matowem oszkleniem?

■– Proszę pani, przeciw porządkowi natury nie nam drobnym robaczkom występować! Widać, Bóg uznał to za właściwe, skoro tak postanowił. Był czas żeJ^ pani zrealizować mogłaś swe uczucia w sposób odpowiedni ludzkim wymaganiom. Kto był powodem tego zwichnięcia, nie wiem; ale o ile mogę przypuszczać, nietrafne wychowanie a ztąd i fantastyczne rojenia. Przyzwyczajono panią spoglądać na życie jak na cacko, którem bawić się tylko można; cóż więc dziwnego, że poważ nej jego strony dopatrzeć...

– Wiesz pan – przerwała biorąc go za rękę – pierwszy raz dopiero zdarza mi się słyszeć podobną mowę z ust człowieka tyle młodego jakim pan jesteś. Nie wiem, czy świat mądrzeje, czy pan jego wyjątek.

– Nie, ja jednostką, jakich wiele pani naliczysz; być może, nie mam sił do wykonywania owych maksym, które pojmuję, wszelako staram się, a przy pojęciu i chęciach, zdaje mi się, łatwiej to przyjdzie. – Dzisiaj ludzie już przecierając oczy, zdejmują katarakty jedni drugim i dlatego wezwany będąc na nauczyciela Emilka, zwracam uwagę pani, byś pomnąc na swoje dzisiejsze położenie, choćby przez litość nad jego przyszłością, zechciała dopomódz mi szczerze w wyprowadzeniu go na dobrą drogę.

– I owszem, i owszem, całym sercem, caJ4^{dusze} pójdę za zdaniem pańskim—mówiła jakby uniWJ*⁰ P^o dobrego zwrotu rozprawy—tylko co do mnie, toP^{owiedz} pan szczerze, co sobie też myślisz?

– Kiedy zdanie moje mogłoby oirazić P^{anio}%; zwykłem mówić szczerą prawdę, jakkolwiek Pojętą będzie; a o ile znam kobiety, to wiem, że o#^e jąć jćj, nawet nalegając, chciałyby jednakże nie^{*iedzieó} o niej.

– Oh! zbyt, widzę, nisko pan mię stawiać^{skoro} zarzucasz podobne skrupuły; nie bój się pa*, j^{P*2?} gotowana i przyzwyczajona słuchać takie^{rzecz^} mów pan!

– Skoro tak, to proszę nie mieć pretens^{^ cŁo6} » mój sąd mylnym być może. Los pani dalekim fi*^{od}

polepszenia; choroba niewyleczona: jedna nadziej^{a w re} ligii, ale i ta ostrożną być powinna, żeby się^{^ prze} rodziła w bigoteryę. Kobiety zwykle skac^{^ oState} cznościach.

– Surowy z pana filozof, a jaki zimny, i<>^{ista} - rzecz 60-letni tem się nie poszczyci ~ wyrzekła p^{owol}v jakby zawiedziona odpowiedzią. A spojrzaw^{f naó} przenikliwie, pokiwała głową, westchnęła żało^{^ie do} dając niby to do siebie: – Taki jak i drud^{^ a gło} śniej: – przepraszam za moję gadaninę, miej jąP^{*n za} szął, niedorzeczność, albo lepiej za żart natfet; /j^{dzm} na herbatę bo już i chłodno... Podajżeż mi pa*^{przy} najmniej rękę; nie bój się: moja choroba nie^{zara} żliwa.

– Ależ pani obrażona jesteś, wszak up^{^edza} łem że...

– Patrzno pan, co za śliczny wieczór–przerwała skwapliwie, jakby nie słysząc tłumaczeń się Żarskiego. – Jak panu się zdaje, prędko deszcz będziemy mieli? Ziemia tak spragniona, kartofle rość jeszcze muszą...

– Tak, tak–mówił Żarski–zapewne. Ale czy pani kazała przenieść łóżko Emilka?

– Nie, zostanie w moim pokoju: uważałam, że tak lepiej będzie.

– A kiedy tak – wyrzekł zimno Żarski – to ja prosiłbym o konie na jutro i uwolnienie mię od obowiązków, których sumiennie wykonywaćbym nie potrafił.

– Jak się panu podoba – wyrzekła takimże tonem...

– To upadam do nóg, życzę dobrej nocy!–i kłaniając się coremonialnie, chciał odejść.

– A przecież mię pan zaprowadź do domu; zdaje mi się, ten zwyczaj, przy ogólnem przejrzeniu młodzieży, musiał dotychczas pozostać w Warszawie...

– I owszem... przepraszam... służę... sumitował się zarumieniony Józio. A gdy przyszli do drzwi, pani Gąsiowska nie puszczając ręki swego towarzysza,, znów przemówiła:

:- Spodziewam się, pan pójdiesz ze mną na herbatę; bo chociaż tak po Katonowsku postanowiłeś dla łóżeczka Emilka opuścić nas jutro, to jako gościowi, herbata nie zaszkodzi.

– I owszem, służę – znów przebąkiwał Józef

wchodząc do sali, gdzie już całe towarzystwo siedziało milcząco.

Przy herbacie rozmowa szła bardzo leniwo: umysły wszystkich tak były odrębnymi przedmioty zajęte, że nic skleić się nie mogło; pożegnawszy tedy panią życzeniem dobrej nocy, Żarski nieco pochmurzony udał się do oficyny. Tymczasem rzeczy jego już tam nie było, albowiem z rozkazu jaśnie pani, przeniesiono je do dworu; więc powłóczywszy się jeszcze, podumawszy, nad zmiennością upodobań ludzkich, ich charakterów, żądz, rojeń i czynów, wracał napowrót coraz bardziej zamydlony.

–Taktyka moja się nieudała—szeptał sobie pocierając czoło—a zdawało mi się że znam kobiety, że wyższością moralną wszystko da się pokonać; tymczasem nieprawda, i podstęp uczciwy, w celach dobrych jest przypuszczalnym. Ale co ją mogło skłonić do tych wyznań, a potem obrazy, tego istotnie pojąć nie mogę, Chciała prawdy, powiedziałem; a szkoda nie tak mojego zawodu, jak pięknej sposobności dla wypróbowania sił swoich z użytkiem tego dziecka. Darmo, tak Bóg chciał: niech się dzieje wola Jego.

I gdy z temi myślami przez taras ogrodowy zaszedł do pokoju dlań przygotowanego, zdziwił się bardzo spostrzegłszy dwa łóżka ustawione blisko siebie, z których jedno widocznie na dziecinne wyglądało.

- Dla kogo to łóżko?—zapytał lokaja wierzącego otwór w ścianie.
- Dla panicza Emilka.

- I któż go tu kazał wstawić?
- Sama pani.
- A ty co robisz w ścianie?
- Otwórz na drut od dzwonka, co pójdzie do sypialnego pokoju pani...
- No, no... – pomyślał uradowany Józef – nasi 'górzę: poczekajmy.
- Panie Żarski! – odezwała się w tej chwili wchodząca matka – kazałam przynieść łóżeczko i spodziewam się że już pan nie odjedziesz.
- A tak, tak: przepraszam bardzo za moje wymagania.
- Nie ma za co – przerwała ceremonialnie. – Tylko proszę też pana bardzo, miej wzgląd na niego; i gdyby wypadkiem co było potrzeba, to śmiało możesz pan dzwonić. No, dobranoc panu!

W pół godziny może, po tysięcznych pożegnaniach i płaczach, przyprowadzono zadąsanego delikwenta, który wymyślając i mrużąc Żarskiemu, położył się nie-rozebrany w łóżko. Potem, widać, w celu dokuczenia nowemu guwernerowi, rozpoczął głośnie śpiewy i to nieustające, bo światowa jego pamięć dostarczała ko-pami coraz to nowszych aryetek. Po godzinie może, czy znudzony cierpliwością Żarskiego, czy zmęczony ta- kićm wysileniem swego gardziółka, dość, że zamilkł, a sen dobrodziśj pochwyił go czempredzej w swoje żelazne okowy.

Długo jeszcze słyszał Józef lekkie stąpania po sa-

li, szelest sukni i częste westchnienia; domyślił si ę więc, że to musi być matka, a porównawszy poprzednią roz. mowę, jej gniewy i miłość dla syna z obecną ofiarą, nie wiedział co wprzódy potępić, czemu się dziwić, a nad czym się litować.

III.

Otóż w takich mniej więcej zapasach ze swawolą dzieciaka, z miłością matki, jej wymaganiami i swoją stałością, zeszło naszemu bohaterowi blisko dwa tygodnie. Przez ten czas, już pogodził się prawie ze swoim przeznaczeniem, oswoił z osobami i morderczą pracą, a wyrobiwszy przytem więcej woli i cierpliwości, zyskał tę wyższość moralną, która najzawziętsze charaktery zagrabia pod swoje ramiona.

Po owej tyle poufałej rozmowie z samą panią, Józef, ile możliwości unikał jej powtórzenia. Kapryśną kobietę gniewały widocznie manewra młodzieńca, i w miarę oziębłości tegoż, czuła się we własnem przekonaniu więcej upokorzona. Ztąd dziwaczny jej humor, czasem despotycznie imponujący, czasem drażliwy lub nienaturalnie wesoły, odkrywał Żarskiemu przestronne pole do studyów, tyle potrzebnych ludziom niosącym plony na ołtarz wszechużytku.

Dla profesora pisał dziennik swych zatrudnień, w którym jak na spowiedzi zamieszczał najdrobniejsze

odcienia swych myśli, pragnień i zamiarów. Trafny ten sposób gawędzenia z samym sobą, dodawał jego giętkiemu jeszcze umysłowi nieco hartu, pewności i utwierdzenia na owej ciernistej drodze ofiary.

Pan Seweryn, przewidując zapewne, że zamierzona pożyczka od matki, tym razem do skutku nie przyjdzie, i korzystając z okazji wyjazdu jednego ze znajomych pani Gąsiewskiej do Warszawy, zabrał się z nim dość nagle, pożegnawszy bardzo uprzejmie naszego Józefa. Konrad znowu, po całych dniach zajęty jakimiś ważnymi interesami, jeździł po okolicy, sprzedawał, liczył, zabiegał, prosił, żona chorowała nieustannie, ciocia obszywała pieski w pokrowczyki; więc zostawiony sobie Żarski, po odbyciu przykrych godzin nauki, czytał, pisał i dumał jako człowiek, którego powierzchowna szata życia ludzkiego nie wiele obchodzi.

Przyszła niedziela, dwie ogromne karety, każda zaprzężona czwórką, wiozły szczęśliwych mieszkańców dworu do pobliskiego kościoła. Służba w liberyi połykając od guzikowych pancerzy i różnokolorowych łątek, ze wszystkimi formy kodeksem postępowania towarzyskiego dla niej przepisane, niosła ogromne księgi do nabożeństwa, wsadzała i wy sadzała z karek roztrącając napotykaną po drodze osobę. Ubogi lud kłaniał się zdaleka, sąsiedzi patrzyli z zazdrością, możniejsi się śmieli, a żebracy wznosili modły za zdrowie dziedziczki, która miała ten pański zwyczaj rzucania garściami drobną monetą, bawiąc się rywalizacją i bójką zebranego motłochu.

Otóż po drugiej takiej niedzieli, nazajutrz w poniedziałek, zebrało się znów całe towarzystwo na kawie «

w sypialnym pokoju dziedziczki. Rozmowa szła żywo, bo wróciwszy nad ranem dopiero z imienin w sąsiedztwie wczoraj obchodzonych, przedmiot po przedmiocie, zdarzenie po zdarzeniu, jak kula po gładkiej powierzchni toczył się jeden za drugim. Sama pani kompletnie zadowolniona, z wybuchami serdecznego śmiechu, opowiadała komiczny wypadek któregoś z tancerzy; synowa dopytywała się ciekawie, Józef słuchał niby z zajęciem, gawędka stała się ogólną: słowem, że południe było już za pasem, a nikomu nie chciało się odejść od stołu.

Maturalnie, zwykłą koleją podobnych rozmów, przyszło i na dawniejsze osobiste wspomnienia; z tych wywiązały się niejaki projekta na przyszłość, a nawet tak jakoś zgrabnie zdecydowano dać w przyszłą niedzielę, mały wprawdzie, ale tańczący wieczorek.

Rodny w tego rodzaju projekta, Emilek, obstawał za fajerwerkami, dowodząc, że musi to być nieko- sztowne, i w modzie, bo często słyszał od Seweryna, że w Warszawie^ nawet mniej zamożne domy o nich nie zapominają.

– Będziesz ty miał fajerwerki niedługo!–prze- - rwał dotąd milczący i ponury Konrad.

– A cóż tam znowu nowego? – odezwała się niechętnie matka.

– A lo to mama nie wie co nowego? Chwała Bogu, od dwóch lat same nowości nas spotykają. Ja tu kręcę się jak wąż grzechotnik, proszę, skamlę, żeby na podatki wydostać pieniędzy, a temu się, ot, fajerwerków zachciewa. Dał ja-bym ci fajerwerek, ażby w niebie było słycać!

- Konradzie, takiś nidelikatny – odezwała się matka.
- Dyabłaż tu być galantem jak niema. Pieniądze sypią się jak z dziurawego worka: co uzbieram, to matka wyda i jeszcze na co? Ot, na głupstwa, na stroje, na fraki dla tego smarkacza.
- Alboż to wielkie sumy...
- Jak nie ma na to, to i grosz zawiele.
- Dajno też pokój, Konradku; tak już nas stawiasz w najgorszym świetle, że nawet pan Żarski gotów sobie Bóg wie co pomyśleć.
- Dobrze, dobrze, będę kadził, ale ciągle ostrzegałem i ostrzegam mamę, że to się źle skończy. Od miesiąca woźni, sekwestratorowie, dyabły, żydzi, nie wychodzą.
- No, no! – pomrukiwała matka, ruszając głową i śmiejąc się dziwnie. – Proszę cię, daj pokój tym kom- promitacyom! morały schowaj!

Konrad też zamilkł poprawiając okulary, a Żarski czując się zbyt cichym, wyszedł na podwórzec.

Ponieważ Emilek znużony tańcem, na prośby matki lekcję miał darowaną, więc Józef, niewiele myśląc, sunął się tak bez celu, po drodze wiodącej ku Stopnicy. Zbliżywszy się pod karczmę na końcu wioski stojącą, zdziwił się niepomału, dostrzegłszy kilkanaście furmanek, mniejszych i większych, żydoskich i pańskich, zatrzymujących się przed domem. Gromadki krzyczących żydów formowały się po różnych punktach, wokoło znać było pewien ruch, gwar, narady i kłótnie; niektórzy w atłasowych hałatach, tak niby szajne morajne, po

suwali się już ku dworowi, a stawając zewnątrz sztachet okalających dziedziniec, zaglądali trwożliwie przez szpary, obawiając się spotkania i natarczywości kilku brytanów spoczywających przy bramie.

A tymczasem nowi przybywali przed karczmę, innych widać było spieszących i konno i pieszo, a wszyscy z miną tak jakoś złośliwie radosną czy dziwnie zafrasowaną, że Józef zadrżał spoglądając na te żarłoczne stada kruków, ciągnące na zdobycz świeżego jeszcze trupa.

Niepokojony tedy, powraca do dworu uwiadomić o tem jego mieszkańców, ale nim zdążył przestąpić próg salonu, rozległ się turkot na podwórku, psy zaszczekały chórem, i w chwilę zatoczyła się przed ganek piękna najteczanka.

Trzech mężczyzn weszło zaraz do pokoju: jeden stary, pokrzywiony latami, z ogromnym czerwonym nosem, twarzą wątrobianą i peruką dobrze ceglatego koloru, stanął powoli, jakby chciał nieco poprostować skurczone nogi. Ubrany w surdut mundurowy, zapinał uporczywie haftki stojącego kołnierza, poprawił szpadę, i machając stosowanym kapeluszem, mruzczał sobie:

- Będzie tu, będzie, mosendzieju, delibacye, krzyki...
- A czy zastajemy panią Gąsiowską? – zapytał drugi z przybyłych, niski także, lecz pulchny brunet.
- Jest u siebie lecz nieubrana, panowie pozwolą chwilkę zaczekać, ja ją uwiadomię.

- Ot, to, to! wybornie, mosendzieju! – zawołał pierwszy zacierając ręce. – Tak naprzykład, nie spodziewała się tego.
 - I cóż tak pana komornika cieszy? – zapytał niechętnie drugi.
 - Ba! naprzykład, mosendzieju, to tryumf dla komornika; wszystko będzie w porządku... Ale niech pan plenipotent dobrodziej wyjeżdża sobie zaraz, naprzykład; – przy licytacji czułych serc niepotrzeba, mosendzieju, a i kodeks francuzki, tego naprzykład, wierzycielowi...
 - Ależ ja wiem, dziękuję za przestrożę – wyrzekł marszcząc się plenipotent. – A obracając się do Żarskiego dodał: – jeżeli tam jest syn pani Gąsio- wskiej, to lepiejby było jego poprosić. Bądź pan tak dobry.
- Jak strzała pobiegł nasz Józef przerażony taką wiadomością, i wszedłszy do pokoju, skinął nieznacznie na Konrada, że go tam potrzebują.
- A co to takiego? – zapytała widząc jego pomieszenie dziedziczka.
 - Eh! panowie jacyś przyjechali, i chcą się wi- dzić z panem Konradem.
 - Tylko?
 - Owszem, pytali się o panią, alem ich uwiadomił że jeszcze nie ubrana.
 - Slicznieś pan zrobił, dziękuję bardzo; dopiero- bym się też zawstydziła. "Wiesz Geńciu, to pewno Ka- roscy z pierwszą wizytą. Moja droga, zawołaj też Wiktusi, a prędko trzeba się ubierać; Emilek do po

koju, a uczesz-że się porządnie: mój panie, dopilnuj go też z łaski swojej. Ach! jakżeśmy się też zasiedziały!– patrzcież, to 11 godzina.

– Mamo, mamó! proszę! – zawołał czerwony jak pons pan Konrad uchylając drzwi i poprawiając okularów:

– No, poczekajże i przeproś tych panów; widzisz żeś nie ubrana: zaraz idę.

– A niechże się mama spieszy, bo pilno bardzo.

– Mój panie Żarski – pytała kręcąc się po pokoju dziedziczka – nie uważałeś pan, jak ci goście wyglądają?

– Jeden wysoki, szczupły, z faworytami duże- mi, w mun...

– Blondyn?

– Zdaje mi się że blondyn.

– A drugi młodszy, brunet, niskiego wzrostu?

– Tak, tak.

– Ach! to oni. Wiktusiu, prędszej suknię tę szafirową! – Proszę pana, idź też zabawić ich przez chwilkę, bo ten Konrad tak ciężki: ja zaraz służę. Ale nie tę, nie tę–ach! co to za niezgrabne stworzenie: mówię ci, w pasy, jedwabną...

Józef wyszedł do salonu, nie dzielając wszakże tej niespokojnej radości dziedziczki. Plenipotent, komornik, zgraja żydów, licytacja, i wreszcie to pomieszczenie Konrada, zupełnie czego innego kazały się domyślać.

W kwadrans może, co jest nadzwyczajnością przy robieniu toalety damskiej, weszła sama pani w jedwa

nej szeleszczącej sukni, z uśmiechem na ustach i gotową grzecznością do powitania dostojnych gości; lecz zobaczywszy osobę całkiem nieznaną i w stroju podróżnym, cofnęła się nieco pomieszana, dygnawszy ceremonialnie.

– Otóż i matka! – przemówił Konrad – przedstawiam mamie pana Suskiego, plenipotentą naszego dziedzica.

– Naszego dziedzica – powtórzył sobie Józef nie pojmując tej komedii. – Dziedziczka, bogata, pani, a tu plenipotent ich dziedzica, co to się znaczy?

– Ach! ja myślałam – odezwała się pani Gąsio-wska siadając na kanapie – że to panowie Karoscy z Trzelcowa; niechże pan siada, bardzo proszę, jakże się tam mecenas miewa?

– Zdrow, bardzo dziękuję za pamięć, właśnie co od niego jadę.

– Ach! to nam pan przywozisz jakie nowiny. Cóż tam słyhać w Warszawie? towarzystwa z wód już się pewno pojechały, ruch musi być wielki, świeże mody, zabawy.,, mów pan, przez litość, bo my parafianie, to siedzimy na wsi jak na wygnaniu jakim.

– Co do nowości o których mi pani wspomina, to zupełnie są mi obce; parę dni bawiłem tylko w Warszawie, i to zajęty interesami swojemi i pryncypała, że nawet nie miałem czasu pójść do teatru, chyba to – ciągnął dalej spoglądając na Konrada, jakby z prośbą o pomoc – że panna Karolina za mąż idzie.

- Doprawdy?—bardzo mię to cieszy; śliczna panna, dobra, majątna, i za kogo też?
- Za jakiegoś obywatela z tutejszej okolicy.
- Nie może być! – zawołała z całą ciekawością – i nie pamięta pan nazwiska?
- . – Prawdziwie że zapomniałem – mówił z coraz większą bojaźnią plenipotent – tylko to wiem, że pan mecenas przeznaczą mu w posagu dobra Śliwice.
- Ach! więc będziemy mieli nowego dziedzica! i gdyby tylko był tak dobrym jak dzisiejszy, bardzoby mię to cieszyło.
- Ależ podobno on sam chce objąć zarząd gospodarstwa, bo to jest człowiek młody, obywatel...
- To chyba jak się skończy dzierżawa!
- Otóż właśnie, że mecenas chciałby wcześniój.
- Jakto!? – krzyknęła z zadziwieniem Grąsiow- ska – wszakże ja mam kontrakt na sześć lat, a dopiś- ro drugi idzie...
- Prawda, pani dobrodziejko, ja wiem o tćm i dlatego właśnie przyjechałem porozumieć się z panią.
- Ależ ja ani jednego dnia, ani godziny nie odstąpię; proszę pana, czy to się godzi, dla osobistych ja- kichsiś tam zachceń, rugować mię z tych dóbr, w których lat 20 przeszło mieszkałam. Nie, nie, proszę pana, nie mówmy nawet o tśm.
- Owszem, mówmy! – wyrzekł podnosząc się Suski, jakby przyzywał cywilnej odwagi; bo przyznam się pani dobrodziejce, ja nie rozumiem jej tonu mowy, i daruj, nie wierzę w tę udaną nie wiadomość.

- Co za niewiadomość? – spytała żywo rumieniąc się kobieta – pan mi ubliżasz?
- Ściele się do stopek jaśnie wielmożnej pani, mojej dobrodziejki! – zawołał kłaniając się niziutko pan komornik, wchodząc w tej chwili do salonu.
- I pan tu! – krzyknęła przestraszona kobieta.
- Tak, naprzykład, i ja – mówił rozkosznie zacierając ręce. Jakże łaskawe i kosztowne zdroweczko, mosendzieju?
- Ależ panie, to chyba są żarty lub naigrawa- nie się ze mnie! – przemówiła obracając się do plenipotentą. – Nie zawiadomiwszy mię nawet, najeżdżać tak bezkarnie słabą kobietę.
- Owszem, pani, jest wyrok doręczony, zajęcie prawnie uskutecznione.
- Tak, tak – dodał komornik, wydobywając z kieszeni papiery. Ot, tu naprzykład, czarno na bia- łem stoi, pan Konrad dobrodziej podpisał, mosendzieju. Hej! panie Skrzypalski, okulary moje! – wołał do drugiego pokoju.
- "Więc to sen, albo powiedzcież, na Boga, panowie, co robić zamierzacie ze mną?
- Hum, wedle prawa, jak słusznie, naprzykład, eksmitować. A dawaj że wasan te okulary! guzdrzesz się, jak naprzykład, nie pisarz komornika. W naszym urzędowaniu, proszę pani dobrodziejki, na pośpiechu wszystko, naprzykład, zależy. Przylecisz, mosendzieju, jak błyskawica, trask prask, kto da więcej, mosendzieju, – dzwonkiem dyn, dyn, podpisano, zamknięto, i dalej w drogę!

A. Wilczyński. –Tom YIIL

- Ależ co to znaczy eksmitować? panie, przez litość, wyjaśnij mi! – zawołała chwytając z przerażeniem papiery.
- To jest – odezwał się jękając plenipotent – pani dobrodziejka będzie łaskawą usunąć się z dóbr, które ja dzisiaj w imieniu dziedzica odbiorę.
- Nie, to być nie może! pan mię chyba straszysz tylko; ja zapłacę co się należy: bądź pan spokojny.
- Wszakże od roku już czekamy tego, łaskawa pani. Towarzystwo nie opłacone, podatki, dziesięcina, czynsz dzierżawny. Nie my, to jutro licytacja w Kielcach się odbędzie, i dyrekcyja wyrzuci panią najnieza- wodniśj.
- Ach! Jezus Maryja! – krzyknęła rozpaczliwie kobieta, zasłaniając oczy – zgubionam! Bójcież się ran Boskich, choć parę dni wstrzymajcie ten wyrok; ja się postaram, zapłacę: tu ani czas się wyprowadzać!...
- Tak, bo gdzież podziejemy inwentarze, ruchomości? – wtrącił Konrad.
- Wszakżeż pan wiedział dobrze o tem–przerwał gniewnie plenipotent. Tej pani się nie dziwię, ale pan mężczyzna, i to gospodarz, takie kwestye śmiesz zarzucać. Termin licytacji na dziś wyznaczony: prawda?
- Na dziś, na dzień 28 sierpnia, naprzykład, – dogadywał komornik – obwieszczenia, mosendzieju, rozesłane, a co do inwentarzy, naprzykład, ten, tego, ehe... to się tu zostaną... he, he, he, naprzykład.
- A dobrze że pan jesteś – przerwał plenipo

tent zwracając się do wchodzącego w tej chwili rządcy. Każ pan zwołać na jutro gromadę, odbieram w imieniu dziedzica zarząd dóbr: rejestra niech będą gotowe i obrachunki...

– A ludzi ze szczęściu do licytacji, naprzykład, przyślej pan zaraz – dorzucił komornik – tylko zdrowych, silnych, mosendzieju, a wiernych, tego, naprzykład. Inwentarze niech będą gotowe, porządkiem, ot, jak w protokóle zajęcia, mosendzieju, stoją; mój pisarz, tego tam, panu pokaże...

– Więc panie! – zawołała z rozpaczą i gniewem do nieopisania, szarpiąc za rękę plenipotentą – to jest ostatnia jego odpowiedź?

– Ależ to nie moja: ja prosty tylko wykonawca woli...

– Ja się pana pytam, tak, czy nie? mów! – krzyczała już unosząc się coraz bardziej; i stanąwszy przed nim z ognistym spojrzeniem, zaciętymi ustami i białą jak marmur twarzą, po której przebiegały mimowolne jakieś drgania – czekała odpowiedzi.

– Nie mogę! – wybąknął dziwnie skrzywiony plenipotent spuścizną oczu.

– Więc w panu nie ma już nawet isierki litości, więc nie masz serca człowieka, nie znasz współczucia chrześcianina, co? – zawołała drżąc z gniewu, jakby szczery ogień a nie słowa wylatały z jej piersi. A gdy przerażony Suski cofał się ku drzwiom ciśniony bodzącym wzrokiem rozszalonej kobiety, ona pochwyciła go za surdut i szarpiąc nim z całej siły, krzyczała jeszcze: – Panie! to być nie może, jam tyle nie winna... mam kwi

ty... to podstęp... niegodziwość... gwałt... zbrodnia wołająca o pomstę...

– Są dowody, świadectwa... czytaj pani – szeptał usuwając się plenipotent.

– Tak, świadectwa, dowody, wy wszystko kruczkami prawnymi osłaniacie! Tak, czytaj pani, kiedy ją obdzieracie z ostatniej koszuli! – Skończyło się! skończyło! – zawołała wreszcie tak przenikająco, jakby te ostatnie słowa dobieła już ze dna zrozpaczonego serca. Potem usiadłszy bezwładnie na krześle, opuściła głowę na piersi, załamała ręce przypominając tą postawą najwierniejszy obraz Magdaleny pokutnicy.

Otoczający ją widzę naraz jakby skamienieli.– Z wyrazem przykrego wrażenia na twarzach milcząc, najmniejszym ruchem nie śmieli przerwać tej uroczystej chwili boleści. Kobieta zaś uniósłszy nieco głowę, powlokła błędnym spojrzeniem dokoła, zatrzymała je dłużej na plenipotencie, z takim wyrzutem niemego osłupienia, że biednym wykonawcą potrząsnął febryczny dreszcz przestachu. Nie długo, patrząc się jeszcze w tę stronę, na czole i skroniach żyły jej poczęły nabrzmiwać–oczy się zamgliły, płomienny rumieniec posuwał się coraz to wyżej, na ustach przemknął uśmiech, zrazu mały, potem coraz wyraźniejszy, dłuższy, i wreszcie objąwszy jakby kleszczami rozognione policzki, wykrzywił je do niepoznania.

Upłynęło kilka sekund, kobieta śmiała się coraz gwałtowniej z tak przeraźliwie głośnym chichotem, że zdawało się, echa serdecznych śmiechów całego piekła rozległy się po sali. Nikt nie rzucił się do ratunku, a ona śmiała się jeszcze: oczy łzami zaszczyły, krew zda

wała się tylko co wytryśnie z rozpalonej twarzy–i zsunąwszy się na podłogę, z tego chichotu przeszła w jakieś dziwnie chrapliwego odgłosu łkania.

Dopiero posłyszawszy to Żarski, przelękniony wypada z drugiego pokoju, a zobaczywszy powszechne oniemiaenie i kobietę rzucającą się konwulsyjnie na ziemi, porywa ją natychmiast, krzyczy: "wody, ratunku!"– i z całych sił wlecze ku sypialni. Tam ułożono ją natychmiast w łóżku, zbiegła się służba, dzieci, synowa, a wszyscy płacząc, całując, szarpiąc, starali się każde po swojemu przywrócić jej przytomność. Po półgodzinnych może usiłowaniach, śmiech ustał, chora otw orzyła oczy i westchnąwszy głęboko, chwyciła się za piersi szepcąc:

– Boli, boli.

Tymczasem plenipotent z komornikiem pozostawszy w salonie, milczeli czas niejaki stojąc naprzeciw siebie i pierwszy komornik odezwał się gniewnie:

– Najgorszy to interes, mosendzieju, z kobietami, naprzykład. Ot tego, naprzykład, ja sto razy wolę mężczyznę, choćby i tego, tak chciał..,

– No, co chciał? – wtrącił niechętny plenipotent.

– "Wyrzucić, wy wałkować, naprzykład, mosendzieju,; bo na to jest sposób, pomoc wojskowa, tego, a tu oto spazmy, śmiechy, konwulsye, historyę. Człowiek się zapomni, naprzykład, trochę, tego, rozczuli, a klienci słusznie oto tracą. Juryści, panie dobrodzieju, muszą mieć, tego, krew zimną jak ryby, mosen...

– Ale co tu począć? – mówił jakby do siebie zakłopotany plenipotent, trąc czoło i krzywiąc się niesmacznie.

– Już poczęte, mosendzieju; data jest, licytantów huk. Ot, każę graty wynosić i po raz, po drugi, naprzykład, marsz do ludzi, a pieniądze ad kabzam.

– Tfu, co pan pleciesz!–ta kobieta umrze z rozpaczy!

– Może być, panie dobrodzieju, bywają wypadki; doktor, tego naprzykład, ze Stopnicy mówił mi o tem, ale żebym ja się nie dotknął, tego ten... i moje honorarium, koszta, stemple, podróże, nie pomarły – to niech umrze: trudna rada, naprzykład, wszyscyśmy mosendzieju śmiertelni. Ja, panie dobrodzieju, nie etatowy jak pan podsędek, naprzykład, lub prokurator. Mnie, panie, za wyroki, mosendzieju, nie płacą; zboża, kartofli, masła, et cetera, et cetera, tego nie przywożą; z tego żyję, mam dzieci, miałem żonę, naprzykład, i tego nawet, uczucie niby sobie psuję, to panie dobrodzieju takie okoliczności, widowiska, tego, trawia...

– A niech panu strawią, do kroćset dyabłów– krzyknął zaperzony plenipotent – cóż chcesz, mamy ją zamordować!?

– Broń mię Chryste Panie; ja, mosendzieju, taki dobry katolik i chrześcianin jak i ona i pan dobrodziej. Nie, nie, znam prawo, ani się dotknę; urzędnik, naprzykład, przy obowiązkach swoich, niczego się, tego mosendzieju, nie boi.–Panu dobrodziejowi wolno–mówił kłaniając się nisko–czytałem plenipotencyę; słusznie, formalna jak Bóg przykazał; ja słucham, naprzykład, to rzeczy zwyczajne.

Ho! ho! – dogadywał jeszcze, widząc że pan Suski nie przerywa – żeby każdemu komornikowi po włosku, tego naprzykład, wypadło przy każdej pomście, jakie- mi sypią dłużnicy, już, mosendzieju tego, piętnaście głów takich jak moja wyłysiałyby, naprzykład, do szczętu.– Panie Skrybalski!–zawołał, otwierając drzwi do pierwszego pokoju – komparencya gotowa?

– Już dawno! – wyrzekł pytany, czerwieniąc się jak wiśnia i chowając pod stół zapalone cygaro.

– Ot pan, naprzykład, już kopcisz. Tfu! brzydka mosendzieju natura!–Kto widział wobec prawa ogniem się bawić, a niechby też, naprzykład, wypadek jakiś, hę?

– Panie komorniku–przerwał plenipotent, szarpnąwszy go za rękę – czy moja obecność przy licytacji konieczną?

– Owszem, przeciwnie panie dobrodzieju, prawo francuzkie i procedura cywilna w artykule, naprzykład...

– Dajżeż mi pan pokój z przykładami i prawem francuzkiem; mów: tak czy nie!

– Nie, nie, jedź pan dobrodziej; ja nie chwałę się, naprzykład, odpowiedzialny, mam własną kaucję.

– To rób pan co chcesz, ja się oddalam, a gdy skończycie, daj mi pan znać do Stopnicy, przyjedziemy razem z dziedzicem.

– Upadam do nóżek jego, upadam, mosendzieju; słusznie, tak najlepiej: ot naprzykład, czułości psują czynności...

I gdy tenże wsiadał do bryczki całkiem zafrasowany, z pamięcią jeszcze owego śmiechu nieszczęśliwej

kobiety, komornik, jakgdyby nie ten sam unżony, słodziutki przed chwilą, przybrawszy poważnie urzędową minę, nadział okulary, zażył tabaki, rozkazując woźnemu ogłosić licytację.

Ustawiono więc stolik przed gankiem, żydowstwo hurmem się rzuciło ku niemu, wydobywając potłuszczone pugilaresy; przyniesiono także urzędowy dzwonek i z polecenia komornika wyprowadzono inwentarze.— Gali- matyas nie do opisania roztoczył się po dziedzińcu.— Służący potraciwszy głowy, biegali tu i tam, nie wiedząc co naprzód ratować, czy chorą panią, czy graty kuchenne, które gorliwy ekonom już kazał wynosić na podwórzec. Krzyki, stukania, swary, klótnie, a nawet i bójki, mieszały się chaotycznie z gwarem licytantów i rykiem przeglądanego bydła, a nad tem wszystkim jeszcze, górowały ochryple wołania: — Kto da więcej? po raz pierwszy, po raz drugi, i, i, i, trzeci! zwykle zakończone silnem poruszeniem dzwonka.

Wśród takiego rozruchu i tylu szybko po sobie następujących wypadków, nic dziwnego że i umysł Józefa popłynął za ogólnem rozstrojeniem. Dotąd jeszcze, nie mogło się pomieścić w jego skołatanej głowie to, jakim cudem do ostatniej chwili, ta zrujnowana machina pańskości trzymała się tak misternie, i z całym upozorowaniem swej mocy, odbywała ruchy pełne swobody, zapomnienia się i ślepej a niewytłumaczonej lekkomyślności. Teraz więc, gdy spadła zasłona, gdy wszystkie zęby podruzgotanych kółek naraz odpadły, gdy dziedzictwo obszernego majątku zrobiło się zadłużoną dzierżawą, a wreszcie nikczemna słabość w upadku przyćmiła jeszcze tak świeże rojenia i bezczelnie podtrzymywaną hardość — porwał się za głowę nasz bohater, i w pokorze

ducha musiał przyznać, że ludzie zbyt już naturalnie odgrywają komedię życia, on znów zazbyt prostaczko- wato patrzy się na nią.

Jak tu mieć litość nad owemi szaleńcami, których pycha z całą usilnością, własnymi rękoma, grzebie grób świeży za życia. I oni żebrzą łez miłosierdzia, krzyczą na złość i zepsucie ludzkie, prawią o świetnych meteorach cnót towarzyskich, a w chwili upadku, pełzają u nóg własnej hańby i milion razy spadają niżej, w obliczu świata, niż wprzód podnieść się zdołali. Tak, tak, jest prawdą nieprzepartą—mówił do siebie przebiegając myślą dzieje przygasłych familij, że jedna tylko wada, a raczej grzech śmiertelny, próżność, trapi całe kraje, narody, ludzkość i popycha je do zguby; wszystkie inne wobec niej, są dalekiem echem, iskierką naprzeciw piekielnych otchłani, godziną w porównaniu wieczności. Tę hydrę przydusić, choćby raz w ciągu stuleci, a świat zanieleje!!!

* *

A i w sypialni naszej pani, również bolesny przedstawiał się widok: osłabiona konwulsyjnym śmiechem pani Grąsiowska, wodząc błędniemi oczyma po pokoju, zdawała się szukać jakiegoś wsparcia, pewnej pociechy a może i litości od tych, dla których całe swe życie poświęciła. Ale załzawione oko nie miało spocząć na kim, ciężkie westchnienia odbijały się bezpowrotnie od pustych ścian komnaty; wszyscy ją odstępili jakoby Łazarza własnych błędów. Snać Bóg już na tej ziemi, w do-

pełnieniu ogólnej kary za pychę, przyłączył i niewdzięczność, w zamian poświęcenia z takowej wypływającego.

W przepalonem sercu uciechami życia, w tych smutnych zgłiszczach ubiegłej świetności, nie było nic, coby odrodzenie moralne zwiastować jej mogło. Próżność nie zna miłości prawej – próżność daleką jest od wiary w przyszłe szczęście – próżność szydzi z nadziei chrześcianina; próżność nakoniec, choć chępi się symbolem honoru, najpierwsza jednak chyli kark swego niewolnika, zacierając w duszy wszystkie szlachetne znamiona godności człowieczej!!!

Tak też i nasza ex-dziedziczka nie znajdując pociechy w modlitwie, nie wierząc w konieczność pracy i pokory – umiała tylko płakać, chwytając z pewnym rodzajem obłąkania pierwszą lepszą pajęczynę, mogącą ją wznieść choćby na chwilkę tylko, aby wyżej, aby raz jeszcze wyżej.

Domowa służba, oficjaliści, poddani a nawet i sam Konrad z żoną, ujrawszy powracającą przytomność pani i matce, rozbiegli się na wszystkie strony: rabując, drapiąc, co się tylko dało. Emilek jeden, może nazbyt młody i niedoświadczony dzieciak, popłakawszy trochę nad chorą matką, wymknął się jednak na dziedziniec; chciał to coś po dawnemu imponować, opierając się sprzedaży niektórych przedmiotów; lecz skarcony przez komornika, popychany przez żydków i własnych lokai, umilkł, zacisnąwszy pięście i usiadł cichutko w kąciku. Potem, nieznacznie zaczęła go i bawić licytacja: ucierania się żydków, ich bójki, współubiegania i śmiechy zgromadzonego chłopstwa, rozwiały gniewny humor panicza; męszał się więc do ich kłótni, dowodził, figlował,

jakby nie słysząc głośnych szlochów matki, płaczącej w sąsiednim pokoju nad jego przyszłością.

Dopóki sprzedawano rozmaite sprzęty inwentarskie, bydło, owce, zaprzęgi, swawolnika wcale to nie obchodziło. Patrzył się obojętnie na przedmioty, których użytku nie pojmował; ale gdy usłyszał, że konie cugowe kazano wyprowadzić, jakby iskrą elektryczną wstrząśniony, przeciska się wśród tłumu oblegających stolik i krzyczy:

- Za pozwoleniem, ho! ho! za pozwoleniem, konie cugowe moje!
- Acpan, mosendzieju, do kolebki spać, naprzykład – mówił śmiejąc się komornik, a przeglądając papiery, czytał: – klacz kasztanowata lat 9, rubli 65.– No, zaczynać! – wołał obracając się do woźnego.
- Panie, co sobie to myślisz?!–krzyczał zarumieniony chłopiec przyskakując do niego z zaciśnionymi pięściami.
- Nabok acan, małeletni nie mają, naprzykład, głosu.
- Do pokoju! – dodał Konrad odsuwając go na stronę. – I kopiejek 50!–zawołał do woźnego.
- Toś i ty taki? poczekaj, dam ją wam! – dogadywał jeszcze zapieniony od złości, pędząc co tchu do sieni. – Mamo! mamó! cugowe konie sprzedają! – krzyknął rzucając się na kolana, załamując ręce z przestraczem i rozpaczą.
- Gdzie? co? jakto? – wrzasnęła przelękciona kobieta, zrywając się z łóżka.

– Ten komornik kazał i Konrad... ot słyszy mama, 75 rubli dają... Matko Bożka... mamo, prędeż, prędeż, ratuj bo sprzedadzą! – A patrząc jej błagalnie w oczy, całował po rękach, po twarzy, wijąc się tak rozpaczliwie, że biedna matka załamawszy dłonie, wyskakuje z łóżka, chwyta jakieś odziewadło, i tak nawpół ubrana, z rozpuszczonym włosom, bosem nogami, biegnie ciągnąc za rękę płaczącego chłopaka.

– Co to? moje cugowe konie... oni śmia... zbrodniarze, oszusty... pójdź, pójdź Emilku, prowadź... ja nie pozwalam... co to znowu, moją pracę... tyrany...

Komornik i zgromadzeni stanęli jak wryci ujrawszy tę furię piekielnego gniewu.–Wzrok jej osłupiał, ubiór w nieładzie, i jakieś nadzwyczajne wytężenie ostatniej siły, z jaką rozpychała zawadzające tłumy, zamknęły usta i potrwożyły wszystkich.

– Co mama robi?–krzyknął, zobaczywszy matkę Konrad.

Ona nic nie słyszy, nie widzi nikogo, a przybiegłszy do stołu, szarpie gwałtownie komornika, krzycząc:

– Gdzie moje konie! zbrodniarzu?

A gdy przełknięty jurysta cofa się, niemogąc i słowa wybełkotać, ona powiodłszy dzikiem spojrzeniem dokoła, zdaje się opamiętywać nieco, bo przysiadłszy na krześle, zasłania oczy płacząc z tak dojmującym szlochom, że licytujący poczęli się mięszać, czekając z zatrzymanym oddechem co z tego wyniknie.

Po chwili może tego powszechnego odrętwienia, kiedy szmer współczucia i litości rozbiegł się nawet między żydkami, kiedy mimo błagań, próśb i nalegań syna, i żony jego, płacząca kobieta uspokoić się nie

mogła, i odejść nie chciała, pan komornik nastroiwszy czułą niby minę, skrzywiony komicznie, zbliża się powoli z perswazyą:

- Ależ, mosendzieju, pani dobrodziejko, słusznie tego, niech pani wróci do siebie; jabym z duszy serca, tego naprzykład, oszczędził, ale obowiązek tego...
- Miej litość nademną!—przerwała mu składając ręce jak do modlitwy.
- Jabym tego, mosendzieju... ale jak honor Kocham, jak żonę naprzykład... nic nie...

<— Na miłość Bożką zaklinam cię, bierz co chcesz, sprzedaj mi ot tę koszulę, zrabuj wszystko, a zostaw te konie moje jedyne, bo to ostatnia pociecha: ja je uko-chałam w życiu!...

Komornik słuchając tej prośby, stał milczący ze spuszczonei oczyma; po twarzy jego tyle zimnej i układnej, przebiegał wyraz pewnego wahania się; obłąkana kobieta znowu w poprzedniej postawie patrzyła nań jak w tęczę, i widząc że się nie opiera, ale i nie decyduje, chciała rzucić się już na kolana, gdy stojący obok Konrad, schwycił ją na rękę i gwałtem prawie uniósł ku gankowi.

- Panie, jeżeli masz serce! – wołała jeszcze wrywając się całą mocą – nie sprzedawaj!

*

**

Kiedy się to działo przy stoliku, we drzwiach do ogródka prowadzących, zgromadziło się kilku już pod-

tatusiałych kmiotków, a spoglądając żałośnie na ową biedę pani i jej lamenta, dumali jakby jej poradzić.

– Ot, widzita Mateusu—odezwał się jeden z blachą na piersiach, zapewne sołtys— jak z urzędu idzie rzecz, to my nie poradziwa.

– A, hulali! hulali!—dodał drugi—potrzebne to było, moiściewy; takie wsie, takie lasy; mój Boże, zeby cłek z tego miał tyciuśką okrusynę, ho! ho!...

– Ale patrzajnota — krzyknął trzeci, zwracając ich ku gankowi — jak ona to mgleje, a ta psia wiara komornik nic i nic. Wiecie co, gospodarze, ruswa się: hę?

– Dajta pokój, Grzegozu — odezwał się sołtys— jesczeby was zaprowadzili kajeście nie byli.

– Nie, nie; juz tego chyba za duzo; jak lunę tego cerwonego grześnika. A co on to tu bedzie przewodził, he?

– Eh! poco się tu bedzieta wtrącać! — przerwał ów drugi chwytając go za rękę.—Na co się to przydało; imości nie dopomozeta, a narobi się harmideru. Ja wam powiem, ze nie ma i cego żałować, może i lepiej bedzie z nowym dziedzicem; ten okularnik—mówił wskazując na Konrada—tyle się nas nakatował, nabił...

– Mateusu, Mateusu! — odezwał się stary już dobrze wieśniak, grzebiący laską po trawniku — nie bądźta skorzy do narzekań; pani zawse panią, myśwa jćj bronić powinni. A przecie to dwadzieścia kilka lat ona siedzi we wsi, a jeżeli krzywdy były, to kaj ich nie ma; zwyczajnie te doradniki wszyćkiemu winny.

– Tak, tak, dobre to panisko — dorzucił sołtys— wiemy jak było, a kto wie jak będzie?

- Hola! hola! – krzykną! ów junak przebierając się do stolika przez tłum otaczających go licytantów– kuni nie damy sprzedawać!
- Kto, ty, na przykład, hę, tego? – zawołał komornik cofając się do sieni.
- Kto ja? chłop, jak wasan widzisz, ale nie dam krzywdy robić nasej pani; jużeśta nasprzedawali dosyć...
 - .– Hej tego, jest tam kto, związać, na przykład, tego zuchwalca! on śmie...
- Co ty chcesz? czego się ty wtrącasz chamie jakiś? – zawołał pan Konrad zaczerwieniony od gniewu, a poprawiając okulary, przypadł do stołu z zamiarem odepchnięcia napastnika. Lecz silny swem postanowieniem Grzegorz, odrzucił na bok zaperzonego, a uderzywszy pięścią w stół, że aż pieniądze w szufladzie zabrzę- kły, krzyknął:
 - Żeby mi się nie wiedzić co miało stać, kuni nie sprzedacie; ja wam gadam ze nie sprzedacie!
 - Poszedł precz! ty zuchwalcze! bo jak cię... – i zamierzył się, pan Konrad, podskoczywszy ku niemu.
 - Sprobój, sprobój! – mówił drwiąco Grzegórz trzymając się jedną ręką za stół, a w drugą plując po swojemu.
 - Dajta pokój, Grzegorzu!–szepnął mu do ucha sołtys–a dyć to syn nasej pani.
 - Piękny mi syn, co chce własną matkę otumanić; zeby ja miał takiego syna, ho, ho, dał jabym mu!
 - Słuchajno, ty, ty... mądralo–wołał komornik, wychylając głowę z przedsionka–pójdiesz sobie ty, czy

nie; bo wiesz, naprzykład, mosendzieju, tego, poślę po żandarmów, i pójdiesz w kajdany.

– Niech pójde, a nie dam!

– Hej! fornale, kto żyje, brać go! – krzyczał zaiskrzony pan Konrad, popychając ku niemu służbę dworską.–Czterdzieści batów lajdakowi; ha! junaku ty, poczekaj!...

– Jutro ale nie dziś – mówił jak najspokojniej nasz Grzegorz, nie ruszając się od stolika, a uważając, że ekonom i fornale zachodzą mu z tyłu, obrócił się machnąwszy ręką, aż zaświstało w powietrzu. – No, zbliż- ciejno się, wiara, niema was-to! – szepnął do stojących opodal kmiotków.

– Panie komorniku dobrodzieju – wtrącił przypatrujący się dotąd Żarski–panie Konradzie, nie sprzeciwiajcie się, bo przyjdzie do awantury.

– Czy i pan do spółki z nimi trzymasz? – zagadnął Konrad, z ognistóm spojrzeniem.

– Może być–odrzekł, rumieniąc się, Józef.

– To ja radzę panu? idź do dzieci, do nauki, a nie wtrącaj nosa gdzie nie potrzeba!

– Otóż że będę wtrącał! i pan tych koni nie kupisz! – krzyknął zajadle nasz bohater stawając przy Grzegorzu.

– Tak, tak, no, no; widzę, mama dobrodziejka, zbyt wcześnie już wysłużyła sobie pańskie względy,

– A to mi dopiero syn, obywatel, gospodarz! – zawołał Józef, patrząc się nań z pogardą. – Tfu! podle, niegodziwie! I pan śmiesz tu, wobec tych ludzi broniących dobra twej matki, odzywać się z podobną mową,

dla osłonięcia jeszcze brudnej żądz nabywania tanio jej własnej pracy. "Wstydź się, patrz, ot, prości ludzie, wasi poddani, śmieją się i gardzą tobą. Wiesz!–krzyczał, coraz bardziej się zapalając–żeby mi przyszło żebrać przez całe życie, wyprzedam się do ostatniej nitki, a nie pozwolę ci kupić tych koni: nie pozwolę!

– Dobrze pan mówi, bardzo dobrze; złożywa się i kupiwa, choćby tysięcy trza było – wtrącił oburzony sołtys.

– Tak, tak, kupiwa, a tego okularnika nauczywa rozumu.

– I ja dam trzy rublów–zawołał jakiś żydek.

– Ny, i ja dołożę–dodał drugi.

– Ja odstąpię od licytacji–wrzasnął trzeci.

– Proszę wielmożnego pana – szeptał Józiovi forszman na ucho–niech-no pan ich zagada, a ja kunie wyprowadzę do lasu, i jak ich schowam w krzaki, to żeby tam wciornascy sukali, a nie znajdą.

– No i patrzajże pan; słyszysz: żydkowie nawet więcej mają czucia i litości od ciebie, rodzonego syna!– A zwróciwszy się do komornika, przemówił uprzejmie nasz Żarski:

– Panie, prosimy cię tu wszyscy, bądź tak dobry i wstrzymaj do jutra sprzedaż tych koni; wszak to można: prawda?

– Można, panie, tego, mosendzieju! – bąknął strwożony jurysta–ale tego... naprzykład...

– Nie sprzeciwiaj się pan, bo widzisz jak są wszyscy oburzeni...

A. Wilczyński.–Tom VIII.

- A co mi tam, mosendzieju; ja mam, tego, naprzykład prawo za sobą, i, tego, żandarmów.
- Dobrze, ja wiem o tem, że ich ukarać potrafisz; ale kto panu odlepi to co oni przylepią, a masz pan jak słyshałem dzieci, żonę...
- Już mi umarła, mosendzieju.
- Ale dzieci?
- Eh! co się go pan będzie prosił, cy chce cy nie chce, my nie damy i basta!—odezwał się zniecierpliwiony Grzegorz.
- Doprawdy? zobaczmy—wtrącił jeszcze Konrad.
- A pójdziesz ty, psia wiaro, okularniku!—zawołał któryś z wieśniaków.—Umykaj pókiś cały, bo jak cię pochwytiwa, za wszystko się odpłaci.
- Licytacya, tego, się, mosendzieju, do jutra odkłada!—krzyknął komornik—godzina szósta, panie woźny ogłoś!
- A jakże będzie z temi kuźmi?—zapytał kłaniając się już czapką sołtys.
- Jutro, jutro, mój przyjacielu, tego, naprzykład—mówił słodziutko komornik, klepiąc go po ramie- niu—złóżcie pieniądze...
- Kaj my nie dawa sprzedawać!—wrzasnął znów Grzegorz—ja padam, że nie, to nie; jużeście tyle pienię- j dzy nazbierali, że to wystarczy...
- Mój człowieku—przemówił Żarski—nie upie- ■ raj się przy swoim, bo to na nic się nie przyda. Wy tego nie rozumiecie, ale takie jest prawo, że jak kto winien a niema oddać, to mu rzeczy zabierają i sprzedają: darmo...

- O, wiemy, wiemy!–dorzucił któryś z koła.
 - No, to też rozejdźcie się do domu, a ja wam zaręczam, koni nie sprzedadzą dzisiaj.
 - Tak, tak, jutro, a nawet dopiero, tego, mosendzieju, po południu, jeżeli pan plenipotent, naprzykład, tak oto napisze.
 - Otóż słyszycie; – mówił dalej Józef–tylko niech się zostaną starsi z gminy, i ty, Grzegorz, i sołtys, a poradzimy jak dalej ratować biedną kobietę.
 - Oho! już znowy, konszachty! – krzyczał przygnębiony Konrad, zamykając drzwi od ganku. – Jaki mi przyjaciel chłopski; rady, patrzaj go, opiekun dyabli, smarkacz... O! musi to być chamska dusza jakaś!
- Lecz poczciwy Józio udał nawet, że nie słyszy podobnych dojadania wdzięcznego synka, bo odsunawszy się wraz z kilkoma chłopkami w kąt dziedzińca, przemyśli- wał nad sposobem dopomożenia tej nieszczęśliwej dziedziczce. Chłopi jak chłopi, radzili po swojemu: Grzegorz dowodził żeby nie płacić, i koni nie dać, bo on swą pięścią wszystkiemu da radę; sołtys zalecał składkę z gromady, inny znów chciał je w nocy uprowadzić do lasu; Mateusz kazał oddać to na łaskę Boską: słowem, nie można było nic postanowić. Józef obliczywszy w myśli całe swoje fundusze, czuł, że z taką drobnostką nie podoła, bo tu tysięcy trzeba; więc zafrasowany pocierał czuprynę, krzywił się i dumał.
- Moi kochani – odezwał się wreszcie – dobrze to wszystko, że macie najlepsze zamiary, i szczerze pragniecie dopomóc waszej pani, ale to na nic się nie zdało: tu trzeba pieniędzy.

- A wiele? z przeproszeniem – zapytał drapiąc się w głowę sołtys.
- Choćby parę tysięcy na pierwsze potrzeby.

Na tę odpowiedź zamilkła rada, każdy się po-
skrobał, obliczył: gdzie tam, ani sposób zdobyć się na podobną kwotę.

– A żeby też, proszę wielmożnego pana – przemówił ów najstarszy – udać się do
dziedzica Trąbek?

- Cóż to za jeden?
- Abo go to pan nie zna, ten stary Tarkowski.
- Nie znam, a choćbym i znał, to coż on tu

zrobi?

– Możeby i dał jakie paraset złotych; bo to widzi pan, on tu dawno, dawno, jesce
za nieboscyka ojca nasej pani, był za gminnego; i nieraz kiedy pani zbiedniała, to ta
dopomagał, pozyczał...

– Tak, tak – dorzucił Grzegorz – bo jak się spaliły w Śliwicach stodoły, to on
drzewa przysłał, i myśwa jeździli po wapno, cegłę, a słyszę, pieniędzy ani grosika. nie
wziął. To cłek uściwy, i choć nie z wielgich panów, ale umie rządzić.

– I daleko on mieszka?

– Dwie mile będzie, w bok Koprzywnicy.

– Baj baja – przerwał sołtys – toć to, panie, obliwane trzy, bo jak idzie o
podwodę, to płacą za trzy, i poczciarz ze Stopnicy...

– No, to dobrze, ale któryż z was najlepiej go zna?

– A juści ja, proszę pana – odpowiedział stary – bo to i moja u nich służyła kiej
była tu we wsi, i jak trzeba naprawić jaką bryckę, to już zwyczajnie do mnie.

- Bo to, widzi pan, Kasper są kołodziej z profesy–wtrącił Mateusz–ino...
- .– Więc byście, Kasprze, mogli tam jechać, dziś jeszcze, albo do dnia?
- Dlaczego by nie, proszę pana; juścić pani zawsze panią, i żeby nie ci rządcy, toby ta z nią łatwiej było. Zwyczajnie, miała tego ostatniego męża Gąsiowskiego; ślachcic z przeproszeniem pana jak się ożenił, to i surduta nie było uczciwego na grzbiecie, a potem kozuchy jakieś drogie, karyty, i jak trza było naprawy, to do Kielc po rzemieślnika, choć i ja, nie chwaląc się, jesce- bym lepiej zrobił...
- A jakie były zjazdy, polowania–ciągnął dalej Mateusz–to, proszę wielmożnego pana, i Stasowski pan takich nie wyprawia. Do psów było ze czterech chłopów w takich urzęniętych sukmanach...
- I znowu – przerwał Grzegorz – kiej przysły imieniny jego, to nazjeżdżało się tego chmary; a raz pamiętam byłem jakoś wtedy na stróży, kiej się popili jgoście, to sam pan rozbijał butelki z winem cy arakiem, a lokaj mi gadał, że po dwa dukaty jedna.
- Ale – dorzucił sołtys – kiej znowu na przednówku przysło się do niego po zapomogę, bo to jak pan wie, każdemu bieda się trafi, to zaraz: chamy, łajdaki, próżniaki, do roboty to niema, pošli won! i wypędzili, wypchnęli; ino casem, jak pani widziała, to ta uprosiła o jaką ćwiartkę zyta albo ziemniaków.
- A więc widzicie, że pani dobrą była dla was, mówił Józef, chcąc ich obecnie zachęcić i przerwać tę litanię narzekań.

- Juści, proszę pana, my ta do niej nic nie mamy, ale ten jej mały Miluś, cy jak...
- Co znowu za Miluś? – pytał, śmiejąc się nieco, Żarski.
- A ten najmłodszy panik–mówił również uśmiechnięty Grzegorz – bo tak na niego wołają we dworze...–i uciał porwany ogólnym śmiechem.
- No i czegoż wy się tak śmiejecie?
- Albo to takie cudne przezwisko.
- Mnie się widzi, proszę pana, że ta takiego świętego musi nie byó – dorzucił ów stary – bo to nieprzy- mierzając, nas kacmarz ma takiego carnego pieska i na niego wołają także Miluś.
- JCh! to widzicie, tak po pańsku, jemu na imię Emil.
- A, a, a... tak tez organista gadał... ale.
- Dajcie pokój tym gawędkom, tu trzeba radzić – odezwał się Józef. – Wy, Kasprze, kiedy macie taką ochotę, to jedźcie do owego pana i proście żeby jutro rano przyjechał; wy, sołtysie, pochodzicie po wsi, co się zbierze to się zbierze; dla was potrochu to niewiele uczyni, a dla niój w tej ciężkiej biedzie wielką będzie łaską. Bo wiecie wy, że nawet garnca mąki niema w śpizarni?!
- Cóż ma być, kaj wsycy kradli, i pan Konrad, i kucharz, i forsmanowa, i kto nie chciał tylko...
- Eh! ten Kondrad, to musi mieć pieniądze–zawołał Grzegorz–proszę pana, to takie było chytre i łap- cywe, ze go i kijem nie odeгнаć od cudzego. Z niebo- scykiem panem to się strasnie nie lubili: ale tamten hu

łał, a ten pakował. Jacenty, od cugowych koni, gadał mi jesce pśesłego roku, że widział u niego ze ćwierć rubli i dukatów.

– No, no, dajcie mu ta już pokój, Bóg go osądzi; teraz idźcie do domów: jutro się cała rzecz rozstrzygnie! Dobranoc wam, moi poczciwi ludzie, dobranoc!

Nazajutrz, może o siódmej z rana, prawie jednocześnie i z dwóch przeciwnych sobie gościńców, zatoczyły się przed ganek dwie bryczki. W tej która nadjechała od strony Stopnicy, widzimy znajomego nam Żarskiego, z drugim szczupłym, już nie młodym mężczyzną, z rozrzuconym włosiem po głowie, ubiorem dość zaniedbanym, twarzą zimną, powiędłą, po którą niby błąkał się uśmiech jakiejś życzliwości i współcierpienia. Był to sobie wolno-praktykujący lekarz, od kilku miesięcy w sąsiednim miasteczku osiadły, którego w braku innych, Żarski wiózł do chorej pani Gąsiowskiej, wysłuchawszy przez drogę, najzupełniej szego medycznego kursu o gorączkach gastrycznych.

Z drugiej maleńkiej, przysiadłej dryndulki, zaprzężonej parą nierasowych wprawdzie, lecz gładkich koników, gramoli się dobrej tuszy, może sześćdziesięcioletni obywatel, rumiany, puciołowaty, z siwym przystrzyżonym wąsem i takimież włosy; a odczepiając płaczące się poły szaraczkowego surduta, jedną ręką spiera się na potężnej sękatej lasce, drugą zaś, na ramieniu idącego

obok wieśniaka, od wczoraj nam znanego kołodzieja Kaspra.

– Czekajno bracie... czekaj! – mruzczał sobie siadając na ławce w ganku ustawionej.–A bodajże cię gęsi skopały... Kasperku, szanuj nogi... ano to pójdźmy dalej.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – przemówił głośniejszym głosem zdejmując czapkę i wchodząc do pierwszego pokoju, w którym już znajdowali się Józef i doktor.–Przepraszam moich panów dobrodziejów, ale ja sobie tu usiedzę. Kasper, dowiedzno się, rychło będzie można widzieć się z jaśnie panią. Panowie dobrodziej–ciągnął dalej patrząc niby obojętnie na przybyłych, a poprawiając się nieskończenie na krześle–zapewne na licytację. A jest co licytować, dom był zamożny, zapewne i tanio; ot, bieda, że te nogi nie chcą mi statkować, a tu słyszę wczoraj cały dzień sprzedawano.

– A odkądże już te nogi ma pan popuchnięte?– spytał doktor z miną dziwnie uśmiechniętą.

– Teraz, panie dobrodziej, to z tydzień, ale naprawdę już bolą ze trzy lata; jedni mi gadali, że to ro- matyzm, drudzy wodne jakieś ingrediencje przypisywali, inni znowu, że to pedogry.

– A i lekarze nie mogli odgadnąć tej choroby?

– Nie mogli–odrzekł uśmiechnięty obywatel– bo widzi pan dobrodziej, ja ich się o to nie pytałem.

– To bardzo źle, ja tego nie pochwalę – przemówił spluwając medyk.

Chory obywatel spojrział nań trochę marsowato, lecz szybko zmienił wyraz swej twarzy na zwyczajną do-

broduszość, a wyjąwszy z bocznej kieszeni surduta dużą łubową tabakierkę, i roztworzywszy ją z pukiem, po* dał cmokającemu nosem doktorowi.

– Czy pan dobrodziej nie jesteś czasem zwolennikiem Raspaila? – zagadnął ten ostatni trzymając szczyptę tabaki zakamforzonej nad tabakierką.

– Anim go widział w życiu mojem; a zresztą kto tam spamięta. Ja, przyznam się panu mojemu, tych niemieckich nazwisk w żywy sposób zrozumieć nie mogę.

– Kiedy to, panie, jest Francuz.

– Wszystko mi tam jedno, panie mój; ten czy ten, zawsze brum, berg, wil, hil... i dyabli nie wiedzą jaki. U mnie, panie, co się nie kończy na ski albo icz to nie spamiętam.

– Hm! – pomruknął doktor mierząc towarzysza uśmiechem litości—ja dlatego pytałem pana dobrodzieja o tego doktora...

– Jako? on ma być doktor? – przerwał z dziwnym spojrzeniem obywatel.

– Tak, doktor sławny, francuzki, który przepisał...

– A niech go tam, a niech tam przepisze, skoro, panie mój, on doktor, to nie chcę i słyszeć o nim.

– Doprawdy?—wymówił, przygryzając usta, medyk—więc, pan dobrodziej, liczysz się...

– Kamforą, panie mój, kamforą tylko...

– Ależ ja chciałem powiedzieć, że należysz do liczby nieprzyjaciół lekarzy.

– Więcej jak nieprzyjaciół i mam rację nieza

wodną! – zawołał, poruszając się na krześle. – Już oni mi, panie mój, wyprawili na tamten świat cztery córki, jednego syna, dwóch braci, stryja, żonę...

– Zapewne i dziadka, pradziadka, pra-pra–przerwał, śmiejąc się lepiej jeszcze, doktor.

– Tak, tak, śmiej się, panie mój, ale jak Pana Boga kocham, tak prawda; bo żebym tylko miał czas, a opowiedział panu dobrodziejowi, całą tę historię, to- byś się nie śmiał tak głośno; włosyby ci się kapkę podniosły na głowie ze zgrozy.

– Pan dobrodziej chyba żartujesz ~ przemówił doktor–twierdzisz, że nienawidzisz lekarzy, a używasz kamfory.

*– Bo, panie mój, co kamfora, to nie doktor.

«– Prawda, ale doktor Raspail napisał metodę leczenia kamforą.

– To byó nie może!

– No, przecież musiałeś pan wyczytać na tytule książki.

– Ja, panie, żadnych doktorskich książek nie czytam i nie kupuję; kto, panie, ma gospodarstwo, gdzie jemu tam takie głupstwa w głowie.

– To bójże się, pan dobrodziej, żywego Boga, zkądże mogłeś się o kamforze dowiedzieć?

– A siostra tam mojej nieboszczki gdzieś wyczytała, i raz kiedy mię darło w nodze, jak zacznie smarować i smarować, widzę, że pomaga; więc dalejże do kamfory, i panie mój, całą wieś, nie chwaląc się, kuruję już ze dwa lata! Cholera była wszędzie, u mnie ani weź; na wiosnę tyfusy dokoła, u mnie ani weź; febry, ospy

i inne choroby, słyszę, teraz dziesiątkują w 'okolicy, u mnie tego ani widać.,.

– Pani Gąsiowska prosi pana konsyliarza – zawołał Żarski uchylając drzwi od salonu. – Pan dobrodziej będzie tak dobry zatrzymać się tu ze mną chwileczkę, bo to kobiety żenują się przy obcych rozpowiadać swoje choroby.

Doktor pobiegł natychmiast rozsypawszy trzymaną w dłoni tabakę, gdy osłupiały obywatel patrząc się za nim z rozwartymi ustami, nie wiedział co zrobić z sobą.

– Cóż pan dobrodziej tak się zamyślił–przerwał nasz Józef dostrzegłszy to jego pomięszanie – czy czasem nie poróżnili się panowie?

– I to prawdziwy doktor, pan mówisz?

– Najprawdziwszy medycyny, chirurgii i t. d. i t. d., którego przed kwadransiem przywiozłem z miasta.

– O! bodajże cię, bodaj; dyabli tam wiedzieli, panie mój. Aaa, kiepsko, panie Szymonie; no i samo-chcąc zrobić sobie nieprzyjaciela. A ktoby się spodział...

– I cóż to się zrobiło?–pytał ciekawie Żarski.

– Eh, nic... głupstwo się zrobiło, oto i cały interes. Bo widzisz, panie, ja nie cierpię... tego... panie mój... Ale czy przypadkiem i pan nie jesteś doktorem?

– Nie.

– Ale zawsze wolno spytać co pan dobrodziej jesteś?

– Ja tu nauczycielem syna pani Gąsiowskiej.

– Tak, no, proszę, nie wiedziałem; zapewne i niedawno?

– Od dwóch tygodni.

– Tak, od dwóch tygodni, hej, to co innego; ale panie mój, jak słyszę, nie w tęą porę się wybrałeś.

– Cóż robió? wszak każdego spotkać to może, proszę pana dobrodzieja, niewielka rzecz być dobrze płatnym...

– Ale rzetelnie płatnym, hej?

– Tego nie wiem; za kilkanaście dni nie wieleby mi się należało.

– No, ale zawsze można obliczyć, i dzień dużo znaczy dla tego co potrzebuje. A nie możnaby się spytać kochanego pana mego, jak się zgodziłeś?

– Żadnej nie robiłem umowy—odrzekł spokojnie nasz Józef.

– Żadnej, a to niedobrze; teraz, panie mój, na łaskę się nie liczy.

– Choćbym i nic nie dostał—odezwał się Józef— to nie mam najmniejszej pretensyi, bo zdaje mi się, pani Gąsiowskiej więcej potrzeba z familią, niż mnie samemu.

– Pięknie, panie mój, tak, masz rację, ślicznie; ot, daj mi rękę jeżeli łaska.

Widzisz panie mój, ja sam niebogaty, a chciałbym ich poratować; pocziwa to pani, ooo! bardzo uczciwa. Kiedym ja jeszcze służył u jej nieboszczyka ojca w tych dobrach, a ona była taką malutką Marysią, to panie mój, przyjdę do dworu z papierami, uczepi mi się to u szyi, ciągnie za wąsy, całuje, * że nieraz i zły byłem na siebie i na nią; bo państwo się śmieją, a ja rady dać sobie nie mogę; odepchnąć, serca nie mam, i jakoś tak przy rodzicach nie wypada, a ta smerda wije mi się koło szyi, maca po brodzie, i woła:

Tarkosiu, Tarkosiu, a co to za szczotka na brodzie? a pohuśtaj mię, a przewieź m ię, ja ci za to, kiedy będę panią, kupię cztery konie, dam wieś z chłopami, z babami i z tym brzydkim Szulerskim, ekonomem... A dzisiaj, mój ty mocny Boże, ktoby się to był spodział, że ja nędzny rządca takiego klucza, panie mój, jeszcze będę musiał dawać jej na kawałek chleba! O! ciężko to, ciężko, wspominać takie rzeczy.

I mówiąc to stary, pochylił głowę jakby tonął w marzeniach owych czasów, łza stoczyła się na czerwone policzki, a śladem za nią, jakby szklącym wężykiem pocięły inne, formując dwie strugi na twarzy.

Żarski patrząc się na to w milczeniu, dopiero raz pierwszy uczuł i poznał prawdziwą miłość dawnych sług ku swoim panom. Na licu tego starca, dziś obywatela, dziedzica kilku wiosek, wyczytał ustęp pocziwego jego żywota, osobistego zaparcia w obec niedoli, wyznawcę świętej nauki Chrystusa, i prawego wykonawcę idei miłości bliźniego.

- Panie!–zawołał, chwytając go za rękę–wszak ratować ją będziesz?
- Będę, o ile potrafię.
- Ach! dziękuję ci, dziękuję serdecznie; przyjm te wyrazy mojej wdzięczności: nie mam nic cobym ci zdołał dać...
- A za co? – przerwał, patrząc nań z podziwieniem Tarkowski.
- Za to, żeś jeden przecie prawy i szlachetny człowiek.
- Hm, to moja rzecz, i co to pana mojego obchodzić może?

- Co?—powtórzył Józef—otoż to, żem uwierzył w pocziwość na ziemi, żem znalazł serce przed którym klęknąć mogę.
- Eh! panie mój kochany – odpowiedział mu nieco rozśmieszony Tarkowski – wy młodzi to z kółek zaraz robicie obręcze. No i cóż żem uczciwy, jak powiadasz, bo takim mię Pan Bóg stworzył i mówię ci, że choćbym chciał być cyganem, albo jakim sobkiem, to głupieję na to i nie potrafię. A co do serca znowu, niepotrzebna to gąbka, bo jużciż, mój bracie, chcąc z niej coś wycisnąć, trzeba wprzódy nalać, a taka robota mi się niepodoba. Mój panie... a jakże ci na imię?
- Józef.
- Mój panie Józefie... a nazwiska nie możnaby usłyszeć, co?
- Żarski.
- Hę, Żarski—powtórzył sobie powoli, jakby coś odgrzebując w pamięci. – To, panie mój Józefie, pochodzisz czy ze szlachty, czy oto tak, naprzykład, jak ja niby z mieszczan?
- Tego nie wiem, panie, tylko zaręczyć mogę, że nie ze szlachty.
- No, to czemuże był twój ojciec?... ale widzisz, nie gniewaj się na starego, że cię tak nurtuje i zaraz ty, bo to już takem się przyzwyczaił na wszystkich wołać, kie-* dy mi się podobają i staremu to ujdzie – dokończył ści-* skając go za rękę.
- Owszem, bardzo proszę, mów pan jak chcesz; ja wolę nagą prawdę a szczerą, niż państwo obłudne,

Co zaś do ojca mego, to powiem panu, że umarł ekonomem.

– Tak! – zawołał przeciągle – czy przypadkiem nie Jan Kanty?

– Tak jest.

– No, to znaliśmy się dobrze; a toż on się ożenił z panną, z panną... od księżny

S.

– Pani prosi teraz!–odezwał się lokaj, pokazując we drzwiach głowę...

– A chodźmy, a chodźmy; mój bracie pomóż-no staremu; o, powoli, bo nożyska nie chcą już słuchać... Tak, dobrze–mówił opierając się na ramieniu Żarskiego i wlokąc się przez salon ku sypialni... Niech będzie pochwalony!...

– Przepraszam cię, panie Szymonie, przepraszam bardzo – odezwała się pani Gąsiowska, unosząc z trudnością głowę – ale ja taka chora...

– Eh! da Bóg, będzie to dobrze, przejdzie, upadam do nóżek jaśnie pani.

– Mój kochany panie Szymonie–przerwała mu żywo kobieta – choć ty się nie naigrawaj nademną; po co te jasności, kiedy nie świecą?

– Ale będą, proszę jaś...

– Nie, nie... nie chcę, nie chcę; bądź tak dobry nie tytułuj mię. Widzisz, jam żebraczka prawie, i tu boli, i tu boli – mówiła wskazując na piersi i na głowę.

– Właśnie potrzeba się strzedz wszelkich wzruszeń gwałtownych–przerwał obecny doktor, skończywszy pisanie recepty.–Będą tu dwa lekarstwa.

- A ja, przepraszam pana mojego –odezwał się Tarkowski – dalibóg nie wiedziałem.
- No i cóż to takiego zaszło?
- Eh! nic–odrzekł uśmiechnięty lekarz –poróżniliśmy się rozprawiając o systematach medycznych. Żegnam panią i proszę przysłać jutro, jeżeliby choroba się pogorszyła. Do widzenia mój panie nieprzyjacielu, bo mam nadzieję, że się może spotkamy kiedy.
- Upadam, upadam... do nóg tego... bąkał po- miészany Tarkowski.–A gdy doktor wyszedł, zawołał: Daj Boże żebyśmy się widzieć nie potrzebowali! Co też- to pani wierzy tym, z pozwoleniem pani, doktorom; oni tylko w recepty, w leki, i jak wprowadzą człowieka w dyabelskie jakieś choroby, to kurują i kurują. Najlepiej, proszę pani, przetrzymać chorobę, a choroba ustanie sama. Albo już kiedy będzie co tak uporczywego, no to spirytusem kamforowym, aloesem najlepiej; ja oto się lecę sam...
- Dajno pokój, mój kochany Tarkosiu–widzisz, my kobiety to w doktorów wierzymy.
- Dlatego też panie chorują tylko i chorują.
- Mój panie Szymonie, nie mówmy już o tem; jak ciebie widzę, to jakoś mi lepiej, zapominam terażniejszości, zdaje mi się żem w domu rodziców, że ty mię przyszedłeś pohuścić, pobawić.
- Oj! prawda, prawda, dobre to były czasy!– przerwał wzdychając Tarkowski.–Ale cóż robić, "proszę jaś... pani, a Pismo święte mówi: że Pan Bóg owego Joba jeszcze gorzej doświadczał.
- Ale cóż ja tu pocznę teraz nieszczęśliwa kobieta, wszystko mi sprzedają, rabują, niszczą, wszyscy

mięjjdstąpili, nawet i Konradek mój już coś zaczyna stawać przeciwko mnie; słyszysz panie Szymonie, własny syn mój.

– A słyszę, słyszę; tak to, proszę pani, teraz na świecie: i pono, że to za czasem wszystko idzie.

– Tylko poczciwy pan Żarski co mnie ratuje jak może. Wczoraj komornika uprosił, po doktora pojechał, u plenipotentą wyrobił, że mi trochę gratów pozwolili zatrzymać...

– A słyszałem – mówił znów pan Szymon trzymając brodę na rękach podpartych laską – bo to widzi pani dobrodziejka, on z naszych, z biedaków; ojciec jego był razem ze mną kiedyś w służbie u księżny S.

– Tak? – przerwała mocno zdziwiona pani – doprawdy, nie wiedziałam. A zdawał się człowiekiem po... – i tu zatrzymała się nagle, spojrzawszy na pana Szymona – ukształconym wysoko... paniczem.

– Toć to nie przeszkadza być poczciwym i dobrym.

– Prawda, ale widzisz panie Szymonie, ja go brałam za coś wyższego... lecz dajmy temu pokój; ot poradź, co ja będę robiła z sobą i z tem słabowitem dzieckiem: gdzie ja się tu podzieję, gdzie obróćę? Oh! mój Boże, mój Boże kochany, do czegoż mi też przyszło, że nawet nie mam kąta swego, gdziebym spokojnie głowę położyć mogła. Z takiego majątku, z takich dostatków przyjść do nędzy prawie, to okropność – dokończyła płacząc rzewnie.

– Ale niech pani dobrodziejka się nie martwi, wszystko się to jakoś da poreperować. Jużciż, proszę mojej pani, trudna rada; jak sobie człowiek pozwoli tro

chę i zapomni o przyszłości, to darmo: trzeba przecierpieć z rezygnacją.

– Alboż ja winna temu?

– No, proszę mojej łaskawej pani – mówił nieco uśmiechnięty Tarkowski – Bogiem a prawdą, to i pani winna.

– Co, ja? – spytała żywo przesyłając mu ogniste spojrzenie. Cóżem-to, żyła nad stan?

– Po części, to zdaje mi się... że...

– To ci się zdaje tylko; żebyś ty wiedział co ja jadałam, w czym chodziłam, jak żyłam, to już i najbiedniejszy gorzejby nie mógł. Ludzie to, ludzie, mój dobry panie Szymonie tak mi się przysłużyli...

Ale pan Szymon jakoś niebardzo wierzył tym zapewnieniom, bo uśmiechając się dziwnie, milczał stukając laską o podłogę.

– Eh! na co się tam zdało odgrzebywać stare rzeczy. Było, to było; oto ja tu przyjechałam zrobić jaśnie pani pewną propozycję, ino nie wiem czy dobra będzie, czy nie.

– No, jakaż, jakaż? mów.

– Dowiedziawszy się wczoraj od Kaspra kołodzieja, że jeszcze pani tak chora i nie wie co z sobą robić, myślę sobie, pojedę, a że mam około Chęcina na dożywocie wójtostwo, do którego daleko mi zaglądać i jakoś nie mam kogo w niem osadzić, to znowu myślę sobie, panie mój, czyby jaśnie pani nie przyjęła, tego oto, na przykład, na mieszkanie. Jest tam dworek, nie pański wprawdzie, ale porządny; trzy włóki gruntu, łąki spory kawałek, jest inwentarz...

– A bójże się ty Boga, panie Szymonie – przerwała /śmiejąc się pani Gąsiowska – cóż jabym robiła w twojem wójtostwie?

– Juśció, naturalnie, trzebaby gospodarować; nie wielkieć to, nie okazałe, no, ale zawsze może wystarczyć ne skromne utrzymanko. Ja, proszę pani, mojej dobrodziejki, od tego zacząłem, i z pomocą Boską doszło się ot i do wioski.

– Ależ chyba żartujesz, panie Szymonie! Gdzież jabym w takiej chałupie mieszkać mogła, i żyć, i gospodarować?

Tarkowski zgłupiał, usłyszawszy podobną mowę pani Gąsiowskiej. Zdawało mu się że ofiarując w podobnej chwili takie schronienie, zrobi jej największą łaskę i przyjemność, a tu zamiast tego wszystkiego, spotykają go żarty i odmowa. Tfu! splunął głośno zabierając się do wyjścia.

– Przepraszam moję panią, przepraszam, upadam do nóżek jaśnie pani, upadam!...

– Cóżto, myślisz wyjeżdżać, panie Szymonie? – zawołała unosząc się z łóżka.

– Tak, jadę, panie mój; nie mam tu co robić; ja, pani dobrodziejko biedak jestem, chałlak obywatelski, gdzież mi tam do państwa...

– Nie gniewaj-no się, nie gniewaj; bardzo wdzięczną ci jestem za twoje dobre chęci, ależ sam przyznaj, co jabym tam robiła? W miesiąc umarłabym z głodu i nudów.

– A ja przez dziesięć lat czemu nie umarłem?

– Bo ty gospodarz, oszczędny...

- Jak kto nie ma na zbytki...
 - Mamo, mamo! – zawołał wpadając z hałasem do pokoju Emilek – wszystkie moje charty i ogary są już na wsi u karbowego, tak zgrabnie wyprowadziłem... **
 - Przywitajże pana Szymona, Emilku.
 - Jak się pan ma? – mruknął skłoniwszy się lekko siedzącemu – tylko widzi mama, karbowy nie ma ich csem żywić; ja mu obiecałem po dwa złote na dzień od pary, więc niechże mama mi da z 10 złotych, bo biedne psiska skowyczą okropnie. Moja mamusiu kochana, niechże mameczka poszuka kluczyków.
 - Proszę jaśnie pani – przerwał w tej chwili wchodzący lokaj – sołtys z Kasprem kołodziejem chcą się "Widzieć z jaśnie panią.
 - Powiedz że mama chora! – krzyknął zaczerwieniony Emilek.
 - Ależ, moje dziecko, może im się co należy! – Słuchaj Pawełek, a zapytajno się czego oni żądają.
 - A toć jaśnie pani, ja się pytałem, ale oni gwałtem chcą sami się rozmówić.
 - Cóż tam na dworze? bo jeśli błoto i deszcz, to zanieczyszczą pokój.
 - Pogoda piękna; żydzi się zbierają: licytacja zacznie.
 - To niech przyjdą, tylko prędko.
- Za chwilę, znani nam sołtys i Kasper, kłaniając się kapkami od samych drzwi prawie, sunęli na palcach ku łóżku, a oglądając się jeden na drugiego

i drapiąc nieustannie w głowę, nie wiedzieli jak zacząć.

– I cóżto powiecie, moi kochani? – zapytała ex- dziedziczka, chcąc wyprowadzić ich z kłopotu, a może i pozbyć się prędzej.

– Eh! to nic... proszę jasnej pani, – wyrzekł kłaniając się raz jeszcze sołtys, miętosząc w rękę jakiś sy- pełek w niebieskiej kropkowanej chustce.

– A to proszę jasnej pani – przerwał mu Kas-/ per również z ukłonem – myśwa chcieli oto prosić jasnej pani...

– Ale o cóż? mówcie prędzej, bo ja muszę się ubierać.

– A gadajze ty – szepnął Kasper trącając sołtysa.

– No, toć i wy macie gębę – mruknął tenże.

– Idźcież sobie z Panem Bogiem, idźcie! – zawołał junacko Emilek – kiedyindziej; teraz mama chora: nie ma czasu. Proszę mameczki, jakże te 10 złotych, dostanę czy nie?

– Dostaniesz, dostaniesz; oto są kluczyki: otwieraj, bierz, a daj mi święty pokój.

Chłopiec skoczył uradowany, pan Szymon gorzko się uśmiechnął; pani spostrzegłszy to westchnęła romansowo, a wieśniacy przestępując z nogi na nogę, trochę już oburzeni, nie wiedzieli czy mówić, czy się wynieść z pokoju.

– A powiedzcież moi ludzie czego-to chcecie? – przemówiła łagodniej matka – czy wam się co należy?...

– Juścić się też może i należy – odparł Kasper – ale tu nie o to idzie; teraz jasna pani potzebniejsza niż my. Ino wcora patząc jak te rabuśniki plondrują po panskim, my sobie rzekli, że nasej pan i musi pieniędzy brakować, to sołtys obeśli wieś jedną i drugą, przemówili do swoich i teraześwa przyšli prosić, zeby jasna pani wzięła tę trochę.

– A cóż to jest?

– Juścić ze pieniądze, prosę jaśnie pani; wiele tu niema, bośma nie tak bogaci, ale i to może się przyda na odchodnem.

– Ależ ja waszych pieniędzy nie potrzebuję! – krzyknęła odrzucając sypełek całą zarumieniona. – Weźcie sobie, weźcie; taką drobnostką mnie nie dopomożecie, a sobie ujmując zaszkodzicie.

– Eh! niech też jasna pani nie pogardza naszą pracą; my se też kzywdy nie zrobiwa; co kto mógł to dał: zawse się zebrało sześćset pięćdziesiąt i cztery złote i grosy seć, – a powiedziawszy to sołtys wysypał je z brzękiem na koldrę.

Zdumiona kobieta, z wyrazem jeszcze gniewu na twarzy, spojrziała na kupę nowej błyszczącej monety, gdyż jak wiadomo, nasi wieśniacy innych nie chowają, a patrząc się dłużej, oburzenie zniknęło, na pobladłe lica wystąpił uśmiech dziwnej radości, oczy błysnęły żywiej, pulchna zaś rączka mimowolnie zanurzyła się w tej świetnej mamonie szczęścia ludzkiego. Stojący wieśniacy miarkowali już z tego ruchu widoczną chęć zatrzymania pieniędzy, ona zaś wstydząc się jeszcze pana Szymona, spojrziała ku niemu z zamiarem wyczytania z jego twarzy stanowczego wyroku. Lecz nasz obywatel

X *

z niezmiernem zajęciem i obywatelską naiwnością, wpatrywał się w portret nieboszczyka ojca pani Gąsiowskiej, a swego niegdyś pryncypała; i właśnie gdy ta milczała, wyrzekł nie obracając się od obrazu:

– Jakby żyw był jeszcze! Co za nos, co za usta; a oczy to zdaje mi się jakby patrzyły na mnie i omal co nie krzyknie: "dam ja ci, mospanie!"

– Dobrze, moi poczciwi ludzie, ja wezmę, ale dany wam rewers, że oddam i oddam niezawodnie!

Eh! – odparł śmiejąc się Kasper – na co tam pisania!

– Ale jakżesz, wy mi pożyczacie, jabym darowizny od moich poczciwych chłopków nie przyjęła; jak się nie zgodzicie odebrać, to bierzcie sobie teraz!

– No, niech i tak będzie, skoro taka wola jasnej pani; nam to wszystko jedno: ino co pisania żadnego nie chcemy. Odda jasna pani to dobrze, a nie, to nie; my nie będziemy się domagać. Kłaniamy się jasnej pani; niech jej to Bóg i Matka Pzenajświętsza w sto razy pomnoży!

– Dziękuję wam, dziękuję bardzo, moi poczciwi i kochani ludzie, ja zawsze o waszej życzliwości najlepiej trzymałam... A... może się wódki napijecie, poczekajcie, zadzwonię to przyniosą.

– Dziękujewa jasnej pani – wyrzekł trochę obrażony Kasper – a toć my juz pili, tzeba wracać do chałupy.

– A, to i ja pojedę! – wyrzekł przytoczywszy się na lasce pan Szymon, gdy wieśniacy wyszli.

– Jakto, i pan mię opuszczasz?

- Nie mara tu co robić, a w domu * owies się żać poczęło.
 - Ależ ja myślałam, że ty, mój poczciwy panie Szymonie, pożyczysz mi pieniędzy. Wreszcie jam taka potrzebna, w takiej nędzy; przyjedzie dziedzic, to mię dziś może wyrzucą jeszcze, a gdzie się wtedy nieszczęśliwa kobieta podzieję?
 - I ja nie wiem, proszę mojej, jasnej pani.
 - Pan Szymon widzę gniewasz się na mnie; ależ o co, mój panie kochany; wreszcie ja taka rozrzuciona, chora.
 - O cóżbym się miał gniewać? Chcesz pani pieniędzy, to dobrze; tylko czy nie możnaby wiedzieć ile?
 - Ja sama nie wiem.
 - To i ja nie wiem, ależ przecie?
 - Widzisz, jabym to chciała wziąć jaką małą dzierżawkę na imię Emilka, żeby sobie gospodarować razem...
 - Teraz zdaje mi się nie pora na to.
 - Prawda, aleśmy sobie tu wczoraj ułożyli tymczasem przenieść się do jakiego większego miasta, na przykład do Kielc, i czekać póki się co nie trafi.
 - A czy wolno się spytać, jakie państwo macie fundusze?
 - Doprawdy, że sama nie wiem; zdaje mi się gotowych teraz prawie nic.
- Pan Szymon roześmiał się głośno, a gdy Gąsiowska spojrzała nań gniewnie, przemówił:
- To za cóż pani myślisz żyć najprzód, mieszkanie nająć, opał, usługę?

- Albo ja wiem, może się jakoś poradzi.
- Tak, poradzi się, poradzi – powtarzał zły już pan Szymon – a ciekawym ja, proszę mojej pani, jakto się poradzi?
- Ooo! mam przecie nieco kosztowności jeszcze i po matce, część sprzedam, część zamienię n^ tańsze.
- A kto to kupi, i co da, zwłaszcza dziś, na takie ciężkie czasy?
- Nie turbuj się, panie, znajdą się kupcy; tylko jeżeliś już tyle łaskaw, to dpożycz z jakie sześć tysięcy złotych.
- O rany Boskie! a zkdże ja-bym wziął taką sumę.
- Jakto, nie masz?
- Leżących pewno nie mam, a choćbym i znalazł, to proszę baczyć na to, że i moim dzieciom coś trzeba zostawić.

Pani Grąsiowska zamilkła, stary mrucał pukając laską o podłogę, wreszcie odezwał się dość prędko:

- Com chciał zrobić dla jaśnie pani jako córki świętej pamięci uczciwego mojego pryncypała, tom powiedział raz i teraz to samo powtarzam: wójtostwo z którego płacili mi 1200 zł. rocznie, ja oddaję, dajmy na to za 800, i inwentarze dodam; no i na pierwsze potrzeby 1000 zł. Więcej nie mogę: dalibóg nie mogę.
- A sąż tam jakie zapasy?
- Co za zapasy, jak się zeźnie to będą; a w śpi- żarni na miesiąc wystarczy.
- No, to i muszę przyjąć–wyrzekła markotnie–

cóż mam robić; ale Emilek, Emilek się s płacze: on tak sobie życzył w mieście, bo to i o lekcye muzyki łatwiej...

– Oto jest ten tysiąc, proszę pani.

– Czeka jże pan, napiszę rewers.

– A na co? – odrzekł uśmiechnięty pan Szymon – ja tak samo powiem jak i ci chłopci, a i za wódkę dziękuję.

– Panie Szymonie, popatrz mi w oczy: ty się gniewasz na mnie?

– I jakże się nie mam gniewać, kiedy pani dobrodziejka samochcąc odpycha rękę pomocy. Prawdziwie, że tego zrozumieć nie mogę, i nie wiem czy mój rozum za głupi na to, czy się mylę, jednakowoż pani źle robi. Widzianeż to rzeczy, tych pocziwych ludzi wyśmiewać, gderać, wódką częstować! A toć pani wiesz, co to u chłopca złotówka znaczy, a oni z krwawo zapracowanego grosza zebrawszy taką sumę, przychodzą, proszą, a pani dobrodziejka na psy dajesz 10 zł., chcesz muzyki kazać uczyć Emilka, w mieście żyć: kto to widział...

– No, kiedy źle, to proszę zabrać sobie te pieniądze, ja nic nie potrzebuję – i odwróciła się głową do ściany.

Pan Szymon postął jeszcze czas niejaki, nie wiedząc co zrobić z sobą; to chciał przeproszać, to znów wynosić się bez pożegnania, bo w pocziwem sercu obywatela wszystko się gotowało. Tarł więc czuprynę, szarpał i przygryzał wąsa przebierając nogami, gdy wpada Żarski ze zwiłkiem papierów mówiąc:

– Niechże pani będzie łaskawą wybrać sobie z te

go spisu przedmioty, które chce zatrzymać, bo plenipotent zgodził się na pozostawienie, ot, na tej kartce wypisanych rzeczy, a z reszty kazał wybrać za złp. ^0.

– Cóż to jest, on chyba żartuje sobie ze mnie!?!– krzyknęła zaperzona ex-dziedziczka, odwracając głowę.–Obdzierając mię do reszty, śmie pozostawić trochę gratów i 600 złotych.

– Ależ, pani, racz uważać, że on robi jej łaskę, bo do tego nie masz pani prawa: ja go ledwie o to uprosiłem.

– Piękna łaska, rzucać mi takie fatalaszki; pokażno, pan, ten spis!–A wyrwawszy go z gniewem, zaczęła przerzucać kartka za kartką szukając odpowiednich przedmiotów.–Proszę mi zostawić zegar pod kloszem...

– Cóż pani robisz? – zawołał, również pomarszczony, Józef–zegar oszacowany 400 zł.

– Drugi – mówiła dalej jakby nie słysząc jego uwagi – drugi, drugi, wazon z postumentem... i trzecie, zwierciadło z nad kanapy; wszak to akurat wynosi 600 zł.

– Za pozwoleniem, pani dobrodziejki mojej – przerwał, chwiejający się na nogach, Tarkowski – ale mnie się zdaje, za te pieniądze możnaby sobie wybrać coś użyteczniejszego.

– Dobrze, dobrze, wy tylko patrzycie na korzyści, na użytek, a ja na przyjemność; te rzeczy są dla mnie drogie, i tebym sobie życzyła zostawić.

A wtem rozległ się na podwórzu donośny głos woźnego:

- Mości panowie, licytacja się rozpoczyna! – Klacz kasztanowata lat 9.
- Mój drogi, panie Żarski, bój się ran Boskich, jeżeli mi cośkolwiek życzysz, nie pozwalaj! – krzyknęła zrywając się z łóżka.
- Ależ to nic nie pomoże, nie wstrzyma; chyba pani kupisz te konie.
- To dobrze, masz tu pan pieniądze, biegnij, daj co chcą, kup... ależ prędeż bo kto się pośpieszy!
- Cóż, parę, trzy?–pytał niechętnie Żarski.
- "Wszystkie cztery, mój drogi panie; ja tam zaraz idę, tylko się ubiorę. Panie Szymonie, bądź łaskaw, zawołaj też Wiktusi z sąsiedniego pokoju.
- Oh! co tego, to już zanadto! – krzyknął zaperzony obywatel... – Bądź mi pani zdrowa, jutro przyślę dwie fornalki, zechcesz pani, to pojedziesz na wójtostwo, nie, to nie–i wyszedł zaraz z Żarskim.
- Ażeby cię kaczkę zdeptały, grymaśnico jakaś!– szeptał, gramoląc się na podwórzec. – Za moje dobre, za moje dobre... Grłupiś, panie Szymonie, nadskakiwać babie, dyabli wiedzą na co i za co. Tfu, jakie to próżne, tfu, jeszcze raz... słyszysz, nie kupuj koni, nie kupuj, mówię ci, mój Józiu, zostaw ich tu do dyabła, niech sobie karki skręcają. Szkoda czasu i atłasu. Ot, wiess co, słuchajno, hej!...
- Lecz nasz bohater już stał przy stoliku, i postępując kopiejkę za kopiejką, kupił wreszcie ową parę, a zapłaciwszy, pobiegł uradowany do sypialni dziedziczki.
- Jest para, jest, za 860 zł.–zawołał wchodząc*

J

– 142 –

' * ' V

- Tylko para!
- A pocóż pani więcej, za resztę można będzie jaką bryczkę kupić.
- A fe! kto widział! Cóż pan myślisz, jabym jeździła jakąś tam bryczką? Lando trzeba kupić, lando.
- Ale bo i służący dopominają się o zaległą płacę, forszmanowi należy się za rok cały, kucharzowi także, strzelcowi za ordynaryę.
- A cóż-to uciekam? powiedz pan, że im później zapłacę.
- Kiedy oni chcą teraz, i cisną się tu z odgróż- kami do pokoju; kucharz wyjeżdża na nowe miejsce.
- I on śmiał bez mego pozwolenia!
- Forszman także.
- A to już koniec świata! Mój Boże, mój Boże—zawołała, spoglądając na sufit i załamując patetycznie ręce >— jak tylko noga się powinie, wszyscy odstępują, uciekają samowolnie... Ja tam zaraz wyjdę, niech pan z łaski swej przypilnuje tego landa.
- Ha, kiedy tak, to i ja żegnam panią.
- Jakto? i pan uciekasz, moje nieszczęścia cię odstraszą. Czy to uczciwość na tem zależy, ażeby schlebiać bogatym?
- Nie, pani, nie; miałaś dowód mej życzliwości, ale cudzym kaprysom dogadzać nie myślę, nie czuję się w obowiązku. Żegnam panią, życzę jej najlepszego dobra, najlepszej karety i jeszcze najdłuższej pomyślności.
- A gdzieżto tak młodzieniec leci? Hok! im po- 1

z woleniem – krzyczał pan Szymon, stojąc przy swojej dryndulce.

– Przepraszam pana, ale nie mam czasu, muszę postarać się o furmankę.

– A wolno spytać, daleko?

– Do Pińczowa, za Pińczów, do matki – trzepał rozdrażniony Żarski, chcąc jak najprędzej wyrwać się z tych miejsc tyle niu nienawistnych.

– Ale czekajno, widzisz, nie dokończyłem ci o ojcu twoim – mówił powoli nasz obywatel trzymając go* za rękę. – Starych znajomych tak się nie opuszcza; a ja, panie mój, u księżny S. kilka beczek soli z twoim rodzicem zjadłem. Ale czekajno – ciągnął dalej, patrząc na twarz niecierpliwującego się młodzieńca – ot, wiesz, podobałeś mi się, i powiem ci po przyjacielsku, nie rób głupstwa, jedź do mnie i basta!

– Kiedy ja ten...

– Co tam kiedy, pakuj manatki, bo ich tu pewno nie dużo, i marsz ze mną.

Widzisz, ja wdowiec, mam tylko jedno dziecko w domu; to ten, panie mój, oto może- byśmy się tak, i... choć ja to ta w te mądrości książkowe nie bardzo wierzę, no, ale... jedź i kwita, pogadamy potem!

– Ależ to jeszcze dalej od pana do Pińczowa niż ztąd, może i koni nie dostanie nając.

– Eh, fanfaron jesteś! Cóż-to? u mnieby się para szkapiąt nie znalazła... no, no, no, co tam ceregiele wyprawiać: wsiadaj!

– Skoro, pan dobrodziej, tak łaskaw...

– Co mam być łaskaw, pakujże prędzej, no a idź-

^

że – wołał, popychając go ku dworowi. – A jakie też z was dzisiaj marudy... Nie bój się, nie zginiesz, nie znudzisz się; mam ja ta w sąsiedztwie dwie ładne dziewczuchy, dalibóg, jak zobaczysz, to nie tak prędko odjedziesz. A bogate, mówię ci: dwie wioski czyste, panie mój, ani grosika długu. No, czegoż się ty ociągasz, maszeruj po tłumok!

I nasz Józef rad nierad, zachęcony, proszony, obligowany przez tego pocziwca, wpadł do swego pokoju, spakował skromny kufeczek, a nie pożegnawszy się na odjezdnem, tak pokryjomu prawie i bez wynagrodzenia, czmychnął dalej w świat z panem Szymonem.

Tego dnia wieczorem, licytację ukończono. Pan komornik zadowolony zupełnie, oddawszy papiery i gotowiznę przybyłemu plenipotentowi, poszedł jeszcze pożegnać się z ex-dziedziczką, a kłaniając się ile można najniżej, przeproszał, sumitował i zalecał dalsze służby swoje. Ma się rozumieć, ta biorąc to wszystko za żart z jego strony, obrzuciła biednego jurystę tysiącem obelg, wyrzekań i przyrzeczeń zemsty.

Ale na co się to wszystko zdało: eksmisya poszła zwyczajną drogą, plenipotent objąwszy zarząd, wpakował się na mieszkanie do dworu, zajął pokój po Żarskim, a pani Gąsiewskiej rozkazał wyprowadzić się w ciągu dni trzech, grożąc wyrzuceniem. Łatwo więc sobie wyobrazić jej ostateczną rozpacz, gdy chodząc szybkim krokiem po pustej i pobłoconej posadzce salonu, załamywała ręce, nie wiedząc gdzie się tu podziać, jak zarządzić. Cała służba naraz odbiegła: lokaj pozostał przy plenipotencie, kucharz, strzelec, forszman, przeklinając i pomstując nierzetelność swej pani, odjechali na

A. Wilczyński.—Tom YJIT.

nowe miejsca. Kochany Konrad z żoną, jeszcze pierwszego dnia licytacji, cichaczem wyjechał do jej brata, z którym już od S-go Jana wszedł do wspólni na gospodarstwo, a pieśczoeh Emilek przesiadując w stajni, czyścił sam konie, przejeżdżał, poił, w towarzystwie kilku chartów i ogarów, tak szczęśliwie ocalonych wśród powszechnego rabunku.

A tu znowu gromady żydków, z całą zapalczywo- ścią gniewu, dośó znaczną stratą podsycanego, wchodzili i wychodzili ze dworu, zostawiając w upominku nierzetelnej pani tysiące wyrzutów i obelg. Ów świeący salon, któryśmy przed niedawnym czasem widzieli tak przystrojonym, dziś zakrawał na istną dezertę arabią, bo prócz zegara, kolumny alabastrowej, dużego zwierciadła i kupy odłamków mebli, nic w nim nie pozostało. Kuchnia również przetrzebiona; przedpokój, kredens, czyściutkie, a tylko sypialnia co zachowała dawniejszą powierzchowność.

Drugiego dnia nad wieczorem, zajęchały trzy przyobiecane przez pana Szymona furmanki. Spakowano więc pozostałe ruchomości z pomocą przybyłych ze wsi włościan, zaprzężono parę cugowców do prostego chłopskiego wózka, i nad wieczorem, pyszna imość pokładając się od płaczu, całując kąty pustego domostwa i żegnając się z niemi na zawsze, musiała zamiast do karety, wsiąć do wózka, a zapuściwszy gęstą woalkę, ruszyła wśród zgromadzonego tłumu przychylnego i również zapłakanego chłopstwa.

Smutny to, doprawdy, był widok patrzeć na ten niejako pogrobowy orszak pańkości biednej kobiety. Trzy fury niezupełnie zapakowane, posuwały się zwolna

środkiem ulicy, a za niemi, jak delikwentka na śmierć skazana, siedziała na lichej wózczyźnie osłonięta czarną, zasłoną, niegdyś milionowa pani, właścicielka kilku wiossek, gwiazda salonów krakowskich, perła dowcipu, gustu i mody. Sic transit gloria mundi! taka dola nierozważnych zaślepieńców, którzy ufając w niewyczerpaność swych skarbów, nie dbając o jutro, jak pstre motylki płasają wiosną po kwiatkach życia, wysysając same ich słodycze. Wiosna nie jest wiecznotrwałą, słodycze kwiatów zmieniają się w kwasy, dostatki ludzie zabiorą, przyjaźń pieniężna i przyjaźń karmiona, odlecą wraz z ostatnim brzękiem monety, z ostatnią wonią półmiska, a fusy zwątpienia, rzeczywistość w postaci nędzy, żal przeszłości i trwoga przyszłości, zaleją duszę i serce i głowę oceanem rozpacz, zatrują każde tchnienie, jak gdyby wszystkie żywioły świata tego spiknęły się na ich zagubę!

Otóż taką jest nagroda próżności człowieczej! tak płaci ona swym sługom wzamian tylicznych poświęceń honoru i sławy, czci i wiary, łez i upodlenia, energii i czucia, dóbr i nędzy. Wszystko zdepcze szatańską mocą; wszystko ogarnie, pochłonie, strącając milionowe usiłowania w jeden marny puch nicości. A jednak tej świetnie strojnej tyrance, jeszcze nie zabrakło poddanych. Stami gromad biegają szaleńcy w jej ułudne podwoje, rzucają wszystko, poświęcają wszystko, aby choć raz tylko popatrzeć w jej fałszywe odbłyski, olśnić jej potęgą, dotknąć się mglisto nikłej szaty, a potem już skończyć, ale skończyć z żalem przeszłości.

Jeszcze jej niedosyć tego: całe plemiona, całe potomności garnie pod swoje skrzydła, mleko niemowląt

zatrzuwa, a w usta nowozaciężnego służalca, kładzie niejako słowa poety:

"A patrząc na to, jak drudzy tonęli,
Jam. wyrzekł w dachu: oni pływać nie umieli."

Tymczasem karawana przebywała wioskę za wioską. Ze wszystkich chat prawie, wylęgały przed sień kobiety, starcy i dzieci i ojcowie: jedni łączyli się do postępującego orszaku, inni płacząc stali na progach, póki tylko odjeżdżających dojrzeć byli w stanie. Bo też poczciwy a ubogi lud nasz, nigdy zakamieniałym być nie umie. Dręczysz go, biedzisz, katujesz, obdzierasz, on milczy z pokorą, a choć czasem oko zabłyśnie gniewem, to nigdy nad słabym lub nieszczęśliwym mścić się nie potrafi. Płacze całując rękę która go chłostała, i ten płacz z błogosławieństwem, jako jedyną własność swoją, przesyła szczerze za odchodzącymi.

To też kiedy już zmierzchać się poczęło, a cała kalwakata przyciągnęła pod krzyż stojący na krańcu dóbr Sliwickich, jak zapłacze gromada jednym rykiem boleści, jak się nie rzuci pod koła wozów czepiając się salopy siedzącej dziedziczki, jak zacznie całować i szlochać, to omal serce nie pękło z żalu biednej kobiecie, a zbutwiały ramiony krzyża zdawało się potrząść dreszcz litości i ziemia jękała bólem rozstania.

Choćby dla oszczędzenia tylko podobnej chwili, to niewartoż, panowie ziemianie, rzucić kiedyniekiedy szczyptą współczucia dla swoich pracowników, i nie frymarzyć z krwią zimną, z kredą w ręku, losem tej pięknej bożej ziemi, napojonej serdecznym potokiem pracy i łąz poczciwych kmiotków waszych!

I fury pomknęły znowu dalej, chłopstwo postawszy czas niejaki, ze spuszczonei głowy ruszyło się ku wiosce, a księżyc i gwiazdy roztoczywszy się po niebie, zdawało się, patrzą, tego dnia smutniej, jakby przyjmując udział w ogólnej harmonii żalu serc bijących żywiej na widok nieszczęścia bliźniego. Nie ujechali i dwóch mil, gdy noc okryła całunem ciemności tę ziemię, i jakkolwiek była to jedna z najpiękniejszych nocy letnich, choć księżyc dość grubym sierpem spoglądał ku ziemi, gwiazdy igrając po niebie, skakały tu i tam formując ogniste wstęgi; łąki i pola woniały odurzająco, a swawolny konik strzegotał nieustannie; w duszy jednak znękaney kobiety było tak czarno, w głowie taki zamęt myśli i wrażeń, że nieczując nawet chłodu i głodu, siedziała na wózku pół-śpiąca, pół-zapłakana.

Jechano noc całą i dzień cały, a dopiero ku wieczorowi, kiedy się już zmierzchać poczęło, powożący na pierwszej furze zawołał:

- Ot, chwała Bogu i Szymonów!
- Gdzie, gdzie? – zapytał ciekawie Emilek zeskakując z wózka.
- A tam, na górze, kaj są te drzewa wysokie.

. W samej rzeczy, skręcając z głównej drogi na prawo, nic prócz masy drzew na pochyłości góry stojących dojrzeć nie można było! Wązka drożyna coraz bardziej zagłębiająca się w wąwozik, wiodła do owego Szymonowa i nią też ruszyła mała karawana. Po obu stronach drogi zieleniły się krzaczki polnej róży, głogu i leszczyny, a bujna trawa zarastając rżęsiście, wraz z długimi warkoczami jeryzyny, formowały pewien rodzaj żywoplotu, zabezpieczający drogę od obsuwań ziemi.

Ujechawszy ze stajanie, nasi wędrowcy ujrzeli śliczną, ulicę wysadzoną już starymi drzewami, których gałęzie splótłszy się u góry, zacieniały wjazd do dworku. Przez bramę opatrzoną na wierzchu chruścianym częstokołem, wchodziło się na mały dziedzińczyk symetrycznie zbudowany! Zaraz na lewo od bramy stał maleńki przysiadły domeczek, z gankiem dwoma słupkami podpartym, za nim na skrócie spichlerzyk na podmurowaniu, za nim jeszcze głębiej leżą stodoły i stajnie z oddzielnym dziedzińcem. Na prawo znowu bramy, długa, nieco nowsza chata słomą przykryta, za mieszkanie służbie folwarcznej służąca; na środku studnia z długim żurawiem, dalej na wprost dworka warzywny ogród spuszczaający się po pochyłości góry, za nim równiutka łąka, a za nią znów drugi pagórek, lecz wyższy i w półkole wgięty, zarośnięty świerkowym lasem. Patrząc się z okien mieszkania na tak wdzięczny krajobrazik, zdawało się że u spodu przeciwległego lasu stoi rząd tylko ciemno-zielonych świerków, z tych wystrzela drugi, z drugiego trzeci, czwarty, aż do ostatnich wierzchołków maczających nastrożone szczyty gdzieś tam aż w błękicie nieba.

Malutkie to i skromne, lecz nadzwyczaj miłe ustronko stanowiło folwark Szymonów. Całości trudno opisać, bo tyle drzew dokoła, tyle różnych z białej brzeziny płotków, mostków, a nawet i altanek, że trudnoby po szczególnie oglądać każdy kącik, mający właściwy sobie powab. Dość będzie tego gdy powiem, że o takich ustroniach marzą właśnie poeci, śnią młodzieńcy znękani przeciwnościami losu, zawiedzeni w nadziejach, a starcy i wysłużeni emerycy szukają ich na zabój.

Lecz na umyśle pani Gąsiowskiej, ta prostota, wdzięk naturalny i te dwie skromne izdebki czysto wybielone, wydały się istotnym więzieniem, grobem za życia. Wszędzie jśj było ciasno i duszno, widok lasu monotonią, skrzeczący żóraw prawdziwą szubienicą, bujny sad dzikim lasem, a śliczny i równiutki dziedzińczyk miejscem zabawy kilkorga sześcioletnich dzieci.

Późno w noc ustawiono przecie w izdebkach świetne szczątki świetniejszej jeszcze przeszłości, przybito zaraz firanki, zawieszono obrazy i może około 2-iej z północy udano się po wielkich lamentach na spoczynek. Sama pani z tego zmartwienia, że alabastrowa kolumna z takimże wazonem w pokoiku pomieścić się nie mogła,

dostała gorączki wraz z okropną migreną.

*

* *

Nazajutrz, stosownie do rozporządzenia pana Szymona, stary karbowy, już od lat trzydziestu w tym folwarku mieszkający, oddał klucze i cały zarząd nowemu dzierżawcy. Emilek kontent że uczyć się nie potrzebuje, z całym zapalem rzucił się do gospodarstwa: jeździł po polach, krzyczał, odgrażał, jakby jaki dorosły dzierżawca. Karbowy kiwał tylko głową, mruzczał i robił swoje. Ale po tygodniu może takiej uporczywej wytrwałości, zaczęło się nudzić młodemu paniczowi; matka oddała mu resztki funduszu na najem ludzi do żniwa i inne potrzeby, a on też czując kilkaset złotych w kieszeni, zaczął robić wycieczki do sąsiedniego mia

sta, i tam na jarmarkach lub targach zabrał znajomość z młodymi, w sąsiedztwie mieszkającymi obywatelami. Naturalnie, że w rozmowach z nimi, obecna dzierżawka była tylko czasową, bo od S-go Jana ma kupić obszerne dobra; nikt go tu nie znał, więc po części i wierzono, zwłaszcza, że przy pohulankach miejskich w niczem poniżyć się nie dał. Tymczasem na rachunek już wymłó- cić się mianego zboża, usłudni żydkowie pożyczali małe sumki nowemu dzierżawcy, tytułowali jasnym panem, a biedniejsza młodź szlachecka, widząc tę jego butność i wierząc przechwałkom, miała go za coś wyższego, zazdroszcząc pokryjomu. Powoli, powoli, wszedł już i do niektórych domów obywatelskich, a że to był chłopiec przystojny choć młody, wtrącał dość często francuzkie wyrazy, śpiewał pocieszne aryjki przy gitarze, polował nieźle, a zmyślał jeszcze lepiej, więc przyjmowano go dość chętniej Panny miały z niego zabawkę, i dobrą parę nóg do tańca, młodzi gotowego na wszelkie hulanki i polowania, starzy zaś słabą ale hardą główiznę do pijatyki.

Tymczasem bićdna matka siedziała na folwarku jak jaka zakonnica. Emilek zagarnął wszystkie fundusze, sprzedawał zboże, opłacał najem, prowadził niby rachunki, wyrzekając na ludzi którzy im majątek zagrabili. Ile razy Emilek przyjechał późno z jakiej wycieczki, kochająca matka zaczęła robić mu wymówki; on czasem się tłumaczył, czasem przeproszał, a w końcu oburknął się jeszcze mówiąc:

– Cóż mama chce odemnie, żeby tu jak kapucyn siedział zamknięty; mama się już nażyła dosyć, pozwól więc i mnie zabawić się czasem.

- Ależ, moje dziecko, to zawcześnie...
- Eh! co ma być zawcześnie, wszyscy powiadają i młodzi i starzy, i panny i matki, że jestem sobie walny chłopiec. A żeby mama wiedziała jak mię przy- mują, jak serdecznie poją i ściskają, to doprawdy warto czasami i głupstwo zrobić. Ot i przeszłej niedzieli, w Za- torzu, tańczyliśmy wybornie: ja zamówiłem sobie mężatkę do pierwszej pary, stajemy, a wtem jakiś marymont- czyk wyrywa się przedemną. Atande! krzyknę, ja mam starszą damę; on nie słucha, a tańczy. Więc ja też jak przypadnę do niego, jak zacznę krajać słowami, to po* wiadain mamie, starzy pokładali się od śmiechu, a panny omal, że mię nie nosiły na rękach.
- Czy tak?—przerwała matka patrząc się dotąd na swojego kanaczka jak w tęczę.—Daj buzi, dobryś ty chłopiec—mówiła całując go w czoło z całym wylaniem macierzyńskiej radości. —Tylko się nie awanturuj, moje dziecko, żeby cię czasem nie skrzywdzili; wszystko dobre, ale grzecznie, uprzejmie.
- Oh! niech się mameczka o mnie nie boi, dam ja sobie radę.
- No, ja wiem, tyś nie zawiódł moich nadziei; zasługuj się, zasługuj, a może i niedługo ujrę cię żonatym i dotego z krociową panną.
- Nie—wyrzekł bardzo seryo Emilek—wie mama, ja nie mam najmniejszej ochoty do żenienia się: bodaj to kawalerski stan...
- Ależ ty żartujesz, kochanie?
- Jak Boga kocham, tak prawda.
- No, no, zobaczymy... przyjdzie to... – i piękna

mameczka pogłaskała śmiejącą się twarzyczkę chłopca.—Ale żebyś ty wiedział co ja cierpię nad tem, że nie- mogę widzieć takich tryumfów mojego pieszczocha?

— Darmo, proszę mamy; mnie to ujdzie bywać samemu, mama zaś, musiałyby przyjmować u siebie; tu zaś...

— Oh! nie, nie, wolę już zanudzić się na śmierć w tej pustelni, niż gorzeć od wstydu i upokorzenia. "Wiesz, jak tu jesteśmy, ja jeszcze i w kościele nie byłam; bo czemuż pojedę, wozem drabiniastym albo w pół- koszkach? niechnoby kto się zapytał...

— Tak, dobrze mama mówi, i w domu się można wymodlić; Pan Bóg wszędzie przyjmie, a na mnie już krzywoby patrzeli...

— No, ale powiedzże mi, czy oni to nie wiedzą o naszym stanowisku?

— Co mają wiedzieć — zawołał, śmiejąc się Emilek—cóż to mama myśli, że ja taki głupi i prawdę wygadam. Wszędzie głośzę, żeśmy w Sandomierskiem sprzedali ogromne dobra, a chcąc w tych stronach kupić inne, tymczasowo na zimę przenieśliśmy się na to wójtostwo.

— A młodzi nie mają ochoty odwiedzić cię w domu?

— To tóż ich uprzedzam, że mamy szczupłe mieszkanie, że mama chora ciągle!...

— Wybornyś, Emilciu, wyboryś, to mi jest dobre wychowanie; wiesz, kocham cię jeszcze bardziej za takie dowcipne znalezienie się. Nie zginiesz, nie, moje dziecko—i ucałowała go znów po kilkakroć tuląc w obję

ciach! – Ale z kąd to taki rozum, z kąd taki układ; cho- ram niby: dalibóg tyś nieoszacowany, Emilciu!

– Eh! proszę mamy, cóż to wielkiego? świat wszystkiego wyuczy, a zresztą zmyślać tak łatwo. Wie mama, mnie się zdaje takem się już wprawił, że ani się skrzywię, ani mrugnę...

– Dobrze, prześlicznie, na zręcznym udawaniu więcej zależy, nie na najjaśniejszej prawdzie: zaraz cię inaczej uważają, a to zdaje mi się miłszem jest niż gdy- by cię palcem wytykano żeś biedak i niedoświadczony. A zresztą i z urodzenia masz do tego prawo: ojciec mój a twój dziadek był przecież ostatnio kasztelanem: wiesz, jakto ślicznieby wyglądało, żeby cię tytułowano kasztelanem. O, panny jakby to robiły słodkie oczki, mamy przyjmowały uprzejmiej... Tak, możnaby czasem i z tem się wymówić nie bardzo znowu wyraźnie, ale od niechcienia rozmawiając o dawności rodziny, o krwi i t. p.: pojmujesz! A jak kupimy powozik, to się każe herb odmalować, mam jeszcze takie guziki, przyjmujemy chłopaczka ze wsi, ubierzemy w cynamonową liberyę, i mój Emilek kompletny kasztelanem...

Otóż na takich i tym podobnych projektach, pogadankach i marzeniach przyszłej świetności, ubiegały chwile moralnych zajęć naszej rodziny. Czasami Emilek przyniósł jakiś romans francuzki, więc mama czytywała płacząc nad losem bohaterów, a młody synek śmiał się z jej czułości i prawie zawsze szczęśliwie usypiał. O Bogu, modlitwie i mowy nie było: pani Gąsiowska już nauczyła się w tem nowem więzieniu zbywać ciężko wlokące się godziny, dni i tygodnie, Z rana o 10 pijała kawę w łóżku, potem spoczywała do drugiej, pół marząc,

pół śpiąc; zjadłszy mizerny obiadek, ubierała się niby z godzinę, potem przeglądała suknie, porządkowała bieliznę, odczytywała pewną ilość dawniejszych listów miłosnych, wzdychała, płakała i tak schodził dzień Boży. Wieczór herbata, książka, śpiewy i przechadzka, dopełniały mozolną pracę.

W pięć tygodni może od czasu zadzierżawienia nowego wójtostwa, jedna osoba powiększyła nadspodziewanie to kółko skromnego dworku. Cioteczna siostra samej pani, ta dobrej tuszy, rumiana, lubownicza piesków, którąśmy przy pierwszej wizycie Żarskiego jeszcze w Śliwicach widzieli, spadła jak bomba wraz z czeredą szczekających Zefirków, nie Zefirków, Tangalów, Burgalów, dużego kufra i większego jeszcze zawiniątka. Mama przyjęła ją z otwartymi ramionami, spodziewając się odżyć nieco w jej towarzystwie i zarazem pozbyć uciążliwych wydawań ze spiżarni; Emilek zaś, choć złożył na czerwonej prawicy cioci ogniste pocałowanie, jednakże skrzywił się nieco, raz z powodu powiększenia się wydatków, a powtóre że ciocia dobrodziejka nudziła go piękniemi i dziwnie uczuciowemi perory, dzisiaj zupełnie dlań zbytecznemi.

Tłuściutka ciocia, wcale na to nie zważając, kazała znieść tłumoczki i ani pytając się, odrazu wkwaterowała się do sypialnej izdebki siostry. Potem przy herbacie dopiero, zaczęła opowiadać, jak ona to wyjechawszy na tydzień przed licytacją do swojej krewnej, tam bawiła przez sześć tygodni, jak jej Milutka chorowała na kaszel, a Zefirek nóżkę sobie skaleczył, jak wróciwszy do Śliwic' zdziwiła się nie zastawszy nikogo, jak ledwie trafiła do tego przebrzydłego folwarku i t. p.,

zaś na drugi dzień już rozgospodarzyła się na dobre szyjąc nowe pierzynki dla piesków i pilnując kuchni.

Skończyły się żniwa, zboże na gwałt prawie młócono w stodołach, bo młody gospodarz sprzedawszy już dawno pszenicę, musiał ją wreszcie i odstawić. Kartofle jeszcze spoczywały w zagonach, czas wielki do kopania, karbowy drapiąc się w głowę, kilka razy dziennie przypominał; ale cóż kiedy ludzi nie było za co nająć, bo kasa pusta, a tu jeszcze jak na dobitkę wszelkiego nieszczęścia, przypadała rata podatków. Zasmucony Emilek kręcił się po miastach, prosił, obiecywał wielkie procenta; lecz serca żydowskie okazały się twardszemi.. od samego granitu, a upominając się o dawniejsze długi, nawet grosza pożyczyć nie chcieli. Napróżno im przekładał, że najawszy ludzi wykopie kartofle, omlóci groch lub żyto i odda; gdzie tam, żydzi potrząsali tylko pejsami, wówiąc: – niech będzie rżyto, a gdzie kartofle? – i tem pozbywali netręta.

Pierwszy raz będąc w podobnych kłopotach gospodarskich, myślicie że nasz Emilek upadł, lub udał się z prośbą do majątnych przyjaciół albo sąsiadów? Nie, on płonął rumieńcem wstydu, na samą myśl odkrycia swej biedy; matce także nie chciał mówić, raz obawiając się wyrzutów, powtóre że ta gotową była wziąć na siebie dalszy zarząd gospodarstwa. A tu o podatki wzywają, egzekucya za egzekucją jeździ do dworu, kartofle gniją w ziemi, a pieniędzy jak nie ma, tak nie ma.

Jednej więc nocy, kiedy cały dom zdawał mu się zupełnie uśpionym, wstaje nasz bohater z łóżka i stąpając cichutko na palcach, podsuwa się milczkiem ku łóżku śpiącej matki, chwyta niewielką toaletkę stojącą przy

niem na stoliczku, wychodzi napowrót do pierwszej stancyjki, otwiera zręcznie zamek, a wyjąwszy kilka brylantowych pierścionków z takimiż kolczykami, blady, drżący, z najeżonym włosiem, ustawia w dawniej szem miejscu.

– Mam – szepnął uradowany – chowając pod poduszkę zabrane kosztowności – zręcznie, ślicznie. – Stało się – szepnął stróż anioł do ucha – okradłeś matkę, wróć się! Lecz biedny głos jego nie poszedł do serca, potrzeba, bojaźń wstydu, wstrzymały jego kroki, rzucił się więc na łóżko jakby pijany, zatykając uszy;* wszelkimi sposoby chciał zagłuszyć ostre wyrzuty sumienia, które nieustannie cisnęły mu się głębiej, odpędzając spokojność a z nią i pożądany sen.

Całą noc przemarzył w okropnej trwodze: dziwne widziadła, jak krwawe trupy z rozdartą piersią stawały mu przed oczyma wrzeszcząc zajadle: – złodziej! złodziej! – a wszystkie zdawały się mieć rysy matki, wszystkie szarpały go rozpalonemi kleszczami, gryzły z wściekłością błyskając ogniem piekielnym i straszną pogroźką zemsty.

Dzień się ukazał, pierwsze brzaski jego przedzierając się szczelinami okiennic padały na twarz znękanego chłopca; zerwał się więc czemprędzej, a odrzucając przykre wspomnienia marzeń, jak ów jeleń pędzony zgrają gończych, dosiadł konia uciekając ku miastu. W drodze ominął go pierwszy popłoch, zaczął rozmyślać, tłumaczyć się, bronić przed własnem sumieniem, i jakoś zręcznie potrafił oszukać jego czujność, że już z weselszem okiem i myślą więcej swobodną, pukał do mieszkania jednego ze znakomitszych lichwiarzy:

— A z kąd to pan masz?—zapytał izraelita, obejrzawszy kosztowne przedmioty.

— No, od matki, ma się rozumieć — odrzekł nieco zarumieniony.

Żyd widział to pomięszanie chłopca, lecz zysk był wielki; zastaw bardzo pewny, a przytśm termin zbyt odległy, więc potargowawszy się jeszcze, zaliczył mu kilkaset złotych, żądał formalnego pisma sprzedaży, z zastrzeżeniem wszakże odkupu.

Emilek na wszystko się zgodził, przysięgając w duchu odebrać to jak najprędzej, a porwawszy pieniądze, pędził co tchu do domu.

Sądząc że matka już dostrzegła brak klejnotów, możecie sobie wyobrazić, z jakim-to strachem, z jakim wahaniem się wchodził do jej pokoju, złożyć zwyczajne przywitanie.

— Co ci jest, Emilku? —krzyknęła strwożona kobieta przyskakując do niego.

— Nic* kochana mamó— mówił blady jak ściana, całując ze drżeniem jej rękę.

— Ależ, takiś zmieniony?

— E! bo słabo mi się zrobiło; spać nie mogłem i przed godziną wyjechawszy na świeże powietrze, tak jakoś... ale już mi lepiej, niech mama będzie spokojną.

Wkrótce potem przekonawszy się że matka nic nie wie, ochłonął nieco, wypił kawę i zarządził najem ludzi do kopania kartofli.

* *

*

Ponieważ nie jednemu z czytających, kochany nasz Emilek wydawać się może sprytniejszym nad wiek swój, prawie do dzieciństwa liczyć się mogący, więc niech mi tu wolno będzie rzucić kilka słów o dzisiejszym systemacie wychowania młodzieży. Pominąwszy mnóstwo wad, jakimi teraźniejszość zarzuca pradziadów naszych nie patrząc na ich swary, niezgody, bójkę i pijatyki, a uderzywszy się w piersi z całą pokorą, przyznać musimy, że surowa metoda ówczesnego prowadzenia dzieci, daleko, o bardzo daleko dzisiejszą zostawiła za sobą.

I jakkolwiek mało znajdziemy takich, coby nie tęskniąc za osobistą przeszłością, nie widząc jej w daleko żywszych kolorach, zarazem nie utyskiwali nad ogólnym zepsuciem nowo-wzrastającego pokolenia; wszelako w dzisiejszych czasach, ludzkość tak szybko biegnie po drodze reform, iż lat kilka życia stanowią ogromną różnicę i że tak powiem nową zupełnie epokę. Dawniejszy systemat wychowania zasadzał się jeżeli nie na postępie, to i nie na cofaniu się; szlachcic edukował syna takim samym sposobem jak jego edukowano i tą jedyną acz na pozór maleńką okolicznością, zdołamy sobie wytłumaczyć kilkowiekowe chwianie się ogromnej maszyny bezrządu i nadużycia!

Teraz wcale inaczej rzeczy te stoją. Dziesiątek lat, to okres zmian niesłychanych w wewnętrznym życiu naszym. Pokolenia za pokoleniami, w nadzwyczaj krótkich peryodach wschodzą, okwitają i nikną w ogólnym przewrocie. Postęp, to nieokreślone dziś słowo, ta stu-barwna i mieniąca się ustawicznie potwora, niemal co dzień, co godzina przesyła ludzkości nowe prawa, nowe zwyczaje, nowe formy, a wszystkie nietylko coraz lepsze,

coraz zupełniejsze, coraz praktyczniejsze, a najgłówniej użyteczniejsze.

Prawda, uświęcona dziś poklaskiem świata całego, jutro staje się błędnym sofizmatem, gładką hypo- tezą lub piękną fantazją; krzyczymy: nowości, nowości, na każdym kroku! a gdy przyjdzie nowość, to ją połykamy w minutę i znów swobodne usta krzyczą jak dawniej: nowości! Dokąd to zaprowadzi? Bóg jeden wiedzieć raczy; bo zdaje się, jeżeli podobną drogą świat pójdzie z jaki lat dziesiątek, wrócą się pono czasy budowy babilońskiej wieży; pomieszamy i języki, ku czemu makaronizm już ściele wolniutko pierwsze zawiązki, a nowy projekt utworzenia wspólnego języka zdaje się potwierdzać to żartobliwe mniemanie.

Nic więc dziwnego, że w tak ogólnym ruchu, pojedyncze jego ogniwa jakimi są ludzie, prędzej zużytkować muszą i tak króciutkie już istnienie. Kres życia człowieka skurczył się już znacznie, młodość prawie zniknęła, a z nią i prawdziwa poezja; obowiązki, prawa, zwyczaje, poblady w oczach postępowców; czucie zaś, wiara, poświęcenie i miłość, poszły sobie do księgi wspomnień wiekowych, albo jęcząc pod piórami doktrynistów, wyłażą na świat w kształcie dziwolągów, z których wszyscy śmiać się tylko muszą.

Każdy stara się aby jaknajprędzej, jak najprzyjemniej spożytkować to szlachetne życie, którego wartość olbrzymieje na każdym kroku. Dzieci stają się mężami, kwiat ich pobytu na ziemi opada już wtenczas, gdy u pradziadów naszych w pączek się zawijał, dojrzałość zmienia się w moralne i fizyczne niedołęztwo, zionące tchem zepsucia na lat już kilkadziesiąt.

W piętnastym roku życia, ukończywszy szkoły pa- niczyk, ba nawet i wcześniej, zasiada z pocziwym tatką do preferansa, pali na zabój przy gościach, papierosy przez mamę zrobione, chodzi na bale, pije bardzo wprawnie jeżeli ma za co, mięsza się do każdej rozmowy, wie o wszystkim, odbierając tysiące pochwał od pięknej i nie pięknej połowy rodzaju ludzkiego. O wiadomości, nauki, przeszłość, literaturę, ani się go pytaj. Bo na co mu takie mozoły, które szkołą tylko pachną, których nikt nie wymaga, od których uciekają panny, koledzy się śmieją a z prawa należąc do wyłącznej klasy uczonych, filozofów i literatów, chleba nie dają, majątków nie przysparzają i serc posażnych panien nie zjednywają. Jeżeli sama cześć i uszanowanie dla rodziców tak bezecnie sponiewieranemi zostały, jakżeż więc wymagać tego dla osób innych, obcych nam związkami krwi, od których pieniędzy nie potrzebujemy, a sukcesyi żadnej nie mamy na celu.

"Więc nie dziwcie się wcale, kochani czytelnicy, że Emilek w 17 roku życia swego, już w kilka tygodni skoczył z dzieciństwa w dojrzałość. Takie przejście mające grunt jak najkorzystniejszy, przy współdziałaniu kilku wytrawnych mentorów, ich szyderstwach, zachęceniach i wyżej przytoczonych okolicznościach, nadzwyczaj szybko się odbywa.

No, ale i tak już dosyć tych autorskich popisów: darujcie mu w imieniu miłości własnej, boi niejednemu z was zdarzy się podobna chwila zapomnienia, lecz wróćmy znowu do p. Emilka.

Kończył się już wrzesień, sprzęt z pola zwieziono, siewy się rozpoczęły, choć znacznie szczuplejsze od ze

szłorocznych, jak twierdził karbowy; lecz Emilek miał zmienić rodzaj gospodarstwa na wiosnę i tem się usprawiedliwił przed matką. Pieniądze płynęły jak woda: polowania stawały się coraz częstszymi, preferans choć po dziesięć groszy punkcik, podobał się młodemu dzierżawcy, zjazdy w sąsiednich miasteczkach z powodu odbywających się tam jarmarków i zapasu zboża w stodołach, bywały tak liczne, że pan Emil w braku lepszych okoliczności, powtórzył sobie raz, drugi i trzeci ową nocną wycieczkę do toalety kochanej mamy dobrodziejki.

Ale tu zbliżał się święty Franciszek, na walny jarmark już gotowało się obywatelstwo, Emilek dał słowo że będzie; pieniędzy jak na złość zabrakło w skutek również braku kosztowności w toalecie, zboża miał kilka korcy, długów co nie miara, więc znowu przyszły smutne chwile rozmyślań i desperacji.

"Wiedział on wprawdzie, że ciocia kochana ma tam jakiś zapasik w kufierku, ale ten miał zamki dobre, kluczyk siedział jak zaklęty w dużej skórzanej kieszeni, o dobrowolnej zaś pożyczce ani myśleć, bo ciocia na wszelkie dawniejsze prośby była niewzruszoną i głuchszą niż zwykle, odpowiadając zawsze temi słowy:

– Wzięliście już dziesięć tysięcy i nie oddali, więcej nie dam, gdyż z głodu pod płotem umierać nie myślę.

To też w niedzielę z rana, na drugi dzień po św. Michale, uroczyście i hucznie u jednego z sąsiadów obchodzonym, wracał konno nasz bohater do domu. Twarz jego bladą, zmęczoną, wykrzywił teraz niepokój trawiący go już od tygodnia; pieniędzy nie mógł dostać,

a za trzy dni w pobliskim mieście rozpoczynał się ów jarmark walny, na którym jeszcze nie był, a zatem i miana obywatela wytrawnego pozyskać nie mógł. W siedemnastoletniej głowie chłopaka, kotłowały się prawie tysiączne projekta, proste i skombinowane, czyste i niby mniej czyste, wielkie i małe; ale jak to mówią, z próżnego i Salomon nie należy, tak też i z tych rozmyślań ani grosza wycisnąć się nie dało. Zły więc i skwa- szony wjechał powoli na dziedzińczyk, oddał konia służącemu, a otrzepując szpicrutą pokurzone suknie, wszedł do pokoju:

– Tstt! – szepnęła ciocia, trzymając palec na ustach—matka słaba, śpi...

– Eh! co tam, i ja chory, moja ciociu.

– No, a cóż ci jest? – wyrzekła, patrząc nań swemi blademi oczyma – może rumianku kazać ugotować?

– Idźże sobie ciocia z swoim rumiankiem! – burknął zadąsany chłopiec, i machnąwszy rękoma, zaczął powlekać nogami po pokoju, szeleszcząc niemiłosiernie. Usiadł na sofie, potem się zerwał i usiadł znów na krześle; dalej z kolei rozwalił się na łóżku, a mierzwiąc obfitą i długą czuprynę, powstał ziewając głośno:

– Eh! żeby ciotunia wiedziała jak ja jestem biedny!—odezwał się, patrząc jej miłosiernie w oczy.

– A cóż ci to brakuje?

– Wszystkiego, moja ciociu, i pieniędzy i garderoby i zdrowia.

– Dobrze ci tak! mówiłam, nie hulaj, nie pij, boś ty młody.

»– "Więc ja mam tu siedzieć jak pustelnik? Czy na to Pan Bóg dał mi młodość, dzierzawę i krew obywatelską, żebym tu gnił, jak, jak... Oho! nie będzie nic z cioci morałów; mama tak chce żebym jeździł, hulał i będę hulał!–dokończył palnąwszy pięścią w stół.

– A jak ci się podoba – odrzekła bardzo obojętnie ciotka, zbierając porozrzucany ubiór siostrzeńca.

On tymczasem znów powlókł nogami, ziewnął, przeciąg nął się, a spluwając po wszystkich kątach zapytał:

– No, niechże mi ciocia poradzi?

– A cóż tu radzić. Nie trać, oszczędzaj, to się znajdą fundusze.

– Eh! moja ciociu, ciocia tak mówi jak zawsze; milionów przecie nie wydaję, bo ich nie mam, a żyć muszę jak drudzy, boby mię wysmiano w okolicy...

– Czemuż to Tarkowski...

– Ba, Tarkowski, dziedzic z ekonoma! jakie mi przyrównanie. "Wie ciocia co on powiada, kiedy mu wymawiają, że żyje kartoflami z solą i barszczem?

– Nie wiem.

– Że nie ma ciała szklanego, to tam nikt nie zobaczy co się wewnątrz znajduje. Ha, ha, ha! wyborny.

– I rozsądny – dorzuciła ciotka – ma się tśź -dobrze.

– Co mi po takim dobrem, kiedy się go nie użyje; u mnie, widzi ciotka, inaczej: jest, to hulaj duszo, niema, to stul buzię i sza.

– Więc zrób tak.

– Ba, i ja bez cioci tę sztukę potrafię, ale za trzy dni jarmark, muszę jechać, tyle mam sprawunków...

– Ale, ale, mów ty sobie co chcesz; ja ci tylko powiem, że z taką metodą niedaleko zajedziesz na gospodarstwie.

– Ha i cóż robić, to już w naturze naszej leży: ojciec nieboszczyk tak robił, stryj...

I po takim argumencie, przylazł znów do łóżka rozkładając się jak długi. Ciocia zaś, otworzywszy w ścianie osadzoną szafkę, po kolei wystawiała jedną za drugą butelkę, i obcierając, oglądając, ustawiała je napowrót po półkach. W kilka minut, Emilek wyczerpnąwszy cały zapas projektów w podchmielonej jeszcze głowinie spoczywający, spojrział niechętny ku szafce, i widząc, że ślinka napłynęła mu bujniej na usta, bo zbliżywszy się ku niej, milutko przemówił:

– A dajno mi cioteczka kieliszek jakiej pomarań- czówki, to może mi i sensu przybędzie.

– Widzicie go, co mu się zachciewa – oburknęła ciotka zamykając z pośpiechem szafkę, a klucz chowając do kieszeni.—Taki dzieciak już do kieliszka, samby chciał wszystko powypijać, a jak się kto trafi...

– To i dla niego się znajdzie; moja ciotuniu kochana, malutki, bo mię tak mgli – i zbliżył się chcąc ją pocałować w rękę.

– A idźże ty sobie, a dajże mi święty pokój, je- szczeć tego brakowało, żebyś się rozpił. No, no, moi państwo. Po trzeźwemu wyprawia awantury, a cóż dopiero zalawszy...

– Jakie awantury, ciociu? – zapytał patrząc jej w oczy.

- A wczorajsza z żydem, he?
- Ha, ha, ha!—zaśmiał się głośno, trzymając ręce w kieszeniach—pyszne też to było, nieprawda?! Dobrze że mi też ciotka przypomniała; jakem się uśmieł serdecznie, to o mało mię kolki nie sparty! Bo ciocia wszystkiego nie widziała, i jak moja Lotka zaczęła operować Szmula i tu i tam, i za bok, a mój żyd w niebo- glosy:—gwałt! pójdiesz paskudniku, aj waj!—To heca czysta, jak mamę kocham, heca...
 - Wstydz się, Emilku, wstydz, takim być awanturnikiem, to nie po chrześcijańsku...
 - Z żydem?—przerwał jeszcze cały zaczerwieniony od śmiechu. — A pocóż on tu przychodzi: winienem, to oddam, zresztą jak mi Orzeszyński powiadał, to jednego jeszcze lepiej uszlachcił, bo złapał go za brodę siedząc na bryczce, a na furmana zawołał: "jedź!" Skarżył go, jak mówi, ale świadków nie było i przepadło. Mojemu tylko psy takich narobiły frendzli z hałatu, że doprawdy, niech się ciocine u firanek schowają!
 - Nie bój się, oni ci to odpłacą.
 - Dobrze, niech płacą, ja gotów brać; ale dajno ciotka tej pomarańczówki, moja ciotuniu.—I nie czekając pozwolenia, sięgnął tak zręcznie do kieszonki, że nim się kobieta zdołała obrócić, już Emilek był przy szafce.
- Na ten hałas, obudziła się widać matka, bo dał się słyszeć głos jej z drugiego pokoju:
 - A co to tam?
 - Ja, mameczko, ja—przemówił Emilek obciera- jąc usta i wchodząc do pokoju.

- Moja kochana, skarć go też–zawołała rozgniewana ciotka–omal się nie pobił ze mną o wódkę.
- Cóż-to, Emilku, proszę się nie zapominać! Jak uważam, od pewnego czasu już nas tu za nic masz, co?–Źle, zamiast być coraz grzeczniejszym, to ty przeciwnie robisz się jakimś grubianinem.
- Ależ, moja mamó, cioci to wszystko zaszkozi: żartowałem...
- Zkądże to się tak wraca dopiero na drugi dzień?
- Przecież mówiłem mamie, że jadę na imieniny; jakeśmy się bawili, co za towarzystwo, kolacya, wino, panny, i hrabia L. był z córką...
- Tak, no, proszę–mówiła uśmiechnięta mama.
- Wszystko było pięknie, wystawnie, elegancko, tylko gospodyni sama zrobiła mi bardzo przykrą wymówkę.
- Jakąż, mówże?
- Że mieszkając tu od dwóch miesięcy blisko, mama nie raczyła oddać jej wizyty. Tłumaczyłem, że chora, że ten... nie może, ale to na nic się nie zdało i musiałem przyrzec, iż w tym miesiącu złożymy jej uszanowanie...
- O! moje dziecko – przemówiła,-uszcześliwiona takim wybiegiem syna, Gąsiowska – z największą przyjemnością, ale czem pojedę, powiedz sam?
- To też za trzy dni jaimark, trzebaby kupić jakieś powoziątko.
- A trzebaby – odrzekła westchnąwszy – tylko masz za co?

Emilek za całą odpowiedź, pokazał głową siedzącą pod oknem ciotkę.

Matka również mimicznie potrząsała przecząco, że na nią nie ma co liczyć.

I znowu zaczęli rozmyślać oboje. Po twarzy matki, rozpromienionej nadzieją dobrej zabawy, przebiegał chmurkami uśmiech szczęścia, oczy świeciły milej, brew się rozciągnęła jakby od nacisku przerzucanych po głowie projektów, a patrząc się badawczo po pokoju, naraz zawołała:

- Jest, dobrze: mamy fundusz!
- Zkąd?
- Przecież moje biżuterie nietknięte; oh! doprawdy, że ja też o nich

zapomniałam.

Emilek drgnął poblądłszy jeszcze bardziej, lecz natychmiast się upamiętał, i chwyciwszy za rękę matkę otwierającą toaletę, krzyknął:

- Nie, nie, kochana mamo, na to nie pozwolę!
- Dlaczego?

– Nie, to dla mamy jest szacowną pamiątką, tej pozbycie byłoby ciosem dla nas; a zresztą mama potrzebuje się ubrać, żeby nas przecie za coś mieli. Nie, ja tu wynajdę inny sposób.

– Poczciwe dziecko, moja jedyna pociecha i szczęście– odpowiedziała matka przyciskając go do siebie z wyrazem niewypowiedzianej wdzięczności.

– Patrzaj mama, patrzajno mama! – przerwał biegnąc do okna i klaskając w dłonie–jak się to wszystko dobrze składa, ot, jada żydki, sprzedam im groch, będą pieniądze!

W samej rzeczy, kryta bryka żydowska przeprowadzana chórem szczekającej rzeszy, wtoczyła się zwolna na podwórzec. Nowo przybyli otrzepując w ganeczku zakurzone rewerendy, weszli doń pokornie do pierwszej izdebki; Emilek wybiegł na ich spotkanie, przywitał serdecznie, prosił siedzieć i kazał podawać wódki, araku, śliwek suszonych, które pan Haimek lubi i t. p.

– Przepraszam was, moi poczcwi, moi dobrzy \$ siedźcie sobie tu, jedzcie, pijcie, ja tylko na momencik wypadnę do stajni, bo oto przyprowadzili mi świeżo okute konie, i zaraz wrócę.

Ale zamiast do stajni, młody dzierzawca pobiegł koło śpichlerza do gumien, gdzie resztki domłacano żyta i zdybawszy starego karbowego, szepnął mu na ucho:

– Słuchaj, jak ja tu przyjdę z żydami i zapytam o groch, powiedz, że go będzie z 15 korcy, że tu leży pod sianem w zapolu: rozumiesz!

– Ale, proszę pana, kaj to ta nie będzie jak z 5 korcy; dawnemi laty wiecej bywało...

– Głupiś stary! co ci to szkodzi powiedzieć kiedy ja ci każę.

– Nie, panie, nie – odrzekł stary, kiwając głową z pewnym uśmiechem – tego nie zrobię, to grzech łąć przed drugimi.

– No, to idźże sobie z Panem Bogiem ze stodół—a obróciwszy się do młócących, powtórzył to samo z obietnicą poczęstowania ich wódką. Potem tą samą drogą zbiegł ku dworkowi i gwizdząc wesoło, zapytał gości:

– No, a cóż tam w mieście, moi kupcy?

- Wsistko dobrze, chwalić Pana Boga—odezwał się wymowny Haimek.—A u wielmożnego pana co szli- chać? urodzaje dobre, zboże pleni?
 - Jak nigdy – odrzekł, z całą żywością Emil – zasiewy skończyłem, żyto się młóci, groch...
 - W. pan ma już groch gotowy?
 - A było go na wierzchu parę fur, kazałem omłó- cić, resztę znowu przyłożono sianem; trzeba kazać wydostać: ale jaki ładny!?
 - I wiele go będzie?—zapytał drugi kupiec, snać nie wielki mówca, bo cały się zaślinił, zaperzył nim to wybąknął.
 - Hm, nie wiem – rzekł niby obojętnie Emil – trzebaby się spytać.
 - Z przeproszeniem W. pana—odezwał się Haimek z widoczną chęcią uśmiechnięcia się – teraz kiedy mi się z łaski W. pana już napili i najedli, to możeby przeszli do gumna.
 - A no to pójdźmy, obejrzycie i groch.
- Więc pan Emil z Lotką, Chybką i szpicrutą na przodzie, stąpając zamaszysto, prowadził za sobą dwóch żydków, którzy nie mogąc mu nadążyć, trzęśli pejsami podskakując żwawo i płącząc się w fałdach długiej re- werendy.
- Słuchajno, Sobek—odezwał się z całą powagą nasz dzierzawca stawając na progu stodoły.—Dużoście omłócili żyta?
 - Ze sześć korcy, ale co tu jest, proszę W. pana, grochu pod sianem, to z 15 fur.

– Sigste! – szepnął jeden kupiec do drugiego, i zaczęli się coś naradzać szwargocząc po swojemu.

Pan Emilek, snać nie mając już nic więcej do pokazania w stodołach, zaprowadził ich do śpichrza, w którym oprócz 3 korcy żyta przeznaczonych na dziesięcinę, było jeszcze ze dwa korce grochu, trochę owsa i kilka miar ćwierciowych, Żydki obejrzawszy do słońca żyto i groch, spróbowałszy w ustach, zwiążali sy- pełki z tychże, wyszli niechętnie za panem dzierżawcą, a postępując zwolna ku dworkowi, Haimek się odezwał:

– Ny, jak widzę u W. pana wsickiego jest dosyć.

– A jakżeś ty myślał – przerwał, śmiejąc się

Emil.

– Ja tak zawdy miślał, ale ludzie... – i machnął ręką nie dokończywszy zdania.

– No i cóż ludzie?

– Jak ludzie – ciągnął dalej przymilająco Haimek – obgadali różnie W. pana, że tu pustki, że długi już są, że gospodarstwo kiepskie...

– Wiesz Haimku, ja kpię z ludzkich gadań, a swoje robię.

– Najlepiej, proszę W. pana, najlepiej. Ny, a groch?

– Do sprzedania.

■– A po ile?

– Po 60 złotych.

– A wa! W. pan chciałbi majątek zrobić na grochu; ale ja powiem rzetelnie W. panu: niedługo termin mojej kwotki, ja wezmę to za dług.

– Nie bój się – odpowiedział zwracając się ku

niemu Emilek – jak przyjdzie czas, twoje 300 zł. będą, zapłacone.

- Przez obrazy W. pana, a z kąd się weźmie?
- Coż ty myślisz, że ja z tego folwarku żyję, co? że ja nie mam innych funduszków? Chcesz, jak dla ciebie, po 55 i basta.
- Dlaczego? ja bim dał, ja z tego żyję, ale gdzie groch?
- Za dwa dni będzie; jutro najmę sześciu ludzi to się uwiną, we środę przyslij furmanki.

Zydki targowali się jeszcze czas jakiś, Emilek się niby wzdragał, rzucał, gniewał; lecz, że kupno było korzystne, a zboże widzieli w spichrzu i w stodołach, więc w końcu zaliczyli 350 zł., wzięli kwit, a odjeżdżając. Haimek jeszcze wtrącił:

- Ny, a co będzie jak W. pan grochu nie wigo- tutaj na środę, a mi przyjedziem?
- Cóż ty sobie myślisz znowu, że ja oszust jaki, czy co? – krzyknął obrażony Emil.

– Niech się W. pan nie gniewa, mi tak tylko na przypadek, bo jedziemy jeszcze do pana Szelażkie- wicza.

– Żadnych tu przypadków, przyjechać rano o 8-ej, bo potśm wyjeżdżam, a gdyby mię nie było, to karbo^

wemu pani da klucze od śpichrza i weźmiecie!

* *

*

– No, i cóż mama powie na to, że ja mam już 350 zł. na powóz!–zawołał Emilek wpadając do pokoju i potrząsając kieszenią.

– Nie może być!

– A ciekawam – wtrąciła zachmurzona ciotka, jakim sposobem?

– Naturalnie, że zrobiłem interes, sprzedałem zboże!

– I za trzy korce dali ci tyle pieniędzy? •

– No, to ja też sprzedałem siedm.

– Jakto?–wrzasnęła ciotka–mogłeś ich oszukać sprzedając to, czego nie masz?

Wstydź się, Emil- ku, taki młody, to brzydko, to nie uczciwie!

– Eh! gadaj sobie – odrzekł uśmiechnięty Emilek.–Co to szkodzi raz okpić żydów, ile-to razy oni mamę nienaoszukiwali. Zresztą, cóż to wielkiego? niewinny wybieg i basta: prawda mamó? Ma się rozumieć, pieniądze im się odda potem... A co się bestye złapali, to złapali; ha!–dokończył przeciągnąwszy palcami około otwartych ust.

– No, no, mój Boże, do czego to już przyszło!– odezwała się westchnąwszy głęboko ciotka. Wiesz– mówiła z pewną energią przyskakując do niego – żeby ludzie nie powiedzieli, że na siostrę własną nastaję, to- bym poszła sama do żydów i ostrzegła ich o twych sza- cherkach!

– A ślicznieby ciocia zrobiła, dalibóg po obywatelsku. Wejść w konszachty z żydami, siostrzeńca oczernić, ładna uczciwość. Moja mameczko, brońże mię mama!

- No, widzisz, moje dziecko–wyrzekła zamyślona matka–zawsze to nie dobrze.
- Eh! co też i mama mię potępia; już ta ciotka napompowała wszystkich przeciwko mnie. Dziś prostą drogą niczego nie dojdzie się z tem tałajstwem, oni za lichwę duszęby z człowieka wzięli. A zresztą i ten pan co u niego byłem na imieninach, jeszcze lepiej sobie poradził.
- Jakże-to, jakże?–spytała ciekawie matka.
- O! przecież wszyscy wiedzieli, jak na swoje dobra pozaciągał drobne długi, zahypotekował, a potem nie opłaciwszy Towarzystwa, wystawił na sprzedaż. Wadium do licytacji było duże, wierzyciele nie mieli pieniędzy i dalejże w beki, mój zaś pan dziedzic podstawił szwagra i bach, kupił dobra za samo Towarzystwo, a dłużnicy poszli z kwitkiem i rzecz skończona.
- I to mówisz, że dobry interes! – krzyknęła gwałtownie ciocia.–O! mój jedyny Boże, a toż to widoczna kradzież, jeszcze biedaków co mu ostatnie fundusze powierzyli. Hańba, hańba wieczna!
- Nie bój się ciocia, oni sobie tam wynagrodzą na innych; to pijawki rodu szlacheckiego. Ale co im puścił finfę pod nos to puścił. Dalibóg, żebym miał dobra, zarazbym to samo zrobił!
- Mój kochany, nie chęł się darmo i nie mów więcej, bo prawdziwie w głowę zachodzę, zkąd ty, taki młody jeszcze, mogłeś się wyuczyć podobnych wykrętów?
- Z doświadczenia, moja ciociu, z doświadczenia, rady i potrzeby. A teraz dajcie mi co przekąsić, pojedę do miasta.
- Czy znowu co sprzedać?

– Ale moja mameczko, niech mama się nie boi o mnie–ciszej zaś szepnął:–powóz będzie!

"W godzinę potem, nasz Emil cały ubrany kratkował, bo w surduciku, kamizelce, i pantalionach z jednój kraciasto pstrokatej materyi, w białym kapeluszu, cwałował na ładnym dQŚć koniku ku głównej drodze wiodącej do miasta. Mina tęga, koń ognisty, zwracał uwagę wszystkich przechodzących i przejeżdżających. Przy samych kopcach, stanowiących granicę jego pose- syi, spostrzegł na dworskiej ścierni jakąś kobiecinę zbierającą kłoski. Dać kilka susów i palnąć batem przez obnażone plecy biedną wyrobnicę, było dziełem jednej chwili. A ty jakaś, a ty owaka, a kradniecie, a ja ci tu dam!–wołał, zsiadając z konia i rewidując przelęklą. – No, co to zboża, a szkodniki jakieś! – i znowu skrobnąwszy ją parę razy, uzbierane kłoski wyrzucił na ziemię, zdeptał nogami, połamał, potłukł w błocie, a za- & groziwszy nieszczęśliwej, że ją do sądu jeszcze odeśle, dosiadł kasztanka i jakby nigdy nic nie było, pojechał dalej.

O parę stajań nie dojeżdżając do miasteczka, stało kilka chat włościańskich, a między nimi jedna większa przy drodze, w której mieszkał znany Emilkowi pachciarz. W otwartych drzwiach stał sobie pan Jankiel kurząc ulubioną fajeczkę i spoglądając na przejeżdżających. Nasz młody bohater, który jak wiadomo jechał na obławę pieniężną do miasta i nie miał jeszcze ułożonego planu zkąd zarzucić swą siatkę, zaraz wpadł na myśl, czyby i jego kieszeń nie mogła stać się ofiarą dowcipnej spekulacyi. A że myśl u niego tuż poprzedzała wykonanie, więc zbliżył się pod chatę i skinąwszy

grzecznie głową na znak przywitania, poprosił o ogień do cygara.

– A jak się W. pan miewa!—zagadnął kłaniając się unieżenie starozakonny i podając zapalone łuczywo.— Co ślichać u W. pana, zborże się młóci?

– Młóci, młóci, możebyś miał kupca na nie?

– Ny, ja sam kupię; karbowy gadał, że W. pan będzie miał ze 6 korcy żyta.

– Ha! że ten stary papla, wszystko wygadać

musi.

– No, a po czemu?

– Po 60 groch, żyto po 40.

– Niech się W. pan nie droży, ja gotówkiem zapłacę...

I znowu po takich samych targach p. Emil sprzedał z ośm korcy; żyd dał zadatku 300 zł. obiecując przyjechać we środę po zboże.

To mało jeszcze! — powiedział sobie nasz bohater wsiadając na koń; jedźmy do miasta. Skierował się więc koło lasu na drogę, i szczęśliwy z tak łatwych operacji, przemyśliwał nad dalszym ciągiem.

Poranek był prześliczny, mnóstwo włościan i włościanek świątlnie przybranych ciągnęło ku miastu, i pieszo i wózkami, część do kościoła, część na targ, jak to zwykle bywa w niedzielę. Pomędzy niemi przebiegała lotem strzały jaka najtyczanka, lub wózek węgierski, będące podówczas w modzie u młodych obywateli. Emil upatrywał kogo ze znajomych i kłusował naprzód. A wtem wysuwa się z za góry długi tuman kurzawy, olbrzymieje goniąc zadumanego Emilka, przezeń zaś prze-

A. Wilczyński. -Tom VIII.

bija się jeden, drugi, trzeci wózek włościański wypakowany od góry do dołu ciężkimi worami ze zbożem. Konie idą, powoli wyężając swe siły, chłopstwo postępuje obok śmigając batami, a na ostatniej furze siedzi sam karbowy czy włodarz, pół po miejsku już przebrany, i podnosząc co chwila opasłe ciało, kieruje tym łańcuchem paląc najspokojniej z króciutkiej fajeczki.

Przemyślnemu Emilcowi tego tylko potrzeba: w jednej chwili już osnuł projekt, a skrobnąwszy konia siarczyście po żebrach, dalejże naprzód ku miastu.

Z początku trzymał się niezbyt odlegle jadącego taboru, ale gdy podjechali bliżej miasteczka, przyśpieszył biegu, wpadł jak szalony w rynek, uwiązał konia przy słupie jednego z podcieni żydowskich, a sam z całą żywością wszedł do sklepu.

– Kochany panie Haskiel!–zawołał do siedzącego poważnie za kantorem izraelity–bój się Boga, dajno mi na minutę 400 zł.

– Ny, a z kąd ja wezmę?–odrzekł nie ruszając się z miejsca proszony. – Niech mi pan odda moje 500 zł., to będę miał.

– Ależ oddam, jak Boga kocham, oddam; tylko spotkałem tu znajomego co jedzie do Krakowa, i brakuje mi 400 zł. do sprawunków. Nie bój się kupiec, zaraz odbierzesz: patrzaj, oto wiozą moje zboże na targ. Nie marudź, panie Haskiel, a dawaj!

– Jakie zboże?–spytał jeszcze obojętnie kupiec.

– No, żyto, groch: słowo honoru daję, a dawaj- no!–mówił, wyciągając rękę i przebijając nogami z niecierpliwości.

- Jakte rżyto, kiedy pan ma tilko na dziesięćcinę?
- O! przecieżbym cię nie zwodził darmo; z proboszczem się ułożyłem, a ot, fury jadą; pójdzże, zobacz: sprzedam ci o dwa złote na korcu taniej–i pociągnął go za rękę ku drzwiom.

W istocie wózki już wtaczały się na rynek, żyd popatrzył, zawahał się trochę, lecz naglony przez Emilka, wysunął szufladę i wyliczył 400 zł., zamawiając sobie trzy złote taniej na korcu.

- Dobrze, dobrze; obejrzyj sobie tymczasem, pocziwy panie Haskiel, ja palnę na pocztę, gdzie ten znajomy czeka. Do widzenia, do miłego widzenia!

I zabrawszy ową kwotę, dosiadł czempredzej konia, pobiegł czwałem w przeciwną ulicę, z niej boczną skręcił na zwykłą drogę; a nie oglądając się nawet, pogalopował do domu.

Tymczasem fury zatrzymały się na rynku, Haskiel nacisnąwszy jarmułkę, z zapaloną fajką i niezwykłą powagą szedł ku nim wolniutko, a sądząc się już napół właścicielem, wyrzekł do chłopca:

- Pokaż-no to rżyto.
- Kaj-to nie na przedaj! – odpowiedział tenże, opatrując koło od wozu.
- Głupiś!? co ty wiesz: ja kupi! – A nie czekając zezwolenia, sięgnął ręką z zamiarem odwiązania worka.
- A idźno sobie z Panem Bogiem, zydzie jakiś?– zawołał chłopiec odsuwając go niezbyt grzecznie.
- Ny, co to jest, rozbój! to moje rzytt), ja zapła

cił 400 zł.; słuchajno, ty, chłop, jak powiem panu, to jeszcze dostaniesz!

– Co to? kto to? czego on chce? – krzyknął karbowy, przybliżając się do wozu.

– Mój panie wokunom, ja kupił te rżyto od pana Gąsiowski z Wójtostwa, a ten łajdak nie da mi nawet oberżyć.

– Kiedyś kupił od pana tego, to sobie idź do niego—odrzekł karbowy.—To jest owies dla wojska.

– Jakto, owies, jakto dla wojska? – powtórzył przelękniiony Haskiel—a kiedy on powiedział, że to rżyto i groch.

– Ooo! co się ta będę z tobą sprzecał! – Gadam ci ze owies z Makówek, dla wojska.

– Aj waj!—krzyknął żyd targnąwszy się za pejsy, aż fajka mu z ust wypadła. — To on mię obszukał, ten łajdak, ten szacher. Aj waj! co on narobił, ja jemu dam; na kryminał wsadzę, obszukaniec jaki: poczekaj!—A wpadłszy z hałasem do sklepu, pomimo iartów innych żydków i zgromadzonego chłopstwa, kazał czempredzej zaprzęgać, poszwargotał coś z żoną i śliniąc brodę, poprawiając czapkę, pojechał ku wójtostwu.

W drodze spotkał jeszcze wracających Haimka i Fajbusia, rozprawiających właśnie o swoim kupnie z pachciarzem. Wszystkich ogarnął jakiś strach paniczny, a zawróciwszy napowrót, piorunem polecili do dworku pani Gąsiowskiej.

Jak się możecie domyślić, pana Emila już w domu nie było: on wróciwszy z miasta, po owej sprzedaży żyta i grochu, kazał w tej chwili zaprzęgać, a pożegnaw

szy matkę najczulej z zapewnieniem nabycia powozu,
czmychnął nie powiedziawszy nawet gdzie jedzie.

*

* *

Jeżeliście widzieli kiedy, moi czytelnicy, wezbrany potok wody, który pędząc gwałtownie, wszystko po drodze zamiata, niszczy, druzgoce i wali, to z taką wściekłością, gniewem i hałasem wpadli czterej znani nam przyjaciele do dworku pani Gąsiowskiej. Pierwszą ofiarą ich zapalczywości była biedna ciocia wybierająca się do kościoła:—Gdzie on? co on? obszukaniec! na kryminał, na prezesa, na komornika, stradujemy, sprzedamy, a groch, a rżyto! a długi!!!... — wszystko to razem haotycznie zlewało się w jakiś dziwnej harmonii odgłos, tłumiący pojedyncze słowa i wymówki biednej kobiety

- Co to jest? — krzyknęła matka, ukazując się we drzwiach drugiej stacyjki.
- Co jest: obszukaństwo, kradzież: ten sin, pan Emil, sprzedał dziesięciu jedno zborze.
- Tylko cicho bądźcie.
- Co tu cicho za swoje pieniądzowi niech odda.
- Ja wam zapłacę, tylko o co tu chodzi!
- No, dobrze, niech pani płaci, bo mi jego... — wołali, trzymając w ręku rewersa.
- Najprzód—mówiła przelękniona matka—jego rewersa nic nie znaczą: on małegoletni.

_ – Jaki? małećni – powtórzyli wszyscy naraz otwierając usta i stając w zadziwionej postawie.

- To za obsiukaństwo zaskarżymy.
- Pozwóćcież, ja się ułożę z wami: cóż wam się należy?
- Mnie 400 zł. i 300 zł.; mnie wsickiego 500, mnie 230...
- Widzicie – odezwała się, wzdychając ciężko, pani–ja teraz gotowizny takiej nie mam; ale, ot, są tu kosztowności...–i zatrzymała się jakby piorunem rażona, spostrzegłszy w toalecie dwa, czy trzy tylko, pierścionki.
- Gdzie te kosztowności?–wrzeszczało żydostwo.
- Skradli mię, skradli! – krzyknęła rozdierająco, upadłszy na ziemię.
- No, mi nie skradli: piąć pani!

A wtem zjawił się na progu przecie karbowy, prowadzony przez ciotkę, i wypchnąwszy gwałtem napastników, uwolnił biedne kobiety od dalszego ataku.

Jarmark, walny jarmark! – to słowo cudownych wstrząśnień okolicy, to nadzieja szulerów, rozkosz młodych paniczów, zysk kupców i ruinacya nierozsądnych, ma toż samo prawie znaczenie i ten dźwięk łechcący w uszach obywatelskich, co bal w uszach i wyobraźni kobiet. Nie ma tego kalendarza, w którymby grubo data onego podkreśloną nie była; niema tej chaty, tego dworu, w którychby oczekiwano jego zaczęcia z mniejszą cierpliwością, niż para narzeczonych dnia swego ślubu.

Z licznych opisów powieścio-pisarzy, korespondentów gazet i własnego doświadczenia, znacie już, szanowni czytelnicy, mniej więcej ogólną charakterystykę kontraktów Kijowskich, Berdyczowskich, Dubieńskich i t. p. miejsc za Niemnem i Bugiem, ale tutejsze jarmarki, zwłaszcza w prowincjach dawniej Małej Polski odbywane, mają wcale różną i odmienną od tamtejszych barwę. Już na dwa tygodnie przed zaczęciem jarmarku, po wszystkich dworach robią się przygotowania: gospo-

dynie ładują bieliznę i regestr sprawunków, panowie zaś każą kuó konie do jazdy, czyścić, strzydz, czernić, piłować konie do sprzedaży; najtyczanki się opatrują, smarują, ludzi się przystraja, uczy powozić, wyprowadzać konie i jeździć na nich, a wreszcie szuka się na gwałt pieniędzy, jeżeli ich niema gotowych. Spotykając się dwaj obywatele w tym czasie, mówią, najprzód: jak się masz? a potem: będziesz na jarmarku? gdzie stoisz, gdzie masz stajnię? i t. p.

Na takich jarmarkach nie masz tu owych sal kontraktowych: dóbr się nie sprzedaje, pożyczek nie zaciąga, bo od tego są wyższe stopnie faktorów żydowskich. Tu obywatelstwo płci męskiej, jednej gubernii, daje sobie niejako rendez-vous, bardzo rzadko w celach handlowych lub spekulacyjnych, a najczęściej dla przyjemności, porobienia sprawunków, gry, hulanki i t. p. Konie stanowią tu niby główny przedmiot zamiany, lecz setna część zaledwie ma takowe do zbycia, a sami kawalerowie już po deklaracji będący do kupna, przybywają więc na jarmark według zwyczaju, że ojciec ich jeździł, stryj jedzie, brat jedzie, sąsiad się wybiera i t. p.

Czasami zapłacze się i jaki grubszy urzędnik lub kuzynek obywatelski, 'bo jakżeżby który z właścicieli ziemskich lub dzieci jego, nie mając żadnego interesu, bratał się tam z jakimiś urzędnikami? Fe! to wstyd,, to zapomnienie się, to niehonorowe i niestosowne towarzystwo. Kilku rejentów, kilku komorników i pewna liczba woźnych, prawie z urzędu i dla dogodności panów obywateli musi się znajdować, gdyż wierzyciele łapią tu zawsze dłużników, albo wreszcie ich konie lub sprzęty.

Na> kilka dni znowu ciągną ze wszystkich stron, a głównie od Warszawy tabory kupieckie: szulerzy krajowi, ba nawet i zagraniczni mają pozamawiane stałe mieszkania; restauracje z muzyką, prawie wylazą z pod ziemi, sztuczni jeźdźcy i artyści prowincjonalni, urządzają po stajniach stosowne cyrki lub sceny, a nawet kawiarnia Warszawska, z dość liczną i piękną obsługą, wywiesza ogromny szyld w rynku, a co wieczór urządza małe przyjacielskie baliki.

Przed wieczorem, w wigilią uroczystego rozpoczęcia takiego jarmarku, trzy bryczki, każda zaprzężona ognistą czwórką w krakowskich chomontach, wjechały z szumem, trzaskiem i strzelaniem biczów do miasta.

Za nimi dopiero, coś na kształt wózka, czy powozu, bo zupełnie oryginalnego kształtu i urządzenia, wleciało pędem strzały na rynek. Bez woźnicy, kilku młodych obywateli z brodami i bez bród, z wąsami, hiszpankami, w dziwacznych ubiorach, a w dziwniejszych jeszcze pozycjach, siedziało w tej klekotce ochrzczonej nazwą amerykanki; jeden z nich stojąc na przodzie, podcinał konie z całej siły i krzyczał:

– Z drogi, hej! z drogi!

Całe miasto wyległo przed sień na przypatrunek, a nasi bohaterowie, pomiędzy którymi znajdował się i Emilek, okrążywszy raz, drugi i trzeci rynek, podobnie jak w owych wierszykach:

“Nie z potrzeby, ale z mody Leciał pędem panicz młody...”

zawadził gdzieś o kamień przecie: swojskiej roboty amerykanka prysła, a jej męczennicy jak promienie koła

rozciągnęli się po ziemi. Zestrachane konie poszły dalej z resztkami dyszla, a nasi panice, wobec zgromadzonej i śmiejącej się rzeszy, zbierając swoje manatki, na- pół z płaczem i przekleństwami ruszyli w ulicę.

Emilek stłukłszy sobie łopatkę, położył się zaraz w łóżko, inni zaś mniej poszwankowani, spieszyli oddać wizyty krewnym, przyjaciołom i znajomym.

Na drugi dzień zrana, kiedy całe miasto panów spoczywało jeszcze snem głębokim po tylu nocnych trudach, –niecierpliwy Emilek z tysiącem złotych w kieszeni, wesoły, szczęśliwy wybiegł z mieszkania z zamiarem obejrzenia powozów. Stąpając powoli, nie mógł się napatrzeć tylu różnorodnym przedmiotom, rozłożonym ponętnie przed sklepami kupców. I to potrzebne, i to-by się zdało; ach! jakie to śliczne, a co to kosztuje: te i tym podobne wrywały się mu pytania, w miarę jak omijał wystawy. Aż tu spojrz, napis: "Magazyn ubiorów warszawskich." "Wstąpmy, co to szkodzi: zobaczę jakie też mody–szepał sobie, przestępując próg sklepu.

– A co to jaśnie pan potrzebuje?–zapytał, wychodzący z drugiej stacyjki, chudy, czarny i wysoki ży- dek. – Może futra? – dokończył, kłaniając się czapką i obcierając usta po śniadaniu.

– Czy masz futra?–bąknął machinalnie Emilek.

– Ny, jakże, ja tem handluję od lat 15. Całe Warszawę zna moje skład.

– No, to pokażno co porządnego.

– W ten moment, niech jasny pan siada–mówi, ścierając połą surduta powalany stołek. – Ja tu jaśnie panu fain futro wybiorę. Moszek, podaj tam futro!

Rozczochrany Moszko skoczywszy na półki, wywlócił ogromny płaszcz szopowy i przyniósł go ku drzwiom.

– Ale nie szopy, jabym chciał...

– Już ja wiem, już ja wiem, jasny pan chce co dobrego. Ny, dawaj niedźwiedziów.

Przyniesiono psy sybirskie dobrze kasztanowate, kupiec popatrzył badawczo w twarz Emilka, i potrząsnąwszy kilkakroć kołnierzem, zawołał:

– A co, fain futro?

– Nie—odrzekł skrzywiony Emilek—ja nie chcę płaszczu, może jest algierka?

– Dlaczego niema bić? u nas wszystko jest.

A zobaczywszy, że Moszko wyciąga elki, krzyknął z gniewem:

– Schowaj to w ką. Sigste, co to dla jasnego pana takie głupstwa, to dla wokunom, to dla krawce* szewce... Wie co jasny pan, ja tu mam jedne zamówione algierkie dla hrabiego Zawada, ale on podobno ka- pson; jasny pan musi go znać: ten wisoki brunet.

– Nie, nie znam.

– To ja bi jasnemu panu sprzedał te algierkie, tylko, żebi on się nie dowiedział; bo jaby miał, aj waj!

– Nie bój się, nie powiem, tylko pokaż!

– Nie tę, nie tę, mówię ci!—wołał kupiec, spoglądając na swego pomocnika. — Ot jest ta fain pirzmow- ców. Co to za śliczne algierki? jak Boga kocham, magnackie sztuki; ja tilko dla jasnego pana takie grzeczno

ści robię: ja się boję, cobi pan hrabia się nie pogniewał, bo to takie ambitne pan, a w&!

Emilek zaczął oglądać futro, kupiec wiedząc z kim ma do czynienia, przekreślał tak z ręcznie algierką, że najpiękniejsze tylko widział skórki; nareszcie wyrwał mu ją z ręki, mówiąc:

– Niechno jasny pan przymierzy, to się najlepiej wida!

I wciągnął mu na ręce futro, poprawił kołnierza, przyciągnął klapy na przodzie, wołając radośnie:

– Jak ułał, jakby na jasnego pana robione, jakie figur wcięte; Moszek, Icek sigste, sehe si git! Niechno się jasne pan psiewróci! Ot tak, magnackie, jak Boga kocham, ja dawno takie algierki nie widział.

– Ale bo widzisz, tu trochę ciasna...

– Co ma bić ciasne, to z nowości. A może jasny pan się przerzy; Moszek, podaj lustro prędko!

I porwawszy kawałek stłuczonego zwierciadełka, może 6 cali kwadratowych mający, przystawiał go kolejno do twarzy, do kłap, do mankietów, nawet i tylnego kołnierza.

W samej zaś istocie, były to sobie zwyczajne zające, dobrze przy kopcone; gdzieniegdzie tylko przebijał się kawałek piżmowca; sukno ciemno zielone, stare, żółcią wyczyszczone, szkliło się nieźle, choć każdą nitkę wniem policzyćby można. Emilkowi najwięcej się spodobały szamerunki na piersiach i pętlice; widocznie poczuł słabość do nich, może też i z tego powodu, że to dla hrabiego było obstalowane. Lecz zdejmując napowrót, spostrzegł że niema futra w rękawach, więc pokazując to kupcowi, zarzucił:

- A czemuż tu niema futra?
- Pan chyba musi być z prowincyi?—zapytał, patrząc nań z politowaniem.
- Dlaczego z prowincyi?—odrzekł zarumieniony nieco nasz obywatel.
- Bo zebi jasny pan bił z Warszawy, to bi wiedział o tem, że nikt nie nosi futra w rękawiech.
- Ale jabym wolał...
- Na co, proszę jasnego pana? to się tylko sukno obciera z tużurkie, to nie moda...
- Patrzajno i tu się już pruje.
- Eh! jaka to bieda, że jasny pan z prowincyi. — To umyślnie zrobione, zebi się jasny pan przekonał na suknie, że to nie nicowane—to się zaszyje!
- No, ale cóż ty chcesz za to?
- Tak, bez targu, ehrlich, ostatniem słowem...
- Ostatniem—powtórzył Emil.
- No, to da jasny pan 90 rubelków.
- Ależ bój się Boga, to za drogo; ja szopy dostanę taniej.
- Aha, szopi! — powtórzył, uśmiechając się naiwnie kupiec — ale co pirżmowce to nie szopi. Wi jasny pan, to futro nigdy nie traci: jak się zedrze kiedy, w ha- ptece jeszcze 30 rublów dadzą za skórki. Auf meine munes, rzetelnie mówię. Niech jasny pan powącha, — a, a, a, a! jak to pachnie! a jak to kobity lubią! A skąd bi oni mieli takie zapachi, jak nie z pirżmowców?
- Co tam się długo targować, ja nie mam czasu; chcesz, bierz: dam ci 70 rubli.

– Czy jasny pan kpi, czy co?—Jakto, ja za takie hrabioskie sztuki mam brać 70 rublów? Ny, jaki jasny pan skąpi, laboga, wielkie rzecz...

– No, a ileż chcesz naprawdę?

– Ja jasnemu panu powiem rzetelnie tak, ile mię kosztuje samego, żebim tak zdrów był, żebi moich dzie- ciów zdrowe by U; da jasny pan 85 i butelkie wina.

– Eh! to już nie kupię—odrzekł zamyślony Emilek, zabierając się do wyjścia.

– No, niechno ja śliszę, co jasny pan daje?

– Mówiłem ci, 75.

– Daj jasny pan 80, niech ja tracę; co robić, abi żyć!

– Ale nie mogę.

– Uwa!—bierz pan, bierz pan!

A kiedy już odebrał pieniądze, to chuchnął na nie z chciwością, i prosząc o podanie ręki na szczęście, odezwał się do Emilka:

– Ja bim tylko rzyczył jasnemu panu, nie wicho- dzić w niej ani na deszcz, ani na śnieg...

– Dlaczego?—spytał zadziwiony.

– Bo takie ładne algierkie, to szkoda; ja bim panu radził kupić drugie, podlejsze...

– To kiedyindziej, a teraz bywaj zdrów.

– Upadam do nóg jasnemu panu! szczęśliwej podróży. Z przeproszeniem, jeszcze słówko – wołał już przed sklepem—wie jasny pan, żebi nie jasny pan, to bi tego futra nikt nie kupił.

– Co znowu?—czyś mię oszukał?

– Ale nie, co jasnemu panu się widzi; ja dlatego mówię, że tu nikt na tem się nie zna.

– To co innego – pomruknął Emil i pobiegł dalej.

Dobre to jest stare przysłowie nasze: że "człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi," tylko Emilowi to pewno kto inny je nosił, bo za ledwie uszedł parę kroków, spotyka śpiewające grono młodych współkolegów i współobywateli już pijanych (przepraszam, źle się wyraziłem, bo jeszcze od wczoraj pijanych), czyli delikatniej mówiąc, mocno sfatygowanych. Dalejże więc w uściski, całusy i tym podobne oznaki szczerej radości ze spotkania miłego towarzysza.

– A pójdz z nami na śniadanie; no, co tam się opierasz, chcesz się tu wyłączać, weźmiemy na bary i kwita!

A trzeba wam wiedzieć, mili czytelnicy moi, co to tam za rej bywał na takich jarmarkach. Nic sejmiki dawnej szlachty, zero wszelkie rodzaje sybarytowskich uciech, w porównaniu z temi zabawami, jakimi się rozkoszowała ówczesna młodzież obywatelska. To szczęście dla nas, że to już dawne czasy, że teraz przecie się ustakowano, że rozum zaświtał po głowach; ale w tym czasie, o którym wam opowiadam, inna rzecz była. Wjeżdżano na koniach do sali na piętrze, gdzie mieściła się tymczasowie restauracya; potem konie po wschodach zejść nie chciały, trzeba je było wiązać i znosić z wielkim trudem i kosztem niemałym. Karty, karteczki, fortunki, bilardy, teatru, hece, wszystko to zajmowało, bawiło i pieniądz krwawo zapracowany wyciągało z kieszeni.

Więc też jak pochwycono biednego Emilka naj przód na śniadanie, potem na obiad, potem na szampana, potem na wieczorek przyjacielski i do tego tańczący, to nieborak ani się spostrzegł jak przebiegł szybko dzień Boży. A że był-to sobie chłopiec ambitny, z najczystszej szlacheckiej rasy, więc w odpłacie za gościnność przyjaciół, nie lubił zostawać w tyle, owszem, gdy inni kazali przynieść kosz kwaśnego szampana, on po dwa posyłał.

Co godzina prawie na owym wieczorku robiono składki, to dla muzyki, to dla panny Anieli, to dla Zosi, to na świece, to na kolację; a tu sam kwiat poważniejszej młodzi, a nawet i przykładnych w domu małżonków tem się gorliwie zajmował; więc rubelki sypały się gradem tak dalece, że o godzinie drugiej po północy, po po- trójnem przeliczeniu, zostało mu jeszcze razem 40.

– O, źle!–pomruknął sobie rozmarzony Emilek. Za to ani sposób kupić jaki powozik. A tu żydzi będą straszyć, podatki na karku, termina wypłat za dni kilka; więc po długim namyśle i radach sfatygowanych przyjaciół, nie pozostawało jak tylko popróbować szczęścia łaskawej fortuny.

O miejsce nietrudno, gdyż wszystkie okna rynkowych domów gorzały światłem, a z każdego, wraz z dymem tytuniowym wylatywały urywane słowa: biję – łapa, do reszty i t. p.

Z początku szło mu nieźle, już doszedł prawie 200 rubli, już cieszył się wygraną i miał po ostatniej stawce zabastować; lecz fortuna się odwinęła, przyszła dama pikowa, dla niego zawsze nie życzliwa, i bah!–przegrał.

Od tego do tego, powoli, wydobywał pomięte bilety bankowe; kłął, darł karty; pił poncz szklanek za szklanką, a pomimo to wszystko i pomimo zapewnień towarzyszy, że gra dobrze, tylko nieszczęśliwie, nad ranem zmuszony był powstać, pocałowawszy najszczerzej zielony stoliczek.

Ale niby to tak łatwo poskromić żądze ludzkie, kiedy się one wpiją komu za skórę. Więc tóż i nasz Emilek w prośby do tego, do owego, o 15 rubli, o 30, o 10, o 6, a nawet o 3. Lecz jedni nie mieli drobnych, drudzy ani grubych, ani drobnych, inni znów trzymając się tej zasady, że się w grze nie pożyczają, najgrzeczniej odmówili; słowem desperacja już ogarniała nieszczęśliwego młodzieńca. Wtem jeden z kolegów poniterów, zlitowawszy się nad jego utrapieniem, wziął go na stronę szepcząc:

- Panie dobrodzieju, pan masz szalone szczęście, ale nie umiesz zeń korzystać.
- Ba, korzystaj że tu kiedy przegrałem co do grosza.
- To szkoda!—dodał tenże z żalną miną.
- Wiesz pan co? — mówił rozgorączkowany Emil—choć nie mam tej przyjemności znać pana osobiście, ale zrób mi pan tę łaskę, pożycz 40 rubli.
- Hm! — odrzekł tenże uśmiechając się znacząco — po co tu pożyczają, kiedy pan tego nie potrzebujesz!
- Proszę sobie nie żartować ze mnie! — krzyknął rozgniewany Emil.

A. Wilczyński.—Tom VIII.

- Powoli, panie kochany, powoli, zaraz się wytłumaczę; masz pan ładne kasztanki: prawda?
- Mam, ale od moich kasztanków w zdaleka, panie...
- To też ja panu za nie gotówką wyliczę 150 rubelków; jak się pan odegrasz i oddasz, ja ich się ani dotknę.
- Nigdy!–krzyknął zapieniony Emil.
- Hm, trudna rada; idź pan spać do siebie, a przegranej pokłoń się najgrzeczniej...

Zdesperowany dzierżawca, jak oparzony odskoczył na bok od niego; chciał wyjść do domu, lecz pić mu się znowu zachciało, więc poszedł do stolika gdzie stały butelki z winem, wypił szklankę, odetchnął i spojrzał na grających. Stosy papierów, srebra, złota, leżały porozrzucone, szelest i brzęk ich tak miło wpadał do ucha zwyciężonemu rycerzowi, przeczucie wygrania tak jakoś coraz to dobitniej wyrabiało się w zasmuconej jego duszy, że sunął ku owemu dobroczyńcy² wziął go za rękę i poprosił o chwilę rozmowy.

- Wie pan co? zdecydowałem się przyjąć pańską propozycję; tylko proszę, raz o sekret, powtóre, że dopiero w tydzień konie panu odeszlę gdybym nie zwrócił pieniędzy.
- Na pierwsze się zgadzam – odrzekł bardzo uprzejmie ów jegomość–ale co do drugiego, to daruj pan, że mu odmówię. Oddasz pan za godzinę, dwie, trzy, ju- tro, pojutrze i póki się jarmark nie skończy, zgoda; ale dłużej nie mogę. Widzisz pan dobrodziej, ja mieszkam

w Warszawie, więc nie śmiałbym robić mu tej przykrości i kosztów, przy odsyłaniu koni tak daleko.

– No, to dobrze; ale pozwól pan 200 rs.

– I to nie mogę, jak pana szanuję; zresztą, i tak wiele daję nie znając koni, tylko z widzenia...

– Tak ja znowu nie mogę—przerwał Emil—one mię kosztują 1500 zł.—a w duszy pomyślał:—i tak zarobię, bo na licytacji kosztowały coś do 900.

– Ale o co tu chodzi, proszę pana; pan mi oddasz 150 rs. i rzecz skończona; możesz je pan jutro sprzedać i wziąć więcej: ja nie bronię...

– Kiedy tak, to dobrze: proszę o pieniądze!

– Za pozwoleniem, jeszcze mała drobnostka; wiesz pan, że wszyscy jesteśmy śmiertelni, więc niech pan z łaski swojej napisze parę słówek, że mi sprzedaje konie za tyle a tyle, z prawem odkupu do końca jarmarku.

– Jakto? pan mi nie wierzy?

– Ależ dzieciństwo! zkąd takie przypuszczenia! Ja wierzę i bardzo wierzę, tylko to dla formy, nic więcej. Skoro pan masz zamiar oddania, to po cóż takie skrupuły?

Siadł więc Emil, machnął kilka razy piórem, i za chwilę 150 rubli trzymając w drżących rękach, przeciskał się z niemi do stolika.

Na dworze świtać już poczęło, blade twarze znużonych graczy, jak widma grobowe poglądały z chciwością na leżące stosy papierów. Nasz Emilek najbardziej rozczochrany, z wyciągniętą szyją i przytłumionym oddechem, śledził najdrobniejszy ruch bankierskiej ręki;

zrywał się gdy przegrał, odchodził, znów powracał, aż znecierpliwiony do reszty, stawiał ostatki już na waleta, i w minutę... poszły sobie koniki do ludzi.

– Ha! przeklęte nieszczęście! ostatni raz grałem w moim życiu!–krzyknął zrozpaczony, porwał czapkę, splunął z goryczą, trzasnąwszy drzwiami wyszedł na ulicę.

Ale niby to koniec! –Gdzie krucho, tam wszystko się wali; to też zaledwie postąpił parę kroków zmierzając do zajazdu, wtem trzech brodatych żydów łap go za rękę.

– A rżyto, a groch, a pieniędzy moje!–krzyknął mu naraz szarpiąc na wszystkie strony.

– Idźcie do milion... dajcie mi pokój, nie mam czasu, kiedyindziej..

– Co to nie mam czasu! a na pieniędzy bił czas, hę! a groch, oddaj wason, oddaj, oddaj!–wołali nie myśląc go puścić.

– Zkądże ja wam wezmę? – odrzekł zdeterminowany–kiedy co do grosza przegrałem.

– Ny, co nam do tego, wason jesteś oszust, mi wsadzimy wasana na kriminał; co to jest? mi nie pytamy zkąd wziąć, a oddaj!

– Poczekajno, Haskiel, poczekajno – mówił już wolaiój stary Fajbuś, odpychając ich na bok.–"Wie pon, mi nie takie źli ludzie jak katoliki, mi pana gubić nie chcemi; niech pan od nas odkupi te zborze.

– Ależ za có ja odkupię, kiedy grosza jednego nie mam przy duszy!

- A co nam do tego?...
- Nie krzycz Haimek—przerwał znów Jankiel— ja panu powiem ostatnim słowem: pójdziem do pana re- jente, on napisze kontrakt, że pan od nas kupił zborze, za tyle a tyle pieniędzy; pan wzięł zborze, a pieniędzy odda za trzy dni: co, nie dobrze?
- A dobrze, dobrze! róbcie co chcecie, ja wszystko podpiszę.
- Ny – dodał Haimek – to nie wsistko jeszcze: wason małoletni, tu musi mamę podpisać.
- Róbcie jak chcecie, ale ja do matki nie pojedę.
- To wsadzimy, wasana, na kryminal.
- * A wsadzajcie sobie—odrzekł zdesperowany.

Więc zabrawszy go z sobą do zajazdu, spisali zamiast ugody istny cyrograf nie zapomniawszy o dobrym procenciku, kosztach podróży, furmankach i t. p. Emilek musiał to wszystko podpisać, a w dodatku jeszcze udać rękę matki.

* *

No i cóż wam jeszcze więcej mogę powiedzieć? Zbyt prędko nasz bohater doszedł kresu, na jakim, próżność stawia zwykle swych ulubieńców.

Skończył się jarmark, Emilek już nie śmiał pokazać się matce; więc zaprosiwszy się do jednego z rujnujących

się także"młodzików, pojechał tymczasowo odgrywać rolę obywatelskiego przyjaciela i pomocnika.

A biedną, prawdziwie biedną matkę, za tyle nierozsądnych poświęceń i ową moc ślepej miłości, usłudni żydkowie zrabowali prawie co do joty. Bojąc się zobaczyć ukochanego Emilka w więzieniu jako fałszerza i oszusta, oddała im wszystko, nawet część garderoby i futra.

W trzy dni potem, pan Szymon Tarkowski uwiadomiony przez karbowego, przysłał oficjalistę z poleceniem objęcia zarządu wójtostwa. Pani Gąsiowska pomieszkała tam jeszcze z tydzień, czekając powrotu synka, ale gdy ten nie dawał znać o sobie, i gdy ostatnia prawie nędza, bo brak najpierwszych potrzeb życia, zaczęły natarczywie zaglądać do ogołoconego jej pustkowie, sprzedawszy ostatnie ślubne obrączki, najęła furmankę do Lublina, gdzie stara jakaś kuzynka pierwszego męża, podeszła a bogata wdowa musiała z litości przyjąć ją do siebie.

Otóż macie, szanowni czytelnicy, przygotowawczy obraz pierwszego przebiegu najpospolitszej u nas choroby próżnością zwanej. Zamiarem moim było przed okazaniem skutków, od najpierwszego źródła zbadać wszelkich wad przyczynę, ich wzrost i okoliczności na postęp onych wpływające. Tym sposobem skreśliłem wam niejako pamiętnik dziecięcia niedoli, tym sposobem macie przed oczyma i jeden gatunek próżności ludzkiej. W następnej opowiadaniu noszącem już formę powieści, którą pod napisem: "Nasze dzieci," niezadługo pod sąd wasz, kochani czytelnicy przedstawię, spotkamy się

prawie ze wszystkimi osobami, któreście w niniejszych opowiadaniach poznali. Tam puścimy naszych bohaterów we wspólną grę życia, starcie się z ludźmi i światem, tam w czynie wykażą się skutki, zasłużona nagroda lub kara.
KONIEC DZIECIĘCIA PRÓŻNOŚCI.